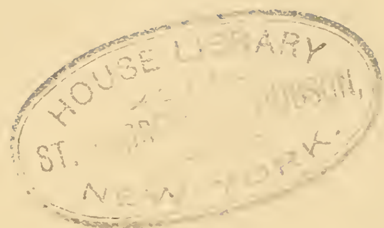



HOUSE LIBRARY
ST.
NEW YORK

NASZE WIADOMOŚCI.

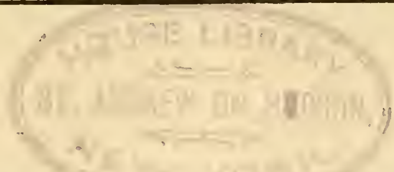
TOM I.
Pt. 1

KRAKÓW

NAKŁAD OO. JEZUITÓW

1905





Z MISYJ ZAGRANICZNYCH.

Misye dla Polaków w Północnej Ameryce (1900—1901).

List O. Alojzego Warola.

Cleveland, O. 16. czerwca 1904 r.

Kochany Ojcze Tomaszu! Łaskawą zachętę i instrukcyę W. Ojca, zawartą w liście do mnie z dnia 5. maja 1904 roku, tak sobie wziąłem do serca, że niniejszem zabieram się do spisania w krótkości misyj amerykańskich, które w latach od 1900 do 1903 wraz z OO. Matauschkiem i Rothenburgerem podejmowałem.

Sposób odprawiania misyi, jakiego się tu w Ameryce trzymamy, jest zawsze ten sam: albo praca dwutygodniowa, albo tygodniowa naprzemian. Dwutygodniówka obejmuje właściwie 17 dni pracy, nieprzerwanej żadną pauzą — tygodniówka zaś 10 dni. W pierwszym razie przypada na każdego misyonarza kazań 15; jeśli zaś misya trwa tylko tydzień, wygłasza z nas każdy po ośm kazań. Nie liczyłem dokładnie wysłuchanych spowiedzi, ale trzeba wiedzieć, że te się ciągną od 5-tej godziny z rana do 11-ej w nocy z małemi przerwami. Lud tłumnie oblega konfesyonały i nawet po 11-ej godzinie w nocy niechętnie się rozchodzi do domów, nie chcąc tego wyrozumieć, że znużonemu spowiednikowi i oczy się kleją i kółka w maszynce myślenia słabo się obracają. Co druga spowiedź — to generalna. — Na odpoczynek między jedną a drugą misyą mamy przeznaczony tydzień czasu, który jednak zazwyczaj bywa okrojony. Odpoczywa się w tem samem miejscu, gdzie się pracowało; zatem radzi nieradzi słuchamy dalej spowiedzi — zwłaszcza, że w miejscowościach, gdzie jest po kilka polskich parafii, misya dla jednej jest nią dla wszystkich innych; lud ciągnie zewsząd, a jeśli na czas misyi nie zdążył, to wiedząc, że misyonarze

jeszcze nie odjechali, bez pardonu ciśnie się do nich. Nadto w czasie takiego odpoczynku trzeba sprawować inne funkcye parafialne, bo już sam proboszcz, wycieńczony poprzednią krętaniną, ledwo stoi na nogach. Stałaby się również wielka krzywda chorym po domach i szpitalach, którzy nie mogąc być w kościele, byliby pozbawieni przywilejów misyjnych. Zatem ogłasza się z ambony, żeśmy gotowi być u nich, niech tylko podadzą adres. Pod tym względem nie szczędzimy sił naszych — zresztą robi to bardzo dobre wrażenie na innowierców i pogan, przedewszystkiem w szpitalach publicznych i we więzieniach. Te chrześcijańskie wizyty niejednego już nawróciły, a oziębłych naszych rodaków, co im i misya nie pomogła, pociągły skuteczniej do spowiedzi, niż najwymowniejsze kazanie. Dalej, blizko połowa tegoż odpoczynku odpada na podróż do następnej stacyi, nieraz o parę dni jazdy odległej. Bywało, żeśmy z misyi na misyę blizko cały tydzień jechali, jak n. p. w roku 1902 z La Crosse, z dalekiego zachodu nieomal od źródeł Mississipi, aż do Filadelfii nad Atlantyk. Trwało to od poniedziałku do soboty lądem i wodą: cztery noclegi po drodze przy zmianie pociągów, wodą znowu przez całą długość jeziora Erie z Detroit do Buffalo okrętem. Od roku ów system odpoczywania uległ zmianie. Ojcowie ze St. Louis powiększyli się w liczbę — zatem mogą się zmieniać w pracy. Zawsze jeden z nich po kolei może sobie na dłuższą pauzę po pracy pozwolić, bo się jest kim zastąpić. Ja zaś w moich misyjnych wycieczkach urządzam się jak mogę.

Po tych ogólnych uwagach, które i O. Karol Janowski w ten sam mniej więcej sposób naszkicował,[1] wejdę w szczegóły. Podejmowane przez trzy lata z OO. Matauschkiem i Rothenburgerem prace misyjne w Ameryce, podam sucho i w streszczeniu; może kiedyś przy wolniejszej chwili opiszę je raz jeszcze z żywszem nieco ubarwieniem.

Pierwszy rok moich misyi w Ameryce (od końca września 1900 do połowy czerwca 1901 r.).

Z O. Janem Rothenburgerem wylądowaliśmy w Nowym Jorku 20. września 1900 roku. Po pięciu dniach wytchnienia w St. Louis, podążyliśmy na pierwszą w Ameryce misyę do do miasta *Omaha*, w stanie Nebraska, gdzie proboszcz, X. Teobald Kalamaja, zakonu Braci Mniejszych, tygodniową zajął nas pracą. Tysiąc ludzi napewno przeszło przez nasz konfesyonał. Misya wiele się przyczyniła do uspokojenia umysłów, wzburzonych za rządów parafialnych obecnego w Buffalo pseudobiskupa Kamińskiego, który parę lat przedtem jak najwstrętniejszych dopuszczał się tu nadużyć. Jeszcze tlił w sercach ogień, rozniecony przez niego, niechęcią do katolickiego Kościoła i do

[1] «Nasze Wiadomości» str. 103.

praktyk religijnych. O tem pisałem w swoim czasie w «Misyach katolickich» [1] i o następnej misyi. Po tygodniowym odpoczynku, wśród którego odbyło się uroczyste poświęcenie nowo sprowadzonej statuy Serca P. Jezusa z kazaniem (ja miałem), pospieszyliśmy jeszcze bardziej w głąb Nebraski na farmy do miasteczka *Duncan,* gdzie X. Rembert Stanowski, zakonu Braci Mniejszych, wówczas pasterzował. Dziś już i O. Rembertowi i O. Teobaldowi zakon inne powierzył miejsce. Ostatniego zamianowano gwardyanem klasztoru w mieście Columbus (Nebraska). W Duncan, gdzieśmy również tydzień bawili, przypadł nam los wysłuchania do 900 spowiedzi — nam tylko samym bez żadnej innej pomocy.

Nie mogę tu nie wspomnieć o nader interesującym zakładzie w sąsiedniem miasteczku, Genoa, podobna bowiem instytucya pierwszy raz wpadła mi tutaj w oczy. Jest tam zakład rządowy dla indyjskich dzieci (U. S. Indian School), który zaraz przy samem miasteczku tworzy jakby drugie miasteczko. O ile mogłem okiem zasięgnąć, naliczyłem na rozległej przestrzeni, wysoko oparkanionej wokoło, 15 sporych domów: piętrowe i parterowe, ceglane i drewniane, dwie odrębne kaplice w formie wiejskich kościółków (katolicka i episkopalna), elektrodynamiczna hala, warsztaty przeróżnego gatunku, pralnia, suszarnia maszynowa, a nawet domek karcerowy z kratami, skąd parę wystających indyańskich twarzy, jak zasępiony księżyc, tęskniło do wolności. W karach niema pardonu, a ktoby się odważył choć kroplę gorzałki przemycić do zakładu, naraża się na pięcioletnie więzienie. Wiadomą jest rzeczą, że Indyanie na wódkę mają nadzwyczajny apetyt, a pod jej wpływem są skłonni do najstraszniejszych zbrodni. Obok przytyka ogród, starannie utrzymany, przeważnie jabłoniami zarosły, które im w tymże roku 1500 buszli jabłek wydały. O obfitości owoców można było wnioskować patrząc na same dzieci, z których prawie co drugie miały ząbki utkwione w jabłko. Właśnie, kiedy tam wszedłem, kilku małych Indyan wybiegło na dziedziniec — widocznie pauza w szkole. Twarze miedzianej cery, oczy śpiczaste w podłużną soczewkę pozginane, włosy u wszystkich krucze, starannie ułożone — noski trochę przydłuższe z prostopadłem zagięciem, ubrani w niebieskie bluzki z takiemiż spodeńkami. Na starszych wyrostkach widocznie świeżo ulokowanych w zakładzie, różny nieproporcyonalny skład ubrania. Niektórzy wyglądali jak austryaccy landwerzyści, których niedawno pociągnięto do kasarni i czembądź okryto. Pozwolono nam wszystko widzieć i dano

[1] «Misye katol.» rok 1901 str. 86—93. Także w odbitce pod tytułem: «X. Alojzy Warol T. J., Pamiętnik polskiego Misyonarza w Ameryce». Kraków, druk «Czasu» 1901 — na str. 49—66. Z «Misyi katol.» przedrukował «Kuryer Ohiowski» wychodzący w Toledo. (Przyp. Red.)

za przewodnika 20-letniego Indyanina, katolika (Józef Bartholomew), który spełnia urząd asystenta przy głównym elektrotechniku. Wizytacyę domu rozpoczął od swego pokoju, gdzie nas poczęstował paru prądami elektryczności z niewielkiej bateryjki, którą przechowuje u siebie. Pokazał nam — jak mówił — co ma najdroższego, t. j. ozdobny obraz, pamiątkę pierwszej komunii św. i fotografię swej narzeczonej, jakiejś jejmości z rasy białej. Powinszowaliśmy mu gorliwości na drodze cnoty i wyboru przyszłej towarzyszki na drodze doczesnego życia, następnie z nim razem wdarliśmy się w tajniki oświaty indyjskiej, t. j. przekroczyliśmy próg szkoły. Nauka rozłożona na ośm klas, w salach czystych, obszernych, jasnych, zupełnie na wzór innych publicznych budynków szkolnych w Ameryce. Ktoś tu wybitny z Rosyi, zwiedzając Stany Zjednoczone, tak się wyraził: «U nas w Rosyi imponują gmachy więzienne — w Ameryce budynki szkolne». Pierwszego orzeczenia nie sprawdziłem, drugie przyznam w całości. W tutejszej szkole nauczycielki rządowe wykładają — a widocznie chodziło im w czasie naszej obecności o efekt, bo i grzecznością imponowały nam na każdym kroku i w czem się mogły popisać, na pierwszym planie kładły. Jedna z nauczycielek (podpisała się na tablicy: Ferdine Dawson) była Indyanką, ale co do powierzchowności tak się różniła od swych rodaczek, że gdyby sama o swojej genealogii nie była nadmieniła, nie możnaby jej było rozeznać od innych białych światłodawczyń. W całym zakładzie wychowuje się 300 dzieci, chłopców i dziewcząt — z tych niestety tylko 75 wyznania katolickiego, reszta sekty episkopalnej. W zakładzie wydają czasopismo w języku indyańskim, p. t. «Indian News» (Wiadomości indyańskie).

Zaraz po Duncan wybraliśmy się na nową misyę do *Chicago* (Stan Illinois). Praca wypadła w parafii św. Wojciecha, którą zarządza X. Radziejewski. Trwała tydzień, względnie 10 dni. Nawał spowiedzi dawał się nam odczuwać, choć prócz innych kapłanów, OO. Zmartwychwstańcy gorliwy w nich brali udział. Trzeba wiedzieć, że miejscowy ks. proboszcz wydaje kartek do wielkanocnej spowiedzi 6400 regularnym swoim penitentom. Doliczmy do tego i te osoby, co przynajmniej z okazyi nadzwyczajnego nabożeństwa chcą się pojednać z Bogiem, i zwróćmy uwagę, że w Chicago mieszka do 200.000 Polaków, z których choćby małą cząsteczkę interesuje misya — nie można nas podejrzywać, żeśmy czas bezczynnie przepędzili. Polskie gazety chicagowskie, zwłaszcza «Gazeta katolicka» i «Dziennik chicagowski» podniosły w swym czasie doniosłe skutki tejże uroczystości. Obecnie podzielono parafię św. Wojciecha na dwie. Oddzielną zarządza były wikaryusz X. Radziejewskiego, niejaki X. Słomiński, którego matka ma w Chicago jeden z bar-

dziej znanych magazynów przyborów kościelnych, sama go upiększając swym talentem.

Po tygodniu przerwy przyszła kolej na misyę w *Bay-City* (Stan Michigan). Jest to dość wielkie i ładne miasto nad samym brzegiem jeziora Huron. Proboszcz, X. Edward Kozłowski, były austryacki porucznik i instruktor synów hr. Krasickiego (który niegdyś gospodarzył nam w Chyrowie), zatrzymał nas na misyi dwa tygodnie z dodatkiem, bo czas odpoczynku zamienił nam na słuchanie spowiedzi dziatwy szkolnej (785 dzieci pod kierownictwem 11 Sióstr Felicyanek). Przytem nie obeszło się bez instrukcyi katechizmowej, którą na mnie włożono. Parafia liczy 950 familii, nie biorąc w rachubę osób niezamężnych, albo takich, co żony pozostawili w starym kraju. Nadto w granicach parafii są dwa kościółki polskie, zdala na fermach, obsługiwane przez miejscowe duchowieństwo. Do jednego z nich, oddalonego od Bay-City o 36 kilometrów, wysłano mię po misyi. Stanął na zrębach dziewiczych lasów, które tną nasi ludzie, przeważnie Poznańczycy. Kilkanaście familii, zapędzonych losem w te odludne strony, rade były, że na krańcu świata mogły usłyszeć w rodzinnym języku słowo boże i spowiedź misyjną odprawić. Funkcyę wikarego sprawował wówczas w Bay-City X. dr. Wiktor Wiszniewski. Na Litwie urodzony, doktoryzował się w Rzymie, a w r. 1902 opuścił Amerykę, powołany, jak mówiono, do Petersburga na kapelana biskupiego.

Po tygodniu przerwy, jak zwykle, czekała nas praca w tym samym Stanie, ale wyżej na północ, w mieście *Manistee*. Przestrzeń od jeziora Huronu (z Bay-City) do brzegu Michiganu, nad którym nowa nasza placówka spoczywa, przecięliśmy koleją t. z. «Père Marquette». Przyjęła nazwę od głośnego naszego O. Jakóba Marquette S. J. — jak o tem w «Misyach katolickich» wspominałem,[1] który misyonarzował w tych właśnie stronach. Pnie drzew około toru kolejowego na szerokich przestrzeniach, potargane siekierą, a gdzie ostrze toporu nie mogło się uporać, posmolone niszczącym ogniem — sterczą gęsto obok siebie, jak nagrobki na żydowskim cmentarzu. Piasek michigański jest gniazdem najznakomitszych amerykańskich kartofli, tak wielkich jak strusie jaja, a tak sypkich, jak owe szklanne kulki pod nazwą «łez batawskich», co podraśnięte nożem rozsypują się w proszek. Tu ziemia pod selery, bez których ni śniadanie, ni obiad, ni kolacya Amerykaninowi nie smakuje. Nie korzeń, ale liście w szklannych podłużnych dzbankach idą na stół. Biesiadnicy co chwila wyciągają z owego wazonika pojedyncze składniki, maczają w soli i z widoczną rozkoszą miażdżą tę surowiznę, jak kapustę zajączki. W Manistee X. Leopold Opyrchalski zatrzymał nas na misyi dwa tygodnie. Wysłuchanych

[1] Misye katol. rok 1901, str. 61; Pamiętnik polskiego Misyon. str. 43.

spowiedzi do 3000. W czasie przeznaczonym na odpoczynek trzeba było zająć się temi dziećmi, co pierwszy raz miały przystąpić do spowiedzi. Wyspowiadaliśmy około 200, poprzedziwszy tę czynność kilkakrotną nauką, co mnie przypadło w udziale. Wszystkich dzieci w szkole 926, pod kierownictwem Sióstr Felicyanek, których 10. Z pomiędzy wszystkich gmachów w mieście najpokaźniej przedstawia się polska szkoła — w istocie budynek kolosalny, ale też i kolosalnie obdłużony.

Po pracy w Manistee zaskoczyły nas święta Bożego Narodzenia (1900 r.). Pospieszyliśmy na gwiazdkę do St. Louis, ogromne przestrzenie zostawiając za sobą. Blizko dwa dni — z krótką przerwą w Chicago — zabrała podróż. W St. Louis, w czasie dwutygodniowej pauzy, nie obeszło się bez zajęcia. OO. Matauschek i Rothenburger pomagali naszym Ojcom w niemieckim kościele, ja zaś u X. proboszcza Urbana Stanowskiego byłem ciągłym wikarym, w każde święto wychodząc na ambonę i słuchając spowiedzi.

Około 10. stycznia 1901 r. szybki pociąg w 15 godzinach przewiózł nas ze St. Louis do *Cleveland*'u, do parafii św. Stanisława na dwutygodniową misyę, gdzie jest proboszczem X. Benedykt Rosiński. Parafia, najliczniejsza z polskich w tem mieście, ma w swoim obrębie do 9000 dusz, w szkole zaś 905 dzieci uczą Siostry Franciszkanki — zgromadzenie założone w Ameryce. Można mieć wyobrażenie o naszej pracy, biorąc na uwagę, że jeszcze trzy inne polskie parafie korzystały z naszego konfesyonału i sporo t. zw. «nienależnych», choć im ich pryczer (predykant), niejaki Kołaszewski, wzbraniał do nas przystępu. Wielu się nawróciło. Po misyi rozbudziłem zobojętniałą kongregacyę Maryańską dziewic — liczne wpisy.

Parę lat przed naszem tu przybyciem, OO. Wnęk i Beigert pracowali w Cleveland w parafii św. Kazimierza, gdzie wówczas proboszczował X. Łaziński, który w r. 1903 opuścił Amerykę i w dyecezyi przemyskiej osiadł. Również ś. p. X. Sebastyański trudził się tu sam na misyi przed kilkunastu laty, a O. Marszałowicz, jeszcze jako świecki kapłan, uprawiał tu z pożytkiem niwę Pańską przy kościele św. Stanisława, będąc biczem na «niezależnych».

Tydzień przerwy i znowu nowy zagon do *Berei*. Niezbyt wielkie to miasto, choć mieści w sobie aż dwa uniwersytety innowiercze: w jednym uczą na metodyskich pryczerów (predykantów), w drugim wykładają prawo i medycynę. Rektor seminaryum metodyskiego jest obecnie burmistrzem miasta. Zażądał tu naszych usług X. Andrzej Suplicki, który niedługo potem odzierżył *pinguius beneficium* w Toledo, przy kościele św. Antoniego. Powie się o tem niżej, bośmy i w tamtę glebę później zapuszczali nasz pług duchowny. Z misyi w Berei nie mam szczególniejszych zapisków. Parafia w porządku — po-

trzebowała tylko większej do dobrego pobudki. Głód słowa bożego i ścisk pod amboną jak wszędzie, zwłaszcze na wieczornych naukach — przyczem najwięcej ucierpiał duży, napełniony płonącymi węglami piec, bo pod naciskiem tłumów rozsypał się w kościele, grożąc pożarem. Nie potracono jednak głowy, ale każdy rzucił się na ogień, jak na wroga. Mieli widocznie żywo w pamięci słowa suplikacyi: «od powietrza, głodu, ognia i wojny...», przy których właśnie przed chwilą całą pierś i gardło wytężali. Zduszono ogień w zarodku bez żadnych groźnych następstw. Za to piec popadł w niełaskę, dano go na pensyę, a zaprowadzono system ogrzewania parą. I kościółek dzisiaj za szczupły, przy napływie polskiej i słowackiej ludności do Berei, która tu kamienie przemienia w złoto. Berea nie tak słynie z cebuli, której uprawie ogromne łany poświęcają — jak z kamieniołomów, skąd eksploatują kamienie na wielką skalę. Pisałem o tem w «Misyach katolickich», ale nie dodałem, co wśród skał można widzieć. W kamieniołomach berejskich istnieją nieznane dotąd światu okazy, od wieków, jak w prasie, przechowane. Zbiera je i sortuje długo- i gęsto-brody starzec, Wilhelm Clark, z profesyi lekarz, który jednak skamieniałym rybom i innym zakrzepłym dziwolągom więcej troski poświęca niż medycynie. Przy mnie pakował do muzeum w Londynie niemałą skrzynię przeróżnych zawartości, za którą się spodziewał 3000 dolarów. Oprócz tego u siebie w sześciu pokojach pozwala oglądać inne skamieniałości, wydobyte z kamieniołomów, które od robotników nabywa. Są to po większej części różnej formy ułamki z organizmu rybiego, którym on sam nazwę nadaje. Ponieważ z notesem i ołówkiem w ręku słuchałem starca prelekcyi, więc nie zblaguję, gdy za nim, jak za panią matką, podam opis niektórych egzemplarzy. Widziałem n. p. szczękę ryby 2 stopy długą, którą Dr. Clark nazwał «Titanichtys maxilla». Sam ją wydłubał w skale. Przy niej spoczywała kość ryby (tylko cząstka osady oka) 17 cali długa. Nieboszczce rybie, właścicielce tegoż fragmentu dał nazwę «Gorgonichtys». Ząb zaś tego stworzenia przedstawił się jak blaszana łopatka do zmiatania śmieci. Pokazując zaś inny ząb, co miał formę małego ślusarskiego kowadła, dodał tenże uczony: «głowa potworu mogła mieć 6 stóp szerokości, a do 9 długości». Dał jej imię «Dinichtys Terreli», bo niejaki Terreli wygrzebał ją z ukrycia. Okazy, które do Londynu przesłał, zostawił sobie w odciskach z gipsu, które sam własnoręcznie wykonuje. Podczas, gdy nasz niezmordowany badacz łowi ryby w kamieniach, porządkuje, oznacza — wokoło niego w warsztatach berejskich wyją piły, jak hyeny na starem cmentarzysku, obrabiając wydobyte kamienie i nadając im kształty osełek, brusów — tną płyty na chodniki i t. p. Usłużna znowu kolej podsuwa wagony

i zabiera gotowy materyał, uprowadzając go do przystani na okręty w świat daleki za morze.

Do Berei, da Bóg, zaglądniemy jeszcze później przy opisach następnych, boć to moje sąsiedztwo, gdzie z przyjemnością czy to z kazaniem, czy z inną posługą duchowną wpadam, gdy do Cleveland'u zmęczony na wytchnienie po dłuższej pracy wrócę. Ciągnie mię tam nie tak wygodny tramwaj, który za 15 centów całą drogę z Cleveland'u obsłuży — jak poczciwość rodaków i dobre serce gościnnego X. Dra Pawła Cwiąkały (obecny proboszcz), u którego czuję się jak w rodzicielskim domu.

Po Berei, względnie po tygodniu odpoczynku, powołał nas do siebie *Pittsburg* (w Stanie Pensylvania), a raczej X. Józef Szwarzrok, członek zgromadzenia Ducha św. i proboszcz kościoła Najśw. Serca Maryi. Dopomagał mu w pracy parafialnej X. Alachniewicz, tegoż samego zgromadzenia. Wówczas trzy parafie dzieliły się w Pittsburgu 40-tysięczną polską ludnością; dziś wzrosła liczba do pięciu. Placówka naszych prac misyonarskich leży na szczytach gór nad miastem — zatem nad obłokami dymu, które cały Pittsburg (321.616 mieszkańców liczący) tak gęsto osłaniają, że przez nie w białe, jasne południe słoneczko na firmamencie wygląda jak szara tarcza. Pittsburg — to jedna olbrzymia kuźnia wyrobów ze żelaza. Zaledwie nieco jaśniej w sobotę po południu, kiedy zwalniają prace na spoczynek niedzielny. Wtedy kominy fabryk przedstawiają się z gór jak szeregi fajczanych cybuszków, z których maszyniści lekkie dymki puszczają. My zaś, maszyniści duchowni, we warsztatach serc ludzkich przez dwa tygodnie prażyliśmy rudę namiętności ogniem Ducha świętego. Działo się to w pierwszym i drugim tygodniu wielkiego postu, począwszy od 23 lutego. Że nam nie brakło pracy, można poznać i z tych szczegółów, że w samej parafialnej szkole 800 dzieci pobiera naukę pod kierownictwem 13 Sióstr Nazaretanek. Więc co tu musi być ludzi! Kościoła tam do dziś *in actu* nie ma, ale jest *in proxima potentia*. Właśnie zakładają fundamenty na nowy, który oby ze zamierzonym planem doszedł do skutku! W czasie zaś misyi tuliliśmy się jużto w szkole, gdzie na najwyższem piętrze mieści się spora kaplica, jużto w hali teatralnej, gdzie X. Biskup pozwolił ustawić ołtarz, by po wieczornej nauce udzielić błogosławieństwa Najśw. Sakramentem. Przez tłumy trudno się było przepchać — do ambony czterech parafialnych marszałków ze szarfami na piersiach torowało nam dostęp, bo nawet jej schodki zajęte były słuchaczem. Wszystko, co żyło, garnęło się do nas pod stromą górę, jak na Kalwaryę. Gorliwość ludu była wprost wzruszająca — tembardziej, że niepogodę jakby szatan podmówił, by to deszczem, to śnieżycą psuła nam bożą sprawę. Wszystkim spowiedziom — dobiliśmy jednak do 6000 — trudno

było dać rady, bo spowiedników skąpo. Oprócz nas trzech misyonarzy i dwóch miejscowych księży, dopomagał gorliwie proboszcz z Cincinnati X. Władysław Lipski, znany Ojcom z Galicyi i jeszcze jeden kapłan ze zgromadzenia Ducha św., X. Michał Retke — oto wszyscy żniwiarze na tak rozległy łan! O. Retke dochodził tylko w wolnych chwilach z kolegium Ojców Ducha św., będąc tamże profesorem. Za to czas odpoczynku poświęciliśmy słuchaniu spowiedzi.

Następnie, w tydzień później przyszła kolej na miasto *Erie*, w Stanie Pensylwańskim, ale nieco na północ od Pittsburga, nad samym brzegiem jeziora Erie. X. Andrzej Ignasiak, radca biskupi i proboszcz parafii św. Stanisława, zajął nas pracą u siebie. Trwała tydzień (względnie 10 dni) bezpośrednio przed Wielkanocą. Szczegóły zajęć misyjnych, jak wszędzie, jednostajne: trzy kazania dziennie i spowiedź od rana do północy. Przytem nie uchylaliśmy się, jak i gdzieindziej, od udziału w odprawianiu nabożeństw, t. j. od śpiewania sumy codziennie przez cały czas misyi, odmawiania wspólnie z ludem koronki i odprawiania nieszporów. Pod tym względem muszę bez zazdrości podnieść gorliwość O. Rothenburgera, choć nie mam przyczyny ganić ani O. Matauschka, ani siebie. Proszę uważać: suma przez 9 albo przez 14 dni codziennie! Wielu obojętnych rodaków, co nie wiedzieli nawet czy tu istnieje polski kościół, stali się po misyi gorliwymi i, jak się później dowiedziałem, przodują dotychczas w pilnem uczęszczaniu na nabożeństwo. Dziś w Erie po trzech latach inna postać rzeczy. Dopiero przed tygodniem (1904), kiedy to piszę, bawiłem tam na pracy. Obszerna świątynia, w istocie bardzo ładna, nie może już pomieścić wiernych tak, że o drugiej pomyślano parafii, którą objął niejaki X. Franciszek Matysiak. Ostatni zaprosił mnie na jesień (1904), jak Bóg pozwoli, na misyę do nowej osady. Jak wzrasta polonia w Erie i stąd poznać, że gdy przed trzema laty u X. Ignasiaka tylko 430 dziatek uczęszczało do szkoły pod kierownictwem czterech Sióstr Felicyanek; dziś gromadka drobiazgu wzrosła do 600, a 10 Sióstr ma dość zajęcia. X. Ignasiak swą nauką i cnotą zdobył sobie niepoślednie znaczenie nietylko w dyecezyi Erie, zasiadając w radzie biskupiej jako konsultor, ale i między polskiem duchowieństwem w Ameryce należy mu się miejsce jedno z pierwszych. Budował mię swoją pobożnością, zapraszając po każdym posiłku na wizytacyę N. Sakramentu do kościoła (czyni to zawsze i bez świadka) — a każdego wieczora z domownikami na plebanii, oprócz koronki, długie odprawia modły. Wysłuchanych spowiedzi na tejże misyi można liczyć na 3000.

Wielkanoc, po misyi w Erie, przez tydzień przepędziliśmy w Cincinnati w naszem kolegium, a raczej na usługach X. Władysława Lipskiego w polskim tamże kościele, odprawiając wiel-

kotygodniowe ceremonie i głosząc słowo boże. Ja sam trzy razy w tym czasie przemawiałem z ambony.

Po święconem jajku i paschalnych gratulacyach rozpoczęliśmy wieczorem w niedzielę wielkanocną znowu dwutygodniową misyę w *Buffalo,* (Stan Nowojorski) w kościele św. Jana Kantego u X. Piotra Basińskiego. Kto wie, że w Buffalo jest 8 polskich parafii i jedna «niezależna», i że to wszystko razem składa się na 60.000 dusz polskich — a nadto, że z tych parafii sześć i to najliczniejszych jedna w drugą tak wchodzi, że stanowią dość duże polskie miasto — kto to wszystko, powtarzam, ma na uwadze, ten mógł nas trzech biedaków szczerze pożałować i w sercu podumać, czy oni też żywi z tej masy ludu wyjdą? Oblężenie w istocie było srogie, atak na konfesyonały trudny do wytrzymania, lecz, choć siły się uginały pod ciężarem, to radość podtrzymywała ducha, że i wielu braci zbłąkanych, t. zw. «niezależnych» wyrzekło się schizmy «biskupa» Kamińskiego. Wiele ładnych scen możnaby tu przytoczyć, kilka listów dziękczynnych odczytać od osób, co przejrzały na duszy i ciepłych słów powtórzyć. Lepiej niech sam Bóg wie o tem, który i przez oślicę Balaama potrafi przemówić, a oślą szczęką powalić zuchwałe Filistyny. Nawet pod materyalnym względem, jeśli kto tego pragnie, miejscowy proboszcz zyskał wiele na obdłużony kościół (ma przeszło 100.000 dolarów długu na parafii). Kolekta w czasie misyi i inne ofiary ludu przyniosły mu czystego dochodu 1000 dolarów, po opędzeniu wszelkich kosztów, złączonych z dwutygodniową misyą.

Spieszmy się dalej, bo X. Teofil Szadziński nie pozwala nam nawet należycie odetchnąć, ale czeka na nas z nową pracą na dobry tydzień w *Rochester* (Stan Nowojorski). Komu oczy nie dopisują i chce się zaopatrzyć w okulary, w lunety i inne dalekowidze, znajdzie na to środek zaradczy w ogromnych fabrykach optycznych tego miasta. Tym zaś, co im w gardle wysycha, przychodzi w pomoc głośny na całą Amerykę browar piwa pod firmą: «Bartholomew' Brewery». X. Szadziński nie żałował nam ani owegoż smakołyku, ani pracy w kościele. Jest tu do 300 rodzin polskich — w szkole dzieci także tyle. Uczą Siostry t. zw. Józefitki, założone we Francyi przez arcybiskupa z Lyonu, w r. 1729 aprobowane. Po polsku nędznie mówią, przełożona angielka. Pracę wykonaliśmy według zwyczajnego planu, doznając wiele duchownej pociechy, zwłaszcza widząc się ciągle otoczonymi tłumem ludu, spragnionego strawy duchownej. Myślę, że 1500 osobom przetrząśliśmy sumienie przy skąpej pomocy spowiedników. Zakończenie misyi uświetnił swoją osobą Najprzew. X. Biskup tejże dyecezyi, Mc Quaid. Udzielał bierzmowania i zaprosił nas na następny dzień do siebie na obiad. Mieszka w dwóch miejscach: w mieście w swej rezydencyi przy katedrze, ale częściej przesiaduje w seminaryum,

dość daleko za miastem. Seminaryum jest źrenicą jego oka. Ładny budynek, raczej dwa osobne gmachy, dla filozofii i dla teologii oddzielne, z których balkonu pyszny przedstawia się widok na jezioro Ontario. X. Biskupa zastaliśmy w złotym humorze. Wpłynął nań i ten moment, że powróciwszy przed miesiącem z Rzymu, uzyskał u Ojca św. Leona XIII. przywilej nadawania doktoratu wybitnym w naukach teologom. Długie, jak mówił, prowadził targi z Ojcem św., który mu stawiał tak poważne objekcye, że nawet arcybiskup nowojorski nie cieszy się podobną prerogatywą. «A bo nie prosi o to» odparł Papieżowi X. Biskup. Nic nie pomogła replika — Ojciec św. był nieugięty. Na odczepne udzielił mu Ojciec św. na 30 lat tylko owej koncessyi, ale to znowu X. Biskupowi było za mało. «Dopiero — ciągnie dalej X. Biskup — poczułem rozum w głowie. Przecież Jezuici wszystko mogą. Jakem się w około nich zakręcił i poprosił o pomoc — doktorat *in perpetuum* miałem w ręce». Wymienił nawet pewnego Ojca imię, który mu w tej sprawie najbardziej był na rękę — dziś nie pomnę jego nazwiska. X. Biskup Mc Quaid jest już sobie podeszłym dżentelmanem, niezbyt wysoki, krępy, tatusiowego oblicza — ma renomę znakomitego finansisty i gospodarza. Zaszczepił niepoślednią winnicę, gdzie z upodobaniem w gorącej porze przesiaduje i podejmuje dwóch wybitnych gości: XX. arcybiskupów bostońskiego i nowojorskiego, którzy w letnim sezonie coroku przez dłuższy czas odpoczywają u tegoż dostojnika. Nas przy stole swym winem raczył i z ciekawością studyował nasze facyaty, jakie wrażenie ów szlachetny napitek na nas wywrze. A gdyśmy na pytanie: jak smakuje? pochlebną dali odpowiedź, uradowany Pasterz, kazał dolać *de grano meliori*. «Widzę, — mówi — że się znacie na winie, godniście lepszej kapki».

Z Rochester po tygodniowej pauzie pospieszyliśmy drogą około wodospadu Niagary przez Kanadę do *Detroit,* do X. proboszcza Pawła Gutowskiego, na dwa tygodnie mozolnej roboty. Najmniej licząc 7.000 osób przystąpiło do Stołu Pańskiego. Z pomocą jednak pospieszyło nam miejscowe liczne duchowieństwo polskie, z zacnym, wówczas jeszcze żyjącym, X. rektorem Dąbrowskim na czele. Największy owoc pracy okazał się w poskromieniu pijaństwa, które tu w Ameryce między naszymi rodakami straszne wyprawia hece. Trzeba wiedzieć, że tu i takich mamy zuchów (nawet między niedorosłą młodzieżą), że pojedynczy «bibuła» potrafi przez jedną noc, zwłaszcza z soboty na niedzielę, 30 (wyraźnie: trzydzieści!) «halb» w siebie wciągnąć. W miejscach, gdzie kilku lub kilkunastu pod jednym dachem t. zw. «bortników» (stołowników) przebywa, nie można bez kaloszy przejść między nimi po izbie — strumienie piwa zalewają podłogę. Podochocone bractwo w około stół obsiędzie i tnie w karcięta. Jeden z nich, albo «gazdyni» chodzi tylko

wokoło z dzbanem i dozoruje, by nikt swej funkcyi nie zaniedbał — dolewając co chwila. Kiedy zapach świeżego piwa o powonienie trąci, bortnik z całą brawurą resztę niedopitego trunku (choćby połowę szklanki) na podłogę «chluśnie» — a po nowe nadstawia szklankę. Stąd podłoga, jakby potok wezbrany. Niepojęta pod tym względem swawola, któraby redaktorowi «Głosów katolickich» do broszurki o pijaństwie wiele drastycznych sylwetek dostarczyła. Na tak okrutną hydrę całych sił dobywamy, jednak głowy jej skręcić trudno, bo warunki dość ciężkie. Gęste i częste okazye nęcą do picia.

Do Detroit jeszcze wpadniemy dla zanotowania innej misyi, którąśmy w następnym roku dawali. Miasto ładne, liczy 285.704 mieszkańców, leży nad brzegiem wielkich amerykańskich jezior, które tu właśnie najbardziej zwężają wody, tworząc cieśninę. Stąd nazwa miasta z francuskiego słowa *detroit,* cieśnina.

Tydzień po tejże pracy, choć niecały, używaliśmy gościny X. proboszcza Gutowskiego, dosłuchując spowiedzi i zajmując się szczegółowo Apostolstwem Modlitwy, któreto nabożeństwo, choć się dosyć ładnie po Ameryce rozwija, potrzebuje jednak ze strony misyonarzy szczególniejszej zachęty. Zaglądamy też również w wolnych chwilach po misyi do budynku szkolnego, gdzie nadzieja przyszłości, drobne dziatki, rade posłuchać zachęty do dobrego i wesołą misyonarzy przywitać pieśnią. Zapytane o przyszłą karyerę: «czem chcą być?» — każde z nich po kolei śmiało odpowie: «chcę być misyonarzem!». Nawet dziewczęta o to samo się kuszą. Takich to niedorosłych ochotników i niepowołanych ochotniczek zastaliśmy w szkole św. Kazimierza 725 — Sióstr zaś Felicyanek 12.

Jeszcze nieco trudu pokutowało w kościach, a tu już brzmi komenda: do *Milwaukee* na nową misyę! Całą dobę zabrała podróż koleją «Pere Marquette» przez całą szerokość Stanu Michigan, aż nad wody jeziora tejże nazwy Milwaukee na drugim brzegu, ale nie w prostej linii. W nadbrzeżnem mieście, Ottawa Beach, przerzuciła nas kolej na parowiec, który o godzinie 11 w nocy wziął nas na barki i brodząc po wodach Michiganu, wywiązał się z tych usług aż o godzinie 7 z rana. Przerznął wszerz toż jezioro, zostawiając przebytą drogę wodną długą na 87 mil angielskich (do 174 kilom.). Na wodzie, zwłaszcza w dłuższej przeprawie, można nieco nerwy odświeżyć. Tak i nasze nabrały żywotności do nowej pracy w kościele św. Wincentego a Paulo, gdzie młody proboszcz, X. Maksymilian Dorszyński swą energię rozwija. Kształcił się jako gimnazyasta w kolegium u naszych Ojców w Milwaukee. Był tu również u niego, jako chwilowy wikary, starszy kapłan z tarnowskiej dyecezyi, X. Adamowski, co w różnych zakątkach Galicyi, a nawet w Brazylii, chleba kapłańskiego kosztował. Zna wiele

Ojców naszych z Galicyi, z którymi, jak n. p. w Kołomyi, był w styczności. Teraz w Pensylwanii ma mizerną prebendę.

Pracę naszą w Milwaukee opisały polskie gazety miejscowe; zwłaszcza codzienne pismo «Kuryer polski», redagowany przez p. Michała Kruszkę (brata znanego X. Wacława Kruszki) nie szczędził nam uznania. Dodał, że «tłumy ludu zalegały świątynię od świtu aż do późnej nocy, a tysiące skruszonych szukały lekarstwa duchownego w konfesyonale na wyrzuty sumienia». Sam zaś proboszcz Dorszyński rzewnie był rozczulony, dorzucając, że «wiele miałem zgryzot wśród i od parafian, którzy, nie wiem dlaczego, jak między sobą nie żyli w harmonii, tak też i wielu z nich mało mi okazywało zaufania. Przy końcu jednak misyi stawili się przedemną ze łzami w oczach, szczerze przepraszając za urazy. Gdybym jeszcze kiedy w podobnych trublach[1] potrzebował waszej pomocy, będę was szukał, choćby na krańcach świata». Serdeczne i z nami było parafian pożegnanie, u których bawiliśmy od 1—10 czerwca 1901 roku.

Tu się wyczerpuje notatka z pierwszego roku pobytu mego w Ameryce. Nastały wakacye w St. Louis po całorocznej tułaczce. Następny rok 1901/2, może i dalsze lata, będę się starał opracować w czasie wakacyi, które się dla mnie w tym roku (1904) rozpoczną od połowy sierpnia. Nie tak to łatwo przychodzi brać za pióro, bo albo czasu niema, albo jeśli jest cokolwiek, człowiek znużony nie ma ochoty do niczego.

Posłałem R-ae V-ae broszurkę, świeżo przezemnie wydaną.[2] Spotkała się ona z przychylną oceną tutejszych polskich gazet; nawet angielscy ludzie, co umieją po polsku, życzliwe wyrazili zdanie. Księża polscy chętnie z niej korzystają dla swych ludzi.

Pozdrawiam szczerze wszystkich WW. Ojców i Braci.

Ks. Alojzy Warol T. J.

List O. Franciszka Schulaka,

Misyonarza w Ameryce północnej.

Chicago, 14 stycznia 1905 r.

Reverende in Christo Pater![3]

Z powodu bólu głowy, który mi dokucza, nie podobna mi teraz odpowiedzieć na wszystkie pytania drogiego Ojca; wspo-

---

[1] Częsty wyraz na ustach Polaków w Ameryce, pochodzi z angielskiego «trouble» t. j. kłopot.

[2] Tytuł broszury taki: «Oświata. Przystępnie dla ludu napisał X. Alojzy Warol T. J., polski Misyonarz w Ameryce. Chicago, odbitka z Dziennika Chicagowskiego 1904». W małej 8-ce, str. 32. (Przypisek Red.).

[3] Do wydawcy «Naszych Wiadomości».

mnę tylko w krótkości o moich wycieczkach misyjnych z ubiegłego roku 1904. Pracowałem dla różnych narodowości, głównie jednak dla Polaków, naprzód w Kanadzie, gdzie dość wiele polskiego ludu przebywa, w trzech przez naszych Ojców zarządzanych parafiach.

I tak w mieście *Guelph* miałem, jak w latach poprzednich, nauki dla Polaków w czasie wielkiego postu i słuchałem spowiedzi. Mają tu Jezuici kanadyjscy kościół ogromny (225 stóp dług.), prześliczny z ciosowego kamienia, dominujący nad miastem, bo w najwyższym jego punkcie i przy głównej ulicy położony. W Guelph przed laty z wielkim pożytkiem pracował i tam umarł przedwcześnie nasz ks. Kasper Matoga [1] z prowincyi Galicyjskiej, kapłan wielkiej cnoty i bardzo umartwiony, którego imię między Ojcami kanadyjskimi z czcią bywa dotąd wspominane. Wstąpił w jednym roku ze mną (1845) do nowicyatu; w czasie dyspersyi pojechał z drugim scholastykiem, Franciszkiem Russ, na dalsze studya do Ameryki. W trzy lata po wyświęceniu na kapłana życie zakończył. Byłem wtenczas w Tarnopolu i chodziłem z O. Mikołajem Budźką, staruszkiem po ogrodzie, kiedy nadeszła wiadomość o śmierci ks. Matogi. Słysząc to O. Budźko zawołał: «O Boże, czemu bierzesz nam młodych, a mnie starego tu zostawiasz!» W dwa miesiące później już i staruszek nie żył. Ów zaś Russ, o którym wspomniałem, wystąpił w Ameryce z zakonu i zostawszy lekarzem, zdala od Kościoła katolickiego prowadził życie bardzo nieszczęśliwe; jednakże przez naszych włoskich Ojców w mieście Albuquerque pojednany z Kościołem, umarł tamże około 1880 roku. Nieszczęśliwi ci wszyscy, którzy z własnej winy tracą powołanie!

Z Guelph pojechałem na północ przeszło 30 mil ang. do Sudbury, gdzie nasi Ojcowie kanadyjscy mają parafię. Do niej należy o 6 mil na zachód położone miasteczko *Copper Cliff* z bogatą kopalnią miedzi i niklu, w której dość wiele Polaków zajętych. Misya moja trwa tu zwykle 4 dni. Miałem kazania w języku francuskim, polskim i angielskim, słuchałem spowiedzi, a w niedzielę po sumie udzieliłem papieskiego błogosławieństwa. Stąd udałem się 12 mil na północ do innej kopalni tego samego kruszcu. Tu dla Polaków wyłącznie pracowałem, jak po inne lata, tylko dwa dni, a w braku kościoła odprawiłem nabożeństwo w domu prywatnym.

Następnie miałem misyę przez cały tydzień i to z wielkim pożytkiem w *St. Anna* w Stanie Minesota u ks. Suszczyńskiego,

---

[1] Urodzony dnia 30 grudnia 1823 r. w Sieprawiu koło Wieliczki, po skończonem gimnazyum pod naszymi w Nowym Sączu, wstąpił d. 11 sierpnia 1845 r. do nowicyatu w Starejwsi, gdzie w dwa lata później (12 sierpnia 1847) śluby pojedyncze złożył i przez rok następny retorykę powtarzał. Święcenie kapłańskie otrzymał roku 1853 w Ameryce; umarł w Guelph w Kanadzie dnia 21 sierpnia 1856 roku. (Przypisek Wydawcy).

Poznańczyka. Przedtem go wcale nie znałem, lecz on przeczytawszy mój artykuł o zjawieniu się bł. Andrzeja Boboli, zaraz mię zaprosił na misyę. Jest to jeden z najlepszych kapłanów polskich. Także i do *Mammoth* w Pensylwanii zaprosił mię na tygodniową misyę ks. proboszcz Wielgus, Galicyanin, również po przeczytaniu wspomnianego artykułu. W tych dwóch miejscowościach miałem po trzy kazania dziennie. Misya zakończyła się poświęceniem krzyża misyjnego i błogosławieństwem papieskiem. Ks. Wielgus przyjął mnie pod każdym względem bardzo uprzejmie; wielka szkoda, że już umarł, zeszłej jesieni i to w młodym wieku.

W Stanie Michigan miałem dwie misyjki trzydniowe dla Polaków w miastach *St. Joseph* i *Coldwater*. Ludność polska trudniąca się tu rolnictwem, przedstawia się, zwłaszcza w Coldwater, bardzo inteligentnie; ich mieszkania po pańsku przyozdobione obrazami, meblami, dywanami.

Byłem i w Stanie Montana na kilku misyach. Najprzód w *Red Lodge* misya mieszana dla Polaków, Słowaków i Irlandczyków przez 5 dni, udała się pomyślnie; pociechy w konfesyonale miałem wiele. W *East Helena*, gdzie przed 3 laty miałem wielką misyę, nie wiele tym razem było dla mnie pracy, bo mię o dwa tygodnie wyprzedził inny ksiądz, który prawie wszystkich wysłuchał spowiedzi. To samo mię spotkało w *Butte Citty*. Także i w tem mieście miałem w r. 1902 wielką misyę dla samych prawie Chorwatów i Słowaków, bo polskiego ludu nie wiele tu przebywa.

Stąd wybrałem się na północny wschód do *Great Falls*, gdzie bawiłem dwa tygodnie. Miałem misyę polską i niemiecką, lecz już nie z takim jak w r. 1902 pożytkiem duchownym, mieli już bowiem księdza w czasie wielkanocnym, u którego się wyspowiadali prawie wszyscy. Polacy jeszcze dość licznie uczęszczali na moje nauki, ale Niemcy, z których wielu należy do tajnych towarzystw, nie mieli tego ducha jak Polacy. Pracowałem tu także dla Irlandczyków i Chorwatów z Krainy, których pewna część przystąpiła do spowiedzi.

Następnie pojechałem do *Belt,* gdzie Polacy i Słowacy na mnie czekali. Misya udała się tu pomyślnie.

Potem w *Sankuli* dwudniowa tylko, ale pożyteczna praca dla Słowaków, mających między sobą bardzo gorliwego ziomka, który ich wszystkich do kościoła zachęca.

Podobną gorliwość między Słowakami znalazłem w drugiem sąsiedniem mieście *Stoket.* Jest ich tu bardzo wiele, a wszyscy złączeni z sobą węzłem bractwa kościelnego. Zbudowali sobie na pięknym pagórku kościół, dokąd dwa razy w miesiącu dojeżdża z nabożeństwem niemiecki proboszcz z Belt. W takie zaś niedziele, w których nie mają u siebie księdza, schodzą się do kościoła na wspólne czytanie ewangelii, poczem

odmawiają różaniec, śpiewają pieśni kościelne i tym sposobem podtrzymują u siebie wiarę. Miałem dla nich misyjkę trzydniową, a pod każdym względem bardzo skuteczną. W ostatnim dniu (niedziela) poświęciłem im uroczyście śliczną chorągiew, z stosowną przemową tej treści: jakie ma znaczenie w kościele katolickim chorągiew? Cała ta uroczystość zrobiła na Irlandczykach niemałe wrażenie.

Była to moja ostatnia misya w Stanie Montana. Kraj ten bardzo górzysty; niektóre szczyty przenoszą 14.000 stóp. W południowej części Stanu znajduje się sławny park amerykański (National Park), gdzie pod ochroną rządu utrzymują się różne gatunki dzikich zwierząt, które już w innych okolicach Ameryki doszczętnie wyginęły. Inną osobliwością tego parku są gejzery, czyli wulkaniczne kratery, wyrzucające gorącą parę do wysokości co najmniej 175 stóp. Para opadając na ziemię gęstnieje i tworzy stalagmity, składające się z gipsu, wapna, alkali. Z tego parku spływa górska rzeka «Yellowstone Rivers», która z pędem i łoskotem straszliwym spada z gór przez koryto spadziste, napełnione ogromnymi odłamami skał. Wszystkie te osobliwości zwiedziłem.

Wreszcie kilka misyi odprawiłem w Stanie Indiana. Pierwsza z nich w czasie wielkanocnym odbyła się w *Clinton,* gdzie Polacy, Litwini i Słowacy w kopalniach węgla pracują. Misya, chociaż krótka, miała skutek pomyślny, bo tu ludzie boją się śmierci i przetoż garną się do Boga. W jesieni odwiedziłem jeszcze w Stanie Indiana pięć innych miejscowości, jak: *Brasil, Carbon, Diamond, Fontanet* i *Mecca.* Najlepiej praca udała się w Carbon i Diamond. W tem ostatniem miejscu miałem kazanie i po angielsku. Tu też, choć po włosku nie wiele umiem, wyspowiadałem w tym języku kilkanaście osób, co za szczególniejszy cud miłosierdzia Boskiego i Dziewicy Niepokalanej poczytuję, albowiem Włosi, gdy nie mają swojego księdza i kościoła, to już prawie nigdy do Sakramentów św. nie przystąpią.

Oprócz misyi, które wyliczyłem, dawałem w *Detroit* Mich. rekolekcye nowicyuszkom Sióstr Felicyanek. Zgromadzenie to bardzo się tu rozszerza i widocznie Pan Bóg błogosławi tym zakonnicom, bo się trzymają wiernie ustaw swoich i wysoko cenią sobie powołanie. Ich profeski są bardzo wykształcone, a niektóre celują w naukach nad nauczycielami i nauczycielkami świeckiemi. I tak, niedawno temu w Detroit na publicznym egzaminie nauczycielskim do szkół wyższych dla całego Stanu, pomiędzy 175 kandydatami i kandydatkami, do których należały 3 Felicyanki, zdały z odznaczeniem tylko 4 osoby, t. j. wszystkie owe 3 Siostry i jeszcze jedna osoba świecka. A superintendent, który egzaminował, tak się na ich pochwałę wyraził: «Gdybyście, Siostry, znały język łaciński i grecki, moglibyście uczyć na uniwersytetach».

W polskiem seminaryum duchownem w *Detroit* Mich., już od lat 12 udzielam corocznie rekolekcyi alumnom. Przeszłego roku dawałem je nawet dwa razy: w czasie wielkiego postu przed spowiedzią wielkanocną i w jesieni w czasie jubileuszu Niepokalanego Poczęcia. Pierwsza serya rekolekcyi dla 75 starszych uczniów (teologów i filozofów) trwała cztery dni. Piątego dnia rano zakończenie, wieczorem zaś rozpoczęcie nowej seryi dla chłopców z klas niższych. Codziennie trzy rozmyślania i jedna konferencya. Resztę czasu poświęciłem słuchaniu spowiedzi. Wszystkich alumnów zamieszkałych w seminaryum jest 200, nadto 50 dochodzi z miasta na naukę. Rektorem tego zakładu jest ks. Witold Buchaczewski, kapłan bardzo gorliwy, pobożny, pokorny, P. Bóg mu też błogosławi. Zaledwie objął w zarząd seminaryum, wszystko zmieniło się na lepsze.

Kończąc ten list, życzę wszelkiego błogosławieństwa Bożego. Może to będzie mój list ostatni, bo się gotuję pomału do wieczności.

Servus in Christo

Franc. Xav. Schulak S. J.

List Br. Augustyna Żurka z Zambezy.[1]

Meruru (o. p. Zumbo) d. 1. listopada 1904.

Drogi w Chr. Bracie Piotrze[2]
P. C.

Chociaż już 6 tygodni przebywam w tej nowej dla mnie miejscowości, a 20 lat w Afryce, dotąd jeszczem się nie zaaklimatyzował: coś mi zawsze brakuje, nieraz trudno mi nawet myśleć, a jeszcze trudniej pisać. W pierwszej połowie października b. r. były tu nieznośne upały; chorowałem ośm dni, a tej febry, jak ja ją odczuwam, nikomu bym nie życzył. Ale i za to niech będą Panu Bogu dzięki! wszystko się to swego czasu przyda.

O miejscowości Zumbo mało kto u was w prowincyi coś słyszał, zaś o Meruru, naszej stacyi misyjnej, wcale nic. W po-

---

[1] Poprzednie listy Br. Żurka drukowane były w «Misyach katolickich» rocznik III, str. 60, 185, 367; IV. 238; XIV. 308; XV. 56; XVIII. 298.

Także w książce: «Wyprawy misyjne do krajów Zambezy» Kraków 1885 (w dodatku).

Ryciny:

Brat Żurek przed swem mieszkaniem, «Mis. kat.» XIV. 300.

Młyn na Zambezie, wykonany przez B. Żurka. Tamże XXI. 88.

Kościół misyjny w Keiland, zbudowany przez Br. Żurka. Tamże XXII. 101.

[2] Do Br. Wojciechowskiego T. J.

bliżu Zumbo padł ofiarą jako pierwszy pionier, ś. p. X. Emanuel Gabriel T. J., przed 19 laty. Po nim był tu X. Hiller czas krótki, ale żeby stąd coś pisał, nie pamiętam. Wysłali mię tu Przełożeni dla ustawienia turbiny i młyna i innych fabryk w rozwoju będących. Przybyłem z ochotą, aby, o ile P. Bóg pozwoli, także i tej stacyi usługę jakąś oddać. Zabrałem z sobą narzędzie, które od Anglików przywiozłem i trochę materyału, co wszystko przeszło 70 tragarzy wymagało. Zawiadomiono więc gubernatora w Tete, aby dał pozwolenie na tragarzy, ewentualnie na koszt rządu. Po kilku dniach nadeszła odpowiedź, że «siostra» Żurek otrzyma tragarzy. Pomylił się pan gubernator, ale na moją korzyść, bo bratu zakonnemu daje rząd tylko 12 tragarzy, siostrze zaś i księdzu 24 tragarzy. Miałem więc oprócz kilku chłopców, 24 tragarzy dla mej osoby (nieśli machillę, rodzaj lektyki — kuferki, łóżko, namiot, naczynia kuchenne i prowiant na dwa tygodnie), a nadto do niesienia narzędzi i materyału 40 czarnych tragarzy najętych kosztem misyi.

Dnia 29 sierpnia rano wysłałem naprzód wszystkie pakunki i kuchnię, sam zaś z chłopcami i machillą, niesioną naprzemian przez ośmiu ludzi, wyruszyłem w drogę dopiero po obiedzie. Machillą (czytaj: maszylą) podróżuje się dość sporo, bo ci *machillero* drepcą krótkim ale szybkim krokiem. Dla własnego jednak zdrowia i aby utrzymać w karbach całą karawanę, nie nawykłą do posłuszeństwa, szedłem dwie trzecie drogi pieszo, tak, że trzewiki kompletnie mi się podarły. Podróż była bardzo męcząca, i wątpię, czy kiedy biały człowiek w moim wieku podróżował w tych stronach. Kompanie wysyłają tu swoich pionierów a rząd urzędników swoich, ale daleko młodszych. Pierwszego dnia o godzinie 7 wieczorem, gdy było już ciemno, stanąłem w Maral na nocleg u gospodarza Ignacego. Jest to poczciwy chrześcijanin, bodaj więcej takich było, jak on; ma wiarę i podług niej żyje sam i prowadzi swoich. Zastałem ich przy pracy; wyrabiali z trzciny cukier, a raczej syrop, który czasami dajemy dzieciom w Boromie. Przez całą noc zasnąć nie mogłem, bom się położył z próżnym żołądkiem. Ludzie z kuchnią i pakunkami, marudząc w drodze, przybyli dopiero około północy. To też w następnych dniach musiałem użyć całej energii, aby ich przyzwyczaić do punktualności i posłuchu. Stąd droga aż do Chicoa nad rzeką Zambezą jest szeroka, wyrównana, oczyszczona z chaszczów i pni, gdyż towarzystwo angielskie od niedawna przewozi tędy towary na wielbłądach a nawet na wozach ciągnionych wołami i osłami. Kosztuje to o wiele taniej niż transport na głowach murzynów kaferskich. W tych pustkowiach przepędziłem kilka nocy pod namiotem nadzwyczaj przyjemnie. Najtrudniej tu o wodę. Gdyśmy natrafili na źródło, rozkładaliśmy się przy niem na południowy spoczynek i zabieraliśmy z sobą zapas wody. W piątym dniu

spotkaliśmy znanego mi Anglika, który prowadził karawanę z towarami (3 wozy, mnóstwo wielbłądów i osłów objuczonych). Zaprosił mię na swój obiadek. Dziwna rzecz, jak Anglicy umieją sobie radzić. Ten człowiek nawet w drodze, w puszczy, ma swój stoliczek, obrusik, talerze, filiżanki, szklanki, usługę chędogą, punktualną, czego my nawet w naszych domach misyjnych nie mamy. W szóstym dniu podróży (w sobotę rano, 3 września) przybyliśmy do miejscowości Chicoa, gdzie rzeka Zambeza, przebywszy katarakty, poczyna być spławną. Zastałem tu innego Anglika, czekającego z towarami na okręt. Ja nie chcąc czasu darmo tracić, aż parowiec za kilka dni powróci, po krótkim odpoczynku puściłem się dalej drogą lądową. Nazajutrz w niedzielę trzeba było przebyć górę wysoką i kamienistą; każdy z osobna, jak mógł, musiał się drapać po skałach. W poniedziałek rano dotarliśmy do Kachombo, dokąd właśnie przybył ze Zumbo parowiec, mający wracać tędy dopiero za kilka dni. Nie miałem ochoty czekać tak długo. Chcę z karawaną iść dalej lądem, ale tragarze odmawiają posłuszeństwa. Mówią, że dalej nie pójdą, bo ich tak w Boromie zgodzono. Więc rad nierad, odprawiam ich, sam zaś z 4 chłopcami i pakunkami czekam na odjazd parowca. Szczęściem parowiec prędko się sprawił, tak, że już w czwartek rano (8 września) wypłynąłem z Kachumbo do Zumbo. Na tym parowym statku towarowym nie miałem żadnej wygody, bo tylko była jedna kajuta dla kapitana. Jest to ta sama łódź, którą przed trzema laty z Boromy na wozach ciągnionych ludźmi przewożono w te strony. Kapitan, bardzo jeszcze młody człowiek, był kontent, że mógł przez kilka dni rozmawiać ze mną po angielsku, zwykle bowiem jest sam, bez Europejczyka. W niedzielę (11 września) czas był zimny i burzliwy, więc cały prawie dzień przesiedzieliśmy w kajucie. Pod wieczór około godziny pół do piątej woła mię kapitan na pokład i mówi: «Zbliżamy się do miejsca, gdzie stoi krzyż, a podobno pogrzebion tu jakiś misyonarz katolicki, który przed laty na tem miejscu umarł». Zaraz sobie przypomniałem, że tym misyonarzem musi być nie kto inny, tylko nasz X. Gabriel. Ani ja, ani kapitan nie mogliśmy krzyża zoczyć, spostrzegli go moi chłopcy. Prosiłem kapitana, czyby nie zechciał zatrzymać statek na chwilę, ażbym to miejsce oglądnął. «I owszem — rzecze — tu przenocujemy, bo już słońce zachodzi». Spieszę tedy z moimi chłopcami do krzyża i przekonuję się, że tu istotnie spoczywa nasz kochany O. Gabriel, któremu O. Hiller wystawił ten pomnik. Pomodliwszy się na grobie, zbadałem wszystko dokładnie, a com zauważył, opiszę:

Płynąc Zambezą pod wodę, w odległości mniej więcej dwóch dni zwykłą łodzią od Zumbo, jest na lewym brzegu płaszczyzna piaszczysta, krzewem i drzewami porosła, odległa od rzeki nie więcej nad 200 kroków. Tu wznosi się płaski

krzyż z twardego drzewa, może cztery metry wysoki, pionowo w podmurowaniu osadzony. Figura Zbawiciela malowana na blasze, całkiem prawie rdzą pokryta, tak, że już farb i rysunku trudno było rozpoznać. Poniżej jest tablica mosiężna, a na niej dłutem wyrzeźbiony napis, który na białej chustce, nie mając przy sobie papieru, ołówkiem odpisałem:

Hic expectant Resurrectionem
ossa arida Patris Emanuelis Gabriel
Societatis Jesu
quae exumata a hyena pessima in
hoc loco sepulta
sunt.
nat. die 24 Dec. 1848. mort. 2 Aug. 1885.

Z żywego płotu, którym był grób otoczony, tylko kilka drzewek zostało. Z kory jednego drzewka wyciąłem krzyżyk i posłałem do Chyrowa Magistrowi Hankiewiczowi na pamiątkę.[1]

Bardzo byłem uszczęśliwiony, że mi przypadek zdarzył być na grobie tego kochanego Ojca. Zwyczajnie nasi podróżują lądem, co jest o wiele bliżej, rzadko więc mają sposobność odwiedzić grób O. Gabriela. Wartoby mu tam wystawić trwalszy pomnik z kamienia. Te trzy słowa: «Hic expectant Resurrectionem» były mi materyą do rozmyślania przez kilka dni. Jaka to pociecha dla misyonarza!.. W tej puszczy... rozszarpany przez bestye... a jednak z tych atomów powstanie swego czasu ciało chwalebne, jak w Bogu mamy nadzieję. O jakżem ja szczęśliwy, mając tę wiarę! Dobry Boże, udziel tej łaski tym milionom czarnych, aby Cię poznali Ojca i któregoś posłał Syna, a mieli żywot wieczny — a już tu, na tem wygnaniu, cieszyli się tą błogą nadzieją, jak my!

Następnego dnia urwała się sztaba u tłoku parowego. Szczęściem kapitan miał jeszcze starą, którą dopasowałem w przeciągu trzech godzin, poczem ruszyliśmy dalej. W półtora dnia jazdy od grobu X. Gabriela, stanęliśmy w Zumbo, o godzinie pół do trzeciej po południu, we wtorek 13 września. O jakież to nędzne i puste miejsce! aż posmutniałem. Kilka chałup i nędzna

---

[1] W «Misyach katolickich», rocznik XIV. str. 168, podana jest wiadomość o grobie O. Gabriela. Tamże III. 136 zamieszczona rycina tego misyonarza, zaś IV. 380 ładny nekrolog jego.

Listy X. Gabryela z Zambezy i wiadomości o jego pracach wydrukowały w swoim czasie:

«Misye katolickie» I. 192; II. 250; III. 28, 60, 139, 366; IV. 96, 182.

«Wiadomości kościelne» r. 1881, str. 114.

«Wiadomości katolickie» r. 1883, str. 157.

«Dobry Pasterz» r. 1884, str. 189.

Także X. Hołubowicz w dziełku: «Wyprawy misyjne do krajów Zambezy». Kraków 1885, druk «Czasu».

forteca, nawet tej nazwy nie godna. Tu na mnie czekali tragarze z Meruru, odległego stąd siedm godzin drogi pieszej. Oddawszy komendantowi fortecy wizytę, opuściłem Zumbo o godzinie pół do czwartej. Musieliśmy się spinać na wysoką górę i o pół do ósmej stanęliśmy na nocleg w naszej chałupie. W nocy było bardzo zimno, bo 7^0 R. ponad zerem, spałem jednak dobrze. Nazajutrz ruszyłem dalej, ale już dobrą i równą drogą, i w samo południe (14 września) stanąłem szczęśliwie w Meruru. Dziewczęta i mali chłopcy wyszli naprzeciw na powitanie, naturalnie z krzykiem i hałasem.

Później, da Bóg doczekać, napiszę więcej. Tymczasem proszę mi przysłać jaki kalendarz na rok przyszły i coś do czytania. Tu nic nie ma — biblioteki żadnej. Wszystko proszę adresować przez Anglię, Capetown, Salisbury, Feira, Zumbo, Meruru — to najprędsza droga. W każdą środę idzie z Meruru posłaniec z pocztą do Zumbo — dobre siedm godzin pieszej drogi.

Pozdrawiam wszystkich WW. Ojców, Scholastyków i Braci, polecając się św. modlitwom.

Augustyn Żurek T. J.

List Br. Franciszka Ostrowskiego z Zambezy.[1]

Chishawasha, d. 9. grudnia 1904.

Reverende in Christo Pater!

Najserdeczniej dziękuję za tak czułą, ojcowską miłość dla mnie. Co do mego zdrowia, dzięki najdobrotliwszemu Sercu P. Jezusa, Najświętszej Pannie i św. Ojcu Ignacemu, odzyskałem je zaraz po pierwszym dniu nowenny przed uroczystością św. O. Ignacego, któremu w pokornej modlitwie przedłożyłem mój stan i prosiłem, aby mi to wyjednać raczył, co będzie zgodne z najświętszą wolą Bożą, oraz z większą Jego chwałą. I właśnie idąc spać tak słaby, jak opisałem w poprzednim liście — na drugi dzień rano wstałem zupełnie zdrów i w przeciągu nowenny powróciłem całkiem do sił, tak iż przez cały czas mego pobytu w Afryce nigdy, z wyjątkiem chyba pierwszych sześciu mie-

---

[1] Dawniejsze listy Br. Ostrowskiego z Zambezy drukowane były w «Misyach katolickich»: rocznik III. str. 28, 60, 113, 367; IV. 63; XIX. 27, 73 (rycina); XXII. 100, 183, 296.
Także w książce: «Wyprawy misyjne do krajów Zambezy». Kraków 1885.

sięcy, nie czułem się tak zdrowym jak teraz. Co się zaś tyczy odwiedzin drogiej naszej prowincyi galicyjskiej, to chociaż mam wielkie pragnienie raz przed śmiercią obaczyć mych drogich Wielebnych Ojców i CC. Braci, nigdybym nie nalegał na tutejszych mych Przełożonych, lecz wyraziwszy pokorną prośbę zostawiam ich decyzyi, co osądzą być z większą chwałą Bożą. Jeśli nie będę mógł oglądać Was na ziemi, to ufam, że pewnie oglądać będę w niebie.

Teraz mam wiele pracy w ogrodzie, bo się roboty wstrzymały przez mą słabość i kilkomiesięczną posuchę. Trzeba więc sadzić i podlewać.

Raz miałem sposobność widzieć C. Szopińskiego, który przybył do nas, aby zwiedzić tutejsze gospodarstwo. Podobała mu się więcej miejscowość, niż gospodarstwo nasze. Lecz trzeba wiedzieć, że my tu nie tyle uprawie roli i chowu bydła poświęcamy nasz czas i pracę, ile nawracaniu czarnych, kształceniu chłopców około 140 w szkole i blizko 100 w katechumenacie. Dwanaście dni bawił u nas C. Szopiński, lecz przez cały ten czas był tak zajęty, że ledwo kilka razy mogłem z nim parę słów zamienić.

Z C. Żurkiem od czasu do czasu koresponduję. Miałem go niedawno odwiedzić w Meruru, lecz dla nawału pracy w ogrodzie odłożyłem tę podróż na później.

Wczoraj obchodziliśmy święto Niepokalanego Poczęcia N. M. P. jak można było najuroczyściej. W czasie nowenny odbywały się wieczorami nabożeństwa z wystawieniem N. Sakramentu. Miała być wczoraj procesya w ogrodzie, ale deszcz przeszkodził. Jakże byłbym szczęśliwym, gdybym mógł znaleźć się na podobnych uroczystościach w Polsce, którym nigdzie za granicą dorównać nie potrafią. Gdy sobie wspomnę na nasze uroczystości w Starejwsi, to aż mi łzy płyną. Lecz tem się pocieszam, że dla Boga opuściłem to wszystko, co jest tak drogiem sercu mojemu.

Cieszy mię bardzo przedsięwzięta budowa kościoła w Krakowie, a choć nie mogę złożyć na cegiełki ofiary w pieniądzach, to chociaż dwie koronki tygodniowo odmówię za fundatorów i dobrodziejów, ufając, że najświętsza Dobroć Boża przyjąć raczy moją dobrą wolę i uczyni mię też uczestnikiem w tem dziele.

Zostaję z najniższem uszanowaniem

Sługą w Chr. P.

Fr. M. Ostrowski T. J.

List Br. Teofila Szopińskiego z Zambezy.

Empandeni, 5. lutego 1905.

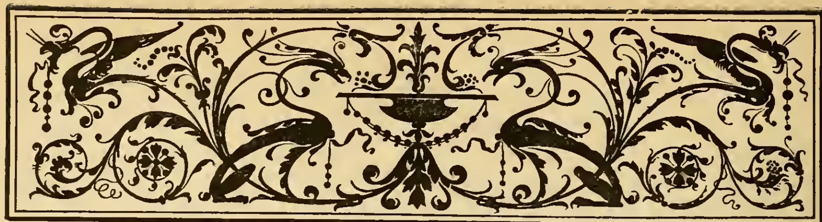
Wielebny Ojcze! Za przysłaną kartę pocztową i pamięć łaskawą na mnie, niech Pan Jezus drogiemu Ojcu zapłaci! Poprzednio też w różnych czasach otrzymałem kilka listów od WW. Ojców: Mellina, Haducha, Fihausera i od anioła mego O. Rejowicza, lecz na żaden z tych listów dotąd niestety nie odpisałem. Za tę moją niewdzięczność szczerze wymienionych drogich Ojców przepraszam, a na przyszłość obiecuję poprawę.

Pomijam wszystko, com tu w Afryce przez tych lat kilka przebył; kiedyś później, jeśli P. Bóg pozwoli, może ja to opiszę. Dziś muszę się tylko pożalić na straszną klęskę, jaką nawiedził P. Bóg Zambezę, a osobliwie naszą stacyę misyjną w Empandeni. Mieliśmy w ostatnim roku posuchę i upały tak okropne, jakich tu nikt nie pamięta. Kiedy innymi laty w porze deszczowej opady wynosiły około 20 cali, to w tym roku zaledwie 7. Zasiewy wszystkie wypalone od słońca, praca moja poszła na marne. Gdym tu przybył przed czterema laty, począłem zakładać gospodarstwo, bo tu przedtem nic nie było. Z wielkim trudem i niemałym kosztem wykorczowałem i uprawiłem starannie przy pomocy moich czarnych ludzi znaczny obszar ziemi, obsiałem około 200 akrów roli, założyłem plantacyę tytoniu wysadziwszy przeszło 25 tysięcy flanców. Spodziewałem się obfitych zbiorów, bo gospodarstwo wielkie i wzorowo prowadzone, jak w majątkach zamożnych ludzi w Europie; tymczasem wskutek ostatniej posuchy wszystko zmarniało, ponieśliśmy straty co najmniej na 20.000 franków. Czem tu teraz wyżywić tylu czarnych ludzi, należących do naszej misyi? Głód zagraża i naszemu inwentarzowi: 400 sztuk grubszego bydła, a innej zwierzyny dość sporo. Bydło to nasz kapitał; cóż będzie skoro ono z braku paszy wyginie? Jałmużn nadsyłanych dla naszej misyi, z każdym rokiem coraz mniej. W poprzednich latach nasza misya Zambezka otrzymywała z Europy 45.000 franków; dziś nie pobiera ani połowy tej sumy. A jeśli kiedy, to obecnie jest nam potrzebna doraźna pomoc, bo bez rzeczy materyalnych nic zrobić nie można w tej dzikiej puszczy. Oby P. Bóg natchnął i do litości nad nami pobudził jakie dobroczynne serca!

Pozdrawiam najserdeczniej wszystkich Wielebnych Ojców, Scholastyków i Braci, zaś CC. Nowicyuszów proszę o pamięć w modlitwach przed naszą najukochańszą Matką Boską Starowiejską.

Brat Teofil Szopiński T. J.





Z MISYJ KRAJOWYCH.

Rekolekcye w roku 1903.

(Uzupełnienie spisu podanego wyżej, str. 108—117).

1) Ludowe:

Czerniowce, w naszym kościele rekol. dla Niemców 21—25 marca, O. Mertz; dla Polaków trzydniówka w poście, O. Waszyca.

Na Bukowinie w czasie w. postu O. Waszyca dawał rekolekcye w następujących miejscowościach: *Radowce* 8 dni dla Niemców; *Wama* 3 dni; *Watra-Moldawitza* 3 dni; *Kimpolung* 6 dni; *Russ-Moldawitza* 3 dni; *Gura Humora* 5 dni; *Illischestie* 3 dni; *Lichtenberg* 6 dni. W ostatnich 7 miejscowościach kazania były mówione częściowo po polsku, częściowo po niemiecku, według potrzeby parafian.

Koenigsau (dyec. przem., kolonia niemiecka) 14—19 marca, OO. Peter, Kartte.

Cieszyn, w naszym kościele po polsku dla niewiast 15—19 marca i dla mężczyzn 21—25 marca, O. Lipski.

Freiwaldau (Śląsk austr.) dla Niemców przy końcu marca, O. Herrmann.

Klecza, (d. krak.), dla dziewcząt 5—8 grudnia, O. Nikiel. Około 400 przystąpiło do Komun. gener.

2) Księżom świeckim:

Cieszyn, w budynku szkolnym Boromeuszek 24—28 sierp., O. Lipski (54 księży).

Jassy, 14—18 września, O. Wagner.

3) Klerykom dyecezyalnym:

Jassy, 2—9 sierpnia, O. Wasilewski.

Bukareszt, 2—6 września, O. Wagner.

Weidenau, dwa razy O. Titz: *a)* przy końcu roku szkolnego przed święceniami, *b)* na początku roku szkolnego wszystkim klerykom.

4) Zakonnikom:

Kraków, Kanonikom Regularnym u Bożego Ciała, rekol. 6 dni na początku w. postu, O. Zosel.

Bukareszt, Braciom szkolnym w sierpniu, O. Wierciński.

5) Zakonnicom:

W Rumunii: *Bukareszt, Craiowa, Thurn-Sewerin*, trzydniówki dla Sióstr «angielskich» przed odnowieniem ślubów w styczniu, O. Wagner. — Tamże w lipcu dawał rekolekcye O. Arndt.

Leobschütz (Głupczyce, d. ołomun.), Siostrom szkolnym 11—16 lipca, O. Wagner.

Weisswasser (Śląsk austr.) Siostrom szkolnym dwie serye rekolekcyi od 22 lipca do 2 sierpnia, O. Wagner.

Schwarzwasser (Śląsk austr.) Siostrom szkolnym od 21—25 lipca, O. Herrmann.

Kołomyja, Urszulankom 25—31 sierp., O. Czeżowski.

Cieszyn, Boromeuszkom dwie serye rekolekcyi od 26 sierp. do 5 września, O. Lipski. Tymże 19—23 grud., O. Markefka.

Kraków, Córkom Bożej miłości rekol. 8 dni, O. Titz.

6) Dla «inteligencyi»:

Chyrów, w kolegium dla panów 6—9 marca, O. Baudiss.

Kraków, w naszym kościółku na Wesołej, paniom w poście, O. Zosel.

Wadowice, paniom 24—28 marca, O. Zosel.

Czerniowce, paniom w naszym kościele 15—19 marca, i panom w naszej kaplicy domowej od 30 marca do 3 kwiet., O. Mertz po niemiecku.

Cieszyn, w kościele pojezuickim przy ulicy Szerśnika dla pań 25—28 lutego, i dla panów 4—8 kwietnia, O. Herrmann. W naszym kościele dla Kongreg. Maryań. od 30 listopada, O. Jackowski.

Weisswasser (Śląsk austr.), dla pań niemieckich 17—21 lipca, O. Wagner.

7) Nauczycielom ludowym:

Cieszyn, 9—11 kwietnia, O. Herrmann.

Chyrów, w kolegium w sierpniu, O. Hełczyński, staraniem Kongregacyi panów przemysko-samborskiej.

Kołomyja, w naszym kościele 16 i 17 września, O. Hrubant. Brały udział w rekolekcyach także nauczycielki. Do Sakramentów przystąpiło około 150 osób.

8) Szkołom męzkim:

Stanisławów, dla gimnazyum, dla szkoły realnej i seminaryum nauczycielskiego, w różnych czasach wielkiego postu, O. Gołąbek.

Wadowice, dla gimnazyum od 30 marca do 2 kwietnia, O. Bisztyga.

Kołomyja, dla gimnazyum wyższego 4—6 kwiet., O. Wnęk, równocześnie dla niższego, O. Kuryłowicz.

Czerniowce, dla wyższego gimnazyum po niemiecku 4—6 kwietnia, O. Mertz.

Jassy, dla szkoły parafialnej 10—12 września, O. Piszczek.

Chyrów, dla konwiktorów starszych 16—19 września, O. Barglewski.

9) Szkołom żeńskim:

Stanisławów, seminaryum nauczycielskie w czasie wielkiego postu, O. Gołąbek.

Kołomyja, w kaplicy Urszulanek dla dziewcząt przed pierwszą Komunią św. 27—29 czerwca, O. L. Morawski.

10) Zakładom dobroczynnym:

Stanisławów, w domu ubogich Brata Alberta 18—24 grudnia, O. Augustyn.

11) Robotnikom:

Cieszyn, w oratorium naszego kościoła, rekol. dla młodzieży należącej do «Kathol. Verein», w marcu, O. Herrmann.

12) Służbie żeńskiej:

Rzeszów, dla stowarzyszenia św. Zyty, 17—23 kwietnia. O. Zosel.

13) Więźniom:

Kołomyja, w kwietniu, O. Uram.

14) Towarzyszyli Biskupom w wizytach pasterskich jako kaznodzieje:

O. Zosel jeździł 6—9 września z Najprzew. X. Bilczewskim, Arcyb. lwowskim.
O. Wilczkiewicz 4—10 września z J. Em. X. Kardynałem Puzyną.

W roku jubileuszowym 1904.[1]

1) Misye i Rekolekcye ludowe:

Jaktar (przedmieście Opawy), misya czeska 16—22 stycznia, O. Skalski sam (19 kazań).
Odersch (dyec. ołomun.), rekol. 13—18 lutego, O. Skalski (9 kazań po czesku).
Biłka szlachecka (d. lwow.), rekol. 13—18 lut., OO. Gadowski, Marszałowicz.
Olesno (d. tarn.), rekol. dwutygodniowe dla niewiast i mężczyzn osobno, 14—28 lutego, OO. Szajna, Pustkowski; spowiedzi około 4.000.
Drohobycz (d. przem.), trzydniówka misyjna w czasie 40 godz. nab. 14—16 lut., O. Waszyca (3 kazania dziennie), pomagał O. Baudiss.
Staromieście (d. przem.), u ks. prob. Józefa Stafieja, trzydniówka w czasie 40 godz. nab. 14—16 lut., O. Czencz (2 kaz. dziennie).
Strzyżów (d. przem.), trzydniówka w czasie 40-godz. nab. 14—16 lut., O. Zosel (5 kazań).
Raciborowice (d. krak.), trzydniówka misyjna w czasie 40-godz. nab. 14—16 lut, OO. Kudasiewicz, Gliwa.
Jabłonków (Śląsk austr.), u ks. prob. Waszycy, trzydniówka w czasie 40 godz. nab. 14—16 lut., O. Kiciński (kazań 6 polsk., 1 niem.).
Nozdrzec (d. przem.), rekol. dla niewiast i mężczyzn, 2 serye, 16—26 lut., OO. Płukasz i Michał Gruszczyński.
Zakopane, w naszym kościele rekol. dla mężczyzn (około

---

[1] O pominiętych w tym spisie pracach pragniemy być powiadomieni, aby je uzupełnić jeszcze w osobnym dodatku (supplementum). Umyślnie zaś opuściliśmy prace podejmowane w Prusiech; ogłosimy je później.

500) z bractwa «Dobrej śmierci» 21—25 lutego; kazań 4 dziennie, głosili je OO. Łaszczyk, Adamski, Wall, Wnęk, Szymon Czarnota, Pilch.

Kraków, *a)* w kościele św. Barbary rekol. dla mężczyzn z bractwa «Dobrej śmierci» od 28 lut. do 4 marca, OO. Stanisław Mieloch, Bisztyga; *b)* w naszym kościółku na Wesołej rekol. dla niewiast 20—25 marca, O. Zosel; *c)* tamże dla mężczyzn 25—30 marca, O. Boc.

Czchów (d. tarn.), rekol. od 27 lut. do 5 marca, OO. Marszałowicz, Haudek (kazań 4 dziennie przez 8 dni).

Cieszyn, w naszym kościele rekol. *a)* dla Niemców od 28 lut. do 4 marca, O. Polke; *b)* dla Polaków bardzo licznie gromadzących się 20—25 marca, O. Wilczkiewicz; *c)* osobno dla żeńskiej Kongregacyi Maryańskiej 21—25 marca, O. Kiciński.

Lipnik (d. krak.), rekol. 5—13 marca, OO. Markefka, Lipski.

Humniska (d. przem.), rekol. 2 serye: dla mężczyzn potem dla kobiet, 6—19 marca, OO. Szajna i Michał Gruszczyński.

Nowosielce (pod Przeworskiem, d. przem.) u ks. prałata Andrzeja Goneta, rekol. 5—13 marca, OO. Uram, Kapaun (spowiedzi około 1800). Później jeszcze, w maju odbyła się tamże renowacya przy pomocy tychże Ojców.

Nowy Sącz, w naszym kościele rekol. dla mieszczaństwa 6—11 marca, OO. Marszałowicz, Haudek, Pustkowski.

Gorlice (d. przem.), rekol. 2 serye: dla niewiast potem dla mężczyzn, 6—19 marca, OO. Płukasz, Nikiel; w czasie pierwszej seryi miewał konferencye dla inteligencyi O. Wnęk. Udział bardzo liczny, tylko spowiedników brak wielki.

Weisskirch (d. ołomun.), ośmiodniowa misya niemiecka 5—14 marca, O. Christian sam (3 kazania dziennie).

Stryj, w kościele parafialnym rekol. 7—10 marca, O. Waszyca (codzień 2 nauki).

Tarnopol, w kościele parafialnym (dominikańskim) rekol. dla mężczyzn robotników 7—13 marca, O. Sopuch (2 kazania dziennie).

Czerniowce, w naszym kościele rekol. *a)* dla Niemców od 28 lut. do 3 marca, O. Herrmann; *b)* dla Polaków 6—10 marca, O. Beigert.

Moszczenica (d. przem.), rekol. 9—17 marca, OO. Michał Gruszczyński, Ignacy Mieloch.

Słocina (d. przem.), rekol. dwutygodniowe 13—27 marca, OO. Marszałowicz, Pustkowski.

Biała (d. krak.), rekol. *a)* dla Niemców 12—20 marca, OO, Eberhard, Polke; *b)* dla Polaków 20—26 marca, OO. Tychowski, Kraupa.

Krosno (d. przem.), rekol. 13—18 marca, O. Michał Jakubiński.

Sanok (d. przem.), rekol. 13—18 marca, O. Czencz (osobne konferencye dla inteligencyi).

Opawa, w naszym kościele rekol. *a)* dla Czechów 13—20 marca, O. Skalski; *b)* dla matek po niemiecku 21—25 marca, O. Christian; *c)* dla mężczyzn po niemiecku 25—29 marca, O. Christian.

Stanisławów, w naszym kościele rekol. *a)* dla kobiet 15—19 marca, O. Gołąbek; *b)* dla mężczyzn 21—26 marca, O. Churain.

Chyrów, w kościele parafialnym rekol. 17—21 marca, O. Baudiss; pomagali OO. Kapaun i Dąbrowski.

Załucze (ad Śniatyn, d. lwow.), trzydniówka w łacińskiej kaplicy 19—23 marca, O. Smodlibowski (około 120 osób, przeważnie służba dworska).

Lwów, w naszym kościele, rekol. dla mężczyzn średnich stanów 21—27 marca, OO. Sopuch, Sikorski.

Nadyby (paraf. Wojutycze, d. przem.), w kaplicy dworskiej rekol. dla rodziny pp. Tchórznickich, ich oficyalistów i czeladzi, 21—25 marca, O. Baudiss (po 4 nauki codzień, spowiedzi około 150); założył kanonicznie stacye Drogi krzyżowej, z wielką uroczystością i radością wszystkich.

Podhajce (d. lwow.), trzydniówka 24—27 marca, O. Pawelski.

Zakopcze (Węgry), rekolekcye parafialne od 27 marca do 1 kwiet., O. Skalski (razem 9 kazań); nadto powiedział 2 konferencye dla 12 księży i 2 konfer. dla 12 nauczycieli zgromadzonych z okolicy.

Dynów (d. przem.), trzydniówka głównie dla czeladzi dworskiej (około 250 osób) w marcu, O. Goerlich.[1]

Hliboka (filia parafii Seretu na Bukowinie), rekol. 10—14 kwiet., OO. Mellin, Beigert głosili 4 nauki polskie dziennie, a nadto dla Niemców miał O. Beigert 2 nauki w czasie całej trzydniówki. Do Hliboki dojeżdżają stale w niedziele i święta z sumą i kazaniem nasi księża z Czerniowiec.

Breitenau (d. ołomun.), misya niemiecka 9—18 kwiet., O. Christian (3 kazania dziennie), pod koniec pomagał O. Eberhard; postawiono krzyż misyjny.

Podole (d. tarn.), rekol. dwutygodniowe 16—30 kwiet., OO. Szajna, Pustkowski (spowiedzi 1300). We wsi Przydonicy (filia) postawiono krzyż misyjny, przy którym O. Szajna miał kazanie.

Liebenthal (d. ołomun.), misya od 24 kwiet. do 1 maja, O. Eberhard, poświęcił stacye Drogi krzyżowej.

Iwkowa (d. tarn.), rekol. od 30 kwiet. do 7 maja, OO. Marszałowicz, Nawrocki (spow. 1200).

---

[1] Niedawno temu podczas wielkiego pożaru w Dynowie, niektóre żydówki, których domy były zagrożone, pobiegły do kościoła i tu leżąc krzyżem przed ołtarzem Matki Boskiej wołały: Maryo, Matko Jezusa Chrystusa, ratuj nas, zmiłuj się nad nami! — i zostały wysłuchane.

Spachendorf (d. ołom.), misya niemiecka 7—16 maja, O. Christian sam (3 kazania dziennie).

Chomranice (d. tarn.), rekol. dwutygodniowe 8—21 maja, OO. Szajna, Płukasz.

Lipnica wielka (d. tarn.), rekol. 14—21 maja, OO. Marszałowicz, Nawrocki.

Rzeszów, w kościele paraf. trzydniówka w czasie 40 godz. nab. 22—24 maja, O. Czencz (2 kaz. dziennie).

Strzałkowice (d. przem.), dwudniowa wycieczka misyjna w maju, OO. Baudiss, Kapaun, Dąbrowski.

Rożnów (d. tarn.), rekol. 21—25 kwietnia, O. Szajna sam.

Tropie (d. tarn.), rekol. od 28 maja do 4 czerwca, OO. Szajna, Marszałowicz.

Frydek (Śląsk austr.), trzydniówka przed uroczystością Serca P. Jezusa 9—12 czerwca, O. Skalski (8 kazań; udział ludu miejskiego i fabrycznego wielki).

Ropa (d. przem.), rekol. 11—18 czerwca, OO. Szajna, Marszałowicz.

Łubno (d. przem.), rekol. 2 serye: dla niewiast i mężczyzn, staraniem ks. proboszcza Wawrzyńca Czajki i kolatora Dr. Henryka Lica, 14—24 lipca, OO. Michał Gruszczyński i Goerlich. Kazania mówili na dworze przy ślicznej pogodzie. Księża z okolicy i bardzo dla misyi przychylny miejscowy paroch ruski X. Orest Kopyściański pomagali w słuchaniu spowiedzi. Do Komunii wspólnej przystąpiło 460 Polek i 420 Rusinek, 460 Polakow i prawie tyle Rusinów. Misyonarze poświęcili krzyż misyjny, mnóstwo szkaplerzy i innych dowocyonaliów.

Kołomyja, w naszym kościele wielka misya polsko-ruska 16—26 lipca, staraniem Superiora O. Sieprawskiego. Kazania głosili po polsku OO. Szajna, Marszałowicz, Sikorski; po rusku OO. Baudiss, Wasilewski. Pomimo namiętnej agitacyi w dziennikach, zwłaszcza ze strony ruskiej, liczba słuchaczy dochodziła do 10.000. Około 5.000 Polaków i 2.000 Rusinów przystąpiło do Sakramentów św. Zaszczycili misyę swą obecnością dwaj Arcybiskupi: X. Józef Teodorowicz (orm.) i X. Józef Weber (sufr. lwow. łać.); pierwszy w połowie misyi wygłosił jedno kazanie; drugi na konkluzyi celebrował sumę, prowadził procesyę po rynku do 4 ołtarzy, jak na Boże Ciało, i ostatnie misyjne wygłosił kazanie na dworze. Wybierzmował 658 osób. Nasi Scholastycy: Tarnawski, Cebulski i Prochyra pomagali w czasie misyi asystując do mszy pontifikalnych, zapisując do bractw, doglądając porządku w domu i kościele.

Trzyniec (Śląsk austr.), rekol. 13—16 sierp., OO. Kiciński, Lipski.

Kałusz (d. lwow.), rekol. w języku polskim i niemieckim 13—17 sierp., OO. Waszyca, Pustkowski; codzień 6 kazań; na-

pływ ludu ogromny, dużo osób z inteligencyi; słuchano spowiedzi do późnej nocy.

Podmichale (filia Kałusza), rekol. 17—20 sierp., OO. Waszyca, Pustkowski (codzień 4 kazania).

Łysiec (d. lwow.), rekol. 14—16 sierp., OO. Szajna, Marszałowicz.

Bednarówka (filia Ottynii, d. lwow.), rekol. 20—24 sierp., OO. Szajna, Marszałowicz.

Majdan (filia Ottynii, d. lwow.), rekol. 25—28 sierp., OO. Szajna, Marszałowicz.

Wilkowisko (d. tarn.), misya 7—14 września, OO. Michał Gruszczyński, Zakrzewski. Postawiono krzyż misyjny.

Nadwórna (d. lwow.), rekol. 7—15 września, OO. Marszałowicz, Pustkowski.

Sołotwina (d. lwow.), rekol. 9—15 września, OO. Szajna, Kuryłowicz.

Izdebna (Śląsk austr.). rekol. osobno dla mężczyzn, osobno dla niewiast 10—19 września, OO. Kiciński, Płukasz. Postawiono nowy krzyż misyjny; parafię poświęcono N. Sercu P. Jezusa. Lud góralski uczęszczał chętnie i pilnie; spowiedzi 2.600; wody św. Ignacego dużo rozebrano. Proboszcz miejscowy i dziekan X. Skupina, także i lud wielce zadowoleni z misyi. Od r. 1878, w którym nasi odprawili tu misyę, nie było aż dotąd żadnej pracy misyjnej.

Gogolów (d. przem.), odnowienie przeszłorocznej misyi, 17—21 września. OO. Czencz, Michał Gruszczyński.

Delatyn (d. lwow.), rekol. 18 -25 września, O. Szajna sam.

Ottynia (d. lwow.), rekol. od 24 września do 2 paźdz., OO. Marszałowicz, Pustkowski.

Błażowa (d. przem.), rekol. dla 4 stanów (ojcowie, młodzieńcy, matki, dziewczęta) 2—16 paźdz., OO. Szajna, Michał Gruszczyński. Po każdej trzydniowej seryi spowiedź i komunia generalna; w końcu d. 16 paźdz. postawiono nowy krzyż misyjny. Spowiedzi ogółem około 7 tysięcy. Wszyscy parafianie wyrzekli się wódki.

Tłumacz (d. lwow.), rekol. 8—15 paźdz., OO. Marszałowicz, Pustkowski.

Mrowla (d. przem.), rekol. 15—20 paźdz., O Zosel.

Lubenia (d. przem.), w czasie odpustu na św. Urszulę 21 paźdz. odnowienie misyi, O. Zosel (3 kazania).

Sanka (d. krak.), rekol. 23—29 paźdz., OO. Tychowski, Marszałowicz.

Brzozów (d. przem.), rekol. 2 serye: dla kobiet i mężczyzn osobno, od 23 paźdz. do 4 listop., OO. Szajna i Michał Gruszczyński; do słuchania spowiedzi dojeżdżało 6 księży naszych ze Starejwsi. Postawiono d. 4 listop. krzyż misyjny.

Karwina, misya jubileuszowa staraniem O. Superiora Sie-

prawskiego, od 29 paźdz. do 6 listop., OO. Płukasz, Waszyca, Gołąbek, Nawrocki.

Chodaczków wielki (d. lwow.), pięciodniowe rekol. 6—11 listopada, O. Bisztyga.

Kosina (d. przem.), rekol. 10—14 listop., O. Zosel i ks. Józef Stafiej proboszcz ze Staromieścia. Parafia kosińska złożyła ofiarę 240 koron na budowę naszego kościoła w Krakowie.

Morawica (d. krak.), rekol. 12—19 listop., OO. Tychowski, Szajna.

Liszki (d. krak.), rekol. od 26 listop. do 3 grud., OO. Kuryłowicz, Marszałowicz.

Gross-Herrlitz (d. ołomun.), trzydniówka jubileuszowa 24—28 listop., O. Christian.

Tarnopol, w naszym kościele rekol. jubileuszowe 27—30 listop., OO. Bisztyga, Nowak; udział ludu wielki.

Staniątki, rekol. jubileuszowe od 28 listop. do 1 grudnia, O. Zakrzewski.

Lwów, w katedrze łacińskiej wielka misya jubileuszowa od 29 listop. do 7 grud., OO. Sopuch, Waszyca, Wróblewski, Gliwa. Frekwencya wielka; do Komunii św. przystąpiło przeszło 12.000 osób; spowiedzi słuchali w katedrze i w naszym kościele księża świeccy, zakonni, kanonicy i sam X. Arcybiskup Bilczewski.

Kraków, a) w kościele św. Katarzyny u OO. Augustynianów wielka misya jubileuszowa od 29 listop. do 8 grud., OO. Boc, Szajna, Zosel, Płukasz; postawiono krzyż misyjny; *b)* w kościele św. Barbary rekol. jubileuszowe dla mężczyzn od 29 listop. do 3 grud., OO. Stan. Mieloch, Bratkowski. Przy komunii generalnej d. 3 grud. miał przemowę Biskup sufragan X. Anatol Nowak; *c)* w naszym kościółku na Wesołej trzydniówka jubileuszowa 5—7 grud., mówili kazania różni księża z kolegium.

Janówka (filia Tarnopola), jednodniówka jubileuszowa przy końcu listopada; dwaj nasi księża z Tarnopola mieli nauki i wysłuchali spowiedzi wszystkich wiernych obrz. łać.[1]

W Janówce, wsi odległej od Tarnopola 5 kilometrów, stała poprzednio na wzgórku przy drodze mała cerkiewka, w której niekiedy odprawiała się służba Boża dla Rusinów. Łacinników zaś, zdawna między tutejszą ludnością ruską osiadłych mazurów, obsługiwali głównie nasi Ojcowie, którzy jak do wszystkich wiosek parafii tarnopolskiej, tak i do Janówki dojeżdżali bardzo często, aby Sakramentami zaopatrywać chorych i uczyć katechizmu. W r. 1883 urządził w Janówce w czasie wielkiego postu O. Płukasz dwie trzydniówki rekolekcyjne, dla niewiast i mężczyzn osobno. Mszę św. odprawiał i kazania (dziennie 4) głosił, za pozwoleniem władzy dyecezyalnej, w chłopskiej stodole. Uczęszczali na nie także Rusini. Lud uszczęśliwiony objawił życzenie, żeby na miejscu tej stodoły stanął kiedyś kościółek. Kilkanaście lat później jeździł do Janówki z katechizacyą O. Feliks Zosel, a że Polacy tamtejsi, jak to zwykle bywa na Rusi, rozmawiali w domu między sobą po rusku, więc i on przemawiał do nich w tymże języku. Lecz ludzie sami prosili go o to, aby mówił po

Golcowa (d. przem.), trzydniówka jubileuszowa 2—5 grud., OO. Haduch, Kotowicz.

Starawieś, trzydniówka jubileuszowa 4—8 grud., OO. Michał Gruszczyński i Goerlich.

Sambor (d. przem.) rekol. jubileuszowe 4—9 grudnia, OO. Nowak, Kapaun.

Boguchwała (d. przem.), rekol. jubileuszowe 4—7 grudnia, O. Zosel sam. Parafia złożyła ofiarę 324 koron na budowę naszego kościoła w Krakowie.

Czukiew (d. przem.), trzydniówka jubileuszowa 4—8 grud., OO. Baudiss, Pilch.

Pierściec (Perstetz, na Śląsku austr.), rekol. 8—12 grudnia, OO. Lipski, Jan Piwernetz.

2) Rekolekcye Księży świeckich.

Chyrów, w naszem kolegium 22—26 lutego, O. Hrubant (było 56 księży; zgłosiło się wszystkich przeszło 100, lecz połowie odmówiono przyjęcia dla braku miejsca); później 16—21 marca udzielał O. Baudiss rekolekcyi trzem księżom.

Starawieś, w naszem kolegium od 29 lut. do 4 marca, O. Czencz (było 34).

Nowy Sącz, w naszem kolegium 11—15 lipca, O. Wnęk (było 33).

Przemyśl, w seminaryum duchownem łać. 22—26 sierpnia, O. Czencz (było 70).

Czerniowce, 22—26 sierpnia, O. Wróblewski.

Kalwarya Zebrzydowska, w klasztorze Braci Mniejszych 12—16 września, O. Boc (było 45).

---

polsku. Na to im X. Zosel: Mówcie w domu po polsku, to i ja wam po polsku będę wykładał katechizm; a jak Polak przemówi do Polaka po rusku, niech da grajcar na kościół — i zaproponował im, aby na miejscu chylącej się do upadku cerkiewki zbudowali łaciński kościółek, obiecując w tem swą pomoc. Zgodzono się bardzo chętnie, lecz wójt Rusin i część gminy ruska zastrzegli sobie prawo, aby ten nowy kościółek łaciński służył zarazem i do nabożeństw dla Rusinów. Probosz łaciński, X. Janner z Tarnopola, był z początku przeciwny tej budowie, radząc natomiast ludziom, aby wybudowali szkołę. Ostatecznie stanął kościółek, poświęcony dnia 9 grudnia 1897 r. przez X. Jannera; pierwszą mszę św. odprawił w nim tego dnia i kazanie stosowne powiedział X. Zosel. Za jego to staraniem przyczynili się do budowy tego kościółka: książę Radziwiłł z Zagrobeli (podarował kamień budowlany), hrabina z Łosiów Borkowska (kwotą pieniężną) i hrabina Łączyńska z Kutkorza (dała 100 koron). Resztę zebrali sami włościanie z Janówki, kwestując nietylko w swej gminie, lecz i w okolicy za pozwoleniem starosty tarnopolskiego. Do Janówki, od czasu ukończenia kościółka, dojeżdżają ze mszą św. i nauką w każdą niemal niedzielę nasi księża tarnopolcy, zwłaszcza z »trzeciej probacyi«. Lud ten jest do nas nadzwyczaj przywiązany i wdzięczny.

Lwów, w seminaryum łać. 19—23 września, O. Gliwa.

Szczyrzyce, w klasztorze OO. Cystersów 10—14 paźdz., O. Gadowski (było około 50 wraz z Cystersami).

Zuckmantel, w naszej rezydencyi, O. Tauer (7 księży w różnych czasach).

3) Rekolekcye Kleryków dyecezyalnych:

Lwów, a) 27—31 marca, O. Piątkiewicz Włodzimierz; *b)* 26—30 paźdz., O. Wróblewski.

Przemyśl, 4—10 paźdz. przez 5 dni, O. Czencz.

Weidenau, 2 serye O. Titz: *a)* przy końcu roku szkolnego dla przystępujących do święceń kapłańskich; *b)* z początku roku szkolnego dla wszystkich.

Jassy, 19—28 września, O. Wasilewski.

4) Rekolekcye Zakonników:

Mogiła, OO. Cystersom 17—21 lutego, O. Jackowski.

Kraków, OO. Augustyanom u św. Katarzyny 3—12 marca, 8 dni, O. Baudiss.

Cieszyn, Bonifratrom 26—30 paźdz., O. Kiciński.

Bielany, OO. Kamedułom, 7 dni 13—22 listopada, O. Burkiewicz.

Kraków, Bonifratrom 18—22 grudnia, rozpoczął O. Burkiewicz, dokończył O. Otwinowski.

5) Rekolekcye Zakonnic:

Lwów, a) Benedyktynkom ormiańskim 5—10 stycznia, O. Gadowski; *b)* Sercankom 1—9 sierp., O. Nowak; *c)* Sakramentkom 22—30 sierp., O. Sygański; *d)* Siostrom Opatrzności 23—27 paźdz., O. Tylka.

Bukareszt, Craiowa, Thurn-Sewerin, Braila, w Rumunii, cztery trzydniówki dla Sióstr «angielskich» przed odnowieniem ślubów 2—20 stycznia, O. Christian.

Opawa, Franciszkankom 5—9 kwietnia, O. Eberhard.

Staniątki, a) aspirantkom 17—20 kwietnia, O. Łaszczyk; *b)* wszystkim Benedyktynkom 2—10 sierpnia, O. Boc.

Łagiewniki, Matkom Miłosierdzia: *a)* 21—24 kwietnia, trzydniówka przed odnowieniem ślubów, O. Łaszczyk; *b)* ośmiodniowe rekol. 4—13 listop., O. Czermiński.

Cieszyn, a) Elżbietankom 15—19 kwietnia, O. Markefka; *b)* Tymże druga serya 11—15 listopada, O. Lipski; *c)* Boromeuszkom 27—31 lipca, O. Markefka; *d)* tymże druga serya 16—22 sierpnia, O. Lipski i *e)* 20—24 grudnia przed odnowieniem ślubów, O. Kiciński.

Kraków, a) Bernardynkom przed odnowieniem ślubów 13—15 kwietnia, O. Kraupa; *b)* Franciszkankom dwie serye po 5 dni, 11—15 kwietnia i 18—22 kwiet., O. Tychowski; *c)* tymże przed profesyą 16—20 sierp., O. Wall; *d)* Siostrom «Bożej miłości» 21—29 lipca i co miesiąc egzorta, O. Burkiewicz; *e)* Urszulankom 23—31 lipca, O. Boc; *f)* Augustyankom 7—16 sierpnia, O. Wnęk; *g)* Duchaczkom 18—27 sierpnia, O. Burkiewicz; *h)* Karmelitankom na Wesołej, co miesiąc egzorta, O. Burkiewicz.

Starawieś, Służebniczkom: *a)* 11—17 czerwca, O. Święcicki (było 154); *b)* 22—26 czerwca, O. Święcicki (45 kandydatek); *c)* 4—10 sierpnia, O. Święcicki (było 145); *d)* 13—19 września, O. Christian (było 125); *e)* 22—28 października, O. Michał Jakubiński (było 110); *f)* 14—18 grudnia, O. Haduch (20 kandydatek przed obłóczynami).

Zwierzyniec pod Krakowem, Norbertankom od 30 czerwca do 8 lipca, O. Mohl.

Jägerndorf (Śląsk austr., d. ołomun.), Siostrom szkolnym 14—18 lipca, O. Christian.

Bielsk (Śląsk austr.), Siostrom szkolnym 25—30 lipca, O. Christian.

Weisswasser (Śląsk austr.), Siostrom szkolnym O. Wagner: *a)* 20—24 lipca (32 kandydatkom) i *b)* 25—30 lipca (40 zakonnicom).

Strumień (Schwarzwasser, Śląsk austr.), Siostrom szkolnym przez 4 dni w drugiej połowie lipca, O. Herrmann.

Zbylitowska Góra (d. tarn.), Sercankom 22—31 lipca, O. Adamski.

Kołomyja, Urszulankom 3—11 sierpnia, O. Adamski.

Bogumin (Oderberg, Śląsk austr.), Siostrom szkolnym 2—7 sierpnia, O. Christian.

Braila (w Rumunii), Siostrom «angielskim»: *a)* 1—9 sierpnia, O. Herrmann; *b)* tymże we wrześniu ośm dni, O. Arndt i *c)* kandydatkom trzy dni, O. Arndt.

Bukareszt (w Rumunii), Siostrom «angielskim» *a)* 18—26 sierp., O. Herrmann; *b)* tymże w drugiej seryi, O. Arndt.

Craiowa (w Rumunii), Siostrom «angielskim» ośm dni w sierpniu, O. Herrmann.

Ruszczuk (w Bułgaryi), Siostrom Syońskim 6—15 sierpnia, O. Gautrand.

Zakopane, Felicyankom w sierpniu ośmiodniowe rekol., O. Łaszczyk.

Johannesberg (Śląsk austr.), Siostrom szkolnym 22—27 sierpnia, O. Tauer.

Jabłonów (pod Kopeczyńcami, d. lwow.), Służebniczkom od 27 sierpnia do 3 września, O. Mellin (było 94).

Jassy, Siostrom Syońskim rekol. od 30 sierp. do 8 września, i egzorta raz na miesiąc, O. Gautrand.

Stryj, Serafitkom 7—13 paźdz., O. Waszyca.

Kończyska (pod Zakliczynem, d. tarn.), Bernardynkom 7—12 września, O. Czeżowski.

Einsiedel (Śląsk austr.), Boromeuszkom 24—29 października, O. Tauer.

6) Rekolekcye dla inteligencyi:

Starawieś, a) w naszem kolegium panom 23—27 lutego (było 15) i *b)* w klasztorze SS. Służebniczek paniom od 27 lutego do 3 marca (było 32), O. Bratkowski.

Chyrów, w naszem kolegium panom (50 Sodalisom) od 27 lutego do 2 marca, O. Hrubant.

Lwów, a) w naszym kościele paniom 7—13 marca, O. Wróblewski; *b)* w tymże kościele panom i akademikom 14—20 marca, O. Włodz. Piątkiewicz (udział bardzo liczny i powodzenie wielkie); *c)* w kaplicy Sercanek, paniom «Dzieciom Maryi» 21—25 marca, O. Włodz. Piątkiewicz; *d)* w naszym kościele rekol. niemieckie dla panów 28—31 marca, i *e)* dla pań 24—27 maja, O. Sikorski.

Kraków, a) w kościele św. Barbary dla pań 7—11 marca, O. Boc; *b)* dla panów 14—18 marca, O. Bratkowski; *c)* w kaplicy «Córek Bożej miłości» dla żon i córek oficerów 23—27 marca, O. Eberhard (po niemiecku); *d)* w kaplicy Urszulanek dla pań 6—8 maja, O. Czermiński; *e)* tamże dla pań «Dzieci Maryi» 2—6 grudnia, O. Bratkowski.

Nowy Sącz, w naszym kościele: *a)* dla panów i pań osobne nauki 6—12 marca, O. Załęski (do Komunii gener. przystąpiło przeszło 300 osób); *b)* dla oficerów i ich żon w wielkim poście, O. Bödder; *c)* 2—6 grudnia dla pań «Dzieci Maryi», O. Załęski.

Gorlice, dla panów i pań 6—12 marca, O. Wnęk.

Kołomyja, w naszym kościele: *a)* panom 8—13 marca; *b)* paniom 14—18 marca, O. Hrubant. Do Komunii gener. przystąpiło panów około 100, pań około 250.

Stryj, w naszej kaplicy: *a)* rekol. dla pań 14—18 marca (codzień dwie konferencye); *b)* dla panów 21—25 marca (codzień jedna konfer.); *c)* po niemiecku dla oficerów i tamtejszej kolonii niemieckiej 28—31 marca; wszystkim O. Waszyca.

Tarnów, a) w kościele SS. Urszulanek dla pań 12—16 marca, O. Bratkowski; *b)* w kościele OO. Filipinów dla panów 21—25 marca, O. Jackowski; w obydwóch seryach do Komunii gener. przystąpiło po 300 z górą.

Jarosław, w kościele Braci Mniejszych dla panów i pań (staraniem pań «Dzieci Maryi») 13—19 marca, O. Wnęk. Do Komunii gener. przystąpiło panów około 100, pań dwa razy więcej.

Rzeszów, w kościele popijarskim dla panów i w osobnych

godzinach dla pań 21—25 marca, O. Załęski; do Komunii gener. przystąpiło około 300 osób.

Sanok, dla panów i pań 13—17 marca, O. Czencz.

Stanisławów, w naszym kościele dla pań 13—17 marca, O. Gołąbek.

Zakopane, w naszym kościele dla panów i pań 14—17 marca, O. Adamski. W październiku O. Łaszczyk dla 3 pań.

Czerniowce, w naszym kościele: *a)* dla pań polskich 15—19 marca, O. Mellin; *b)* dla panów polskich 21—24 marca, O. Beigert; *c)* dla panów niemieckich 14—19 marca, O. Herrmann; *d)* dla pań niemieckich 26—30 kwietnia, O. Herrmann.

Podhajce, dla panów i pań 20—25 marca, O. Pawelski.

Drohobycz, dla panów i pań 19—25 marca, O. Adamski; po skończonych rekolekcyach miał odczyt w temże mieście.

Bochnia, dla panów i pań 21—25 marca, O. Hrubant; założył sodalicyę Maryańską panów.

Tarnopol, w naszym kościele: *a)* panom 21—26 marca, O. Wnęk; *b)* paniom z Kongregacyi Mar. od 30 listop. do 4 grudnia, O. Tuszowski.

Opawa, w kaplicy «Córek Bożej miłości» dla pań 21—25 marca, O. Christian.

Łańcut, w kaplicy Boromeuszek dla panów i pań 26—30 marca, O. Załęski (osób 150).

Kamionka Strumiłowa, dla panów i pań (po pierwszy raz w tem mieście) 27—31 marca, O. Wnęk (osób 50).

Brzeżany, dla panów i pań 26—30 marca, O. Wróblewski.

Mielnica, dla panów i pań 28—31 marca, O. Mellin (zaproszony przez hr. Mieczysława Dunin Borkowskiego i miejscowego proboszcza).

Stary Sącz, dla inteligencyi 1—5 marca, O. Załęski wieczorami.

Cieszyn, w kaplicy Boromeuszek dla pań (Matek chrześcijańskich) 25—30 marca, O. Mertz (po niemiecku).

Karwina, dla inteligencyi niemieckiej od 6—13 listopada, O. Klein (do Komunii przystąpiło 130 osób).

7) Rekolekcye dla nauczycieli szkół ludowych:

Starawieś, w naszem kolegium 27—31 marca, O. Haduch (było 67).

Nowy Sącz, w naszem kolegium 4—7 lipca, O. Nowak (było 50).

8) Rekolekcye dla nauczycielek szkół ludowych:

Lwów, *a)* w naszym kościele (w kaplicy) 1—6 marca wieczorami, O. Wróblewski; *b)* tamże nauczycielkom z okolicy Lwowa 15—17 lipca, O. Nowak.

Nowy Sącz, w kaplicy SS. Niepokalanek 2—5 lipca, O. Ignacy Mieloch.

Starawieś, w kaplicy SS. Służebniczek 23—27 sierpnia, O. Lic (było 40).

Tarnopol, 23—26 sierpnia, O. Nowak (było 50).

Jarosław, w kaplicy SS. Felicyanek 23—27 sierpnia, O. Ignacy Mieloch (staraniem pań «Dzieci Maryi» i ich prezeski księżnej Czartoryskiej z Pełkini, gdzie miał pomieszczenie O. Mieloch, dojeżdżając do Jarosławia).

Tarnów, w kaplicy SS. Urszulanek 24—28 sierp., O. Wnęk (było 60 z górą).

Staniątki, w klasztorze SS. Benedyktynek rekol. *a)* dla 50 wiejskich nauczycielek z okolicy 24—28 sierpnia, O. Gołąbek (staraniem pań «Dzieci Maryi»); *b)* w październiku, O. Łaszczyk guwernantkom klasztornym.

Kraków, w kaplicy Urszulanek 12—16 paźdz., O. Bratkowski.

9) Rekolekcye dla szkół męzkich:

Stary Sącz, seminaryum nauczycielskie 1—5 marca, O. Załęski.

Lwów, a) szkoła kadetów 7—9 marca, O. Sikorski; *b)* gimnazyum piąte 14—17 marca, O. Sopuch.

Kraków, *a)* szkoła realna I. 2—5 marca, O. Boc; *b)* gimnazyum Sobieskiego 5—8 marca, O. Bratkowski; *c)* gimnazyum św. Jacka 13—15 marca, dla klas wyższych O. Stafiej, dla niższych O. Boc; *d)* gimnazyum IV. 17—19 marca, O. Jackowski (6 nauk w kościele św. Anny); *e)* gimnazyum św. Anny 21—23 marca, dla wyższych klas O. Czencz, dla niższych O. Nowak; *f)* dla II. szkoły realnej w kościele św. Anny 21—23 marca, O. Kudasiewicz; *g)* razem dla dwóch szkół miejskich (szkoła przy kościele św. Barbary i szkoła św. Jadwigi przy ulicy Stolarskiej) rekolekcye w kościele św. Krzyża 3—5 marca, O. Kraupa; *h)* dla szkoły wydziałowej św. Jana Kantego rekolekcye w kościele Felicyanek na Smoleńsku 6—9 marca, O. Jarosław Rejowicz (nauk 5, uczniów około 600).

Stanisławów, *a)* gimnazyum 10—12 marca, O. Wiecki; *b)* szkoła realna 12—14 marca, O. Wiecki; *c)* seminaryum nauczycielskie 21—24 marca, O. Augustyn.

Wadowice, gimnazyum (3—8 kl.) 14—17 marca, O. Nowak; oprócz tego miał do uczniów szkoły przemysłowej kilka nauk o spowiedzi.

Tarnopol, polskie gimnazyum 19—22 marca, O. Boc.

Nowy Sącz, dla wyższego gimnazyum 21—25 marca, O. Ignacy Mieloch.

Podgórze, dla gimnazyum 26—28 marca, O. Wiecki.

Kołomyja, 26—19 marca dla wyższego gimnazyum, O. Beigert, dla niższego O. Kuryłowicz, katecheta naówczas gimn.

Czerniowce, gimnazyum 26—29 marca, O. Herrmann (po niemiecku).

Rzeszów, gimnazyum 26—29 marca, O. Czencz.

Stryj, gimnazyum 26—28 marca, O. Waszyca.

Chyrów, a) jednodniówka rekolekcyjna 27 marca, O. Nowak (4 nauki jako przygotowanie do spowiedzi wielkanocnej); *b)* dla 8 klasy rekol. 28—31 marca, O. Hrubant; *c)* rekol. 14—19 września: starszym konwiktorom O. Wnęk, młodszym O. Krysa.

Brzozów, chłopcom i dziewczętom szkolnym 25—29 marca, O. Michał Gruszczyński.

Starawieś, chłopcom i dziewczętom szkolnym 27 i 28 marca, O. Michał Gruszczyński.

Jassy, młodszym alumnom seminaryum, od 30 sierpnia do 4 września, Mag. Romeder.

10) Dla szkół żeńskich:

Jazłowiec, konwikt Niepokalanek 20—24 stycznia, O. Miszkiewicz. Właśnie 10 lat, jak założył w tym konwikcie Kongregacyę Maryańską i corok, z wyjątkiem trzech lat, dojeżdżał tam z rekolekcyami.

Lwów, a) konwikt Sercanek 7—10 lut., O. Wróblewski; *b)* szkoła św. Anny 16—19 marca, O. Wojtoń; *c)* liceum żeńskie 25—27 kwiet., O. Wróblewski; *d)* konwikt Nazaretanek 8—10 listopada, O. Tylka.

Zbylitowska Góra (pod Tarnowem), konwikt Sercanek w lutym, O. Załęski.

Opawa, pensyonat u Sióstr Maryańskich 24—28 lutego, O. Eberhard.

Weisswasser (Śląsk austr.), w pensyonacie Sióstr szkolnych (Haushaltungschule) 3-7 marca, O. Eberhard.

Branitz (d. ołom.), w kaplicy zakonnic, rekol. dla konwiktorek 15—19 marca, O. Kosellek.

Kraków, a) gimnazyum żeńskie 16—19 marca, O. Zosel; *b)* konwikt Wizytek 10—14 kwietnia, O. Boc (66 panien); *c)* konwikt Urszulanek 17—20 paźdz., O. Wnęk.

Stanisławów, szkoła wydziałowa św. Jadwigi 21—24 marca, O. Miszkiewicz.

Cieszyn, szkoła Boromeuszek 17—21 marca, O. Rudzki.

Czerniowce, konwikt Maryanek 20—24 marca, O. Mellin.

Zwierzyniec, konwikt Norbertanek *a)* 23—26 maja, O. Nikiel; *b)* dla 22 abituryentek 14—17 czerwca, O. Mohl.

Jarosław, konwikt Niepokalanek, 21—24 października, O. Bratkowski.

Staniątki, konwikt Benedyktynek 24—28 paźdz., O. Łaszczyk.

11) Zakładom dobroczynnym:

Stanisławów, u Braci Albertynów w domu ubogich 7—11 marca, O. Augustyn.

Kraków, a) dla chłopców Józefitów w zakładzie ogrodniczym św. Józefa 16—19 marca, O Kraupa; *b)* w zakładzie Lubomirskich dla 120 chłopców 25-27 marca, O. Jarosław Rejowicz (7 nauk); *c)* w kaplicy Felicyanek przy ulicy Blichowej trzydniówka jako przygotowanie do Sakr. Bierzmowania 28 dziewcząt opuszczonych, zebranych staraniem Matki Alojzy, 13—15 kwietnia, O. Jarosław Rejowicz; bierzmował X. Biskup Nowak; *d)* w szwalni u Felicyanek przy ulicy Mikołajskiej dla dziewcząt 17-19 listopada, O. Jarosław Rejowicz.

Łagiewniki, w kaplicy MM. Miłosierdzia dla pokutnic 23—30 października, O. Wnęk.

Lwów, u Sercanek dla sierót 2—4 listopada, O. Tylka.

Bukareszt, sierotom w zakładzie Sióstr angielskich trzy dni w sierpniu, O. Herrmann.

12) Dla handlowców i robotników:

Kraków, a) w kościele Reformatów dla terminatorów (około 800) 6—11 marca, O. Tychowski; *b)* w naszej kaplicy domowej przy ulicy Grodzkiej dla subjektów kupieckich (2 serye o różnych godzinach, razem 66 osób) 7—12 marca, O. Kraupa; *c)* w kościele św. Barbary rekolekcye po raz pierwszy zorganizowane dla praktykantów handlowych 19—24 lutego, O. Jarosław Rejowicz (nauk 6, do Komunii przystąpiło 121, szkaplerz niebieski przyjęło 74, Sakramentu Bierzmowania udzielił Najprz. X. Biskup Nowak 48 praktykantom); *d)* w kościele św. Barbary dla 60 czeladników z kongr. Maryańskiej 20—25 marca, O. Jarosław Rejowicz (nauk 6).

Lwów, w kaplicy kolejowej dla robotników kolejowych i ich żon 7—13 marca, O. Gadowski (1 nauka dziennie).

Stryj, w naszej kaplicy dla robotników kolejowych 19—26 marca, OO. Waszyca, Uram.

13) Dla robotnic i służby żeńskiej:

Lwów, w naszym kościele *a)* dla szwaczek 22—28 lutego wieczorami, O. Sopuch; *b)* dla sług ze stowarzyszenia św. Zyty od 29 lutego do 6 marca, O. Sopuch.

Kraków, a) w kościele św. Barbary dla pracownic zajętych w fabryce cygar 22—26 lutego, O. Stanisław Mieloch; *b)* tamże dla szwaczek 28—31 sierpnia, O. St. Mieloch (3 nauki dziennie); *c)* w kościele św. Tomasza dla dziewcząt zajętych w pracowniach krawieckich, drukarskich, introligatorskich i w fabryce tutek, rekol. od 29 lutego do 7 marca, O. Kraupa.

Stanisławów, w naszym kościele dla sług ze stowarzyszenia św. Zyty od 29 lutego do 3 marca, O. Gołąbek.

Tarnopol, w naszym kościele *a)* dla sług ze stow. św. Zyty 8—12 marca, O. Sopuch (po 1 nauce dziennie); *b)* tymże drugi raz w czasie jubileuszu od 28 listop. do 2 grudnia, O. Bisztyga (po 1 nauce dziennie).

Nowy Sącz, w naszym kościele kolegiackim dla sług ze stow. św. Zyty 10—17 kwietnia, O. Haudek (po 1 nauce dziennie).

Staniątki, dla żeńskiej służby klasztornej 17—20 kwietnia, O. Łaszczyk.

Kołomyja, w naszym kościele dla sług ze stow. św. Zyty 24—27 kwietnia, O. Hrubant.

Rzeszów, dla sług ze stow. św. Zyty od 1 maja, O. Holik.

14) Rekolekcye dla więźniów:

Kołomyja, 27—31 marca, O. Smodlibowski (po 2 nauki dziennie, wyspowiadali się wszyscy 24).

Kraków, 10—17 kwietnia, O. Kraupa.

15) Towarzyszyli Biskupom w wizytacyach pasterskich jako kaznodzieje:

O. Kozubski w archidyec. lwowskiej jeździł z X. sufraganem Arcyb. Weberem od 20—31 maja.

O. Beigert z X. Arcyb. Weberem 1—20 czerwca w dekanacie stryjskim (parafie: Żydaczów i filie, Kochawina, Jajkowce, Żurawno, Machliniec, Sokołów, Żulin, Skole, Felizienthal, Mikołajów, Rozdół i filia).

O. Waszyca z X. Arcyb. Weberem 4—21 września (codzień 2, czasem 3 kazania). Wizytowane parafie: Łukowice, Żurów, Bukaczowce, Martynów, Wojniłów, Dołhe, Kałusz, Podmichale, Rożniatów, Dolina, Wełdzierz, (Wygodziec, Ludwikowce) Bolechów.

O. Wilczkiewicz w dyec. krak. z J. Em. X. Kardynałem Puzyną 3—12 czerwca.

16) Katechizacye i wycieczki misyjne:

Z Tarnopola dojeżdżają księża 3-ej probacyi prawie w każdą niedzielę po południu z katechizacyą do wsi: *Biała, Gaje, Petryków*.

Z Chyrowa jeden z księży profesorów odprawia sumę z kazaniem co niedzielę i święto w *Laszkach murowanych* (parafia Starasól), gdzie włościanie zbudowali sobie kaplicę poświęconą dnia 29 sierpnia 1903 roku przez sufr. przem. X. Biskupa Fischera. Pastoracyę tę rozpoczęto 31 stycznia 1904 r.

Z kolegium krakowskiego dojeżdża stale O. Makowski w każdą niedzielę i święto do *Bronowic* ze sumą i kazaniem

Scholastycy zaś w niedziele i święta po południu wykładają katechizm po dwóch w poblizkich wsiach: w *Dąbiu* (Prochyra, Krzemiński), w *Dębnikach* (Tarnawski, Chęć), w *Ludwinowie* (Sawicki, Kuznowicz), w *Płaszowie* (Konopka, Bulsiewicz), w *Prądniku czerwonym* (Nipocki, Roelle). Katechizacye te odbywają się w szkole, osobno dla dorosłych, osobno dla dzieci. Zaprowadzono je lat temu dziesięć, w Ludwinowie dopiero we wrześniu 1904 roku.

W Trenczynie (na Węgrzech) przez cały miesiąc lipiec miewał O. Zosel dla gości kąpielowych, sam się kurując, co niedzielę po dwa kazania, polskie i niemieckie, i słuchał spowiedzi w kilku językach: polskim, ruskim, słowackim, morawskim, niemieckim, francuskim, a nawet łacińskim.

17) Stała misya dla emigrantów w Rotterdamie (w Holandyi):

W portowej kaplicy, którą O. Wolszlegier przed kilku laty założył, korzystało przez przeciąg 1903 roku z nabożeństw i kazań O. Jarończyka 20.500 emigrantów, przeważnie Polaków

Fructus spiritualis Patrum

a die 1 Julii 1903,

	Baptisati	Confessiones		Communiones	Instr. ad 1-am Confess. vel. Com.	Matrimon. ben.	Ult. Sacramenta	Exerc. spir. priv.	Exercitia spir. public.			
		particul.	general.						Presb.	Studios.	Monial.	variis classibus
Cracoviense Colleg.	28	73.754	3.691	25.000	87	9	267	10	6	11	9	14
Statio Staniątecens.	15	18.000	248	23.500	—	—	76	1	—	—	—	1
Cracoviensis Resid.	860	82.598	2.877	113.190	34	23	138	2	1	7	3	34
Chyroviense Colleg.	26	29 724	3.194	—	60	4	22	7	1	6	—	13
Czernovicens. Resid.	10	17.676	300	10.805	262	—	108	1	—	3	—	8
Edelstadiens. Resid.	12	11.569	406	—	—	—	118	9	—	—	6	8
Karvinensis Resid.	810	27.219	993	31.100	679	106	170	1	1	—	3	7
Kolomyjensis Resid.	856	27.710	404	39.111	127	2	103	1	1	2	—	7
Leopolitana Resid.	2	64.107	1.080	79.500	76	6	89	1	6	6	4	26
Neo-Sandecense Col.	59	57.017	2.850	52.900	81	13	228	11	2	2	6	25
Oppaviensis Resid.	3	32.000	2.900	30.000	—	1	24	3	3	—	10	8
Stanislaopolit. Resid.	7	26.707	5.368	30.050	6	1	138	1	—	3	—	5
Staraviesiense Coll.	93	80.442	3.331	81.550	1	17	157	13	1	4	6	4
Stryjensis Resid.	—	6.230	450	—	5	—	24	—	1	1	1	8
Tarnopolit. Domus	55	47.529	1.603	29.150	16	3	263	2	2	2	2	9
Tessinensis Resid.	32	36.434	1.224	21.420	5	14	90	3	5	—	11	7
Zakopanensis Resid.	—	17.438	1.124	26.000	10	—	1	5	1	1	5	12
Jassiense Seminar.	16	3.854	463	—	34	1	14	3	1	2	5	3
Moldavic. Stationes	364	9.222	243	—	87	120	375	—	—	—	—	1
Universim	3.248	669.230	32.749	593.276	1.570	320	2.405	74	32	50	71	200

i innych Słowian; z tej liczby przystąpiło do św. Sakramentów 4.399 osób.

W r. 1904 liczba przejeżdżających do Ameryki i wracających przez Rotterdam podróżnych znacznie się zmniejszyła; w nabożeństwach wzięło udział 12.306 osób; spowiedzi było 2.630. Dość wielu przyjęło Szkaplerz i w tym i w poprzednim roku.

Codziennie w kaplicy rano o godz. 7 msza św., po południu różaniec; przeciętnie 60—80 osób bierze udział w nabożeństwie.

O. Jarończyk we wrześniu 1904 r. chorował dni kilka na febrę i influencę, obecnie zapadł poważniej na zdrowiu.

Uwaga. Uprasza się WW. Ojców, aby prace swoje w bieżącym 1905 roku notowali dokładnie i uwiadamiali o nich Wydawcę «Naszych Wiadomości».

Provinciae Galicianae

ad diem 1 Julii 1904.

Missiones	Conciones		Catecheses			Confer. et Instr.	Devotiones		Conversiones		Visitationes			Sodalitates directae	
	in nostr. eccles.	extra	in nostr. eccles.	extra	in schol. publ.		novemdial.	triduanae	haereticor.	Judaeor.	infirm.	carcer.	xenodoch.	quot?	numerus Sodalium
6	120	777	203	340	—	40	2	2	2	27	284	—	121	—	—
—	27	12	—	—	—	12	—	—	—	—	—	—	—	1	120
3	164	146	—	466	—	126	2	2	253	3	246	35	5	16	3.728
2	60	269	24	144	305	36	2	—	—	—	24	—	5	2	135
—	189	66	15	10	1.560	371	3	—	—	1	28	—	7	11	500
—	—	105	—	47	—	41	2	1	—	—	26	—	—	—	—
1	197	49	24	30	2.380	30	2	1	4	—	47	—	9	5	560
—	124	81	11	134	1.184	7	2	1	3	—	10	—	—	9	3.558
3	231	126	34	50	115	109	3	2	1	1	77	—	25	10	635
—	223	240	32	156	944	—	2	—	1	—	33	3	—	11	565
7	150	140	50	—	—	—	2	6	—	—	20	—	—	3	240
26	114	50	29	91	—	43	—	—	—	1	89	69	52	6	2.283
2	205	75	43	60	121	46	1	3	—	—	139	—	—	13	10.150
—	100	37	18	—	—	12	2	—	—	2	3	—	—	5	664
3	179	209	30	58	101	137	3	1	3	—	37	—	—	8	2.362
1	100	120	40	10	13	64	5	2	1	—	19	—	1	9	3.600
—	190	7	—	—	—	14	1	—	—	—	50	—	2	2	550
—	—	80	—	2	256	85	—	—	—	—	2	—	—	1	12
—	563	—	516	—	70	—	—	—	4	—	—	—	—	—	—
54	2.936	2.589	1.069	1.598	7.049	1.173	34	21	272	35	1.134	107	227	112	29.662

Uroczystości jubileuszowe ku czci Niepokalanej.

Rok 1904 zaznaczył się jak w całym świecie katolickim, tak i w naszej prowincyi zakonnej wspaniałą manifestacyą ku czci Najśw. Maryi P. w 50 rocznicę od ogłoszenia dogmatu Jej Niepokalanego Poczęcia. Nie tyle dla zachęty, bo tej wierni czciciele Maryi nie potrzebowali, jak raczej dla nadania całej akcyi kierunku bardziej jednolitego, złożony z Kardynałów komitet centralny w Rzymie, okólnikiem rozesłanym do Biskupów całego świata i do Generałów wszystkich zakonów zalecił sposoby i praktyki ważniejsze, według których należałoby w tym roku jubileuszowym obchody Maryańskie urządzić, aby jak najświetniej wypadły. W. O. Prowincyał nasz listem z dnia 25 stycznia 1904 r. podając do wiadomości całej prowincyi ów rzymski okólnik przez Przew. O. Generała nadesłany, określił jeszcze bliżej i odpowiednio do naszych warunków zastosował zawarte w nim praktyki, zostawił jednak Przełożonym miejscowym w wielu punktach swobodę, aby w urządzaniu uroczystości ku czci Niepokalanej postąpili tak, jak to wraz z swymi konsultorami uznają za odpowiednie.

Rok jubileuszowy już się zakończył z wielkim pożytkiem wiernych, a nie mniejszą chwałą Bogarodzicy. Ze wszystkich stron świata popłynęły szczegółowe o świetnie odbytych obchodach relacye do Komitetu centralnego w Rzymie, który je ma drukiem ogłosić w przeznaczonem na ten cel czasopiśmie «L'Immacolata». I nasza prowincya przesłała sporządzone w łacińskim języku sprawozdanie o tem wszystkiem, cośmy przy szczupłych środkach naszych zdołali w tym roku jubileuszowym wykonać ku czci Niepokalanej Dziewicy. Sprawozdanie to zawiera mniej więcej następujące szczegóły:

We wszystkich kościołach naszej prowincyi, w 8 dniu każdego miesiąca wotywę przez Ojca św. dozwoloną o Niepokalanem Poczęciu, a nadto stosowne nabożeństwo wieczorne urządzano jak najokazalej, przy licznym udziale ludu. Dnia 8 grudnia uroczystość Niep. Poczęcia N. M. P. obchodzono z największą, na jaką zdobyć się można było wspaniałością, a gotowano się do niej nowenną z kazaniami.

Kazania naszych księży w czasie tej nowenny, a także majowe i świętalne w uroczystości Matki Bożej i ile razy, jak na odpustach i misyach, stosowna nadarzyła się okazya, opiewały w całości lub w części chwałę Maryi z uwzględnieniem przywileju Jej Niepokalanego Poczęcia, które starano się ludziom dobitnie wyjaśnić, zachęcając przytem do gorącej miłości i nabożeństwa ku tej Niepokalanej Dziewicy.

Liczba dawanych w tym roku jubileuszowym misyi i re-

kolekcyi jest wcale pokaźna; wszystkim zamówieniom nie podobna było podołać.

Szczególniejszą uwagę zwrócono w tym roku na Kongregacye Maryańskie, aby je w kraju naszym pomnożyć, zorganizować lepiej i gorliwość w nich większą obudzić. W tym celu urządzono we Lwowie zjazd Moderatorów z całego kraju i wydano książeczkę (napisaną przez O. Wróblewskiego) p. t.: *Sodalicya Maryańska. Czem jest, jak ją zakładać i prowadzić?* Cel tych zabiegów w znacznej części został osiągnięty. Powstało sporo nowych Kongregacyi Maryańskich,[1] a gorliwość Sodalisów ujawniła się choćby tylko w doprowadzeniu do skutku Kongresu Maryańskiego, który się odbył we Lwowie d. 28 i 29 września, a nad wszelkie oczekiwanie zamienił się w wielką, wspaniałą manifestacyą katolicką całego narodu polskiego. Nie tu miejsce opisywać owe wspaniałe uroczystości lwowskie. Opisały je w swoim czasie wszystkie niemal czasopisma polskie; także nasz «Przegląd powszechny» (październik 1904) i «Posłaniec Serca Jezusowego» (zeszyt z grudnia 1904). Wyjdzie też wkrótce z pod prasy dwutomowy Pamiętnik tego Kongresu. Należy tu tylko zaznaczyć, że od lwowskiej Sodalicyi panów wyszła pierwsza myśl urządzenia Kongresu Maryańskiego we Lwowie, a gdy ją Najprzew. X. Arcybiskup Bilczewski pochwalił i skutecznie poparł, Sodalisi z O. Wróblewskim na czele projekt ten do skutku doprowadzili z niemałym trudem swoim i ofiarnością niektórych osób zamożnych.

Co w pojedynczych domach naszych zrobiono w tym roku jubileuszowym ku czci Maryi, podajemy w krótkości:

Kolegium krakowskie: Przed samą uroczystością Niepok. Poczęcia nowenna i trzydniówka rekolekcyjna w naszym kościółku, oraz wielka ośmiodniowa misya w kościele św. Katarzyny u OO. Augustynianów.

Wygłoszono sporą liczbę kazań o Matce Boskiej, zwłaszcza w miejscach cudownymi Jej obrazami słynących, jak Tuchów, Odporyszów, Piekary, Pszów. W Tuchowie na koronacyi cudownego obrazu M. B. miał O. Zosel 2 kazania, wobec 4 Biskupów i niezliczonych tłumów ludu.

Uroczysty wieczorek d. 4 grudnia, z odczytem O. Urbana, na który zaproszono z miasta uczone grono prałatów i profesorów uniwersytetu. Odczyt ten ogłoszony drukiem w grudniowym zeszycie «Przeglądu powszechnego» pod tytułem: «Niepokalane Poczęcie Bogarodzicy na tle dogmatycznego rozwoju Kościoła».

Redaktor «Przeglądu powszechnego» O. Pawelski pragnąc w tym roku jubileuszowym nakłonić literatów świeckich do

---

[1] Czytać o tem można w miesięczniku wychodzącym w Krakowie «Sodalis Marianus».

pisania o Matce Najśw., «aby nowa a trwała pamiątka czci Matki Bożej w naszym kraju pozostała, z okazyi tej uroczystości, w skarbcu naszej literatury», zapowiedział (w zeszycie grudniowym 1903 r.) konkurs, przeznaczając 1500 koron jako nagrodę za utwory najlepsze. Wynik konkursu ogłosił w zeszycie grudniowym (1904), wydanym ozdobnie a poświęconym wyłącznie czci Niepokalanej, gdzie też zamieszczone zostały i owe uwieńczone na konkursie utwory.

Także i inne wydawnictwa nasze peryodyczne, jak «Misye katolickie», «Posłaniec Serca Jezusowego», «Głosy katolickie», zamieszczały w ciągu roku artykuły o Matce Boskiej, a zeszyty swe z grudnia prawie wyłącznie poświęciły sprawom jubileuszu Maryańskiego. Nadto z okazyi tego jubileuszu ogłoszono drukiem następujące książki:

Ku czci Maryi. Zbiór pieśni i wierszy ułożonych przez Ojców i Braci Tow. Jezusowego prowincyi Galicyjskiej. (Wydał X. Fihauser).

Objawienie się i cuda w Lourd N. Maryi P. Niepokalanie Poczętej. Nakład podwójny, obszerniejszy i nieco skrócony, w 20.000 egzemplarzach. Wydał O. Zosel.

Historye cudownych obrazów N. Maryi P. w Polsce, tom II. Wydał O. Fridrich.

Nowenny przed ważniejszemi świętami Matki Boskiej, ułożył X. Piotr Kutyba.

Na konsulcie domowej postanowiono na pamiątkę jubileuszu umieścić w kościele, budować się mającym, tablicę marmurową i zbudować w ogrodzie grotę Matki Boskiej z Lourdes.

Dom w Staniątkach zależny od kolegium krakowskiego: Przed uroczystością Niepok. Poczęcia urządzono trzydniówkę misyjną dla służby ze wszystkich folwarków klasztoru PP. Benedyktynek, w której brał udział i lud z okolicznych wiosek.

Założył O. Brząkalski kongregacyę Maryańską w konwikcie żeńskim PP. Benedyktynek.

Rezydencya św. Barbary w Krakowie: Z końcem października i w listopadzie odbyły się trzy procesye jubileuszowe z kościoła św. Barbary do katedry na Wawelu, przy udziale wszystkich naszych kongregacyi, stowarzyszeń i bractw.

Rekolekcye jubileuszowe dla mężczyzn przez trzy dni, zakończone 3 grudnia Komunią generalną.

W ciągu roku zorganizowano lepiej istniejącą już dawniej Sodalicyę Maryańską studentów gimnazyalnych i utworzono przy kościele św. Barbary trzy nowe sodalicye: dla dziewcząt pracujących po warsztatach, dla uczniów wyższej szkoły przemysłowej i dla szwaczek w istniejącem stowarzyszeniu zawodowo-społecznem św. Antoniego. Oprócz tych założył X. Bratkowski w Przemyślu przy kaplicy Felicyanek sodalicyę pań, i w Tarnowie przy kościele Urszulanek sodalicyę pań wiejskich.

W sodalicyach szczególnie się uwydatnił ten rok czcią Niepokalanej.

Wszystkie sodalicye w dniu 29 maja urządziły uroczystość ku czci Matki Bożej; rano w kościele Wizytek odbyło się więc nabożeństwo i różaniec, które celebrował X. prałat Bandurski; po południu zaś w sali Strzeleckiej zebranie z odczytem i mowami prefekta sodalicyi panów, Dr. Bujaka, O. Alfreda Wróblewskiego, oraz X. Biskupa Nowaka. Chór wykonał najstarszą pieśń polską «Boga Rodzica». Sala zapełniona była sodalicyami oraz gośćmi najwyżej w mieście położonymi. Dekoracya bogata czyniła całość nader ujmującą.

Sodalicye panów, kupców i akademików w sali posiedzeń Arcybractwa Miłosierdzia ufundowały figurę Niepok. Poczętej.

Sodalicya akademików wysłała swoim kosztem dwóch członków na kongres Maryański do Rzymu.

Sodalicya praktykantów handlowych otworzyła własną biblioteczkę, oraz urządziła uroczystość poświęcenia sztandaru przy udziale innych sodalicyi, którego dopełnił d. 4 grudnia X. Biskup Nowak.

Sodalicya nauczycielek wiejskich ufundowała dwa stypendya imieniem Niepokalanego Poczęcia dla wychowania dwóch ubogich dziewcząt.

Przed uroczystością Niepok. Poczęcia wieczorem nowenna z kazaniami. W wigilię święta kościół cały był przybrany zielenią i chorągiewkami i oświetlony nadzwyczaj bogato, na zewnątrz zaś dekorowały go dwa wielkie transparenta przedstawiające Niepokalane Poczęcie i kościół św. Barbary.

Dwaj księża z rezydencyi, OO. Bratkowski i Jarosław Rejowicz, wygłosili referaty, pierwszy na kongresie Maryańskim we Lwowie, drugi na zjeździe Sodalisów w Chyrowie. Ciż sami wydali z okazyi jubileuszu kazania o Matce Boskiej:

Magnificat. (Kazania O. Bratkowskiego).

Kazania X. Skargi o Przenajśw. Bogarodzicy Niepokalanej Dziewicy. (Wydał O. Jarosław Rejowicz).

Kolegium chyrowskie opisało w swej gazetce uroczystości, jakie się tam odbyły z powodu tegorocznego jubileuszu. Wyliczymy więc tylko w streszczeniu ważniejsze punkta.

Dnia 24 i 25 września zjazd do Chyrowa dawniejszych Sodalisów chyrowskich i tarnopolskich.

Wszyscy konwiktorzy-sodalisi chyrowscy pojechali z własną chorągwią na Kongres Maryański do Lwowa. Niedawno zaś, w wielkim tygodniu (1905 r.) 40 konwiktorów, pod opieką OO. Stafieja i Kapauna, podążyło do Rzymu, biorąc udział w zbiorowej pielgrzymce, którą zorganizował X. Arcyb. Bilczewski dla blizko 400 uczniów średnich szkół galicyjskich.

Urządzono dwie wspaniałe akademie ku czci Niepokalanej.

Postarano się o karty pocztowe z wizerunkiem Matki Bo-

żej Niep. Pocz. (podług rysunku Brata Kurpiersa), będące w używaniu konwiktorów.

Dzień 8 grudnia obchodzony jak najuroczyściej, poprzedzony nowenną.

Rezydencya w Czerniowcach: Wszystkie bractwa nasze dwa razy w tym roku przystąpiły do wspólnej Komunii św. ku czci Niepokalanej.

Dwie pielgrzymki dla ludu urządzone w różnych czasach z naszego kościoła do obrazów cudownych Matki Boskiej w Stróżyńcu i Kaczykach.

Staraniem naszych księży odbyła się dnia 8 grudnia z naszego tudzież z parafialnego kościoła łącznie, wspaniała i bardzo liczna procesya na rynek, gdzie wygłoszone zostały kazania w niemieckim i polskim języku, odśpiewany hymn do Matki Boskiej, w końcu całe miasto oddane uroczyście w opiekę Niepokalanej Dziewicy.

We wsi Hliboka, dokąd regularnie dojeżdżają nasi księża z nabożeństwem, urządzono trzy razy procesyę jubileuszową i wyspowiadano przed uroczystością Niepok. Pocz. wszystkich tamtejszych mieszkańców.

Także w samych Czerniowcach wyspowiadano w tymże czasie wszystkie dzieci z tych 5 szkół, w których nasi księża udzielają nauki religii.

Na Kongres Maryański do Lwowa pojechało 20 osób z sodalicyi.

Liczba spowiedzi i komunii w naszym kościele dwa razy większa w tym roku, niż po inne lata.

Rezydencya w Zuckmantlu: Dwaj Ojcowie tutejsi prawie ustawicznie przebywali poza domem na misyach. Dnia 7 grudnia iluminowali swój dom najpiękniej z całego miasteczka.

Rezydencya w Karwinie: Staraniem X. Superiora Sieprawskiego odprawiona w parafii karwińskiej ośmiodniowa misya jubileuszowa dla ludu i przez tyleż dni konferencye dla inteligencyi niemieckiej.

Nowenna z kazaniami przed uroczystością Niep. Pocz.

Poświęcono kaplicę ku czci Niepokalanej, fundowaną przez Szewieczkową, jedną z parafianek.

Zbierają składki na figurę jubileuszową Niep. Poczęcia, która ma stanąć przed nowym kościołem, kosztem conajmniej 6.000 koron.

Poprzedni Superior X. Lipski założył w tym roku jubileuszowym czytelnię katolicką w kolonii Dąbrowskiej.

Zakładają się dwie Kongregacye Maryańskie: jedna dla młodzieńców, druga dla pań i panów mówiących po niemiecku.

Rezydencya w Kołomyi: Z początkiem roku jubileuszowego założono dwie Kongregacye, panów i pań pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia N. Maryi P.

Staraniem Kongregacyi panów zawiązało się w Kołomyi stowarzyszenie katolicko-narodowe pod wezwaniem św. Józefa. Z inicyatywy zaś kongregacyi pań powstało stowarzyszenie żeńskie sług św. Zyty, i drugie stowarzyszenie robotnic pod opieką św. Józefa.

Na Kongres Maryański do Lwowa pojechało z Kołomyi około 30 osób z sodalicyi.

Urządzono 23 października pielgrzymkę (350 osób) do cudownego obrazu M. B. w Kochawinie.

Staraniem poprzedniego Superiora X. Sieprawskiego odbyła się 16—24 czerwca w naszym kościele wielka misya polsko-ruska.

W czasie nowenny z kazaniami przed uroczystością Niep. Poczęcia, na którą uczęszczało około 2000 ludu, brzmiały hejnały z wieży kościelnej, pięknie przybranej chorągiewkami. W wielkim ołtarzu, z ofiar panów i pań bogato ozdobionym, jaśniała wśród rzęsistego oświetlenia piękna statua N. M. P. Niep. Poczętej. W samą uroczystość 8 grudnia liczba komunikujących znaczna, w tej około 100 osób z inteligencyi.

Pewien mieszczanin kołomyjski ufundował na placu przed głównemi drzwiami naszego kościoła statuę Najśw. Panny Niep. Poczętej, którą poświęcono uroczyście d. 8 grudnia po sumie.

Ludność miasta Kołomyi sprawiła ze składek dla naszego kościoła nowy kielich, sztuczne kwiaty, oraz cenny biały ornat z haftowanym wizerunkiem N. M. P. Niep. Poczętej.

Obrazków transparentowych Niep. Poczęcia, do naklejania na okna zamiast iluminacyi, rozkupiono, staraniem naszych, w mieście około 4000.

Rezydencya lwowska: Kult cudownego obrazu Matki Boskiej w naszym kościele, zwłaszcza po ogłoszeniu drukiem o tymże obrazie małej książeczki przez X. Sygańskiego, wzrósł tego roku w dziwny, cudowny niemal sposób; zewsząd napływają niesłychanym dotąd u nas przykładem przeliczne a kosztowne dary i wota na ozdobienie cudownego obrazu i ołtarza, na urządzenie dlań wspaniałej kaplicy, wreszcie na korony i koszta kanonicznej koronacyi, do której pierwszą myśl podały same osoby świeckie, a poparli ją wszyscy biskupi i najwyżej położone osobistości w kraju tak skutecznie, że akt koronacyi prędzej i łatwiej niż się spodziewano, został pozwolony przez Rzym i na 28 maja b. r. naznaczony. Nad wykonaniem koron i ozdób ołtarza pracują z pośpiechem pierwsi artyści lwowscy z wielką życzliwością i zainteresowaniem, a niektórzy całkiem bezinteresownie.

Moderator sodalicyi Maryańskich, O. Wróblewski, wraz z swymi Sodalisami niezmordowanie pracował słowem, czynem i piórem, aby doprowadzić kongres Maryański do skutku, obmyślając wszystko i objeżdżając większe miasta z odczytami dla

zjednania kongresowi przychylnej opinii, licznych uczestników i poparcia w całym kraju. Na Kongresie miał referat: «Dogmat Niep. Poczęcia a Sobór watykański».

Sodalicya Maryańska zgromadziła znaczną kolekcyę dzieł o Matce Boskiej tak dawnych jak i nowszych, które wyszły w Polsce, aby je w bogatej, jednakowej oprawie posłać w darze Ojcu św. dla świeżo zakładającej się w Rzymie biblioteki Maryańskiej.

W plenarnem zebraniu sodalicyi galicyjskich w naszym kościele w czasie kongresu, wziął udział X. Arcybiskup Bilczewski, a zapisawszy się do ich grona, publicznie odczytał akt poświęcenia się N. Pannie, z niemałem zdziwieniem i zbudowaniem wiernych.

Wielka misya odprawiona przez naszych księży w lwowskiej katedrze łacińskiej zakończyła d. 7 grudnia pamiętne uroczystości jubileuszowe.

Kolegium w Nowym Sączu: Dwie nowe Kongregacye Maryańskie założone.

Akademia o Matce Boskiej urządzona przez Scholastyków.

Uroczystość Niep. Poczęcia z trzydniówką obchodzona jak najświetniej.

Rezydencya w Nowym Sączu, najmłodsza, bo z początkiem maja 1904 r. otwarta, rozpoczęła swą działalność zaprowadzeniem majowego nabożeństwa z kazaniami — urządziła trzydniówkę przed świętem Niep. Poczęcia — założyła kongregacyę Maryańską dla robotników kolejowych.

Rezydencya w Opawie: Założono dwie nowe Kongregacye Maryańskie, dla Niemek i Czeszek.

Dwie liczne pielgrzymki poprowadzono do cudownych obrazów Matki Boskiej, niemiecką do Köhlenberg, czeską do Hrabiny.

Dwie trzydniówki z kazaniami, dla Niemców i Czechów, urządzono przed uroczystością Niep. Poczęcia.

Także i w 13 innych kościołach śląskich odprawili nasi księża z Opawy trzydniówki jubileuszowe z kazaniami i Komunią generalną, nie wliczając w to licznych misyj i rekolekcyi dawanych w tym roku.

Rezydencya w Stanisławowie: Kongregacye Maryańskie panów i pań wzięły udział w Kongresie Maryańskim we Lwowie przez licznych swych delegatów.

Stowarzyszenie św. Józefa podążyło w liczbie około 1500 osób z chorągwiami osobnym pociągiem do Lwowa, na zakończenie Kongresu Maryańskiego w dzień św. Michała, 29 września.

Ci co pozostali, połączywszy się z parafią, urządzili wspaniałą procesyę w Stanisławowie, w tymże dniu 29 września.

W tym roku jubileuszowym Kongregacya Maryańska pań zobowiązała się dawać codziennie obiad dla 8 ubogich; mają

zamiar wykonywać ten akt dobroczynny i w latach następnych.

Nasi Misyonarze, oprócz wielu misyi w różnych miejscowościach, odprawili w poblizkim Łyścu trzydniówkę jubileuszową, w której także i ludność miasta Stanisławowa czynny brała udział.

Kolegium i Nowicyat w Starejwsi: Odmalowano pięknie cały kościół i odnowiono wielki ołtarz N. Panny.

Codzienne nauki w czasie majowego nabożeństwa poświęcono rozbiorowi Godzinek Niep. Poczęcia.

Urządzono jubileuszowe misye ludowe: w Gogolowie, Brzozowie i Golcowy.

Z parafii okolicznych przybywały procesye jubileuszowe do cudownej Matki Boskiej Starowiejskiej.

Rozpowszechniono po okolicy i w dalszych nawet stronach mnóstwo obrazów Niepokalanie Poczętej.

Jeden z księży (O. Czencz) wygłosił w miesiącu listopadzie mowę przy uroczystem poświęceniu olbrzymiej figury Niepokalanej Dziewicy na rynku w Jaćmierzu; takąż mowę wnet potem miał w Humniskach; umieszczał własne artykuły i wiersze ku czci Najświętszej Panny Niepokalanej w pismach peryodycznych.

Scholastycy urządzili trzy uroczyste akademie: a) N. Panna Niepokalana w kaznodziejstwie polskiem, b) N. P. Niep. w Polsce, c) N. P. Niep. w Towarzystwie Jezusowem.

Postarano się o to, aby miasto Rzeszów urządziło na cześć N. P. Niepokalanej uroczysty wieczór jubileuszowy z odczytami i muzyką.

Kongregacya Maryańska pań w Starejwsi ofiarowała tablicę marmurową na pamiątkę jubileuszu. Kongregacya pań w Krosnie postawiła w temże mieście statuę Niepok. Poczętej Dziewicy. Nadto kongregacye panów i pań obywatelek urządzały po swych dworach nabożeństwa i w maju i później, z uwzględnieniem i pouczeniem o jubileuszu. Przed Komunią zaś generalną w miesiącu październiku Sodalisi przed ołtarzem cudownym w Starejwsi poświęcili się na nowo Matce Najśw.

Rezydencya w Stryju: W ubożuchnej kapliczce stryjskiej, otwartej z początkiem 1904 roku, dwaj nasi księża odprawili nowennę z kazaniami przed uroczystością Niep. Poczęcia.

Dom «Trzeciej Probacyi» w Tarnopolu: Wyspowiadano w czasie jubileuszu młodzież ze wszystkich pięciu szkół miejskich.

Dano potrójne rekolekcye jubileuszowe w Tarnopolu, także rekolekcye w Chodaczkowie Wielkim i Samborze.

Dziesięć srebrnych wotów bardzo pięknych z odpowiednimi napisami jubileuszowymi ofiarowali ludzie do Matki Boskiej Niep. Pocz. w wielkim ołtarzu naszego kościoła. Między temi dwie srebrne tabliczki są darem Kongreganistek, które ka-

zały na nich wyryć swe nazwiska. Panie ubrały wielki ołtarz białemi liliami.

Rezydencya w Cieszynie: Zaprowadzono w kościele śpiewanie co sobota Godzinek o N. M. P.

Sprawiono dla kościoła statuę Niep. Pocz. N. M. P.

Kongregacya Maryańska urządziła wieczorek Maryański na cele dobroczynne.

Założono 1 maja nową Kongregacyę Maryańską dla pań.

Urządzono pielgrzymkę ludową do cudownego obrazu Matki Boskiej we Frydku.

W procesyi Maryańskiej po mieście wzięli Nasi udział, a jeden z księży przemówił po polsku i niemiecku.

Jako przygotowanie do uroczystości Niepokalanego Poczęcia odbyły się w naszym kościele rekolekcye dla Kongregacyi Mar., tudzież nowenna z polskiemi i niemieckiemi kazaniami.

Rezydencya w Zakopanem: Przed uroczystością Niepok. Poczęcia nowenna z kazaniami wieczorem, przy licznym udziale wiernych.

W samą uroczystość (8 grudnia) kościół nasz zewnątrz i wewnątrz pięknie ozdobiony.

Wieczorem tegoż dnia illuminacya w całem miasteczku z inicyatywy naszych Ojców; na szybach okien jaśniały wszędzie wśród ognia świec transparentowe obrazki Niepokalanej, sprowadzone ze Lwowa w liczbie 2000.

Jeden z naszych księży (O. Adamski) wydał w drukarni św. Wojciecha w Poznaniu spory tom swych kazań o Matce Boskiej, p. t.: *Hołd Niepokalanej Dziewicy Bogarodzicy*, przyjęty bardzo pochlebnie przez duchowieństwo.

Jest w planie postawić na wiosnę w ogrodzie naszym statuę Niepokalanej, któraby była zdala widoczną dla publiczności. Nadto jeśli się znajdą fundusze, ma być zbudowana grota N. Panny z Lourdes na stoku pagórka, przy drodze wiodącej na «Górkę».

Seminaryum w Jassach obchodziło święto Niepokalanego Poczęcia uroczystem nabożeństwem z nowenną w kaplicy, i piękną akademią w domu.

Wszystko Bogu na chwałę i pomnożenie czci Niepokalanej Dziewicy!

Wycieczka misyjna do polsk. robotników w Szwecyi.

We wrześniu 1904 roku.

Powróciwszy z Pomorza po ukończonej tamże dla robotników polskich misyi, otrzymałem od Przełożonych zlecenie udania się po dwutygodniowym wypoczynku na podobną misyę do Szwecyi. Od niedawna rozpoczął się na Skandynawski

półwysep ruch emigracyjny robotników i robotnic z Galicyi. Rozproszeni w liczbie około pół tysiąca po różnych okolicach południowej Szwecyi, pracują jużto w kopalni kaolinu, jak w Bromölla, jużto przy wydobywaniu torfu, jak w Emmaljunga, głównie zaś po większych majątkach ziemskich przy uprawie pól i żniwie.

Pierwszy, który zajął się tym ludem w tamtych stronach, jest O. Bernard Stolberg T. J. z prowincyi niemieckiej. W młodości służąc przy wojsku, zetknął się z ludem naszym i pokochał go szczerze. «Tyle w nich, powiada, znalazłem serca i wdzięczności, tyle dobrej woli, iż miałem wiele z nich pociechy, a budowałem się ich pobożnością i przywiązaniem zwłaszcza do tych, którzy się z nimi obchodzili po ludzku». Z żołnierza, hr. Bernard Stolberg, zostawszy kapłanem, przez lat 17 zawiadywał parafią miasta Malmö w południowej Szwecyi, gdzie też zbudował kościółek. Mając lat 47 wieku, został Jezuitą w r. 1875. Jako znającemu język i stosunki szwedzkie, zlecili mu przełożeni pracę misyjną w tymże kraju. Mieszka tedy stale w Norrköping w północnej Szwecyi; jeden z większych pokoi swego ubogiego domku obrócił na kaplicę publiczną, gdzie odprawia nabożeństwa dla wiernych, a od czasu do czasu odbywa wycieczki misyjne po całym kraju. On to dowiedziawszy się, że ten tak sympatyczny dlań ludek polski emigruje w poszukiwaniu pracy aż za morze do Szwecyi, resztę sił, bo już starcem jest blizko 70 letnim, poświęca na jego usługi, a nie znając dostatecznie języka polskiego, wyżebrany i zaoszczędzony grosz obraca na sprowadzenie dwa razy do roku misyonarza z Galicyi, by ten lud bez sakramentów i słowa bożego nie zmarniał dla Kościoła i ojczyzny. Na żądanie więc O. Stolberga wysłał nasz O. Prowincyał poprzednio O. Rudzkiego dwa razy,[1] a teraz mnie na tę niewielką wprawdzie, ale dość uciążliwą wyprawę misyjną.

Z Krakowa jadąc na Berlin i Kopenhagę (tu nocleg w naszem kolegium), potem morzem i znowu lądem, stanąłem na stacyi kolejowej Ljung-Byhed w południowej Szwecyi, gdzie zastałem O. Stolberga, który wraz z p. Andersonem wyszedł na moje spotkanie. P. Ernest Anderson, rodowity Szwed a przytem gorliwy konwertyta, ożeniony z Westfalką pochodzącą z dawnej rodziny polskiej, ma u siebie kaplicę, a dom jego dla misyonarzy jest otwarty w każdym czasie. To też przez kilka dni z O. Stolbergiem gościliśmy u tej przezacnej rodziny. W czasie mszy św. sam gospodarz domu jako ministrant klęczał na stopniu ołtarza, żona jego śpiewała i grała na fisharmonii, a dwoje dzieciaków, jak aniołki, patrzały zdziwionemi oczkami na to nabożeństwo, którego jeszcze nie rozumieją.

W całej Szwecyi liczba katolików bardzo niewielka, a ka-

[1] «Misye katol.» luty 1905, str. 46—48.

płanów jest 11 zaledwie. I tak w Sztokholmie przy kościele św. Eryka rezyduje Wikaryusz Apostolski X. Biskup Adalbert Bitter z dwoma księżmi świeckimi, tamże przy kościele św. Eugenii pracuje 3 kapłanów, w Göteborg 2, w Malmö 2, w Gefle 1, wreszcie w Norrköping w świeżo założonej parafii apostołuje Jezuita O. Stolberg, nieodstępny mój towarzysz w obecnej wyprawie misyjnej po Szwecyi, wożący wszędzie z sobą spory pakunek z przyborami do mszy św.

Z nim razem tedy w sobotę d. 2 września wyruszyłem do *Anderslôf* na pierwszą pracę misyjną. Gdyśmy tam przybyli wieczorem o godzinie 7, mówią nam, że tejże nocy ma się tu odbyć zabawa z tańcami, coś w rodzaju polskich wyżynek. Praca nasza zapowiadała się więc niepomyślnie, jednak ku pociesze naszej Polacy zapewnili nas, że przed północą zakończą zabawę i rano przed godziną 6 stawią się wszyscy w szkole, gdzie się miało odbyć nabożeństwo. I dotrzymali słowa. Nazajutrz, w niedzielę o umówionej godzinie miałem dla nich naukę i słuchałem spowiedzi, podczas gdy O. Stolberg zajął się (jak to bywało indziej) urządzeniem ołtarza. Koło godziny 9 miałem ostatnią mszę św. z kazaniem i rozdzieliłem wszystkim (41 osób) Komunię św. Byli to nasi Galicyanie od Dębicy i Tarnobrzega. Po nabożeństwie odwiedziłem ich w «kasarni» i skosztowałem ich kawy, która posiadała wszystkie smaki, tylko nie kawy.

Tego samego dnia wieczorem przybyliśmy do *Martwinshol,* zabrawszy z sobą po drodze z sąsiedniego folwarku Börringe 5 osób pochodzących z Królestwa Polskiego. Tu zaraz w szkole miałem do ludzi naukę i słuchałem spowiedzi, co się przeciągło do późnej nocy. W poniedziałek rano od godz. 5 wysłuchałem resztę spowiedzi, poczem msza św. i przed rozdaniem Komunii św. kazanie.

Koło południa byliśmy już w drodze do *Kronowall,* gdzie mają swój pałac hrabstwo Sparre. Aby się tam dostać, musieliśmy jechać koleją aż do nadmorskiego miasta Ystad, stąd na północ do stacyi kolejowej w St. Olof (dawna osada katolicka, dziś luterska, tak nazwana od imienia św. Olawa, patrona Szwecyi). Ze stacyi po jednogodzinnej jeździe powozem zaprzężonym parą rączych rumaków, przyjechaliśmy wązką ale gładko ubitą drożyną pośród prześlicznych bukowych lasów, do pałacu Kronowall. Budowa to wspaniała z połowy XVII. wieku. Dokoła olbrzymi, kilkudziesięcio morgowy park z odwiecznymi dębami i bukami, z gustownie rozmieszczonemi ścieżkami, ławkami, mostkami, z bujną zielenią pośród wznoszących się tu i owdzie, drobną krzewiną zagajonych wzgórków — jest prawdziwą ozdobą tej magnackiej siedziby, a skoro odezwie się bęben miedziany, używany tu zamiast dzwonu do regulowania domowego porządku, to odgłos jego uderzeń uroczo rozlega się pośród tych zacisznych, majestatycznemi drzewami ocienionych chodników.

Serdeczne znaleźliśmy przyjęcie w tym otwarcie katolickim domu, o patryarchalnych iście obyczajach, będącym jedną z nielicznych oaz katolicyzmu w Szwecyi. Bo też wielką byłoby obrazą dla państwa Sparre, gdyby jaki ksiądz katolicki, bawiąc w tych stronach, pałac ich pominął. Hrabina, z domu Hamilton Szkotka czy Angielka, druga żona pana na Kronowallu, gorliwa katoliczka, w czem jej też wcale mąż nie ustępuje, czynnie popiera misyę dla robotników polskich. Szkoda tylko, że zdrowie bardzo wątłe nie rokuje jej, po ludzku mówiąc, długiego życia.

Rano, o godzinie 9 cały dwór ze służbą i jaka tylko w sąsiedztwie, w dalekim promieniu dusza katolicka się znalazła, zbiegli się wszyscy do prześlicznej kaplicy pałacowej, wszyscy też przystąpili do spowiedzi i Komunii św. Zacny hrabia sam z największem skupieniem służył nam do mszy św. Trzy dorastające córki z pierwszego małżeństwa, wzorowo chowane w pobożności, prostocie i niewinności, tudzież dwoje drobnych dziatek hrabstwa, słuchały mszy św. klęcząc. Wieczorami cała rodzina ze służbą codzień w kaplicy wspólnie odmawia różaniec i pacierze wieczorne, zresztą skazana jest na głód duchowny, bo najwyżej kilkanaście razy do roku, gdy tu zawita ksiądz katolicki, mają ci ludzie sposobność słuchać mszy św. i przystąpić do św. Sakramentów.

Dwa dni zabawiwszy u państwa Sparre, podążyliśmy ze stacyi St. Olof koleją w stronę południa do *Stenstorp,* gdzie w pałacu hr. Ehrenschwärd urządziliśmy nabożeństwo dla zatrudnionych tu 12 polskich ludzi. Jakaś pani przejezdna, rozrzucająca między robotnikami polskimi w Szwecyi biblię i inne pisma protestanckie w polskim języku drukowane, obdarzyła i tych tu ludzi takiemi książkami, które ja skonfiskowałem dając im przestrogę, aby książek religijnych bez aprobaty biskupiej nie czytali. Zresztą przyjęcie w tym domu, choć protestanckim, było bardzo gościnne. Pałac starożytny, dokoła otoczony olbrzymiemi drzewami, posiada bogatą bibliotekę, mnóstwo starych portretów rodziny Ehrenschwärd i pięknie z bronzu wykonane popiersie szwedzkiego uczonego Tycho de Brahe, który się tu wychowywał.

Jadąc na dalszą pastoracyę w stronę zachodnią Szwecyi, zatrzymaliśmy się wieczorem dnia 9 września w *Christianstadt,* powitani przez kierownika fabryki tkackiej, pana Fells, gorliwego katolika z nad Renu, który dla powitania nas wyszedł na dworzec kolejowy z całą swoją rodziną. Na noc umieszczono nas w hotelu. Nazajutrz rano odprawiliśmy w salonie państwa Fells mszę św. Cała rodzina, sama jedna katolicka w tem mieście, przystąpiła do Sakramentów św. Miał tu być jeszcze jeden katolik, jakiś student gimnazyalny, aleśmy go nie mogli odszukać.

Następnie po jednogodzinnej jeździe koleją, stanęliśmy nad samem morzem w wiosce *Bromölla,* gdzie w fabryce cegły kaolinowej 130 polskich ludzi znajduje zajęcie. Z tych na pobliżkiej wyspie Ifo 12 mężczyzn i 1 kobieta wydobywają glinę z pod ziemi, kilkoro zajętych ładowaniem tejże gliny na duże łodzie, ciągnione za pomocą małych parowczyków na ląd do fabryki, w samej zaś fabryce pracuje we dnie i w nocy przeszło 100 polskich robotników i robotnic. Złożywszy w nędznym hotelu nasze pakunki podróżne, zwiedziliśmy fabrykę, oprowadzani przez galicyjskiego żydka nazwiskiem Verständig, nader sprytnego agenta w dostarczaniu tutejszym przedsiębiorcom tanich sił roboczych z Galicyi. Biedni robotnicy, okryci białym pyłem, wyglądają jak młynarze. Pył ten bardzo szkodliwie działa na oczy, dlatego większa część robotników posługuje się czarnemi okularami. Miejscowość mokra, bagnista, mieszkania nad samym brzegiem morza zbite z desek nakształt szałasów, a nadomiar ostry wiatr od morza — wszystko to niekorzystnie się odbija na zdrowiu tych ludzi. Ucieszyli się niezmiernie z mojego przybycia i wylewali przedemną swe żale. Powiadają mi, że jedna z mężatek powiła dziecię i jest ciężko chora. Dziecię ktoś z robotników ochrzcił z wody, lecz dla dopełnienia ceremonii chrztu św. wożono je daleko, najprzód do Malmö do proboszcza, potem do Kronowall, gdzie u państwa Sparre przebywał chwilowo X. Knappen, Polak ze zgromadzenia Marystów osiedlonych stale w Roskildzie. Proboszcz według praw krajowych dziecka chrzcić nie mógł w braku potrzebnych dokumentów, X. Knappen zaś nie miał ze sobą potrzebnych przyborów. Więc nazajutrz po odprawieniu mszy św. w hotelu, ja zaopatrzyłem ostatnimi Sakramentami chorą matkę, a tymczasem O. Stolberg dopełnił ceremonii chrztu nad dzieckiem. Był to dzień sobotny. Po południu i w niedzielę od rana w jakiejś szopie przemienionej na kaplicę, którą dziewczęta zielonemi girlandami, obrazami i jaskrawemi chustkami przyozdobiły, powiedziałem kilka nauk i wysłuchałem spowiedzi wszystkich 130 osób. W czasie sumy rozdałem Komunię św. Dwóch chłopaków służyło mi do mszy św., a cała pobożna gromadka pełną piersią śpiewała polskie pieśni: «Serdeczna Matko», «Boże w dobroci» i t. p. Po nabożeństwie i obiedzie odjazd. Odprowadzili nas wszyscy na kolej, rozmawiając w drodze z wylaniem serca. Jedna z dziewcząt śmielszej natury, wskazując na leżące gęsto wzdłuż drogi i po polach głazy granitu, które co krok musieliśmy omijać, mówi mi naiwnie:

— A wiedzą Jegomość, skąd się wzięły te kamienie rozsiane po szwedzkim kraju?

— No powiedz, jeśli wiesz.

— A bo to w dawnych czasach te Szwedy, naród bardzo zuchwały, rzuciły się na cudowną Matkę Boską Częstochow-

ską, i za to Matka Boska skarała ich straszliwie deszczem kamiennym.

Na zapytanie, jak się dostali w te strony, taką otrzymałem odpowiedź:

— Ano ten żyd Verständig zwerbował nas mówiąc, że koło Berlina pracować będziemy, a skorośmy przyjechali do Szczecina, dał każdemu bochenek chleba za 50 fenigów i wsadził nas na stary okręt. Cały dzień tłukliśmy się po morzu. Wszyscyśmy się rozchorowali. Zdawało się, że życie na wodzie zakończyć trzeba. Raz okręt stanął na środku morza, bo się coś popsuło; strachu było co nie miara. Nie dali nam wody do picia, lecz chcieli byśmy piwo i wódkę pili — tak my pili wodę morską.

Ze łzami w oczach pożegnany przez ten ludek poczciwy, pojechałem z O. Stolbergiem do znanej nam już rodziny p. Andersonów, u których przepędziliśmy dwa dni. W środę wieczorem stanęliśmy na stacyi kolejowej miasta portowego Landskrone na południowem wybrzeżu; stąd końmi przysłanemi przez p. Jansona, zarządcę majątku, przybyliśmy do *Marienberg* i zaraz w improwizowanej kaplicy miałem krótką naukę do ludzi naszych z Galicyi, których 20 osób pracuje w tym dworze. Następnego dnia rano druga nauka, słuchanie spowiedzi, dwie msze i Komunia św. Lud dziękował ze łzami.

I znowu koleją z Landeskrone do Helsingeborg, stąd do wielkiej cukrowni Towarzystwa akcyjnego w *Pireköpinge*, gdzie inspektor tego majątku przyjął nas nadzwyczaj gościnnie, tak, że nam na niczem nie zbywało. W czwartek od godziny 5 po południu do późnej nocy i w piątek od rana pracowałem jak w poprzednich miejscowościach. 60 osób, przeważnie z Galicyi, przystąpiło do Sakramentów św. Wszyscy z małymi wyjątkami pracują tu na roli.

Następnie od soboty wieczora pracowałem w *Westraby,* majątku należącym do tego samego Towarzystwa akcyjnego. Mieszkaliśmy u p. Hanson, generalnego inspektora wszystkich dóbr akcyjnych, nabożeństwa zaś odbywały się w szkole. Ostatnia msza św. z kazaniem w niedzielę skończyła się dopiero koło południa, gdyż z daleka na nią ludzie się ściągali. P. Hanson do tego stopnia posunął swą uprzejmość, że wszystkich katolików przybyłych zaprosił razem z nami na obiad. A jak ludzkim okazuje się dla polskich robotników, za dowód niech posłuży ten jeden fakt, że gdy w poprzednim roku pewna dziewczyna od Dąbrowy z Galicyi, nabawiła się tu przy maszynie przez swą nieostrożność kalectwa, on nietylko że ją nadal lekką pracą zatrudnia, ale z niemałym zachodem wystarał się dla niej o roczną rentę 300 marek na całe życie.

Koło godziny 5 wieczorem w niedzielę przybyłem z O. Stolbergiem na stacyę Margarid. Ponieważ już tego dnia nie

szedł żaden pociąg do *Emmaljunga*, gdzie nas oczekiwała praca, przeto wynająwszy wóz w hotelu, podążyliśmy tam zaraz drogą przepaścistą pośród bagnisk, głazów i przetrzebionych lasów, kąsani okrutnie od much i komarów zjadliwych. Po godzinie tej męczącej jazdy przybyliśmy na miejsce. Naprzeciw nam cała inteligencya fabryczna, a mnogo jej było, wyszła jak na dziwowisko. Jakąś szopę z desek przeznaczono do nabożeństw, którą dziewczęta polskie przyozdobiły jak mogły zielenią i obrazkami, a podłogę przed improwizowanym ołtarzem własnemi pokryły chustkami. Zgromadziło się ludzi polskich 30, a więcej niż dwa razy tyle osób z inteligencyi szwedzkiej, chcących ciekawie przysłuchać się mojej wstępnej nauce, z której ani słowa nie rozumieli. Zachowali się jednak przyzwoicie; tylko jeden młodzik, widząc łzy i płacz naszych, uśmiechał się z ironią. Po nauce słuchałem spowiedzi w jakimś składzie starych rupieci. Wyszedłem stamtąd z twarzą i głową spuchniętą od ukąszenia złośliwych owadów. Późna już była godzina, gdyśmy pociągiem wracali do Margarid dla przepędzenia nocy w hotelu. Wczas rano przy ostrym mrozie jesiennym jedziemy znowu do Emmaljunga koleją. Dygocąc cały od zimna, cięty od komarów, którym niepodobna się było opędzić, odprawiłem mszę, rozdałem Komunię św. i powiedziałem krótką naukę. Zwiedziłem zaraz potem barak na niezdrowem bagnisku postawiony, gdzie polscy robotnicy mieszkają, nie mając innej do picia i gotowania wody, jak tylko ze wstrętnej kałuży, pełnej robactwa i gnijących wodorostów. Praca tych ludzi jeszcze cięższa, niż w Bromölla, bo całemi godzinami, a to nawet wczesną wiosną i późną jesienią, muszą stojąc we wodzie, wydobywać forf z bagniska. Ten sam ajent, żyd Verständig, którego poznałem w Bromölla, sprowadził ich tutaj i grubo na nich zarabia. Pobiera od zarządu fabryki mniej więcej 60 koron miesięcznej płacy na osobę. Z tego wypłaca miesięcznie chłopom po 21 koron, chłopcom po 18 koron, dziewczętom po 17 koron; resztę obraca na żywność, której im dostarcza dość wprawdzie dostatnio pod względem ilości, lecz pod względem jakości bardzo wstrętnie i licho. Ten cały wikt nie może więcej kosztować na osobę jak 15—20 koron miesięcznie; proszę tedy obliczyć, ile zostaje w kieszeni niesumiennego ajenta. A tak po 9 miesięcznej mozolnej pracy, wraca nasz biedny robotnik do ojczystego kraju z nędznym zarobkiem, a często z zarodkiem ciężkiej choroby.

W Emmaljunga zakończyłem moją trzytygodniową wędrówkę misyjną i pożegnałem ze łzą w oku sędziwego O. Stolberga, apostoła Szwecyi, który mi wszędzie towarzyszył i przyświecał swej gorliwości przykładem, nie pozwalając nawet wyręczać się w dźwiganiu ciężkiego kuferka z przyborami mszalnymi. Przed tygodniem na pewnej stacyi (Ästrorp) złożyłem w jednej z sal publicznych mój kuferek podróżny na łaskę

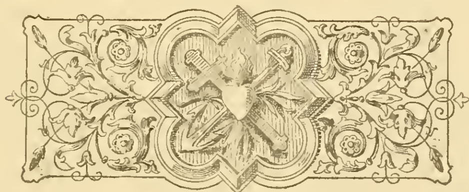
i niełaskę publiczności, bo mię zapewniano, że w Szwecyi kradzież nieznana. I rzeczywiście, wracając tędy, znalazłem nietknięty kuferek na tem samem miejscu, gdziem go tydzień temu zostawił.

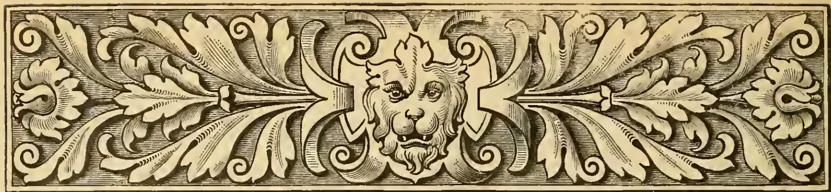
W kilka tygodni po powrocie do Nowego Sącza, otrzymałem od znanego nam p. Andersona list, który zawierał prośbę następującą:

«Wielebny Ojcze! Przyślij mi do mej kaplicy domowej śliczny olejny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, abym tym sposobem mógł wynagrodzić za zniewagi tej cudownej Królowej i Pani na Jasnej Górze, jakich Ona doznała od moich rodaków».

Mam w Bogu nadzieją, że nasza Jasnogórska Pani czczona w tym kraju, oraz krew męczeńska O. Laterny w tych stronach przelana, przybliży dla protestanckiej Szwecyi czas łaski i powrotu do Chrystusowej owczarni.

Ks. Józef Gadowski T. J.





ZAKOŃCZENIE REFORMY BAZYLIAŃSKIEJ.

Wielkie i trudne, a przytem pełne odpowiedzialności dzieło reformy zakonu OO. Bazylianów w Galicyi, powierzone w r. 1882 naszej prowincyi przez Ojca św., Leona XIII., jest już obecnie ukończonem z naszej strony. W miarę jak odradzającemu się zakonowi przybywało własnych członków, duchem św. Bazylego W. przejętych i o tyle już uzdolnionych, aby reformę mogli dalej niezachwianie utrzymać: nasi opuszczali zwolna zajmowane w klasztorach bazyliańskich stanowiska. W końcu i O. Piotr Bapst, zajęty w ostatnich latach sam jeden z naszych u Bazylianów, zwolniony został przez Ojca św., Piusa X., od przełożeństwa nad tym zakonem i dnia 10 września 1904 roku złożył urząd prowincyała w ręce Bazylianina X. Hieronima Malickiego, który go tymczasowo sprawował aż do powrotu z misyi amerykańskiej X. Platonida Filasa, zamianowanego przez św. Kongregacyę Propagandy prowincyałem po O. Bapście.
Przytaczamy tu kilka dokumentów i listów w tej sprawie, przydać się kiedyś mogących jako materyał do historyi.

1. List od św. Kongregacyi Propagandy, do Przew. O. Ludwika Martin, Generała T. J., z uznaniem i pochwałami dla dokonanego przez naszych Ojców dzieła Reformy Bazyliańskiej:

S. Congregazione de Prop. Fide, per gli affari di Rito Orientale. Protocollo N. 17.450. Oggetto: Circa regimen Basilianorum Ruthenorum.

Roma 30 Maii 1904.

Rme Pater!

Die 18 Aprilis proxime elapsi, huic S. C. propositum fuit dubium an expediat, ut Patres e Societate Jesu, dimittant officium gubernandi et regendi Basilianos Ruthenos Reformatos.

Porro Emmi ac Rmi Patres omnibus mature perpensis, affirmativo responso, istud officium dimittendum esse censuerunt. Quam sententiam SSmo D. N. Pio Papae X. relatam ab infrascripto Secretario in Audientia 26 eiusdem mensis, Sanctitas Sua in omnibus benigne approbare ratamque habere dignata est.

Nunc vero haec S. C. abstinere non potest, quin summis amplissimisque laudibus exornet eximiam Patrum S. J. sollertiam, qui inde ab anno 1882 negotium instaurandae Reformationis susceperunt eoque officio adeo sapienter perfuncti sunt, ut, omnium sententia, finem sint assequuti. Opus perarduum videbatur; difficultates gravissimae superandae erant; verum omnia felici exitu peracta fuere a praelaudatis Patribus, ita ut Archiepiscopus Leopoliensis Ruthenorum merito dixerit: Revera facta sunt quae facienda erant.

In eadem Congregatione Generali decretum est, ut ad officium Protoegumeni vocetur monachus Basilianus et ita religiosis ipsis tradatur ordinarium totius Congregationis regimen. Verum ne omnia simul vincula abrumpantur Basilianos inter et Patres S. J., haec S. C. statuit ut provisorio modo designetur Religiosus ex eadem Societate qui titulum et officium Visitatoris Apostolici gerens, Protoegumenum consiliis adiuvet in regimine totius Ordinis et in regulari observantia firmanda augendaque.

Interim infrascriptus Secretarius omni cum obsequio manet.

Tuus, Rme Pater, Addictissimus Servus
Ant. Savelli-Spinola secretarius.

2. Dekret św. Kongregacyi Propagandy, wyznaczający dla Bazylianów nowego Prowincyała i Radę jego przyboczną.

17.823.

Decretum S. Congnis de Propaganda Fide pro Negot. R. Orient.

In Congregatione Generali diei 18 Aprilis hujus anni Emmi Patres Propagande Fidei Negotiis praepositi pro Ritibus Orientalibus decreverunt dimittendum esse a Patribus Societatis Jesu, id ipsis optantibus, officium gubernandi et regendi Monachos Congregationis Ruthenae Ordinis S. Basilii Magni Reformatae illudque tradendum ipsis monachis Basilianis. Audita itaque sententia singulorum Monachorum dicti Ordinis Basiliani Sacerdotum votorum solemnium per schedulam secretam ab unoquoque transmissam, eadem Sacra Congregatio in Comitiis Generalibus diei 4 Julii proxime elapsi, omnibus mature perpensis, elegit et nominavit:

P. Platonidem Filas Protoegumenum seu praepositum supradictae Congregationis ad quinquennium;

P. Hieronymum Malicki primum Consultorem;

P. Meletium Łonczyna secundum Consultorem;
P. Dionysium Tkaczuk tertium Consultorem; et insuper
P. Anastasium Kałysz Secretarium, qui omnes ad quinquennium in proprio officio manebunt. Quam quidem Eminentissimorum Patrum sententiam, Sanctissimo Dno Nro Pio Divina Providentia PP. X., in audientia die 12 Julii elapsi ab infrascripto Secretario relatam, Sanctitas Sua benigne adprobare ratamque habere dignata est, et praesens decretum expediri iussit. Contrariis quibuscunque non obstantibus.

Datum Romae ex Aedibus praedictae Sacrae Congnis die 27 Augusti anno 1904.

Pro Rvmo P. Secretario
Aloisius Chiesa Officialis.

Fr. H. M. Card. Gotti Praef.

3. List ruskiego Metropolity, X. Andrzeja Szeptyckiego, do O. Włodzimierza Ledóchowskiego, Prowincyała T. J.

Reverendissime Pater!

Litteris diei 27 Augusti p. e. ad Nos datis S. Congregatio de Propaganda Fide decretum Nobis transmisit in causa dimittendi a PP. Societatis Jesu regiminis monachorum Ordinis S. Basilii M. ipsisque Monachis tradendi. Insuper commisit Nobis eadem S. Congregatio dictum decretum evulgare, et interesse habentibus communicare, ac pariter ad executionem ejusdem invigilare. Demandati Nobis negotii executionem sollicitantes, promulgationem decreti quamprimum curabimus, Protoegumenum ejusdemque Consultores de electione et nominatione ipsorum certiores faciemus. Cum autem contingere possit, Patrem Filas, loci distantia et missionis negotiis impeditum, reditum paulisper differre coactum fore, provisoriam regiminis curam vicesque Provincialis geret usque ad illius reditum Protoconsultor provinciae P. Hieronymus Malicki.

Pergratum Nobis est de his Ram Vam certiorem reddere, nec non adnexam hic supra memorati decreti copiam transmittere.

Leopoli die 4 Septembris 1904.

Andreas Metropolita.

4. Odezwa Bazylianina, O. Platonida Filasa, drukowana po rusku w czasopiśmie «Rusłan», którą w polskim przekładzie «Gazeta Narodowa» zamieściła w swym numerze 200 (z dnia 1 września 1904 r.), poprzedziwszy ją uwagą następującą:[1]

---

[1] W «Słowie Polskiem» (Lwów 30 lipca 1904 r.) ukazał się niezły artykuł p. t. «Jezuici u Bazylianów», który tu jednak pomijamy.

Od dawna wiadomą jest rzeczą, że prasa ruska, szczególniej dwa jej główne organy: uważane za organ duchowieństwa nacyonalnego «Diło» i moskiewski «Haliczanin» przez cały czas reformy zakonu OO. Bazylianów miotały niecne oszczerstwa i falsze na tych, którym jedyny zakon ruski zawdzięcza dźwignięcie się z zupełnego upadku i obecny świetny rozwój, t. j. na OO. Jezuitów. W roku bieżącym papież uwolnił Jezuitów od reformy i Bazylianie otrzymali napowrót swój samorząd. Mimo tego nie ustają napaści prasy ruskiej na wskrzesicieli zakonu św. Bazylego. Oto nie dalej, jak w niedzielę 28 bm. pojawił się w «Dile» bezecny paszkwil p. t.: «Jezuickie złoczyństwa w zakonie bazyliańskim». Z paszkwilem i oszczerstwem nikt szanujący swą godność nie będzie się rozprawiał i dlatego my pomijając milczeniem napaści «Diła» i «Haliczanina», przytaczamy słowa, które o OO. Jezuitach opublikował w «Rusłanie» jeden z najwybitniejszych reformowanych Bazylianów, O. Platonid Filas, przełożony misyi bazyliańskiej w Kanadzie. Oto jego słowa:

«Ojcom Odnowicielom naszego Zakonu Cześć i Sława!.. Przez całych 22 lat wprzęgnięty w ciężkie jarzmo reformy zakon OO. Jezuitów służył naszemu zakonowi; służył, bo taka była wola Stolicy apostolskiej; ta sama wola dziś zwolniła go od długiej — przedługiej służby. Świetnych, wspaniałych dzieł, spełnionych zaszczytnie przez swych synów, liczy zakon OO. Jezuitów bardzo wiele — reforma naszego zakonu zajmie miejsce bezsprzecznie w szeregu pierwszych i najznakomitszych, jakich on (zakon OO. Jezuitów) w ciągu ostatnich stuleci dokonał Bogu na chwałę, na pożytek ludzkości i na swą własną chlubę.

Najznamienitszych mężów, jakich liczył w swem gronie, nie pożałował dla nas: imiona Gaspara Szczepkowskiego, Michała Mycielskiego i Piotra Bapsta, którzy w ręku swem dzierżyli główny ster reformy, imiona Wojciecha Baudissa, Józefa Wasilewskiego, Feliksa Wiercińskiego i innych, którzy kształcili młodzież zakonną w naukach i karności zakonnej i obserwacyi reguł klasztornych, zostały uwiecznione w dziejach naszego zakonu.

Wszyscy oni służyli tak, jak na synów wielkiego ich Ojca, św. Ignacego, przystało: nie żałowali ani czasu, ni trudu, ni sił, ani zdrowia. Przed niebezpieczeństwami, czy z zewnątrz, czy wewnątrz reformy powstającemi — nie ustępowali. Ścisłą, szczytną, głęboką nauką, szerokiem doświadczeniem — dźwignęli zakon Bazylego Wielkiego do życia nowego i bujnego; dwie setki zakonników, głoszących z zapałem panowanie Chrystusa i prawd Jego, stawili w szeregi bojowników i spadkobierców ducha św. Jozafata, dla ruskiej Cerkwi znamiennych kaznodziejów, dla narodu ruskiego niestrudzonych pasterzy, dla prowincyi zamorskich odważnych misyonarzy, dla kleru ruskiego doświad-

czonych spowiedników-kapłanów, hierarchii ruskiej wydali dostojnych władyków; kraj cały, od stolicy do najzaciszniejszych zakątków słowem Bożem głoszonem i w niezliczonych wydawnictwach szerzonem napełnili.

Kto pamięta rok 1882, kiedy to reforma pierwsze stawiała kroki wśród społeczeństwa, a którego głośne nazwanie się katolikiem uchodziło za zdradę ruskości, a wielbienie odszczepieńca Naumowicza było znamieniem patryotyzmu, kiedy to schizma rosyjska przemocą zgniótłszy resztki naszej Cerkwi w Chełmszczyźnie, chytrymi manewrami potrafiła obmotać i purpurę św. Jura, nie mówiąc o prozelityzmie Lewczaków, Diaczanów i innych, kiedy to wszystkie klasztory w kraju wyglądały jak ponure miny, — i kto porówna z owym stanem dobę dzisiejszą, w której reforma dobiegła do szczytnego końca, i kto ogarnie w całości wszystkie te mozoły i trudy i gorzkie chwile wewnątrz reformy i przewrotne napaści z zewnątrz tejże pochodzące, i wszystkie te prace i ofiary, jakich podjąć się musieli i jakie z godnością ponieśli w ciągu 22 lat ci mężowie, którzy reformę dźwigali, ci ojcowie nasi, którzy nam życie zakonu wskrzeszali, — ten musi odczuć w głębi swej duszy prócz najżywszych porywów wdzięczności, jeszcze i podziw wobec ogromu ich poświęcenia dla dobra naszego, podziw wobec ogromu dzieła, jakiego oni dokonali.

Reforma odnawia 16 klasztorów, niektóre z fundamentów na nowo wznosi; reforma pozostawia zakonowi okazałe cerkwie zamiast starych i ciasnych; reforma powołuje do życia nową kongregacyę zakonną na Rusi: zakon Sióstr Służebniczek; reforma odnawia i rozszerza zakon Sióstr Bazylianek; reforma porządkuje zaniedbane gospodarstwa i majątki klasztorne; reforma zapełnia biblioteki klasztorne; co najważniejsze zaś: reforma pozostawia zakonników — zakonników świadomych swego celu i ideału, zakonników oddanych całem życiem temu celowi i jego ideałom, zakonników miłujących i dbających o pracę, naukę i chwałę dla narodu, Cerkwi i Chrystusa. Cześć Wam, nasi Ojcowie-Odnowiciele zakonu!

Zapłata wasza jest pełna — taka, jakiej mogliście oczekiwać, podejmując się reformy w imię Chrystusa i swego zakonodawcy: zapłata nieuszczuplona żadnym ludzkim incydentem, czysta, bo tylko od jednego Boga spodziewana.

Od zakonu, od nas wy niczego nie bierzecie: nawet należnej podzięki nie jesteśmy w stanie wam objawić. Myśmy przez lat 22 byli świadkami naocznymi waszej pracy bezinteresownej. Wam zarzuciła przewrotność ludzka, żeście marnowali nasze dobro: a myśmy przez 22 lat patrzali na to, jak wyście dziesiątki tysięcy nam wyjednywali, dzięki swym wpływom i zabiegom i wnosili je w nasze ubogie klasztory, by naszej licznej młodzieży zakonnej podać chleb, odzież i naukę. Dla siebie

wyście od nas przyjęli ubogą celę, ale i tę wyście kosztami swego zakonu urządzali, z kosztów swego zakonu wyście swą odzież pokrywali, książki sobie kupowali: zapłata wasza jest pełna, niczem ziemskiem nie obniżona!

Cześć Wam, cześć Waszemu Zakonowi!

Czcigodnemu ojcu prowincyałowi Bapstowi, powołanemu przez Boga, aby umiejętną ręką i ojcowskiem sercem zakończył reformę naszego zakonu, — osobny hołd szle nasza kanadyjska misya: Tobie i tobie jednemu ona zawdzięcza swe istnienie, tyś ją rozwijał i podtrzymywał swą opieką i modlitwami, tyś nas misyonarzy zagrzewał do pracy i poświęcenia dla Boga i bliźnich — cześć Tobie i wdzięczność od nas i naszej misyi i całego naszego zakonu najszczersza i najgłębsza.

Hieromonach *Platonid Filas,* Z. św. B. W.
Przełożony misyi OO. Bazylianów w Kanadzie.

5. List tegoż O. Platonida Filasa, pisany dnia 1 sierpnia 1904 r. z Beaverlake w Kanadzie, do O. Piotra Bapsta T. J., Prowincyała OO. Bazylianów:

Przewielebny Ojcze Prowincyale!

Wierzę, że to szczególna Opatrzność Pana Boga wybrała Przewielebnego Ojca Prowincyała na to, aby zakończyć wielkie dzieło reformy naszego Zakonu wśród takich okoliczności, jak obecne.

Wśród burzy szalejącej nad głową ś. p. O. Szczepkowskiego zaczynała się reforma: zdawało się, że paszkwilami po gazetach i w osobnych broszurach, że wiecami i zebraniami wzdłuż i wszerz Galicyi, że protestami przed Cesarzem i Rzymem szatan zburzy opinią całego świata przeciw Zakonowi OO. Jezuitów i jeżeli nie zniszczy zupełnie, to bodaj utrudni dzieło reformy. A przecież — właśnie owe szalone wonczas zawieruchy były dowodem, że reforma, to dzieło boże i że św. Ignacy nie mógł wspanialszego, zaszczytniejszego początku wyprosić u Pana Boga dla tego dzieła i dla swych Synów na to dzieło Opatrznością Boską wybranych.

Koniec reformy zupełnie podobny do jej św. początku. Zakonowi Jezuitów i jego Synom kończącym 22-letnią służbę w jarzmie reformy należy się zapłata — nagroda — wieniec. I jakąż zapłatę godną tak długiej pracy zgotuje swemu Zakonowi św. Ignacy? jaka nagroda odpowie godnie tak długoletnim trudom i poświęceniom? Czy wieniec spleciony z ludzkich podziękowań etc... wyrówna tym ofiarom, jakie złożyli na chlubę swemu Towarzystwu i na chwałę samemu Bogu a na dobro naszemu Zakonowi Ci, których taż Opatrzność Boska w dziele reformy od początku do jej końca zużyła?

Zaiste nie inny wieniec, jak tylko ciernisty godnie zdobi Zakon Jezuitów; więc też i św. Ignacy nie inną zapłatę, nie inną nagrodę zarezerwował synom swoim na koniec reformy, jak tę, którejby się i sam nie powstydził: od ludzi nic, zgoła nic, chyba *maledicunt vobis bene facientibus;* od Boga wszystko.

Co do mnie, najmocniej jestem przekonany, że tylko taki powinien był wypaść exodus reformy; by nie być innym od jej początku, by nie być ludzkim, musiał koniec jeszcze cięższej, przykrzejszej podpaść burzy, napaści, jak był początek — napaściom i uciskom z wewnątrz reformy pochodzącym.

Podobieństwo pod tym względem początku i końca reformy jest tak widocznem dziełem palca Bożego, iż chcę wierzyć, że Opatrzność Boga, mogąc zwolnić Zakon Jezuitów od reformy już dwa lata temu, umyślnie jakby czekała długie miesiące na to, by złość ludzi miała dość czasu wylać się aż do dna.

Z tego też powodu nie zakończył reformy X. Mycielski — sądzę bowiem, że na jego podeszły wiek i stargane siły, byłoby zanadto wiele ciężaru: dźwigać Zakon i walczyć z napaściami. Opatrzność P. Boga upatrzyła więc Przewielebnego Ojca Prowincyała, by energią charakteru swego pod krzyżem się nie złamał i miłością serca swego dzieło boże po bożemu do końca doprowadził.

Wobec Pana Boga, wobec sumienia i wobec ludzi rozumnych dzieło reformy spełnione zostało nietylko godnie lecz i świetnie: Schizma, która przed reformą między ruskim klerem tylu apostatów znalazła była, która samych szczytów naszej Cerkwi sięgała, dzisiaj przycichła — lud misyami i wydawnictwami naszemi z letargu grzechu zbudzony — kościołowi ruskiemu wychowano kaznodziei, spowiedników, duchownych, cały zastęp gorliwych pracowników nietylko w Galicyi ale i za morzem w Brazylii, Kanadzie, monastery jedne odnowione, drugie z gruntu nowe wyprowadzone, administracya dóbr uporządkowana, cerkwie poodnawiane, inne rozszerzone, innych budowę rozpoczęto, Zakon podniesiono do takiego stanu i rozwoju, jakiego on w Austryi nigdy przedtem nie miał — a co najważniejsza, reforma zostawia w Zakonie ludzi rozumiejących swój cel i ideał życia zakonnego, ludzi temu celowi całą duszą oddanych, ludzi miłujących naukę i cnotę, pracę i karność, ludzi kochających naród, Kościół i Boga.

To też sądzę, że i nigdy nie zabraknie w odnowionym Zakonie ludzi, którzy z rozumem i sercem i sumieniem potrafią należycie ocenić dobro przez reformę Zakonowi i nam zdziałane, ocenić prace, ofiary i zasługi Towarzystwa i tych Jego mężów, których Opatrzność Boska ku prowadzeniu i wykończeniu reformy zużyła.

Daj Boże, aby nowa doba w życiu naszego Zakonu otrzymała dobrego prowincyała, nie takiego jak ja — złamanego

fizycznie a niemniej i na duchu. Jeżeli Przewielebny Ojciec Prowincyał (o czem nie wątpię) dobrze mi życzy, to najmocniej proszę, powagą swą i wolą tak zarządzić, abym dla dobra mego i misyi kanadyjskiej pozostał nadal jak najdłużej tutaj.

Prawda, że dla mojego zdrowia może pożądanym by był powrót do kraju — od czasu słabości, po dziś dzień zdrowym nie jestem na serce i nerwy — jednakże pracuję dosyć, a to mi wystarcza.

Tymczasem kończę — bo już i tak za długi wypadł ten list; sądzę, że nie będzie on ostatnim z Kanady. Proszę o św. modlitwy. Ja zawsze szczerze modlę się za Przewielebnego Ojca Prowincyała.

Niegodny w Chr. sługa

X. Platonid Filas.

6. List pożegnalny XX. Bazylianów reformowanych, do naszego Prowincyała O. Włodzimierza Ledóchowskiego, w chwili zakończenia Reformy Bazyliańskiej.

Przewielebny Ojcze Prowincyale!

Przejmując z polecenia św. Kongregacyi de Propag. Fide zarząd naszego Zakonu z Waszych rąk, poczuwamy się do miłego obowiązku złożyć imieniem tegoż Zakonu na ręce Przewielebnego Ojca Prowincyała najszczersze podziękowanie całemu Towarzystwu za wszelkie trudy i prace podjęte dla naszego odrodzenia, podziękowanie osobliwie tym, którzy brali bezpośredni udział w tej pracy.

Po raz wtóry w dziejach naszego Zakonu Opatrzność Boska przeznaczyła Was, abyście byli tymi, którzyby rzucili ziarno doskonałości w ziemię zjałowiałą, abyście byli wysłańcami Chrystusa, którzyby wzniecili ogień miłości Bożej tam, gdzie on już był przygasł, abyście w imieniu Kościoła tchnęli ducha żywota w zamierający już organizm. Ból przejmuje nasze serca, gdy wspomniemy stan naszego Zakonu z przed 22 lat. Zakon, któremu życie dał wielki Ojciec Kościoła, św. Bazyli, który uświęciło tylu doskonałych sług Bożych, który był kiedyś twierdzą wiary św., wzorem cnót — zatracił był na Rusi swe świetne tradycye; ożywiony później łzami i krwią św. Jozafata, znowu zaczął upadać. Nieszczęsny zbieg okoliczności poderwał nerw życiowy. Przerzedziły się przykłady doskonałości, podupadły nauki, zmarniała praca, zwiędła też zewnętrzna krasa Zakonu; jako znak gniewu Bożego przyszła niepłodność.

Jednak srogie cierpienia Kościoła, jakie on ponosił przy końcu ubiegłego stulecia, przebłagały gniew Boży, jaki ciężył także nad naszym Zakonem. P. Bóg zwrócił swe miłosierne oczy także na tę cząstkę swego Kościoła, a Was wybrał na

narzędzie Swego miłosierdzia. Wy zadanie swe spełniliście. Nauką i przykładem, pracą i modlitwą przyszliście w pomoc upadającemu Zakonowi. Rezultat tego — to te dziesiątki osób, które zgrupowały się w nim, aby Boga lepiej poznawać i kochać, u których żywszem tętnem bije życie Kościoła katolickiego, których gorącem pragnieniem iść między lud, aby go przywieść pod chorągiew Chrystusa, których tęsknem oczekiwaniem udać się na poszukiwanie za zbłąkanemi owieczkami, aby je przyprowadzić do jedynej owczarni, których ideałem stało się okazać godnymi synami śś. Bazylego i Jozafata.

Wśród trudnych i przykrych warunków zaczynaliście to powtórne swe dzieło, ale właśnie one były wskazówką, że bierzecie się do dzieła Bożego, a tem samem były rękojmią, że praca Wasza nie będzie marną. Przykrości towarzyszyły ciągle Waszej pracy, wzmogły się z czasem, najboleśniej może dotknęły przy końcu, ale to tylko znak, że wytrwaliście na dobrej drodze aż do końca.

Bóg zapłać Wam, Wielebni Ojcowie, za Wasze trudy, modlitwy, łzy, — Bóg zapłać tem szczodrzej, że wszystko to było tak bezinteresowne, że czasem nie doznaliście za to nawet tej zapłaty, na jaką najbiedniejszy zdobędzie się — wdzięczności.

Myślą naszą było, aby przynajmniej w tej chwili pożegnania uroczyściej i wyraźniej okazać Wam naszą wdzięczność, przeprosić za przykrości, jednak okoliczności od nas niezależne na to nie zezwoliły. Prosimy więc przyjąć w imieniu swego Zakonu przynajmniej w ten sposób złożone szczere wyrazy podziękowania i przeproszenia; niechaj one będą dowodem, że Waszą działalność w naszym Zakonie zawsze ceniliśmy i na przyszłość cenić będziemy. Wyrazy te szlemy też temu, który najwięcej nas ukochał, najbardziej zasłużył się dla nas, a którego duch z nieba pewnie dalej także spogląda na rozpoczęte sobą dzieło.

Jesteśmy też przekonani, że węzły życzliwej łączności między nami, zadzierzgnięte w Chrystusie i ściśnięte w ciągu Waszego pobytu u nas, nie rozluźnią się nigdy, bo mamy pewną ufność w miłosierdziu Bożem, że nigdy nie zamrze w nas duch, jakiego nam daliście, jako wysłańcy Boga.

Lwów, dnia 11 września 1904.

Ks. Hieronim Malicki, Zak. św. Bazylego W.,
Protokonzultor Prowincyi.

Ks. Anastazy Kałysz ZSBW.
Sekretarz Prow.

Ks. Meleeyusz Łonczyna,
Konzultor Prowincyi.

Ks. Dyonizy Tkaczuk ZSBW.
Konzultor Prowincyi.

W miesiącu wrześniu otworzyli OO. Bazylianie konwikt w Buczaczu i objęli w zarząd papieskie kolegium dla ruskich kleryków w Rzymie. Niech im Bóg pomaga w zbożnej pracy!





NEKROLOGIA.

Jan Nemeczek

Brat Koadjutor, zmarły w Chyrowie, d. 23 września 1904 r.

Świątobliwy ten staruszek nasz, gorliwy sługa Boży i prawdziwy wzór Braci zakonnych, urodził się dnia 21 lipca 1817 r. we Fürstenthal, kolonii niemieckiej na Bukowinie. Parafią tamtejszą zarządzał w braku księży świeckich, nasz O. Jan Guillemaint od 1822 do 1840 r., mając przez cały ten czas przy sobie Brata Klemensa Hillebranda. Z tymi dwoma Jezuitami zapoznawszy się mały Hans dość wcześnie, usługiwał codziennie do Mszy św. i równocześnie chodził do szkoły, a że miał rodziców ubogich, liczną obarczonych dziatwą (9 synów i 3 córki), więc X. Guillemaint dawał mu utrzymanie, a później oddał go do terminu do krawca. Dla bólu jednak oczu trzeba było rzemiosło zmienić, począł się tedy uczyć stolarstwa. Mając lat 16, pragnął już wtenczas być przyjętym do naszego zakonu; odmowną jednak na razie od X. Prowincyała otrzymał odpowiedź, dopokądby się nie wydoskonalił w rzemiośle. Po kilku latach wyzwolony na czeladnika i uwolniony od służby wojskowej, w czem mu znowu X. Guillemaint dopomógł, prosi ponownie Nemeczek X. Prowincyała Markijanowicza, bawiącego na wizycie we Fürstenthalu, o przyjęcie do Towarzystwa Jezusowego, i tym razem otrzymuje bez trudności. Uszczęśliwiony jedzie z ojcem swym, który go odwiózł, do Tarnopola, stąd po czterech dniach (5 sierpnia 1839 r.) wyrusza wraz z 3 Scholastykami i 4 kandydatami na dwóch wozach do Starejwsi. Jednym z tych kandydatów był Br. Mikołaj Lisowski, który powiada,

że Nemeczek nie umiejąc wtedy ani słowa po polsku, całą tę ośmiodniową podroż do Starejwsi przepędził w milczeniu.

Nowicyat rozpoczął Brat Nemeczek d. 22 października 1839 roku, a odbywał go ze znakomitymi w prowincyi naszej Ojcami i Braćmi, jak X. Adolfem Kamińskim, X. Antoniewiczem, z Braćmi Antonim Plaskim, Mikołajem Lisowskim, Ferdynandem Gabryelskim. Rektorem wówczas i mistrzem nowicyuszów był X. Józef Morelowski, a potem od 17 listopada 1840 r. X. Maciej Czyhir, obydwaj, jak i wszyscy niemal księża, którzy w Starejwsi natenczas mieszkali, wygnańcy białoruscy i dlatego mało obeznani z językiem niemieckim. To było dla Nemeczka zaraz od początku nowicyatu powodem niemałych trudności, które przełamywać musiał, bo i z nauk dawanych w nowicyacie nic korzystać nie mógł i — co ważniejsza — rekolekcye na czas późniejszy trzeba mu było odłożyć. Chciano go już posłać do Grazu, gdzie prowincya nasza miała drugi nowicyat dla Niemców. Nie zraził się jednak temi trudnościami kochany Brat Nemeczek i dalej, jak mógł, modlił się, rozważał, ćwiczył się w cnotach, a przytem pilnie, cichutko i cierpliwie pracował, pragnąc się całkiem poświęcić Bogu w zakonie. Na szczęście przybył do Starejwsi O. Guillemaint z Bukowiny, pod jego więc kierownictwem mógł Br. Nemeczek rekolekcye odprawić i obznajomić się lepiej z życiem zakonnem. Zresztą zaś sam sobie był pozostawiony i nawet na wspólne z innymi rekreacye nie chodził, bo Bracia nowicyusze po niemiecku mówić nie umieli, a i on ich po polsku nie rozumiał. Mimo tych wielkich trudności, znaczne w doskonałości uczynił postępy i po ukończonym nowicyacie złożył w Starejwsi d. 24 października 1841 r. pierwsze śluby zakonne.

Przez dwa jeszcze lata (1841—1843) pozostał Br. Nemeczek w Starejwsi, pracując pilnie w stolarni. Następnie w Nowym Sączu był rok jeden furtyanem i drugi rok przy refektarzu; poczem przeniesiony został do Lwowa, gdzie przez 3 lata (1845—1848) pełnił w konwikcie szlacheckim urząd piwnicznego i refektarskiego, a w wolnych chwilach zajmował się stolarką

Gdy nadszedł smutny rok 1848, w którym naszych rozprószono, przytulił się Brat Nemeczek na kilka miesięcy u swoich krewnych na Bukowinie, a potem, już w grudniu pojechał na rozkaz X. Prowincyała Baworowskiego do prowincyi francuskiej, gdzie w strasburskiej rezydencyi pełnił znowu te same jak przedtem urzędy, t. j. zawiadował refektarzem a obok tego pilnował stolarstwa. Ze swego pobytu we Francyi to mu pozostało najmilsze na całe życie wspomnienie, że miał szczęście poznać tu O. Generała Roothaana i O. Anderledego; zaś O. Beckxa poznał był już dawniej w Starejwsi po misyi lwowskiej 1840 r. Odwołany ze Strassburga, przybył w wielką środę 1852 r. do Nissy na Śląsku, gdzie przez rok cały pozostał w re-

zydencyi z OO. Harderem i Candon'em; potem w Piekarach mieszkał z niektórymi naszymi Ojcami u ks. kanonika Fietzka i tu zajęty był przez kilka miesięcy stolarką. Aż wreszcie gdy pod koniec 1853 r. zaczęli się rozproszeni Ojcowie nasi ściągać powoli do Lwowa, i ku wielkiej radości pobożnego ludu przywdziali ponownie w sam Nowy Rok (1854) jezuicką suknię, wtedy i Brat Nemeczek przybył z Piekar do Lwowa, i tu już odtąd bez przerwy na usługach domu a osobliwie kościoła jako zakrystyn przez całe pół wieku, bo aż do roku 1903 pozostał.

Z jaką pilnością świątobliwy Brat Nemeczek oddawał się pracy, i dla kościoła się poświęcał, można tylko podziwiać. Wszystko, od rzeczy największych aż do najdrobniejszych, w najlepszym utrzymywał porządku, czyścił i upiększał — po większej części sam jeden; w późnej nawet starości obmiatał ołtarze, spinając się po drabinie a trudził się chętnie z miłości ku P. Bogu, aby tylko dom Boży pięknie wyglądał i ludzi do nabożeństwa nastrajał. Stąd też podwajała się jego gorliwość, gdy jakaś uroczystość większa nadchodziła; wówczas starał się ołtarze przystrajać jak najpiękniej, zdobywając się na coraz to nowsze pomysły. Widząc to przychodzące do kościoła panie lwowskie i podziwiając dziwny jego spryt w ozdabianiu ołtarzy i kościoła, chętnie przynosiły poczciwemu Bratu rozmaite dary w kwiatach i innych ozdobach, wiedząc o tem z góry, że on z największą pilnością wszystko w dobrym stanie utrzymywać będzie i na chwałę Bożą obróci. I nie omyliły się, bo istotnie z wielką starannością przechowywał wszelkie dary, osobne nawet schowki na nie sam sobie zrobił, aby nic nie ginęło i nie psuło się. Ogromne szafy dziś jeszcze stoją na lożach w kościele, które ś. p. Brat Nemeczek z wielkim trudem na przechowanie kwiatów sam zrobił. Cała zakrystya z temi przepięknemi szafeczkami i schowkami, dziełem jego rąk, daje naoczne świadectwo o jego dziwnej zręczności stolarskiej, a jeszcze dziwniejszej gorliwości o chwałę P. Boga i okazałość domu Bożego. A we wnętrzu kościoła, tam już każdy ołtarz, każdy nieomal kąt, same nawet mury głośno świadczą o pobożności i staranności poczciwego Brata Nemeczka. Naokoło wewnętrznych murów kościoła chciał koniecznie drewniane zrobić lamperye; kosztowało go to kilka lat pracy, ale w końcu zrobił sam i tym sposobem zaoszczędził kasie kościelnej niemałego wydatku.

W pracy był niestrudzonym — odpoczywać prawie nie umiał — ciągle był w ruchu jużto w kościele i zakrystyi, jużto w domu; nawet w chwilach, kiedy naglącego zajęcia nie miał, a na pogotowiu być musiał dla kapłanów, którzy zażądać mogli jego usługi, widziano go, jak i w tym czasie albo kwiaty z prochu czyścił, albo co innego dla kościoła robił, żeby tylko nie próżnować. W rzeczach nawet najdrobniejszych, był zapobie

gliwy, aby zaoszczędzić czasu i wydatku. I tak n. p. sam własnoręcznie piekł potrzebne do mszy św. i dla komunikujących opłatki, a w jesieni cały sąg drzewa za pozwoleniem Przełożonego kupił, sam drzewo porznął, porąbał i wysuszył, aby prędzej i łatwiej mógł mieć na czasie pożądane hostye. A w tych wszystkich pracach, staraniach i usługach każdy mógł widzieć, jakim duchem wiary przejęty był i z jaką miłością dla P. Boga i kościoła się trudził; stąd też płynęła ta siła, z którą najuciążliwsze nawet rzeczy dla P. Jezusa wykonywał.

Nadto nie mało budował wszystkich dziecinnem iście i szczerem posłuszeństwem względem Przełożonych, z wielką pokorą przyjmował wszelkie ich rozkazy i do ich woli wiernie się zastosowywał.

Do tego zauważono w całem obchodzeniu się z innymi wielką cierpliwość, wyrozumiałość i pokorę. Wśród prac w kościele, nieraz bardzo kłopotliwych, osobliwie czasu świąt, obok wielkiej w działaniu energii, nie mniejszą też okazywał cierpliwość i łagodność. A wszystko umiał skierować do P. Jezusa, utajonego w Najśw. Sakramencie Ołtarza, do którego gorące żywił nabożeństwo.

Także odznaczał się ś. p. Brat Nemeczek niemałą żarliwością w przyciąganiu do nabożeństwa młodych studentów.

Będąc jeszcze 13 letnim chłopcem zapoznałem się z kochanym Bratem Nemeczkiem poraz pierwszy we Lwowie w zakrystyi kościoła jezuickiego i odrazu powziąłem dlań wielką cześć i poważanie. Odtąd często odwiedzałem go w zakrystyi albo na lożach, gdzie miał warstat i stolarką się zajmował; z odwiedzin moich bardzo był zadowolony i regularnie ze mną odmawiał koronkę i inne modlitwy, przed Najśw. Sakr., lub też czytaniem duchownem, albo rozmową o rzeczach świętych mnie budował. Starał się też mieć zawsze dostateczną ilość chłopców do służenia do mszy św. lub nieszporów, a ubierał ich w piękne komeżki i czerwone sukienki, aby większej nadawać świetności uroczystościom P. Jezusa, Matki Bożej i Świętych Pańskich. Przez lat kilka stykałem się z pobożnym Bratem Nemeczkiem, i wyznać muszę, że wielkie stąd odniosłem korzyści. Był on dla mnie i wszystkich, którzy go znali, istotnie pięknym wzorem cnót i gorliwego postępku w doskonałości; od niego pierwsze początki życia ascetycznego odebrałem. Widząc to jego staranie około mego dobra, inni nazywali mnie często synkiem jego. I istotnie — sercem czułem ojcowskiem opiekował się mną ś. p. Brat Nemeczek, zachęcając mnie do miłości P. Jezusa i Maryi P. i ucząc jak się modlić trzeba.

Był oraz ś. p. Brat Nemeczek podziwienia godnym wzorem dobrego Brata Zakonu Tow. J. w opiekowaniu się rzeczami z posłuszeństwa jemu powierzonemi. I tak, zanim na noc kościół zamknął, zwykł był przepatrywać wszystkie jego kąty; i zda-

rzyło się, że dwa razy na ambonie, a raz w konfesyonale pod siedzeniem znalazł złodzieja przyczajonego z zamiarem, aby obrabować w nocy kościół. W. O. Łęczycki powiada o Braciach T. J., że powinni być jakby matkami zakonu t. j. tak starannie chodzić około domu i rzeczy zakonnych, jak matka, która troskliwie pilnuje domu i o rzeczy potrzebne dla rodziny się stara. Taką prawdziwie matką dla domu lwowskiego był ś. p. Brat Nemeczek. Z wszelką troskliwością chodził około rzeczy domowych, pilnował, aby się nie psuły i w dobrym stanie były zachowane — a skrzętnie obmyślał i przypominał, żeby na czas postarano się o to, co było dla domu potrzebnem.

Dla Przełożonych wszystkich dziwną okazywał uległość, to też z niego wszyscy wielce byli zadowoleni i bardzo go poważali i kochali. Nadto wielce poważał stan kapłański, a dla kapłanów gorliwych nie miał dość słów pochwały. Często i bardzo często, z radością serca, wyrażał się o gorliwem ich działaniu i poświęcaniu się około dusz zbawienia, czem tak się cieszył, jakby sam te zbawienne korzyści zbierał. Unosił się świętą radością, że P. Bóg tyle ma ze sług swoich chwały, a ludzie tak wielkie z prac ich pożytki.

Prócz tego mógł każdy, kto się z Br. Nemeczkiem zapoznał, od razu zauważyć, z jak wielką pokorą i prostotą on ze wszystkimi obcować umiał; a ta prostota i pokora miała coś tak miłego i przyciągającego, że się niezawodnie wszystkim podobać musiała. Stąd też wszyscy, nietylko Ojcowie i Bracia zakonni, ale także świeccy, nawet dostojnicy Kościoła i kapłani świeccy pokornego braciszka bardzo szanowali i kochali. Kiedy ś. p. Brat Nemeczek razu pewnego chory leżał, odwiedził go sam Najprz. ks. Arcybiskup Morawski, chcąc mu okazać, jak go poważa i kocha. A takie objawy poważania i czci ze strony nawet dostojników, w niczem go nie zmieniły, ani prostocie jego i pokorze nie zaszkodziły.

Piękne te cnoty, które tak bardzo stan braterski w zakonie zaszczycają, jeszcze więcej uwydatniały się pod koniec życia jego, a osobliwie w ostatnich latach, kiedy, po części sparaliżowany, długo i dużo cierpieć i ciągle w pokoju pozostawać musiał, jużto leżąc, jużto siedząc na łóżku, bo ręka lewa i nogi prawie całkiem były ubezwładnione, a przytem zawrót głowy prawie ustawicznie go męczył. Ale właśnie w tym to czasie t. j. przez rok i 3 miesiące, które wśród nas w Chyrowie przepędził, wielkie wszystkim dawał zbudowanie; nietylko bowiem, że cierpienia, które mu dolegały, znosił z zupełnem zgadzaniem się z najśw. wolą P. Boga, ale przytem wielką nas wszystkich budował pokorą. Uważał to za niezasłużoną łaskę, jeśli ktoś z naszych odwiedził go, a każdemu przy odejściu kilkakrotnie bardzo pokornie dziękował za to, że go raczył odwiedzić. A to podziękowanie, jak każdy przekonać się mógł, tak było szczere,

z taką niekłamaną prostotą wypowiedziane, że o szczerości słów jego nikt wątpić nie mógł. Prawdziwie czuł się w sercu niegodnym tego, aby ktoś do niego miał zaglądać. Przeto też nasi samą tą szczerą pokorą jego ujęci, chętnie poczciwego staruszka osobliwie wieczorem odwiedzali, aby go w chorobie i cierpieniach pocieszyć.

Z pokorą też wielką w czasie choroby swojej zdał się na wolę Przełożonych i brata infirmarza; niczego nie żądał, zadowolony był ze wszystkiego, co mu podawano, albo co z nim robić chciano. Nieraz powtarzał: «Róbcie ze mną, co się wam podoba» — a wśród cierpień często dał się słyszeć: «Ta — co robić? niech się dzieje wola Boża!»

W tym czasie ostatniej choroby jeszcze jaśniej pokazało się, w jak ścisłem staruszek kochany pozostawał zjednoczeniu z P. Jezusem i ze Świętymi, co oczywiście nie mogło być jak tylko owocem usilnej pracy nad sobą w życiu całem. Chociaż dla osłabienia głowy ćwiczeń duchownych nie mógł, jakby był chciał, odprawiać, to myśl jego raz po raz ulatywała do P. Jezusa, do Matki Najśw., i Świętych Pańskich, a westchnienia pobożne ciągle wydobywały się z serca jego.

Gdy już ostatnia chwila życia zbliżała się, z wielkiem zbudowoniem przyjął ostatnie Sakramenta św., i pokornie dziękował wszystkim obecnym za miłość, jaką go otaczali. Nad łóżkiem miał zawieszony obraz Matki Najśw. i Najśw. Serca P. Jezusa, na które często spoglądał, czerpiąc stąd ulgę i pomoc w ciężkich cierpieniach swoich. Dnia 22 września przyjął raz jeszcze przed nocą komunię św. «per modum viatici», bo zwiększające się cierpienia i coraz częstsze westchnienia do P. Jezusa, do Matki Najśw. i Świętych Pańskich blizki zapowiadały koniec. Aż wreszcie coraz bardziej osłabł i jak cichutko i spokojnie żył, tak też ducha P. Bogu oddał dnia 23 września 1904 r. około 1 godzinie w nocy, przeżywszy lat 87, w zakonie 65.

Oto prawdziwy wzór świątobliwego Brata Towarzystwa Jezusowego! Pokorny — cichy — cierpliwy — pobożny — pracowity — miłujący szczerze wszystkich — ukryty przed światem, a miły Bogu, pożegnał Ojców swych i Braci, których tak poważał, kochał i budował za życia, aby odebrać, jak się słusznie spodziewać możemy, zasłużony wieniec nagrody od Jezusa, dla którego żył, pracował i wszystko opuścił, aby w Jezusie znaleźć stokrotną nagrodę w życiu, a żywot wieczny po śmierci.

X. Wojciech Marya Baudiss S. J.

O. Kazimierz Stefański,

zmarły w Chyrowie dnia 11 listopada 1904 r.

Urodził się dnia 12 stycznia 1860 r. w Szamocinie w W. Księstwie Poznańskiem, z ojca Jana, głośnego swego czasu księgarza w Poznaniu i matki z Biernackich. W ósmym roku życia zaczął uczęszczać do gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, gdzie też je ukończył w r. 1878. Przez wszystkie klasy szedł — jak wiemy z listu jego rodzonego brata, wyższego urzędnika państwowego w Berlinie — jako «primus» i jako taki odbierał w każdej klasie nagrodę: praemium diligentiae et morum. A był to czas — pisze kolega szkolny nieboszczyka, p. Dr. Rościszewski z Przemyśla — przypadający na początek epoki germanizatorskiej. Młodzież więc wśród coraz trudniejszych dla niej warunków, poczęła wcześniej się wyrabiać i więcej poważnie zapatrywać na życie, skupiać i łączyć się wzajemnie węzłami koleżańskiej przyjaźni. W takiem życiu i w takich warunkach charaktery silniejsze musiały się zaznaczyć i wybić ponad inne. Tak też stało się ze ś. p. Kazimierzem. Przez kolegów lubiany był serdecznie, aczkolwiek usposobienia więcej powolnego, nie był pierwszym przy zabawie i swawoli. Ale za to skoro nadeszły ciężkie chwile, umiał zawsze wpływem swoim, który miał u kolegów, z jednej strony powstrzymać ich od niewczesnych i szkodliwych manifestacyi, a z drugiej strony zalecać słowem i przykładem jedynie w tych warunkach skuteczny i racyonalny opór bierny. Był pod tym względem nad wiek rozwinięty i młodzież, skupiona w jedną całość pod wpływem grożącego niebezpieczeństwa, często szła za głosem jego, gdyż czuła instynktownie, że w tej dziecinnej jeszcze głowie był rozum, silna wola i energia.

Po ukończeniu nauk gimnazyalnych przeniósł się Stefański na studya filologiczne do Wrocławia. «Tu przejściowo miał przechodzić fazę liberalniejszych pojęć». Tak o nim pisze jego profesor na uniwersytecie wrocławskim, dziś jeszcze zajmujący to samo stanowisko, p. Wojciech Jarochowski, w liście świeżo pisanym do Chyrowa, lecz dodaje: «Sam jednak o prawdzie tego nie zdołałem się przekonać. Owszem, kiedy rodzina Szeptyckich, a przedtem Rostworowskich, zwróciła się do mnie z prośbą o wyszukanie jakiego zdolnego a zacnego nauczyciela domowego dla podrastających ich synów, poleciłem im właśnie ś. p. Kazimierza, w tem przekonaniu, że te zacne i pobożne domy będą dlań i dla przyszłego jego rozwoju wyborną szkołą».

Tak więc w r. 1883, wprost ze studyów uniwersyteckich przyjeżdża Stefański do Górki narodowej niedaleko Krakowa, w charakterze nauczyciela domowego młodych Rostworowskich. «Przystojny, nadzwyczaj wesoły a dobrze wychowany i tak-

towny, — opowiada jeden z wychowanków jego, obecnie nasz O. Jan, profesor teologii w Krakowie, — prawie od samego początku swego pobytu u nas, przypadł do serca całej rodzinie. W obejściu cechowała go jakaś wrodzona szlachetność i delikatność, czystość i prawość charakteru. Ponieważ dom nasz nosił na sobie wybitnie katolicką cechę, wkrótce też i w naszym akademiku zaczął się coraz wyraźniej wyłaniać grunt głęboko religijnego serca. Pierwszym prezentem, jaki dostał w Górce, było małe Missale Romanum. Skorzystał z niego tak, że niedługo potem sam usługiwał do mszy św., która się odprawiała co niedzielę, lub częściej w kaplicy domowej. Tu też zawiązał pierwsze stosunki z naszymi Ojcami: Morawskim, Jackowskim, Badenim, Zaborskim, Łaszczykiem i innymi, którzy częstymi w Górce bywali gośćmi. Wtedy to dano mu z «Przeglądu Powszechnego» do tłumaczenia «La physique moderne» Navill'a, co też i wykonał.[1] Jednakże wszystko to nie zdradzało jeszcze tego rodzaju pobożności, która miałaby się zakończyć powołaniem zakonnem. Uczył doskonale, sam się jeszcze przytem kształcił, jeżdżąc z Górki na sławne podówczas wykłady Bobrzyńskiego. W zabawach domowych chętny brał udział, ale równie chętnie i serdecznie zajmował się moim ojcem, który zaczynał ciężko chorować i potrzebował rozrywki i towarzystwa. Kochaliśmy go więc wszyscy bardzo. Zdrowie dopisywało mu wtedy dobrze. Był tak silny, że my malcy gimnastykowaliśmy się jak na reku, na jego wyciągniętej ręce. Tylko od czasu do czasu napadała go astma, na którą sobie radził paleniem jakichś ziółek. Czy myśl wstąpienia do zakonu powstała już w Górce, nie wiadomo. Bawił raz u nas całe dwa tygodnie O. Morawski, dojeżdżał O. Jackowski i inni; może wtedy coś zaświtało w głowie i sercu.

«Gdy stan zdrowia ojca mojego się pogorszył i choroba przeszła w śmiertelną, pielęgnował chorego ile mógł, siadywał przy nim po nocach; a gdy już było bardzo źle, i na gwałt trzeba było księdza, p. Kazimierz sam wśród nocy pojechał na Wesołą do Krakowa, księdza z Panem Jezusem przywiózł i mimo chłodu jechał z odkrytą głową. Mówił też później w zakonie — że ta noc z Panem Jezusem na wozie spędzona, dużo zaważyła w jego życiu. Niedługo po śmierci ojca wprowadził nas egzaminem wstępnym do I szej klasy gimnazyalnej i mimo, że mieliśmy się dalej uczyć prywatnie, oświadczył, że chce wrócić do rodziny. Żałowaliśmy go bardzo, płakaliśmy nawet, ale uparł się i odszedł.

«Jaka była przyczyna tego postanowienia, nie wiadomo.

---

[1] O Fizyce nowożytnej historyczno-filozoficzne studya, przez Ernesta Naville, członka Korresp. Instytutu Franc., przełożył z francuskiego K(azimierz) S(tefański). Kraków 1885, druk Anczyca, w 8-ce, str. 238.

Może już Pan Bóg ciągnął go do siebie, a on nie wiedział jasno, co ma zrobić, a może chciał go wprowadzić w środowisko jeszcze lepsze, gdzie powołanie jego mogło lepiej dojrzeć. Istotnie bowiem gdy wyjechał z Górki w jesieni roku 1885, niebawem przyszedł list od pani Szeptyckiej z prośbą o informacye co do jego osoby, bo potrzeba było nauczyciela dla ośmioletniego wtedy Leosia, dziś właściciela Przyłbic. Polecenie dostał jak najgorętsze, z Szeptyckimi znał się już z Górki, gdzie często bywali gośćmi, więc też zamiast do domu rodzinnego, pojechał do Abbazyi, gdzie podówczas rodzina Szeptyckich przebywała».

Hr. Szeptycka, niewiasta o wysokim duchu katolickim, obdarzona dziwnie pociągającym urokiem, odrazu zajęła się Stefańskim prawie jak synem, aby do reszty w nim wyrobić pobożność i zwrot ku Bogu.

«Od pierwszej chwili — odpisuje nam na naszą prośbę w tym względzie hr. Leon — przylgnął do nas jak do własnej rodziny, a ja w nim miałem surowego wprawdzie nauczyciela, ale równocześnie najlepszego, najserdeczniejszego przyjaciela, rozumiejącego wszystkie potrzeby, pragnienia, naturę dziewięcioletniego chłopca. Pamiętam też później wrażenie jakie na mnie wywarła wiadomość, że p. Stefański chce zostać księdzem-Jezuitą, tem więcej, że równocześnie w naszem gronie rodzinnem dojrzewała sprawa powołania mego brata do OO. Bazylianów. Po celująco zdanym moim egzaminie w gimnazyum krakowskiem, pojechaliśmy moja matka, p. Stefański i ja do Rzymu, gdzie nas już oczekiwał mój brat Roman, późniejszy Bazylianin i Metropolita. Rano 4. marca w sam dzień imienin p. Stefańskiego poszliśmy do kaplicy św. Stanisława Kostki i tam, w dawnym pokoju Świętego przyjęliśmy wspólnie komunię św. Następnie towarzyszyliśmy wszyscy razem pogrzebowi zmarłego właśnie w Rzymie kardynała Czackiego; aż w końcu 24 marca otrzymaliśmy audyencyę prywatną u Ojca św. Leona XIII. Moja matka opisała tę audyencyę. Wyciągam z opisu to tylko, co się ks. Stefańskiego tyczy: «Pierwsze słowa Ojca św. były zwrócone do mnie. Wskazując na Romcia, Stefańskiego, Leosia, rzekł: *E tutti i figli?* — *Oui, St. Père,* odrzekłam. *Ceux-ci sont mes fils et celui-là* (wskazując na p. Stefańskiego) *presque fils d'adoption.* Potem do Stefańskiego: *Et Vous donc aussi Vous voulez Vous faire prètre?* — *Oui, St. Père, prètre séculier pour le moment et un jour j'espère pouvoir me faire Jésuite.* — *Jésuite!* — podjął Ojciec św. jakby sam do siebie, — *La vocation réligieuse! c'est la plus grande grâce, que Dieu puisse áccorder à l'homme! Dès cette vie même, je ne parle pas du Cièle, mais dès cette vie même!* i położył rękę na głowie jego». Tyle z opisu mojej matki. Z końcem kwietnia 1888 r. opuścił nas p. Stefański, ze łzami żegnany i długo jeszcze potem opłakiwany. Jakby w odpowiedzi na słowa wyrzeczone na posłuchaniu u Ojca św. pojechał

na studya teologiczne do Monasteru. Ale niedługo tam bawił, bo już w jesieni tego samego roku zjawił się na kilka dni w Przyłbicach, a w grudniu t. r. pojechał do nowicyatu OO. Jezuitów w Starejwi».

Rozpoczął nowicyat dnia 13 grudnia 1888 r.

Okres ten jego życia, to chwile cichego oddania się Bogu, i pracy nad własną duszą w zakonie. Chociaż nic nie stracił z dawnej wesołości i uprzejmości dla drugich, — które to przymioty cechowały go szczególniej przez całe późniejsze życie, — z podziwienia godną energią i wytrwałością zabrał się do ćwiczenia się w pokorze, uległości i onem życiu z wiary, jakiem szczególniej zakonnik odznaczać się powinien. Z nowicyatu wyniósł szczerą, gorącą pobożność. Świadczą o tem pozostawione przezeń zapiski, postanowienia, i prześliczne doprawdy modlitewki własnego układu. Wyniósł też wielką a żywą wiarę i szczególną ufność w pomoc Bożą, jaką ściąga czyto słuchanie, czy odprawianie mszy św. Już jako kapłan i długoletni przełożony zwierzał się w poufnych rozmowach, że skoro tylko znajdzie się w trudnem jakiemś położeniu, wtenczas odprawia Mszę św. na tę intencyę, a trudności znikają.

Złożywszy w Starejwsi pierwsze śluby zakonne d. 18 grudnia 1890 r., słuchał tamże wykładów retoryki przez następne miesiące aż do końca roku szkolnego, poczem przeznaczony na profesora języka niemieckiego do Chyrowa, odbył naprzód uzupełniające studya pod kierunkiem prof. Creizenacha w Uniwersytecie Jagiellońskim i tamże otrzymał dyplom nauczyciela szkół średnich, w. r. 1893, a równocześnie uczył się w kolegium krakowskiem, gdzie mieszkał, małego dogmatu i teologii moralnej. Otrzymawszy w Krakowie z rąk księcia-biskupa Puzyny dnia 7, 14 i 15 lipca 1895 roku święcenia wyższe,[1] odprawił prymicye w kościele parafialnym w Bruchnalu, zaproszony tamże przez kolatorów, hr. Szeptyckich, dnia 19 lipca t. r.; pomiędzy innymi asystował mu do pierwszej mszy św. Bazylianin Andrzej (Roman) Szeptycki, dzisiejszy X. Metropolita ruski.

Następnie, z małą przerwą aż do śmierci swej oddawał się wyłącznie zawodowi nauczycielskiemu i wychowawczemu w Chyrowie. Jeden z jego starszych uczniów takie wydaje świadectwo o jego ówczesnej działalności: «W klasie zawsze poważny, choć i zażartować i roześmiać się lubiał, zawsze bystrym swym wzrokiem przebiegał po uczniach. Swego przedmiotu wymagał ściśle, choć nie z bezwzględną surowością, silny nacisk kładł na prawdziwą wiedzę ucznia, żądał, by się sumiennie przykładano do nauki danego przedmiotu, by przedmiot pojmowano i uczono się go z jasnem zrozumieniem rzeczy.

---

[1] Niższych święceń udzielił mu w Starejwsi dnia 16 listopada 1890 r. ks. Biskup Jakób Glazer, sufragan przemyski.

Jeśli kto czego nie rozumiał, to ś. p. ks. Stefański sam mu to z największą łagodnością i cierpliwością tłómaczył i objaśniał».

Od roku 1896—1901 był dyrektorem gimnazyum chyrowskiego a wśród tego od 1898—1900 zarazem prefektem generalnym. A gdy na tych stanowiskach poznano niezwykły jego talent administracyjny, takt, miłość dla młodzieży i gorliwość o jej dobro i wychowanie, zamianowano go 19 paźdz. 1901 r. wicerektorem i wnet potem 17 kwiet. 1902 r. rektorem zakładu. Wyjątkowo też O. Generał skrócił mu czas trzeciej probacyi i pozwolił na złożenie ostatnich ślubów dnia 15 sierpnia 1904 roku. Nadzwyczajna bystrość umysłu, energia i rzutkość, miłość ojcowska, złączona ze stanowczością, szczerość i prostota iście wielkopolska, wroga wszelkiemu politykowaniu, a wykwintność nader pociągająca w obejściu cechowały jego stosunek jako rektora do grona wychowawców i do młodzieży. «Ileż to razy, mówi wspomniany wyżej jeden z jego wychowanków, przychodził sam do nas czyto na salę rekreacyjną, czy na plac, rozmawiając, żartując śmiejąc się ze wszystkimi; a zawsze umiał każdemu coś stosownego powiedzieć, to pochwalić, to zganić lub dowcipnie coś zauważyć — a wszystko z wielką łagodnością i życzliwością. Nie dziw też, że kiedy został rektorem zakładu, wszyscy powierzyli mu chętnie i szczerze swe troski i zmartwienia, a każdy odchodził od niego ze słowami pociechy, otuchy i nadziei i z obietnicą pomocy. Wszyscy też kochali go jak ojca i opiekuna, kochali go szczerze i prawdziwie, kochali go tak, jak i on wszystkich kochał».



Dla podniesienia zakładu, upiększenia i ulepszenia wielu rzeczy uczynił bardzo wiele. Pokaźne w rozmiarach nowe skrzydło i kaplica przed frontem konwiktu, wyciągnięte już pod dach i pokryte dachówką, i wiele innych, na każdym niemal kroku nowości jego są właśnie dziełem. Dla rozwoju tak moralnego jak naukowego powierzonej nam w konwikcie, a pod ostatecz-

nym kierownictwem jego zostającej młodzieży, był gotów na wszelkie poświęcenia. Padł też ofiarą tej gotowości, jak żołnierz na posterunku.

W sam dzień zaduszny 2-go listopada udał się pieszo na dworzec kolejowy, do lwowskiego pociągu, by na miejscu we Lwowie pozałatwiać interesa budowlane, a już na drugi dzień po powrocie czuł się niezdrowym i skarżył się na dolegliwości towarzyszące influency. Ruchliwy jednak z natury, zmagał się, ile mógł załatwiał sprawy bieżące, zaglądał do budowy kaplicy, po południu zaś pojechał z wizytą do p. Żelechowskiego, nowego naczelnika stacyi kolejowej w Chyrowie, a ponieważ wiatr był mroźny, a ś. p. O. Rektor za lekko ubrany, w czasie tej przejażdżki widocznie się przeziębił, bo stan jego zdrowia tak się odrazu pogorszył, że kiedy z powrotem z miasta zatrzymał się na chwileczkę w rozmownicy na prośby matki jednego z konwiktorów, — uczuł nagle silne dreszcze i niezwykłe osłabienie. Przerwał rozmowę i poszedł położyć się do łóżka, z którego już nie miał powstać. Nazajutrz w niedzielę obiegła po całym domu trwożna wieść, że u Ojca Rektora rozwinęło się influencyjne zapalenie szczytów płuc i opłucnej. Doktór zakładowy p. Mężyk, który od początku choroby aż do ostatniej chwili łoża pacyenta nie opuszczał i z uznania godnem poświęceniem i energią chorobie zapobiegał, chociaż nie tracił nadziei, to jednak i możliwości katastrofy od pierwszej zaraz chwili nie wykluczał, bo i zapalenie tego rodzaju ma najczęściej przebieg złośliwy i akcya serca pacyenta od dłuższego czasu była nietęga; a nadto cierpiał na astmę i znaczną rozedmę płuc. Podzielał to zdanie także Dr. Rościszewski z Przemyśla, który już w niedzielę rano zjechał na konsylium. Tem energiczniej wysilano się na możliwie najskuteczniejsze środki, ażeby pacyenta ratować. Darmo, choroba rozszerzała się, ogniska zapalne przybywały jedno po drugiem, serce słabło, a influencya zajmowała żołądek. Widać Bóg żądał ofiary jego cichego i pracowitego życia, gdyż «podobała Mu się dusza jego». Do łoża chorego dwa razy zjeżdżał proszony o to p. radca Dr. Opolski ze Lwowa, a jak p. Dr. Mężyk i Dr. Rościszewski, tak i on robił, co tylko po ludzku mógł. Niestety, choroba zwaliła się na organizm, który jej znieść nie mógł i naturalnym biegiem rzeczy uledz jej musiał. Katastrofa zbliżała się powoli, ale zimnym i pewnym nieomal krokiem. Dziwny niepokój, jakaś trwoga tajemna i serdeczna troska i przeczucie nieszczęścia wisiało w powietrzu, odbijało się na wszystkich twarzach... Co chwila krzyżowały się pytania przytłumione i szepty: «jak tam?» — «lepiej?» — «źle» — «troszkę lepiej» — «bardzo źle» — «niema nadziei». — Coś ściskało za gardło.. Nie, to nie możliwe!.. to chyba sen, żeby O. Rektor...

Od początku choroby wszystko, co żyło w domu, rzuciło

się do modlitw i gorących do Boga próśb. Nowennami, odprawianiem Mszy św., odmawianiem różańców, niejedną ofiarą i łzą cichą szturmowano po prostu do nieba. Konwiktorzy to wspólnie, to osobno zamawiali msze św. na intencyę chorego. Raz po razu cały konwikt schodził się na własne prośby do kaplicy na koronkę przed wystawionym Najśw. Sakramentem. Tymczasem chory do ostatniej prawie chwili troskał się jeszcze o dom i konwikt. W serdecznych wyrazach dziękował za modlitwy, miłość i przywiązanie, okazywane mu w chorobie zwłaszcza. Dowiadywał się o los rozpoczętych nowych prac budowlanych, — poddając się równocześnie z rezygnacyą woli Bożej i żegnając z tymi, którzy przy nim stali.

Jakoż rzeczywiście Bóg nie chciał tym razem ofiar naszych, ale chciał ofiary jednej, t. j. życia kochanego naszego O. Rektora.

W piątek dnia 11 listopada, dwie minuty przed 12 godziną w południe — przyjąwszy jeszcze dzień przedtem najpobożniej ostatnie Sakramenta św, a w sam dzień śmierci wiatyk — w otoczeniu zakonnych swych Braci, Drów p. Radcy Opolskiego i Mężyka cicho i pogodnie po niedługich, ale wielkich cierpieniach, wierny sługa Boga, niezmordowany pracownik Pański przeniósł się z pola walk, trudów i życiowych znojów do lepszego życia. Modlitwy nasze nie były daremne — dał mu Bóg dobry zamiast zdrowia siłę do godnego zniesienia ogromnych cierpień i skon pobożny.

Konwiktorów uwiadomił o śmierci ks. Rektora, ks. Prefekt generalny przy końcu obiadu. Niedługo potem oglądaliśmy go ze zmienioną nieco cierpieniem, ale jakimś nadziemskim pokojem owianą twarzą, ułożonego na wieczny sen wśród żałobnej zieleni i obicia, w kapłańskie przybranego szaty, na katafalku.

W niedzielę dnia 13 listopada o godz. 3 po południu wyruszył z zakładu nader liczny orszak pogrzebowy, towarzyszący zwłokom ś. p. O. Kazimierza. Kondukt prowadził Najprzew. Ks. Infułat przemyski, Jakób Federkiewicz, w licznej asystencyi całego kolegium, wielu przedstawicieli duchowieństwa świeckiego obu obrządków, jakoteż zakonnego, reprezentantów władz rządowych i autonomicznych i ze wszystkich stron kraju przybyłych rodziców, mających swe dzieci w zakładzie. Czoło orszaku tworzyły zastępy konwiktowej młodzieży ze swą kapelą. Trumnę dźwigali kolejno na swych barkach Księża i Bracia, towarzysze zakonni zmarłego, straż pożarna zakładowa, a także uczniowie starszych klas. Nadto z każdej klasy zmieniali się delegaci w niesieniu wspólnego wieńca; resztę bowiem złożonych na wieńce pieniędzy przeznaczyli konwiktorzy na ukochane dzieło ś. p. O. Rektora, t. j. budowę nowej kaplicy, a w szczególności na ołtarz św. Kazimierza z odpowiednią pamiątkową tablicą.

Przed spuszczeniem zwłok ś. p. O. Kazimierza do krypty grobowej przemówił do zebranych na cmentarzu słuchaczy ks.

Infułat, w serdecznych słowach podnosząc zasługi zmarłego kapłańskie i wychowawcze i niezwykłe jego zalety jako tyloletniego kierownika zakładu chyrowskiego. Następnie przemawiał p. Nowosielecki, starosta krośnieński, w imieniu rodziców tutejszej młodzieży i zaznaczył z naciskiem, jak bardzo zmarły ś. p. ks. Rektor przyczynił się bystrością swego umysłu, rozległą wiedzą, doświadczeniem, taktem i bezgraniczną miłością młodzieży do rozkwitu zakładu i wydatnej jego działalności, podjętej w celu odrodzenia ducha narodowego i religijnego młodszych pokoleń.

Nazajutrz w poniedziałek 14. t. m. o godz. 8 rano odbyło się uroczyste nabożeństwo żałobne w kaplicy konwiktowej, odprawione przez Najprzewieleb. ks. Biskupa Karola Fischera, sufragana przemyskiego, który umyślnie zjechał do Chyrowa w zastępstwie Arcypasterza naszej dyecezyi, ks. Biskupa Pelczara, zajętego w tym dniu z powodu kongregacyi XX. Dziekanów.

Na wiadomość o śmierci O. Stefańskiego pospieszono ze wszystkich nieomal stron kraju z wyrazami współczucia i żalu. Na ręce O. Wicerektora Bapsta lub do gremium Księży nadeszło przeszło 150 telegramów, a wśród nich od tak wybitnych osobistości jak: J. E. ks. Metropolity hr. Szeptyckiego, Najprzew. XX. Biskupów Fischera i Czechowicza, J. Eksc. Dra Koerbera byłego prezydenta ministrów austryackich, J. Eksc. Namiestnika hr. Potockiego, J. Eksc. Prezydenta Tchórznickiego, hr. Tarnowskich i wielu, wielu innych. Nadto wyrazili kondolencye w łaskawie nadesłanych listach J. E. ks. Kardynał Puzyna, p. wiceprezes Rady szkolnej Dr. Płażek, p. radca Dr. German, p. radca Inspektor Lewicki, prof. Creizenach i — gdyż niepodobna wyliczyć wszystkich poszczególnie — do 100 rodzin lub pojedynczych osób, które miały sposobność poznać za życia ś. p. O. Kazimierza. W imieniu swojem i dwóch pozostałych sióstr ś. p. zmarłego dziękuje Księżom i młodzieży konwiktowej wspomniany już wyżej brat O. Kazimierza «za ostatnią oddaną mu posługę, za chęć uczczenia jego pamięci przez postawienie ołtarza św. Kazimierza w nowo budującej się kaplicy i umieszczenie tamże tablicy pamiątkowej, na który to cel i on ośmiela się przesłać kilkaset koron».

Ś. p. O. Stefański oddany był — jak świadczy kierownik jego duszy O. Baudiss — zakonowi całem sercem. Miłość świętego powołania była mu w życiu jakby przewodnią gwiazdą. Ona go też wiodła na drodze cnoty, zaparcia się a szczególnie wielkiej, prawdziwie głębokiej, zakonnej pokory. Niezwykle wykształcony, nigdy prawie nie narzucał nikomu swego zdania. Już w kandydaturze a później w nowicyacie nie usiadł pierwszy, jeśli odwiedzający go nie zabrał wpierw miejsca. Później, jako przełożony i rektor, rzeczywiście to co Pismo Boże mówi:

«rectorem te fecerunt, esto tamquam unus ex illis», był jakoby jeden wśród wielu. Z natury trochę zamknięty w sobie, wogóle był jednak bardzo wesoły, swobodny i uprzejmy w obejściu. Gdy kogo mimowolnie obraził, nie wahał się go przeprosić. Opowiadał jeden z młodszych księży, że kiedy pewnego razu po rekreacyi wieczornej powracał do pokoju, zastąpił mu drogę ś. p. O. Rektor i szepnął cicho: «przepraszam Ojca bardzo, że mu na rekreacyi dokuczyłem».

W rzeczach tyczących duszy jako też w ćwiczeniach duchownych był nadzwyczaj sumienny. Jeszcze w ciągu ciężkiej bardzo choroby i w ostatni dzień przed skonem prosił O. Duchownego o zwolnienie go od brewiarza. Jako rektor, wśród najróżnorodniejszych zajęć i przeszkód nigdy się sam nie dyspensował od ćwiczeń duchownych, ale jeśli koniecznie trzeba było, czynił to za pozwoleniem O. Duchownego. Bardzo często chodził do spowiedzi św., pragnąc z jak największą czystością duszy przystępować do ołtarza.

Po przyjęciu ostatnich Sakramentów św. kiedy już się i modlić nie mógł, często krótkie powtarzał westchnienia i strzeliste akty i z wielkim wyrazem pobożności znak krzyża św. na sobie czynił. Kiedy mu przybliżano do ust krucyfiks, całował go serdecznie szepcąc raz po razu słodkie imiona Jezusa i Maryi.

Niechże mu ten Bóg, któremu służył życiem całem i ufał aż do zgonu, będzie litościwy w wieczności, a pamięć wdzięcznych naszych serc bratnich niech mu będzie zapłatą na ziemi.

Ks. Władysław Wojtoń T. J.

O. Franciszek Ksawery Eberhard,

zmarły w Opawie d. 3 lutego 1905 r.

Jak piorun z pogodnego nieba spadł do kolegiów i domów telegram donoszący o śmierci O. Eberharda, przeraził, zasmucił tych zwłaszcza, którzy go bliżej znali i z nim pracowali.

I.

Urodził się w Berlinie d. 26 stycznia 1844 r. z ojca katolika, mistrza krawieckiego, matki protestantki, był ósmym z rzędu dziesięciorga rodzeństwa, kochany i trochę psuty przez nie. Wnet po jego przyjściu na świat matka została katoliczką, bo gdy zwyczajem protestanckim poszła do zboru po błogosławieństwo, pastor odprawił ją grubiańsko, a w kazaniu tego dnia miotał obelgi na Matkę Najświętszą. Urażona tem, wyszła ostentacyj-

nie w czasie kazania ze zboru, zgłosiła się do proboszcza kościoła katolickiego św. Jadwigi, i przygotowana przezeń należycie, uczyniła wyznanie wiary ku uciesze męża i dzieci, które wszystkie były katolickie[1]. Nasz Franuś kochał bardzo swą matkę i dorósłszy, poważny już Pater, często powtarzał: «meine Mutter hat gesagt», moja matka mówiła to a to.

Ukończywszy niższe gimnazyum w Berlinie, w 16 roku życia wstąpił do nowicyatu w Starejwsi d. 10 września 1860 r. Pamiętam go dobrze, istny synek starych Germanów, jak ich opisuje Tacyt, o rumianej pełnej twarzy, niebieskich oczach, długich jasny blond włosach, wesoły a jednak nie roztrzepany, owszem myślący i nad wiek roztropny. Kto był jego promotorem do zakonu, nie wiem napewno, przypuszczam że ks. Müller, wikaryusz kościoła św. Jadwigi, który przez lat z górą 40 podtrzymywał życie katolickie w Berlinie, sprowadzając Jezuitów misyonarzy, zakładając bractwa kościelne i stowarzyszenia katolickiej młodzieży. Zajmował się gorliwie i naszą Polonią, której tam było przeszło do 40 tysięcy. Poznałem go właśnie na takiem zebraniu młodzieży polskiej 1876 r. jadąc na trzecią probacyą do Francyi.

Po skończonej filozofii[2] w Starejwsi 1867 r. nasz Eberhard magistrem jest 1 i 2 klasy przez dwa lata w Tarnopolu, kochany przez uczniów i kolegów.

Odbył potem (1869 72) trzechletni kurs teologii dogmatycznej w Krakowie, wyświęcony już przedtem przez biskupa Pukalskiego na kapłana w Tarnowie 2 sierpnia 1870 r.[3]

Właśnie wtenczas powierzył nam Wikaryusz Apostolski X. biskup Gałecki na wniosek rządu (namiestnika hr. Gołuchowskiego) kazania niemieckie w kościele św. Barbary, które od 1868 r. miewał O. Augustyn Lipiński przybyły z Brazylii, gdzie przez lat 20 był misyonarzem. Zapadał na zdrowiu, kaznodziejstwo w późnem już wieku było dlań ciężarem, więc zastąpił go 1869 r. na niemieckiej ambonie O. Langer, profesor podówczas teologii znakomity i mówca dzielny. W r. 1872 objął kaznodziejstwo niemieckie młody ks. Eberhard; nie na długo, bo w następnym roku z woli O. Prowincyała Kautnego odprawił trzecią

---

[1] Jedna z sióstr O. Eberharda zmarła Wizytką 1892 roku w Krakowie, druga Germana jest Elżbietanką, obecnie przełożoną leczniczego zakładu w Schreiberhau na pruskim Śląsku.

[2] Będąc na filozofii w Starejwsi, uczył w szkółce parafialnej katechizmu i śpiewu. Niektóre pieśni i melodye kościelne, które wtenczas bądź sam ułożył, bądź z zagranicznych śpiewnikow do polskiego śpiewu zastosował, są dziś jeszcze w użyciu po naszych kościołach w Starejwsi i indziej.

[3] Mniejszych święceń udzielił mu w Starejwsi 2 lipca 1861 roku biskup przem. X. Jasiński; subdyakonatu 16 marca 1867 r. we Wrocławiu książę biskup Foerster; dyakonatu 31 lipca 1870 r. X. biskup Pukalski. Pierwszą mszę św. odprawił O. Eberhard w Krakowie w kościele św. Barbary. (Przyp. Red.)

próbę w Tronchiennes w Belgii; w kazaniach niemieckich wyręczył go O. Langer.

Podczas pobytu O. Eberharda w Belgii umiera (30 marca 1874 r.) X. Pękalski ostatni z Bożogrobców, którym pojezuicki kościół św. Barbary dany był na własność w zamianę za zniesiony ich kościół św. Jadwigi. J. X. biskup Gałecki przeznaczył administratorem św. Barbary świeckiego kapłana, którego naturalnie opłacać musiał rząd, bo zabrał cały majątek Bożogrobców. Aby uniknąć płacenia, zapytał rząd O. Prowincyała Kautnego, czy kaznodzieja niemiecki Jezuita nie przyjąłby także administracyi, ale tymczasowo i bezpłatnie? Propozycyę przyjęto; Jezuitom bowiem chodziło o to, aby powrócić do swego najdawniejszego w Krakowie kościoła, do którego wiążą się wspomnienia ks. Skargi i starych onych zacnych polskich Ojców, króla Batorego i Zygmunta III. Więc odwołano coprędzej O. Eberharda z trzeciej próby, który też 27 czerwca 1874 r. objął urzędownie administracyę św. Barbary jako «provisorischer, unendgeldlicher Administrator» jak się żartobliwie przechwalał.[1]

II.

Odtąd datuje się piętnastolecie prac kapłańskich i misyonarskich O. Eberharda w Krakowie i okolicy, w Galicyi, Śląsku i na Bukowinie, które istotnie powtórzeniem są tego, co przed 300 laty Jezuici św. Barbary podejmowali i czego dokazali. Jak ongi Skarga przy pomocy zacnych matron, tak on, pomimo że Niemiec, nieszczególną mówił polszczyzną, kochany w Krakowie przez arystokracyę polską licznie wtenczas zamieszkałą i obywatelstwo krakowskie, z ofiar i składek odświeżył, odnowił świątynię, sprawił nowe konfesyonały, zaopatrzył zakrystyę w przybory i szaty kościelne, a co najważniejsza, wprowadził porządne nabożeństwo: od 6—9 rano msze św., o 5-ej wieczorem błogosławieństwo Najśw. Sakramentem, w niedziele i święta na sumie kazania niemieckie, na nieszporach polskie. Zaprowadził bractwo Serca P. Jezusa i Apostolstwo modlitwy, oraz Komunię wynagradzającą w pierwszą niedzielę każdego miesiąca, przyczem miewał bardzo żarliwe do ludu przemowy.

W konfesyonale dosiadywał pilnie sam i drugich księży zapraszał, tak że wkrótce kościół św. Barbary stał się *poenitentiaria magna,* nietylko dla Krakowian, ale dla wszystkich, co z trzech zaborów Polski doń przybywali, że stał się ulubionym kościołem osób pobożnych, a nawet modnym, bo nietylko egzekwie, ale i śluby znaczniejsze w nim się odbywały. Usłużny, uprzejmy dla wszystkich, jednał sobie serca oną swoją zawsze wesołą, szczerą, bez afektacyi prostotą ducha. Żebrać dla ko-

---

[1] Indygenat austryacki otrzymał w r. 1877, przyjęty do gminy Wyciąże.

ścioła nie wstydził się, ale zazwyczaj nie żebrał, dosyć gdy powiedział, że to a to dla ozdoby kościoła bardzoby się przydało, i wnet znalazł fundatorow.

Zostawszy onym bezpłatnym administratorem, zamieszkał w cztery lata później (28 października 1878 r.) w pobliżu kościoła św. Barbary, przy Małym Rynku w kamienicy pani Illmingowej, a przy nim przytuliło się kilku Jezuitów. Tak powstała rezydencya św. Barbary, przeniesiona d. 1 lipca 1880 r. do najętego domu XX. Mansyonarzy maryackich, której on, jako minister i prokurator przez lat kilkanaście był duszą i prawie żywicielem. Nieczekać długo, a O. Eberhard stał się ulubieńcem Krakowa. Tu proszono go o przygotowanie do pierwszej Komunii św., tam o rekolekcye przedślubne dla narzeczonej, zasięgano rady, a nie raz pośrednictwa w nieporozumieniach familijnych, wzywano do chorych. Umierał niedowiarek lub obojętny w wierze, wołano O. Eberharda; odwiedził raz, drugi, dziesiąty chorego, dopokąd go do przyjęcia sakramentów św. nie nakłonił. Dogorywającemu ex-staroście Dunajewskiemu, bratu biskupa i ministra, złożył 30 kilka wizyt, podawał lekarstwa, opowiadał nowiny miejskie, zanim udało mu się pozyskać go Bogu. Wdzięczny mu był za to J. X. Biskup Albin, obsypał wszelkiemi *facultates*, aby mógł swobodnie nawracać z judaizmu, protestantyzmu i schizmy.

To też O. Eberhard od 1872—1889 roku przyjął na łono Kościoła katol. 297 protestantów, zwłaszcza protestantek, które jako guwernantki, bony, przybyły z Anglii, Szwajcaryi i Niemiec do domów polskich, i koło 50 schizmatyków; ochrzcił zaś 309 żydów i żydówek. Z temi zażył wiele kłopotu, nietylko aby znaleźć ojców chrzestnych i odpowiednie dla neofitów umieszczenie, ale że ścigała go złość żydowska, a nawet luterska. Oto w marcu 1885 roku poseł do rady państwa w Wiedniu baron Bloch z Florisdorfu zaczepiwszy budżet ministerstwa sprawiedliwości, zarzucał powolność sądom krakowskim, nieudolność policyi i pytał ministra, czy on wie o tem, że w Krakowie Jezuita ks. Eberhard prozelityzmem i nieuczciwą miłością wiedziony, Małkę Stieglitzównę z ulicy Szpitalnej nakłonił do ucieczki z domu rodzicielskiego i przyjęcia chrztu? Z rozkazu ministra sądy zrobiły dochodzenie, okazało się, że dziewczyna ma lat 16, może więc na mocy ustawy państw. zmienić wyznanie religijne, choćby wbrew woli rodziców, że jednak na żądanie ojca sąd szukać kazał dziewczyny w Staniątkach, ale jej nie znalazł. Dwa razy jeszcze na krzyki żydów i gazet żydowskich wznowiono sądowe dochodzenie, ale każdym razem skarga starego Stieglitza o zbrodnię gwałtu publicznego została odrzuconą. Z toku śledztwa widoczna było, że 1) O. Eberhard odradzał dziewczynie stanowczo ucieczkę z domu rodziców, którzy ją biciem i srogiem obejściem do tego moralnie zmusili, że 2)

ochrzcił ją wtenczas, gdy magistrat i konsystorz potrzebne dali pozwolenie, że 3) nakłonił PP. Benedyktynki w Staniątkach, u których dziewczyna chwilowy przytułek znalazła, iż nie broniły jej rozmowy sam na sam z rodzicami, którzy ją kilkakrotnie namawiali do powrotu do domu i dawnej wiary, ale bezskutecznie, że 4) postarał się aby dla dalszej edukacyi przyjęły ją Siostry Boromeuszki w Cieszynie, a gdy stamtąd po kilku latach już dorosłą panną wróciła, dopomógł jej, że wyszła za mąż za krawca porządnego, z którym uczciwie, matka kilkorga dzieci, żyje dotąd.

Przykrzejszą jeszcze była druga sądowa sprawa tocząca się prawie równocześnie z tamtą. Rzecz tak się miała. Z początkiem kwietnia, znany w Krakowie ogrodnik Henryk Morgenstern, protestant z Saksonii, wniósł do ministra sprawiedliwości prośbę o dochodzenie za zbiegłą z domu córką Emmą. W podaniu tem, zredagowanem przez koncypienta adwokackiego Stefana Eichhorna, żyda, obwiniał Morgenstern O. Eberharda o nakłonienie córki do zmiany wiary i ucieczki w celach miłosnych, przyczem użył wyrazów: «Proselitenmacher, Verführer, verbrecherische, betrügerische Handlung». Minister odesłał podanie prokuratoryi państwa w Krakowie, ta sądowi. Wezwany do śledztwa O. Eberhard zażądał w protokole, aby najściślej sprawy dochodzono i jeżeli okaże się winnym, aby go surowo ukarano, ale jeżeli nie, aby ukarano oszczerców. Niewinność jego zajaśniała w całej pełni, raz tylko rozmawiał z Emmą w zakrystyi św. Barbary, odradzał jej ucieczkę z domu, żadnej nie utrzymywał z nią korespondencyi, nie wiedział nawet gdzie się obraca, czy i kiedy przeszła na katolicyzm. Więc Morgenstern i Eichhorn zasiedli 1-go września 1885 r. na ławie jako oskarżeni, «o obrazę czci» (z § 487. kod. karn.) i wyrokiem sądu delegowanego karnego zasądzeni pierwszy na 7 dni, drugi na 6 tygodni aresztu. Obydwaj apelowali do sądu krajowego, który ich 8 października uwolnił od kary, ale jedynie dla przedawnienia sprawy. Rzecz jasna, że żydowska «Presse», która się rozpisywała szeroko o prozelityzmie i uwodzeniu ks. Eberharda w obojej tej sprawie, wzywając policyę i sądy aby ostro przeciw niemu wystąpiły, zamilczała roztropnie o przebiegu i wyniku procesów. Emma Morgenstern wstąpiła do PP. Nazaretanek, i od kilkunastu lat jest przełożoną domu tego zgromadzenia w Rzymie.

Procesa te nietylko nie szkodziły dobrej sławie O. Eberharda, ale owszem spotęgowały ją. Konsystorz biskupi przesłał do ministeryum sprawiedliwości pismo pod d. 23 marca 1885, w którem potwierdziwszy prawdziwość relacyi, jaką ks. Eberhard złożył pisemnie O. Prowincyałowi Jackowskiemu, oświadcza, że «rzucone przeciw niemu podejrzenia uważa jako oszczer-

stwo, a co do moralności O. Eberharda może tylko jak najlepsze dać świadectwo. O. Eberhard jest niemieckiej narodowości, ale tu w Krakowie, znaną w najszerszych kołach, poważaną i ulubioną osobistością». Podobne świadectwo dało O. Eberhardowi miasto Kraków, najznaczniejsi dygnitarze i obywatele z sfer arystokracyi i kupiectwa, profesorowie i adwokaci, zacne matrony i panie opatrzyli je licznymi podpisami.

Oprócz wymienionych wyżej prac w kościele św. Barbary, O. Eberhard dawał corocznie rekolekcye prawie wszystkim zakonom żeńskim w Krakowie: PP. Prezentkom, Duchaczkom, Franciszkankom, Dominikankom, Bernardynkom, Wizytkom, Matkom Miłosierdzia, Felicyankom. Zaopiekował się też dziewczętami w fabryce cygar, corocznie dawał im rekolekcye w kościele św. Barbary, u dyrektora fabryki bardzo mu życzliwego wypraszał jednym przyjęcie, drugim powiększenie dziennej płacy, i wnet w izbach fabrycznych widziałeś ściany obwieszone obrazami Serca Jezusa i Najśw. Panny, słyszałeś zamiast śmiechów i świeckich piosnek, pieśni nabożne. Dla młodzieży szkolnej założył w r. 1872 Czytelnię katolicką, którą prowadził roztropnie do swego wyjazdu 1889 r. Co roku na imieniny ks. biskupa Albina urządzał w niej wieczorek muzykalno-deklamacyjny, na którym bywał cały pobożny Kraków. Gdy potem przyjęto do Czytelni kilku akademików, a za ich namową zmieniono statut w ten sposób, że ksiądz dyrektor nie ma głosu decydującego, tylko jako zwykły członek wydziału, głos doradczy i wskutek tego wkradły się polityczne agitacye, scysye, swary i kłótnie, usunęli się Jezuici, i Czytelnia dla braku grosza, rozwiązać się musiała 1891 roku.

Niedosyć pracy w Krakowie. O. Eberhard wyjeżdżał często z kazaniami odpustowemi do sąsiednich parafii, chociaż mówił je często także w krakowskich kościołach,[1] i na misye ludowe do Ruszczy 1874, do Mogiły 1875 i 1877, Jaworzna i Bogumina 1878, wreszcie do Czerniowiec 1879 r., gdzie razem z O. Maksymilianem Klinkowstroemem, sławnym kaznodzieją z prowincyi austryackiej, głosił niemieckie kazania, podczas gdy polskie mówili OO. Baczyński, Wójcikowski, Sebastyański.[2] Misya ta przez infułata ormiańskiego ks. Mitulskiego sprowadzona, trwała 8 dni, i sprawiła przełom w życiu a raczej w obojętności religijnej

---

[1] Została po X. Eberhardzie w rękopisach spora liczba kazań polskich; jedno ogłosił sam drukiem w osobnej broszurce p. t. *Kazanie wygłoszone na nabożeństwie żałobnem za duszę ś. p. X. Zygmunta Goliana, w kościele św. Barbary, przez X. Franciszka Eberharda T. J.* Kraków, 1885, druk «Czasu», 8, str. 16. Przedrukowano je później w «Kazaniach i Szkicach księży T. J.» t. I, str. 301—311. Tamże t. VII, str. 281—289 zamieszczono jeszcze jedno kazanie X. Eberharda na uroczystość Serca Jezusowego.

[2] Opis tej misyi w «Wiadomościach kościelnych» 1879 str. 110; i w «Bonus Pastor» 1879 str. 108.

czerniowieckich katolików, dała im poznać bliżej Jezuitów i przygotowała grunt do przyszłej rezydencyi Jezuitów i nowych prac na Bukowinie.

Zaraz roku 1880 przypadają pierwsze, sławne misye w Serecie, Gura Humora, Jakobeny, Pojana Mikuli, Luisenthal i t. d. pracowali na nich O. Eberhard, Wójcikowski i Adler. Powtórzyły się misye bukowińskie 1882 i 83 roku w Althütte, Bojanie i Suczawie. W r. 1886 w marcu widzimy O. Eberharda na misyach w Śląsku pruskim, (pierwsze, które od czasu kulturkampfu 1872 r. odprawiono) w Biskupicach, Rudzie, Lipinach; 1887 r. w Weisswasser. W 1886 r. daje misyę w Dolinie, a 1888 rozpoczyna długi szereg misyi dla emigracyi polskiej w Saksonii, pracującej w kopalniach w Hali, Eisleben, Mansfeldzie, Helbrze, gdzie z proboszczem ks. Schwermerem prowadził pierwszą od czasów reformacyi (od 340 lat) publiczną procesyę Bożego Ciała, w Koethen, Merseburgu i t. d.[1] W powrocie zatrzymał go w Berlinie ks. biskup wojskowy Assmann, aby dla polskich robotników w dwóch kościołach miewał różańcowe nabożeństwo i kazania misyjne przez cały październik. Uradowany błogimi owocami kazań ks. biskup, zaprosił go w następnym roku do Berlina na majowe nabożeństwo i kazania dla Polaków przez cały miesiąc maj. Pomiędzy temi dwoma berlińskiemi misyami, zaproszono O. Eberharda na kongres katolików w Bytomiu na Śląsku, gdzie uczestniczył w obradach i wygłosił wspaniałą mowę, a potem w grudniu na misyę w Pruchnie na Śląsku austryackim.



O. Eberhard
(podług fotografii z 1889 r.)

Jedną z ostatnich jego prac w Krakowie, były trzydniowe rekolekcye, dane pierwszy raz w marcu 1889 r. w świeżo założonym schronisku brata Alberta, dla włóczęgów bez dachu. Wkrótce potem 22 września O. Prowincyał Mycielski przeznaczył O. Eberharda na superiora ubożuchnej rezydencyi w Czerniowcach. I tu się rozpoczyna nowa doba kapłańsko misyonarskiej jego działalności.

---

[1] Misye w Saksonii O. Eberharda opisał według jego notatek O. Badeni w «Przeglądzie powszechnym» 1889 roku t. 24, str. 327—342; tudzież w osobnej odbitce: «Emigracya ludu polskiego do Niemiec». Kraków 1889 r., druk Anczyca.

III.

Jezuici czerniowieccy od czterech lat mieścili się w starym zbutwiałym domku, tuż przy ogrodzie miejskim, a dom drugi, więzienie niedawno miejskie, przerobili na kaplicę dla 250—300 osób, i w niej urządzili porządne nabożeństwo i mówili kazania polskie i niemieckie. Pierwszem więc staraniem nowego superiora było zasłużyć się dobrze inteligentnym warstwom przez urządzenie dla nich konferencyi religijnych, na które O. Załęskiego z Krakowa zaprosił i rozpocząć akcyę co do budowy nowego kościoła i domu. Na szczęście brak drugiego kościoła w Czerniowcach dawał się we znaki miastu, więc gdy O. Eberhard oświadczył burmistrzowi Kochanowskiemu, Polakowi i przedniejszym członkom rady miejskiej, że swoim kosztem wybuduje wielki kościół, byle miasto pozwoliło i dało plac potrzebny, przyjęto projekt dobrze. Życzliwy sprawie burmistrz radził 1) wnieść podanie nie pierwej, jak w lipcu, gdy część rady na feryach i u wód; 2) pozyskać głosy radnych żydów. Więc O. Eberhard z O. Wagnerem siadają do powozu i dalejże składać wizyty panom radnym żydowskim, — byli to adwokaci i kupcy, — i prosić o poparcie wniosku. Ujęci grzecznością, przyrzekli i dotrzymali. Bo gdy na pełnej radzie miejskiej 23 lipca 1890 r. projekt ów wniesiono, nietylko głosowali za nim, ale zwalczali wymownie radnego schizmatyka, syna metropolity, i kilku katolików, którzy byli przeciwni. Dzięki tej interwencyi żydowskiej projekt przeszedł 23 głosami przeciw 9, a nazajutrz O. Eberhard objął wyznaczony plac pod kościół w posiadanie. W umowie jego z miastem czytam, że ten kościół ma być monumentalny «ein monumentaler Bau», rozpoczęty ma być w ciągu lat trzech, skończony w ciągu lat ośmiu. Gdyby tego nie dopełniono, niedokończona budowa w takim stanie w jakim się z końcem ósmego roku znajdzie, przechodzi na własność miasta. O. Eberhard już przed zimą t. r. położył fundamenta, a dnia 7 czerwca 1891 poświęcił kamień węgielny J. X. Arcyb. Morawski w asystencyi J. X. Arcyb. Felińskiego, kilku kanoników i miejscowego kleru. W trzy lata potem, prawdziwie «monumentalna budowa» wspaniałego gotyckiego kościoła w formie krzyża, z ciosu i cegły, według planu profesora Leitznera już była gotową; dnia 25 października 1894 r. J. X. Arcyb. Morawski dokonał jego konsekracyi, przy udziale całego miasta i okolicznych katolików. Obok świątyni, na gruncie kupionym przez O. Eberharda od miasta za 400 złr., stanął obszerny gotycki dom piętrowy na rezydencyę przeznaczony, i już 27 paźdz. 1894 r. Jezuici w nim zamieszkali.

Kto dostarczał pieniędzy? Kosztorys prof. Leitznera opiewał na 160.000 złr., w rzeczy samej kościół z wewnątrzną ornamentyką, dzwonami i wielkim organem i z rezydencyą kosztował 208.000 złr.

Któryż to magnat dał tę sumę? Lud polski w Galicyi, na Bukowinie i Śląsku, a także w Saksonii i Westfalii pracujący w kopalniach, ale O. Eberhard wyprosił u biskupów pozwolenie, u proboszczów zaś to, że oni sami zapowiadali i zbierali składki «na kościół Serca Jezusowego w Czerniowcach», O. Eberhard za to dawał trzydniową misyę ich parafianom. Gdy wracał z jednej takiej ekspedycyi kwestarsko-misyonarskiej 1892 roku, zatrzymał się u św. Barbary. Był ochrypnięty iż prawie szeptał a podniebienie i organa głosowe wyglądały czerwono-czarne, jak mięso surowe wystawione w lecie na upał słoneczny. Wypoczął trochę i znów puścił się na kwestę i misye. Wymyślił inny także sposób. Oto piękny i dosyć wielki obraz Serca Jezusowego dawał każdemu, kto złożył na kościół 50 centów (koronę); kilkadziesiąt tysięcy obrazów rozebrali pobożni warstw wszystkich i oprawiwszy w ramy zawiesili w swych mieszkaniach; przybyło grosza budowie, ale rósł też kult Najsłod. Serca Jezusowego. W Galicyi pomagali kwesty bracia Białobrzeski, Skrzyński, O. Cosel i inni. Najtrudniej było pokryć koszta wewnętrznego urządzenia i ozdób świątyni, pomimo, że O. Eberhard, a także i prowincyał O. Mycielski, udawali się listownie z prośbą o zasiłek do niektórych wysoko położonych osób, i otrzymywali je dość znaczne. Potrzeba było zrobić dług na kilkanaście tysięcy złr., który jednak w ciągu lat 5, dzięki zapobiegliwości O. Eberharda stopniał do kilku tysięcy.

I oto 21 czerwca 1895 r. w nowej świątyni obchodzono pierwszą uroczystość Najsłod. Serca Jezusowego z niezwykłą wspaniałością. Trzy odprawiono wotywy w trzech obrządkach, 200 dzieci i trzy razy tyle dorosłych przystąpiło do Komunii św., a po nieszporach i kazaniu polskiem odbyła się procesya do ołtarza Serca Jezusowego umyślnie w tym celu przed kościołem ustawionego, przed którym wobec Najśw. Sakramentu kilku tysięczny tłum wiernych odmówił z swymi księżmi w trzech językach, polskim, ruskim i niemieckim uroczysty akt poświęcenia się Boskiemu Sercu. Po suplikacyach i «Przed oczy Twoje Panie» z dziękczynnem «Te Deum» na ustach wrócono do świątyni. Równie wspaniałego a budującego obchodu katolickiego Czerniowce nie widziały dotąd.[1]

---

[1] Już poprzednio, przez ostatnie cztery lata swego pobytu przy kościele św. Barbary w Krakowie urządzał O. Eberhard wspaniałą procesyę z kazaniem na Małym Rynku, w doroczną uroczystość Serca P. Jezusa. Zwyczaj odprawiania tej procesyi, dziś już we wszystkich prawie kościołach naszej prowincyi praktykowany, zaprowadził najprzód w Krakowie 1886 r. O. Jackowski, ale jej świetnem wykonaniem w szczegółach zajmował się bardzo gorliwie O. Eberhard. On też i w Opawie z niemniejszą wspaniałością zaprowadził (1901 r.) i corok urządzał podobną procesyę, a tak się umiał zakrzątnąć, że sprowadził na ten obchód najwyższe reprezentacye miejskie a nawet wojskowość z muzyką. Gdy jednego roku w uroczystość Serca Jezusowego kościół opawski był ze-

Jeszcze lat trzy superiorował O. Eberhard w Czerniowcach, zdobił kościół, opatrywał zakrystyę, dyrygował bractwa, kazania mówił polskie i niemieckie w mieście i po parafiach, dawał rekolekcye księżom, zakonnicom i zapraszał na nie naszych Ojców, raz poraz wyjeżdżał na misye do Bukowiny, na Śląsk, do Saksonii do polskich robotników.

Tymczasem otwarto nowy dom w Opawie, przy pięknym pojezuickim z XVIII. wieku kościele. Superior opawski O. Langer, zostawszy prowincyałem, upatrzył O. Eberharda na godnego następcę po sobie. Już on ugruntował czerniowiecką rezydencyę, wykończył kościół i spłacił prawie wszystkie jej długi; mogła się więc obejść bez niego. Aż tu J. X. biskup sufragan lwowski Weber, oceniając doniosłość misyi bukowińskich O. Eberharda, prosi O. prowincyała, aby go jeszcze czas jakiś zostawił jako misyonarza na Bukowinie. Więc został, i oddawszy dnia 4 grudnia 1898 r. superiorstwo w ręce O. Mrowińskiego, przez 10 miesięcy apostołuje na Bukowinie, jest i w Bukareszcie, gdzie daje rekolekcye zakonnicom tak zwanym «Siostrom angielskim», przez kilka tygodni spowiada i każe (kilkakroć w obecności króla rumuńskiego) w katedrze i już prawie zakłada rezydencyę jezuicką, gdy skąpstwo czy ubóstwo biskupa i kapituły projekt ten udaremnia. Iście cudowne były skutki bukowińskich misyi, do 40.000 osób przystąpiło do św. Sakramentów, jak to stwierdził wizytujący te strony J. X. sufragan Weber. Od niego dowiedział się o tem J. X. Arcyb. Morawski, i tak był uradowany i wdzięczny, że przy pierwszem spotkaniu się z O. Eberhardem ucałował go w rękę, ku wielkiemu zakłopotaniu skromnego misyonarza. Nie dosyć tego. Dnia 29 maja 1899 r. ze Lwowa wystosował do niego list niemiecki dziękczynny: «Za udzielone mi łaskawie wiadomości o Satulmare, Illischestie, Suczawa i Gura Humora, (gdzie apostołował O. Eberhard) i o przedsięwziętych przez W. Ojca pracach misyjnych, wynurzam W. Ojcu moje najszczersze podziękowanie. Ta ruchoma (ambulante) pomoc w duszpasterstwie jest nieocenionem dobrodziejstwem dla biednego, potrzebującego wielkiej uprawy wiernego ludu, jak dla kleru parafialnego. J. X. sufragan Weber podczas swej kanonicznej wizyty, miał sposobność przekonać się o błogosławionych skutkach Twojej pracy i podziwiać. Istotnie jest on zdziwiony i zachwycony i pełen największych pochwał dla Twej działalności. Dla arcypasterza zaś jest to prawdziwą pociechą i serdeczną radością, i obowiązuje mnie do najszczerszej wdzięczności».

Tem pochwalnem uznaniem wdzięcznego arcybiskupa swego

---

wnątrz okryty rusztowaniami, X. Eberhard przyozdobił je wieńcami zielonymi i chorągiewkami tak gustownie ku zdziwieniu wszystkich, jak gdyby umyślnie dla dekoracyi użyte były te belki i wiązania. (Przyp. Red.)

zakończył O. Eberhard «czerniowiecką» dobę swego życia apostolskiego. Ostatnia, krótka niestety, w Opawie.

IV.

Rządy opawskiej rezydencyi objął O. Eberhard 12 listop. 1899 r. najprzód jako vice-superior potem jako superior. Kościół znalazł już pięknie odnowiony i nabożeństwo, t. j. msze św., spowiedzi i kazania niemieckie i morawskie, bo na więcej kler parafialny i ks. arcybiskup Kohn niepozwolili, zaprowadzone. Więc na razie urządził na nowy rok 1900 Komunię św. wynagradzającą, potem uzyskał u ks. Arcyb. Kohna, u którego znalazł łaskę, pozwolenie na częste wystawianie Najśw. Sakramentu, na bractwa i nabożeństwa brackie, (mianowicie na kongregacyę maryańską dla mężczyzn), które ożywiły i zapełniły piękną świątynię. Istnieje w niej w głównym ołtarzu dawny jezuicki obraz Matki Boskiej słynny łaskami, więc podniósł i rozwinął nabożeństwo do tego obrazu, a przy życzliwej pomocy starosty opawskiego, radcy dworu Kasprzykiewicza, Polaka z Nowego Sącza, wymógł u rządu oddanie dawnego skarbca naprzeciw zakrystyi, który na osobną kaplicę dla cudownego obrazu N. M. Panny przerobić postanowił. Tymczasem zaś wymurował przy kościele wieżę za 30.000 koron, okna kościelne ozdobił witrażami i inne drobniejsze zaprowadził porządki.

Równocześnie pracował z innymi Ojcami na misyach w Śląsku, na Węgrzech, Morawach, w Rumunii, w Księstwie Poznańskiem i Prusach zachodnich, w Saksonii, Westfalii, w Hamburgu i t. d., a tak pole apostolstwa rezydencyi opawskiej, jak się żartobliwie wyraził, rozciągnął od morza Północnego do Czarnego, od Dunaju aż po Bałtyk. Istotnie, gdzie on nie był, gdzie nie głosił misyjnych kazań i rekolekcyjnych nauk!

Wszystkie niemal klasztory żeńskie w Opawie i Ołomuńcu, na Morawach i na Śląsku, a zwłaszcza Siostry Elżbietanki w Schreiberhau, gdzie rodzona jego siostra od wielu lat przełożoną, zapraszały go corocznie na 5 i 8 dniowe rekolekcye. Nie odmawiał tej usługi, chociaż nieraz z chrypką i zapalonem gardłem prosto z misyi na nie jechać trzeba było, albo gonić światy całe, n. p. aż do Bukaresztu, gdzie w lipcu i sierpniu 1900 i 1901 dawał rekolekcye «Siostrom angielskim», zakonnicom trudniącym się edukacyą panien. A tych misyi ile! Kto wyliczy? I tak n. p. 1900 r. odprawił sam w dyecezyi ołomunieckiej ośmiodniowe misye w Kreuzendorf (Krzyżowice), Liebenthal, Wojtzdorf (Wojtyszków), Altvogelseifen; w Wrocławiu w czerwcu t. r. przewodniczył rekolekcyom królowej saskiej. Roku 1901 znów misye w Engelsberg (Anielska góra), Kamitz, Gross Herrlitz (Heraltowice wielkie), Jägerndorf (Krnov), Dobischwald (Dobiszów) i Milbes (Milovany); na trzech misyach pomagali mu OO.

Feliks Wierciński i Herrman, inne sam dawał. W listopadzie 1902 r. misye w Freudenthal (Bruntal) i Würbenthal (Vrbno); r. 1903 w lutym rekolekcye ludowe w Wagstadt (Bilovec), misye w Nieder-Lindewiese (Lipowa dolna), Gross-Olbersdorf (Olbrechcice wielkie), Olbersdorf (Olbrechcice), Zossen (Sosnowa); krom jednej wszystkie w dyec. ołomunieckiej i sam je dawał, tylko w Lindewiesie na Śląsku austr. pomagał O. Kozelek.

Nie tak żyzny w posiew misyjny był r. 1904. W marcu O. Eberhard dał niemiecką misyę w Białej, pomagał mu O. Polke. Drugą misyę odprawił w Liebenthal dyec. ołomun. Przyjechał i do Krakowa w marcu i tam w kaplicy Córek Bożej miłości dał rekolekcye niemieckie żonom i dorosłym córom oficerów austryackich, bo mniejsze chodząc do szkoły tychże Sióstr, odprawiają szkolne rekolekcye. Była to ostatnia jego praca w Krakowie — niemiecka, bo przez kilka poprzednich lat apostołując głównie po niemiecku na Bukowinie, w Opawie i Morawach, mój zacny O. Eberhard, który wyjechał z Krakowa wcale niezłym Polakiem, zniemczył się trochę i już mu trudno przychodziło polskie prawić kazania. We wrześniu t. r. przewodniczył w trzech seryach zbiorowym dyecezyalnym rekolekcyom śląskiego kleru w Wrocławiu — z zadowoleniem wszystkich.

Tymczasem silny, potężny organizm O. Eberharda, który tyle strapacyi misyonarskiego żywota przez lat 30 wytrzymać musiał, psuć się zaczął; dokuczała *diabetis* (cukrowa choroba), leczył się na nią przez lat pięć, dorywczo i krótko, najczęściej u Elżbietanek w Schreiberhau, gdzie go pielęgnowała rodzona siostra. Więc też w styczniu 1905 roku, czując się gorzej niż zwykle, pojechał tam na wypoczynek. Polepszenie nie nastąpiło; znudzony bezczynnością wrócił 30 stycznia do Opawy, narzekał na żołądek i ból w piersiach, mimo to 2 lutego w święto Oczyszczenia N. M. P. słuchał spowiedzi, 3 lutego jako w pierwszy piątek miesiąca odśpiewał ulubioną swoją wotywę do Najsłod. Serca Jezusowego, przed Komunią św. miał gorącą przemowę, rozdał Komunię nie bez utrudzenia, bo wiele przystąpiło do niej osób, a co już wcale nie było potrzebne, sam udzielił błogosławieństwa św. Błażeja ze świecami na krzyż przez dobrą godzinę. Wieczorem t. d. o 8-ej przewodniczył zebraniu Sodalisów Maryi, przemowę miał do nich i udzielił błogosławieństwa Najśw. Sakramentem. Powrócił do celi o wpół do dziesiątej z wielkiem cierpieniem serca, z mdłościami i wymiotami. Posłano co tchu po lekarza dra Niesnera, tymczasem O. Skalski wysłuchał go spowiedzi, dał rozgrzeszenie papieskie, oleje św. przynieść miano z fary — ale nasz O. Eberhard już przestał żyć o godz. trzy kwadranse na jedenastą.

Umarł, jak żył — umarł, jak żołnierz na posterunku, wśród pracy kapłańskiej, jak na prawego Jezuitę przystało. Zabolała

nad tą śmiercią opawska rezydencya, ba prowincya cała, ale tę boleść koiła radość, powiedziałbym pewna duma, że *Societas Polona* takiego wydała syna.

Miasto Opawa przerażone wieścią o śmierci O. Eberharda wystąpiło całe, równie jak okolica, na jego pogrzebie w niedzielę 5 lutego po południu. Blisko 50 kapłanów poprzedzało karawan, a za nim prezydent Śląska hr. Thun, który już w sobotę przesłał Jezuitom bilet kondolencyjny, hr. Sprinzenstein z żoną z wielkich Hoszyc, wielu dygnitarzy i urzędników, kongregacya maryańska mężczyzn i jakie 10.000 ludu. Żal był powszechny a szczery. Nad grobem przemówił krótko O. Christian po niemiecku, O. Skalski po morawsku. Nazajutrz odprawili Jezuici solenne egzekwie, obszerny kościół przepełniony żałobną publicznością.

Także w Czerniowcach żałowano O. Eberharda szczerze. «Mnóstwo od wszystkich odbieramy kondolencyi» pisze O. superior Mellin do O. Prowincyała 7 lutego. «Dziś urządziliśmy żałobne nabożeństwo, msze św. były we wszystkich trzech obrządkach. W sobotę 18 lutego ruski kanonik i proboszcz ks. Kostecki urządza w cerkwi ruskie nabożeństwo i rozpisał po Bukowinie, aby księża ruscy odprawili po jednej mszy św. za duszę O. Eberharda. Komitet złożony z panów, postanowił uczcić pamięć O. Eberharda marmurową tablicą w naszym kościele czerniowieckim, i fundować mszę św. za jego duszę».

Równie wspaniałe egzekwie odprawiły się w kościele św. Barbary, acz nie tak liczna była na nich publiczność, bo młodsza jej generacya nie znała już O. Eberharda, który przed kilkunastu laty Kraków opuścił.

Ale i z różnych stron Niemiec i Śląska, gdzie O. Eberhard pracował, nadchodzą kondolencyjne listy i prośby, aby im opisać ostatnią chorobę i śmierć ukochanego misyonarza. Była ona jak całe jego życie budującą, *pretiosa in conspectu Dei.*

X. St. Załęski T. J.





EPISTOLAE

Praepositorum Generalium S. J. in Alba Russia.



R. P. Gabrielis Lenkiewicz, Vicarii Generalis S. J. De cultu S. P. N. Ignatii.

Reverende in Chr. Pater!
P. C.

Etsi non sum nescius, nihil me novi in eo, quod mihi propositum est, dicturum, de suis tamen rebus unicuique sive homini sive coetui, vel eadem saepe repetere non ingratum scio. Percurramus igitur breviter (nam rerum magnitudo omnem sermonem vincit), et quasi uno obtutu oculorum inspiciamus, quam felix status rerum Societatis fuerit iam inde ab exordio eius. Quantis donis Divina Bonitas sanctum illius Conditorem cumulaverit, et in succedentes filios quae beneficia contulerit; quibus illos honoribus decoraverit, quo patrocinio muniverit, caeteraque omnia ab omnipotenti profecta Dextera, quae brevi temporis spatio, ab exili tenuique principio Societatem nostram ad tantam perduxit amplitudinem, ut ei non incongrue illa Regis Prophetae verba aptari viderentur: *Plantasti radices eius, et implevit terram; operuit montes umbra eius, et arbusta eius cedros Dei. Extendit palmites suos usque ad mare, et usque ad flumen propagines eius.* [1]

Non humano sane consilio, sed ipsius Omnipotentis cura res ista perfecta est. Tantus tamen ardor non ingratos hominum Societatis animos occupavit desiderio amplificandae gloriae Dei et salutis proximorum procurandae, nullum ut laborem utut gravem non suscipiendum, nullum valetudinis periculum, non aliquod vitae discrimen pertimescendum putarent, omnibus prius

---

[1] Ps. LXXIX. 10—12.

pietatis ac doctrinae adminiculis bene firmati. Non, qui doctorum cathedras, cum opus esset, cum laude occupandas aliquando imparati inventi sunt, sed, quod omnibus magis in votis erat, ad agrestem iuventutis indolem salutaribus morum et scientiarum doctrinis excolendam, nuspiam idonei ac strenui magistri deerant. Cum templa publica, sacraeque quaevis aedes annuntiato verbo Dei personarent, omnibusque Religionis ministeriis ac pietatis officiis colerentur, per compita et vicos, per devia et invia eadem salutaris perferebatur doctrina, non ruri aut in tuguriis, non in carceribus et nosocomiis, qui omnem opem charitatis ferrent, desiderabantur. Neque haec sub illis tantum praestita sunt tectis, ubi non incommode viveretur, aut in illis solum provinciis, in quibus vel ipse fumus dulcis esset, sed in quascunque orbis terrarum, antiquo nomine sive novo nuncupati, partes, vocati ac destinati erant, ubi famem et sitim comites haberent, frigore vel ardoribus stipati essent, promptissima excurrebant voluntate, ut portantes nomen Christi coram gentibus et regibus, Domino suo omnes lucrifacerent. Quaerebant multum diuque errantes etiam pecudum et ferarum more in silvis homines, ut ad ovile Christi perducerent, nec in antris et cavernis latitare passi sunt, quibus lumen Evangelii non adferrent. Perquam multi horum eo gloriosius labores suos iam susceperunt, iam etiam finiverunt, quod Christi Domini triumphum Martyrii sui gloria auxerint. Quo vero maiores fructus benedicente Domino ab iis sancta Ecclesia perciperet, eo plures eiusmodi homines quaquaversus deposcebantur adeo, ut cum Doctore gentium dicere potuerint: *Ostium nobis magnum apertum est.* Sed addendum est etiam id, quod idem subiungit Apostolus: *et adversarii multi.* Nullo enim non tempore carere debuit Societas adversis rebus, id quod multis precibus expetitum fuisse a sancto Fundatore, compertum habemus; ut hac ratione magis magisque exerceretur fieretque illustrior, cum rem suam cum Ecclesia Christi, cuius partes teneret, nunquam non oppugnata, faceret communem. Experiri se autem S. Pater aiebat, Societatem iis semper locis fuisse foecundiorem, ubi maioribus iactata iniuriis et agitata fuisset. Cumque deferebantur ad eum coniecta in Socios ab impiis vel ignaris maledicta, pacato animo et ad hilaritatem composito vultu hoc dicere solebat: «Illud avertat Deus, ut male nobis dicant, et vera dicant». Longe itaque abfuit, ut rebus in adversis Societas minueretur, ut potius in amplissimum excresceret corpus, quod caesarum, regum ac principum munificentia sublevabat, populorum beneficia locupletabant, summorum Ecclesiae Antistitum auctoritas crebris ornabat laudibus.

At venit inexpectatum tempus. O adorandam altitudinem scientiae Dei, Eiusque iudiciorum profunditatem! Venit illud tempus, quo tanta inferni exarserant odia, ut totum, quidquid Societatis esset, una quasi flamma consumpserint, et disperserint

veluti cinerem et favillam. Nec, qui vellent ferre opem, aliud quidpiam praeter moerorem, luctum ac gemitum afferre potuerint.

Placuit tamen clementissimo Numini tam funestae cladi servare superstitem hanc, parvam quidem et fateamur oportet, debiliorem Societatis particulam, quam nos in hac rigida septemtrionis plaga componimus, eamque miris modis et ab humana prudentia prorsus alienis sustentare ac fovere non dedignatur. Huius beneficii vim et magnitudinem etsi grato animo perpendere non cessemus, nulla tamen ratione assequi, sed nec satis gratias agere unquam poterimus. Placuit benignissimo Domino (utor hic Divi Macarii verbis), «protectionis suae manum inter nos et ignem opponere, ut nos calefaciat, non adurat».

Quamobrem, maiore fervore incensis, ardentiore quam unquam spiritu providendum nobis est, ne gratiae vocationis, qua veluti confirmata gaudemus, aut desidia correpti, aut pusillanimitate victi, aut taedio fracti, vel quacunque incuria desimus. Quamque memores et gratos nos esse oporteat huius prodigiosae conservationis, qua vigemus ac roboramur, vel inde intelligere nosque animare possumus, si meminerimus, quam grande scelus fuerit illud, quod e populo a Deo electo admiserint illi, qui liberati servitute ac omnibus Aegypti malis cum fuissent, neque prodigiis tamen adduci poterant, ut in deserto, cuius exitum non viderent, quidquid erat fiduciae in uno Deo certa cum spe reponerent, Eumque ducem non murmùre lacesserent, sed ad omne bonum dociles, quo destinati erant, fideliter properarent. Illud quoque perpendendum nobis saepe saepius convenit, tanto plus a nobis exigendum ac requirendum esse, quo plus nobis Divina Bonitas largitur. O quam multi sunt ii, qui nobis invidere pie sancteque posse credunt, ac vota faciunt: nobiscum sint, nostraque gaudeant sorte; quibus tamen locorum et temporum iniuriis, nostrisque angustiis aditus praecluditur. Sed vel maxime cavendum, omnique attentione et conatu procurandum nobis est, ne semen istud, quod coelestis Paterfamilias, pro sua admirabili providentia in conservatione nostri reservaverat, vitio aliquo corrumpatur, quominus aptum sit, ut illud crescere et multiplicari, cum voluerit, faciat. Ea est autem Divini Numinis bonitas, ut tanto propensius nos protegendos et servandos suscipiat, quanto studiosiores gloriae Eius, magisque similes S. Parenti nostro recognoscet. Quid porro antiquius S. Patri nostro fuit, quam maioris gloriae Dei in omnibus vitae suae actionibus non intermissum unquam studium, quod filiis suis in conditis Constitutionibus tantopere commendavit, et cum modum, tum media ad id praestandum adeo luculenter exposuit, ut pulcherrimam, esti id minime agere vellet, virtutum suarum effigiem depinxerit. Non in nostris igitur adinventionibus quibusvis confidentes quidquam aggrediamur, sed illis doctrinis, monitis ac praeceptis, quae in Instituto nostro continentur, dirigi

omnino ac instrui nos opportune curemus. Quid vero illo praeclarius, quod a Sancta Sede cum laude, neque semel approbatum est ac commendatum, quod Patres sancti Concilii Tridentini pium nuncupaverant, quod omni virtutum genere illustres viri sanctum dixere, quod denique maiores nostros tam Deo caros et sanctae Ecclesiae perquam utiles reddidit? Sed ut id cum fructu maiorique emolumento nostro fiat, ipsum S. Patrem pio amore ac singulari cultu praesentem nobis magistrum habeamus necesse est.

Itaque quod mihi pridem proposueram, tantum ab omnibus peto, quantum et facere posse facile, et libenter facturos existimo. Ut scilicet libellum eo fine confectum et in ipso, quo Societas lacerabatur, aestu, Romae patrio idiomate editum, nunc vero ab uno Sociorum nobiscum degente in latinum sermonem translatum, familiarem sibi reddant. Et quidem, cum hac saltem vice ab omnibus uno eodemque tempore hanc devotionem institui cupiam, ut omnes novem diebus ante festum S. Patris nostri et in ipsa festi celebritate consuetam matutinae orationis horam impendant illis rebus considerandis et executioni dandis, quae hoc libello continentur, plurimum commendo.

Quod si ea, qua par est diligentia ac pietate fecerimus, et gratissimum S. Fundatori cultum nos reddituros, et singulare illius patrocinium, quo tantopere indigemus, promerituros minime ambigendum est. Ipse nos docebit non literas et verba, quibus Institutiones nobis contexuit, sed vim et spiritum earundem cordibus nostris imprimet, ut ad finem nobis propositum amplificandae gloriae Divinae, nos ipsos sanctificandi, et procurandae salutis proximorum, inoffenso pede curramus. Quod utinam tam feliciter succederet, nosque tam spectabiles incolis regionis et advenis redderet, ut de nobis id dici aliquando possit, quod de prima Societate dictum fuerat a quodam, qui reversus in patriam cum interrogaretur, quidnam omnium Romae pulcherrimum viderit, non haesit in respondendo: «Vidi Societatem Jesu». Peculiari sane ad id praestandum indigemus Divina gratia; at, cur eam non obtinendam putemus? et quidem quae non sit in nobis vacua, illius patrocinio, si in coelesti patria cum tanto beatorum filiorum coetu Patrem misericordiarum postulaverit, qui mortalem adhuc vitam agens, tot coelestes benedictiones, quibus Societas creverat, obtinuerit. Illumne emolumentis Societatis minime nunc affici arbitrabimur, cui in eadem instituenda et amplificanda omnis labor fuerat dulcis, nullumque extiterat obstaculum, quod non superaverit? Eo certe expostulatore apprehendet tandem Dominus arma et scutum, et exurget in adiutorium nostrum, reddetque salutem ex inimicis nostris. Eius intercessione magnam in fiduciam elati, illud Divi Ambrosii ingeminare possumus: «De Divina miseratione tunc nobis sperandum amplius est, cum praesidia humana defecerint». Incautos vero et socordes nos,

si in quaerendo tam salutari S. Patris patrocinio remissi fuerimus; prorsus autem nos miseros, si nostris moribus ipsi tam difformes simus, ut nemo agnoscat faciem Patris in filiis! Nonne de unoquoque nostrum illud proverbiorum dictum esset: «Omnia adversa viro insipienti, nec prosperis enim rebus proficit, nec emendatur adversis». Sed me liberat hac molestia multorum explorata virtus, et probatus vocationis amor, quibus laetor ac aedificor, nec non eximium S. Patri gratificandi studium.

Itaque, quod magis nobis omnibus convenit nondum omni sollicitudine liberis, nec prorsus ab inimicorum telis remotis, finio sumpta ex sacro Codice apprecatione: ut Deus Optimus Maximus *det vobis cor omnibus, ut colatis eum, et faciatis eius voluntatem corde magno, et animo volenti. Adaperiat cor vestrum in lege sua, et in praeceptis suis, et faciat pacem. Exaudiat orationes vestras, nec vos deserat in tempore malo*[1] Dominus Deus noster. Me vero circumdatum infirmitate, ne, dum alios ad meliora quaeque stimulo, ipse in semita virtutum turpiter haeream, omnium orationibus et SS. Sacrificiis maxime commendo.

R-ae V-ae addictissimus in X-to servus
Gabriel Lenkiewicz S. J.

Polociae d. 4 Julii 1790.

Epistola A. R. P. Francisci Kareu, Praepositi Generalis S. J. Post confirmatam a Pio PP. VII Societatem in Alba Russia.

Reverende in Christo Pater Provincialis et Rector, caeterique RR. Patres ac Fratres in Christo Carissimi!
P. C.

Si Dominus, ut nostri misereretur, expectavit, recte ac optimo iure egimus, qui eum facientem moram ipsi quoque aliquantulum expectavimus, Patres Reverendi et Fratres in Christo Carissimi. Non tardavit Dominus promissionem suam[2]: mille anni apud Eum, sicut unus dies[3]; examinare nos et probare, fidem et dilectionem nostram excitare, uberioresque fructus a vinea sua praestolari voluit, demoliri eam noluit; propterea viginti octo annorum spatio, relicto in terra eius germine, patienter egit propter nos, ut cresceremus in gratia et cognitione Domini nostri et Salvatoris Jesu Christi, inveniremurque immaculati et inviolati ei in pace. Nunc probatis (utinam et fidelibus inventis!) ostendit nobis Dominus misericordiam suam. Annus

---

[1] 2. Machab. I. 3—5. [2] 2. Petr. III. 9. [3] Ibid. 8.

redemptionis nostrae venit, factus est Dominus refugium pauperi, adiutor in opportunitatibus, in tribulatione. Quod promisit, nempe: se nobis Romae propitium fore, id Divino munere suo impletum iam esse, et ipse gaudeo, et in huius solatii partem vos quoque voco, Patres Reverendi et Fratres in Christo Carissimi. Vicarius Jesu Christi, Pius PP. VII Brevi Apostolico ad me directo, cuius exemplum Vobiscum communico, Societatem Jesu in imperio Rossiaco existentem, eiusque Vicarium Generalem, tanquam Generalem legitimum confirmare, facultates et antiqua privilegia, non obstante quacunque Constitutione et Brevi suppressionis, Societati restituere, eam in immediatam suam tutelam et protectionem recipere dignatus est.

Cantate Domino, et benedicite Nomini Eius, quia in humilitate nostra memor fuit nostri, quoniam in aeternum misericordia Eius. Confitemini Domino dominorum, qui fecit potentiam in brachio suo, eduxit de tenebris lucem, et haereditatem suam non despexit!

Immensum hoc Dei Trini O. M. beneficium, a Sede Apostolica in nos profectum, meretur profecto, ut et Divinae Clementiae, et Vicariae Eius in terris Ecclesiasticae Potestati quam gratissimos nos profiteamur. Quamobrem singuli Patres dicent decem Sacra, et Fratres recitabunt decem Coronas, totidemque offerent Communiones in gratiarum actionem Deo pro nova hac Societatis nostrae per Apostolicam Sedem canonica confirmatione, simulque orabunt omnes Patrem misericordiarum, ut Summo Pontifici, qui se velut Pater nobis filiis exhibuit et exhibet, ea coelestia tribuat largiter auxilia, quibus ille in hac rerum omnium perturbatione maxime indiget ad Ecclesiam Dei in pace et tranquillitate gubernandam.

Nec his nostra in Deum Eiusque Vicarium pietas contenta esse debet: sed unusquisque studiose curabit, mores et vitam suam ad sanctissimas leges in Instituto nobis praescriptas componere. Hoc certe beneficia, quae iam a Deo accepimus, hoc ea, quae adhuc speramus, hoc status noster, hoc finis Societatis nostrae, hoc denique conscientia uniuscuiusque nostrum a nobis exposcit. Itaque, quod mearum est partium, maiorem in modum commendo Patribus coniunctionem cum Deo, et prudentem animarum zelum; Scholasticis orationis matutinae, lectionis spiritualis, duplicis examinis conscientiae propriae quotidianum inviolatum usum, et scientiarum, ad quas perdiscendas sunt admoti, diligens studium; scholarum Professoribus seu Magistris indefessam operam, ut discipuli tam in modestia et pietate, quam in litteris proficiant; Fratribus Coadiutoribus humilitatem, simplicitatem, paupertatis religiosae amorem; omnibus pacem, concordiam, Spiritus Sancti gratiam et unctionem!

Epistola haec libro Ordinationum Generalium inscribatur, postquam per publicam lectionem ad mensam communicata

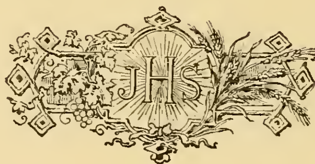
fuerit cum omnibus nostris, non tamen cum externis, ne cui vel minus faventi, vel etiam incauto subrepat haec cogitatio, non fuisse nos antea approbatos, cum nunc primum Breve Apostolicum venerit.

SS. Sacrificiis et orationibus me commendo. Vester, Patres Reverendi et Fratres in Christo Carissimi

Servus in Christo

Franciscus Kareu S. J.

Polociae die 26 Septembris 1801.





ROZMAITOŚCI.



List z łoża boleści, Przew. O. Generała.

Już czwarty, Wielebni Ojcowie i Najmilsi Bracia, upłynął miesiąc, jak Bóg mię raczył nawiedzić bardzo ciężką chorobą. Cokolwiek tylko nauka i sztuka lekarska z uwzględnieniem swych najnowszych zdobyczy nakazywała dla przywrócenia mię do dawnego zdrowia, wszystkiego doświadczyć i spróbować kazali mi dla swej wielkiej miłości OO. Asystenci, bez względu na wszelkie wydatki i zachody.

Nie zaniechano też środków nadprzyrodzonych i owszem od samego początku choroby do nich zwróciliśmy się przedewszystkiem. Bo, że przemilczę dla pokory to wszystko, co miłość ludzi wysoko postawionych, dla mnie nie zasługującego na takie względy, uczynić raczyła: prześcigali się w dowodach miłości i nasi wszyscy w Towarzystwie całem i poza Towarzystwem, nietylko prywatnie dusze pobożne i święte, ale i wspólnie całe stowarzyszenia, całe zgromadzenia zakonne. Ofiarowano za mnie Bogu msze święte, modły, umartwienia, dobre uczynki, śluby częstokroć trudne do spełnienia, mimo że tego wszystkiego czuję się zupełnie niegodnym. Za to niech im wszystkim Bóg w swej szczodrobliwości jak najhojniej odpłaci!

Dotychczas jednak nie spodobało się Bogu wysłuchać tych próśb i spełnić żądania. Kilkakrotnie mniemaliśmy, że siła choroby złamaną została, gdy tymczasem ona zawsze z nową gwałtownością srożej jeszcze wybuchła. Wskutek tego zostałem zmuszony dać sobie odjąć prawą rękę, aby resztę ciała zachować przy zdrowiu, czego choć nie napewno, jednak z otuchą spodziewać się można. Co do mnie byłbym wolał, acz wskutek towarzyszącej mi ciągle przez te cztery miesiące pomocy Bożej na wszystko byłem przygotowany, żeby mię był Boski nasz Lekarz i Zbawca wyrwał z tych nędz ludzkich i do siebie po-

wołał; jednak posłuszny radom OO. Asystentów postanowiłem uciec się do Najśw. Serca Pana Jezusa i u Niego żądać zdrowia, jeżeli ono ma wyjść na Jego większą chwałę i na dobro Towarzystwa. Dlatego nie rozkazuję ale proszę wszystkich Ojców i Braci, aby dla uproszenia od Boga tego dobrodziejstwa poświęcili Najśw. Sercu Jezusowemu, przez szczególną cześć i nabożeństwo, dziewięć pierwszych piątków miesiąca, zacząwszy od pierwszego piątku przyszłego miesiąca czerwca: w każdym z tych dni wszyscy Ojcowie odprawią mszę św., Bracia zaś, czyto Scholastycy czy Koadjutorowie, przystąpią do Komunii św. Żeby zaś ten rodzaj nowenny nie był uciążliwym dla domów niektórych, które już i tak niedostatek cierpią: ową mszą św. każdego pierwszego piątku miesiąca w tym celu odprawianą, może być msza, którą według ustaw naszych co tygodnia zwykli odprawiać wszyscy kapłani na intencyę O. Generała. Najbardziej życzę sobie, aby na pośredników u Boskiego Serca przedewszystkiem wybraną była Najśw. Jego Matka i Wielebny O. Klaudyusz de la Colombière. I słusznie spodziewać się należy, że Bóg zjednany tem zgodnem nabożeństwem waszem, wspólnych próśb wysłucha.

Jeżeli zaś Ten, który jeden zna to co nam jest korzystniejsze, inaczej mną rozporządzi; i może poraz ostatni do was razem wszystkich się odzywam, Ojcowie i Bracia najmilsi, użyję przeto tej sposobności, abym dwoma uwagami, które mi leżą na sercu, z wami się podzielił.

A najprzód miło mi dać to publiczne świadectwo na chlubę całego Towarzystwa, że mi się podobała i przyjemną była ta uległość, dokładność, posłuszeństwo, jakie mi ono przez lat przeszło dwanaście mych rządów zawsze okazywało, a które mi znośniejszem czyniło to tak bardzo ciężkie brzemię. Także miło mi dać wyraz mej wielkiej wdzięczności za waszą, Ojcowie i najmilsi Bracia, ogromną miłość, którąście mi okazywali, zwłaszcza w ciągu mej choroby, to osobiście odwiedzając mię często, to usilnie się o mnie dowiadując, to modląc się i prosząc Boga za mnie. Wszystkie te zabiegi, jak dla mnie wśród dolegliwości i przykrości choroby, niewymowną były osłodą i największą w życiu pociechą: tak wam samym i najdroższemu naszemu Towarzystwu wysłużą one coraz większą u Boga łaskę.

Druga rzecz, której sobie życzę, to ta: Jak Bóg w miłościwych swych zamiarach z okazyi tej choroby sprawił to, że w naszem Towarzystwie wzajemna łączność podwładnych ze swą głową zajaśniała najwidoczniej i spotęgowała się w nadzwyczajny sposób: tak niechże przy tej sposobności i to łaskawie sprawi, abyśmy się zupełniej i silniej połączyli z najwyższą Głową i Dobrem naszem, Jezusem Chrystusem. Przeto najusilniej was wszystkich zachęcam i zaklinam, abyście się całem

sercem przykładali jak najpilniej do rozmyślania o życiu, męce, śmierci i zmartwychwstaniu Zbawcy naszego; abyście zgłębiali wszystkie i najmniejsze Jego sprawy i słowa i wnikali w Jego boską naukę, tak jak nam ją przekazali czterej święci Ewangeliści i Apostołowie, a to według sposobu, którego nas z boskiego natchnienia nauczył św. nasz Ojciec Ignacy w Ćwiczeniach duchownych. Takiem ciągłem rozmyślaniem niech się starają wszyscy dojść do większego z dnia na dzień poznania Chrystusa, przez poznanie do miłości, przez miłość do naśladowania cnót, których zostawił nam przykład nasz Zbawca. To rozmyślanie będzie bodźcem do podejmowania prac i cierpień wielkich dla zbawienia wiecznego dusz bliźnich naszych, dla rozszerzenia granic Kościoła katolickiego, dla dzielnej obrony powagi Stolicy świętej, dla pomnożenia wszystkiemi siłami chwały i czci Boga Stworzyciela i Pana naszego. Abyście to wszystko pewniej i pełniej spełnić mogli, proszę was i błagam: niech wszystkie zdolności i siły wasze zwrócone będą przedewszystkiem ku temu, by wszystkich wiernych pociągnąć ku Najśw. Sercu Jezusa; niech nic przez was nie będzie pominiętem, co tylko znajomość, miłość i naśladowanie tego najmilszego Serca w ich serca głęboko a silnie wszczepić może.

Błogosławię wam wszystkim z głębi serca i polecam się modlitwom waszym.

Rzym, w uroczystość Matki Boskiej Bolesnej (14 kwietnia) 1905 roku.

Sługa w Chr.

Ludwik Martin S. J.

Sekundycye kapłańskie obchodził nasz O. Łaptaszyński w Starejwsi d. 24 grudnia 1904 r. wśród podobnie miłych okoliczności, jakie przed 50 laty towarzyszyły jego prymicyom w Tuluzie we Francyi, gdyż pierwszą Mszę św. odprawił również w samo święto Bożego Narodzenia (jako «Pasterkę» o północy) w owym pamiętnym roku ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia.

Uroczystość ta w Starejwsi odbyła się w sposób nader podniosły i rzewny. O godzinie 7 rano w dzień Bożego Narodzenia, wszyscy nasi wraz z W. O. Rektorem w komżach i z zapalonemi świecami stanęli przed ustrojonemi w zieleń i chorągiewki drzwiami pokoju Jubilata i poprowadzili go procesyonalnie do zakrystyi. Na czele zaś niesiono laskę czarną ze złoconym krzyżem i wieniec rozmarynowy. Skoro przybrany w szaty kapłańskie Jubilat stanął u ołtarza wraz z asystą i O. Rektorem, który mu był archidyakonem, zaintonował hymn «Veni Creator» a po jego odśpiewaniu O. Rektor według przepisów rytuału wręczył mu z odpowiednią przemową łacińską

nasamprzód laskę jubilacką, a następnie włożył na jego skronie wieniec.

Mszę św. przed ołtarzem Matki Boskiej Starowiejskiej śpiewał Jubilat głosem donośnym a dźwięcznym, w tych wszystkich zaś miejscach Mszy św., gdzie się Biskupom wkłada mitrę, wkładano i Jubilatowi ów wieniec na głowę. Kiedy zaś przyszło do błogosławienia ludu, wtedy Jubilat trzymając laskę swą jubilacką, jakoby pastorał, i z wieńcem na skroni udzielił błogosławieństwa.

Po mszy św. przystępowali Nasi do ołtarza po błogosławieństwo, jak w dniu prymicyi, a Jubilat udzielał go przez wkładanie rąk i słowa «Pax tecum». Ludowi ogólnie tylko pobłogosławił, bo był zmęczony. Na ostatku zaintonował «Te Deum». Po nabożeństwie odprowadzono znów Jubilata w procesyi do pokoju. Tak zakończyła się uroczystość sekundycyi w kościele.

W kolegium atoli trwała ona dzień cały. W południe wszyscy domownicy zgromadzili się raz jeszcze, by sędziwemu Jubilatowi w jego pokoju złożyć życzenia przy tak wielkiej a rzadkiej uroczystości. Po serdecznej przemowie O. Rektora, odpowiedział dziękując O. Łaptaszyński z wielkiem rozrzewnieniem i wszystkich obdzielał serdecznym uściskiem. W refektarzu na świątecznym obiedzie, w którym uczestniczyło kilku kapłanów z sąsiedztwa, zasiadł Jubilat na honorowem miejscu. W imieniu gości wzniósł toast na jego cześć X. dziekan Biały z Brzozowa. Wieczorem o godz. 5 urządzili CC. Scholastycy w swej auli bardzo udatną akademię na cześć Jubilata, a tem dlań milszą, że i odczyt «o rozproszeniu naszej prowincyi w r. 1848» i nowelka na tem samem tle historycznem opowiadały owe smutne czasy i przejścia, w jakich brał udział i nasz Jubilat.

Choć tedy minął ten niezwykły dzień w starowiejskiem kolegium i jego cichem, ascetycznem życiu, to przecie na długo pozostało uroczyste wrażenie i wdzięczność Boskiemu Zbawicielowi za tę wielką łaskę jednemu z naszych Ojców wyświadczoną.

Błogosławieństwo Jego Świątobliwości Piusa X. dla naszej prowincyi. Na uroczystość beatyfikacyi Męczenników koszyckich (kanonika Stefana Križa, tudzież Stefana Pongracza i Melchiora Grodzieckiego T. J.), która się odbyła w Rzymie d. 15 stycznia 1905 r., zaprosił Przew. O. Generał naszego W. O. Prowincyała, pozwalając mu zabrać z sobą jednego z księży naszej prowincyi, który albo z samego Cieszyna, gdzie przyszedł na świat bł. Melchior Grodziecki, albo z najbliższej okolicy jest rodem. Szczęście to spotkało O. Arnolda Waszycę.

Uroczystość beatyfikacyjna d. 15 stycznia w bazylice św. Piotra rozpoczęła się rano o godzinie wpół do dziesiątej przy

udziale wielu kardynałów, biskupów, oraz kilkunasto-tysiącznego tłumu wiernych. Gdy po odczytaniu bulli złożono na ołtarzu relikwie Męczenników, spadła zasłona z ich obrazu, a tejże samej chwili oblało go morze światła elektrycznego. Publiczność padła na kolana, oddając cześć nowym Błogosławionym, poczem z tysiąca piersi zabrzmiał dziękczynny hymn: *Te Deum laudamus.* Nabożeństwo zakończyło się sumą pontyfikalną, którą odprawił X. Biskup Kohl z Innsbruka. Po południu o godzinie wpół do czwartej do bazyliki, większymi jeszcze niż z rana zapełnionej tłumami, przybył, wniesiony na *sedia gestatoria* Papież Pius X., aby się pomodlić przed obrazem bł. Męczenników.

Nazajutrz przyjął Ojciec św. na audyencyi spore grono księży naszego zakonu, tak z kuryi generalskiej, jak i innych, między którymi byli obydwaj pielgrzymi z prowincyi galicyjskiej. W imieniu nieobecnego dla choroby O. Generała, jeden z Asystentów podziękował Namiestnikowi Chrystusowemu za beatyfikacyę naszych Męczenników. X. Prowincyała Ledóchowskiego przyjął raz jeszcze Ojciec św. bardzo łaskawie na

Dilecto filio, Wlodimiro Ledochowski Praeposito Provinciae Galicianae Soc. Jesu, omnibus ejusdem Provinciae Collegiis et Residentiis, Patribus Fratribusque singulis, Missionibus quas obeunt, sacris exercitiis ceterisque laboribus Apostolicis, Congregationibus Marianis et catholicis coetibus, quos moderantur, studiis et scholis quibus vacant, libris libellisque periodicis quos evulgant, juventuti quam instituunt Apostolicam Benedictionem peramanter impertimus.

Pius PP. X

audyencyi, i to całkiem prywatnej, udzielił całej prowincyi galicyjskiej błogosławieństwa swego nietylko ustnie, ale je własnoręcznie nakreślił pod swą fotografią, którą dał na pamiątkę X. Prowincyałowi. Podajemy tu wierną podobiznę tego pisma papieskiego, tak dla nas cennego.

Ś. p. X. **Stanisław Dominik Słotwiński,** Opat Kanoników lateraneńskich u Bożego Ciała w Krakowie, szczery przyjaciel i dobrodziej naszego zakonu, zmarł pobożnie w Panu, d. 18 lutego 1905 r. w Moszczanach pod Radymnem. Starzec przeszło 70-letni, ale zdrowia żelaznego i młodzieńczej przytomności umysłu, brał jeszcze żywy i czynny udział na Kongresie Maryańskim we Lwowie, czytał tu referat o bł. Stanisławie Kaźmierczyku, jako czcicielu Bogarodzicy, a wyniosła, iście rycerska postać jego w malowniczym stroju opackim zwracała na siebie powszechną uwagę. Bawiąc od kilku tygodni w Moszczanach, dokąd nieraz spieszył z pomocą duchowną tamecznym Siostrom Miłosierdzia, wyszedł d. 11 lutego w sobotę z kapelanem i przełożoną na cmentarz i wybrawszy miejsce na swój grób, objawił stanowczo swą wolę, że tu chce być pochowany. Nazajutrz zapadł ciężko na zapalenie płuc. Wcześnie zaopatrzony św. Sakramentami, w następną sobotę po północy zakończył pobożnie życie, z różańcem w ręku a w sercu z ufnością w opiekę Maryi, do której był całe życie nabożny. Na kilka godzin przed zgonem, pomimo chwilowego polepszenia, chodząc po pokoju, jednemu z księży swego zakonu powtarzał wielekroć dobitnie: «tej nocy będzie święta agonia». Na pogrzeb w Moszczanach d. 20 lut. pospieszyło po dwóch naszych księży z kolegiów krakowskiego, chyrowskiego i z rezydencyi lwowskiej, a O. Czermiński wypowiedział mowę pogrzebową. Następnego dnia w kościele św. Barbary w Krakowie odbyły się wspaniałe egzekwie z mową żałobną O. Załęskiego, w których wzięli udział wszyscy nasi z obydwóch domów i licznie zgromadzona publiczność. Jeszcze raz z ambony oddał hołd cnotom zmarłego O. Kudasiewicz, w kościele Bożego Ciała, gdzie właśni współbracia ś. p. X. Opata, zaprosiwszy naszych z celebrą, urządzili za spokój jego duszy d. 23 t. m. żałobne nabożeństwo. W obu domach krakowskich ofiarowali za nieboszczyka wszyscy księża jedną mszę św., inni komunię i koronkę.

Urodził się X. Słotwiński 1828 r. w Bełżycach, województwie lubelskiem, wstąpił w r. 1846 do zakonu XX. Kan. reg. later. w Kraśniku (dyec. lubelskiej). Z obawy przed rządem rosyjskim, który nań zwrócił swe oko, w dwa lata później przenosi się do Krakowa, a gdy i tu groziło mu wydanie w ręce rządu rosyjskiego, udał się w marcu 1849 r. do Paryża, a stamtąd w czerwcu do Rzymu. Po ukończeniu studyów teologicznych, wyświęcony r. 1851 na kapłana, bezzwłocznie został po-

wołany na mistrza nowicyuszów w kanonii św. Piotra w okowach w Rzymie. Gdy w kilka lat później kardynał Schwarzenberg, prymas czeski, z polecenia Papieża Piusa IX zwiedzał klasztory krakowskie, celem ewentualnej ich reformy, zażądał od opata jeneralnego, X. Jana Strozziego, aby przysłał X. Słotwińskiego na przełożonego konwentu u Bożego Ciała na Kazimierzu. Jakoż w maju 1857 r. przybywszy do Krakowa, zabiera się X. Słotwiński energicznie do sprawowania swych rządów, a w dowód uznania położonych zasług otrzymuje d. 20 września 1861 r. godność opata (konsekrowany w Rzymie).[1]

Jezuitów białoruskich, a między innymi O. Romualda Suszyńskiego (znanego we Włoszech pod nazwiskiem Aridini, † 1871 r. w N. Sączu) poznał i pokochał w Rzymie. Słyszeliśmy z własnych ust X. Opata fakt arcyzabawny. Prymicye, które on po swem wyświęceniu na kapłana obchodził w Orvietto, w swoim prawda klasztorze ale jako cudzoziemiec, miały wypaść w refektarzu bardzo skromnie. Dowie się o tem O. Suszyński, mieszkający natenczas w temże mieście i cóż on nie czyni. Ciesząc się wielką wziętością u rodzin najprzedniejszych, poprosił kilka bogatych pań, aby przed samem rozpoczęciem obiadu przysłały do klasztoru Kanoników lateraneńskich, każda inną potrawę dla całego grona obiadujących. I oto, nim dano znak dzwonkiem do stołu, z niemałem zdziwieniem zakonników poczęto zewsząd znosić do furty klasztornej półmiski z wykwintnie przyrządzonemi mięsiwami, leguminami, ciastami, owocami, z których się złożył suty obiad na cześć prymicyanta.

Z Jezuitami galicyjskimi zetknął się X. Opat pierwszy raz w Starejwsi, zaproszony tam z sumą pontyfikalną na obchód beatyfikacyjny bł. Jana Berchmansa d. 1 maja 1866 r. Widząc w tym domu liczne grono księży, kleryków i braci, rzecze X. Opat: «Czemu siedzicie tu na wsi? chodźcie do Krakowa, tam znajdziecie wielkie pole do pracy!» Odpowiedziano, że w Krakowie, gdzie tyle niechęci i uprzedzeń do Jezuitów, ludność by nas nie przyjęła. A trzeba wiedzieć, że już nieraz w poprzednich latach nadarzała się naszym dobra sposobność osiedlenia się w podwawelskim grodzie (i tak n. p. był do nabycia za bezcen na konwikt pałac łobzowski, dzisiejsza szkoła wojskowa; X. biskup Łętowski ofiarował na kolegium w warunkach bardzo korzystnych gmach na Szlaku, gdzie dziś klasztor Szarytek), lecz powyższe obawy odstraszały Przełożonych. Tym razem X. Słotwiński świeżo zamianowanemu Prowincyałowi, O. Szczepkowskiemu dodał odwagi, obiecując, że wszystko ułatwi, że wy-

---

[1] Krótki życiorys ks. St. Słotwińskiego, Opata, skreślił Włodzimierz Borkowski. Kraków 1894, w 8-ce, str. 32, druk Korneckiego.

Kazanie z powodu 50-let. jubil. kapł. ks. St. Słotwińskiego... wypowiedziane przez ks. Klem. Baudissa T. J. Kraków 1902, druk Anczyca. (Odbitka z «Kazań i Szkiców księży T. J.»).

jedna u X. biskupa Gałeckiego pozwolenie na osiedlenie się Jezuitów w Krakowie i opinię przychylną im zjedna. Jakoż dzięki poparciu X. Opata, w następnym już roku (1867) otwarte zostało w domu XX. Kanoników later. na Kazimierzu nasze kolegium z teologią, przeniesione w kilkanaście miesięcy później na ulicę Kopernika.

X. Opat Słotwiński był stale aż do śmierci wiernym przyjacielem naszego zakonu — często zapraszał Scholastyków na majówki do Kamienia, wsi należącej do jego klasztoru, gdzie gospodarował wzorowo — uświetniał po naszych kościołach w prowincyi swą celebrą uroczystości: za to wszystko, a osobliwie, że nas do Krakowa sprowadził, należy mu się od nas niewygasła pamięć i wdzięczność. R. I. P.

Statystyka Kongregacyi Maryańskich. W ubiegłym roku jubileuszowym, w którym obchodziliśmy 50-tą rocznicę od ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia N. M. P., czyli od dnia 1 stycznia do 31 grudnia 1904 r., liczba Kongregacyi Maryańskich, przyłączonych (agregowanych) przez Przew. Ojca naszego Generała do rzymskiej Kongregacyi «Prima-Primaria», wynosi 1.011. Z tego na Włochy przypada 36, na Austryę z Węgrami 129, na Polskę 45, na Niemcy z Szwajcaryą 230, na Belgię 39, na Holandyę 8, na Francyę 46, na Hiszpanię 150, na Portugalię 27, na Anglię z Irlandyą 35, na Kanadę 20, na południową Amerykę (Peru, Brazylia, Kolumbia, Meksyk, Paragwaj, Urugwaj) 27, na Stany Zjednoczone Ameryki północnej 198, na Syryę i Egipt 9, na Chiny i Mongolię 6, na Australię 6.

Liczba agregowanych na całym świecie Kongregacyi Maryańskich wynosi:

Od założenia w r. 1584, aż do 8 grudnia 1854 r. .	5.625
Od 8 grudnia 1854 r., do 31 grudnia 1903 r. . .	20.869
Od 1 stycznia do 31 grudnia 1904 r.	1.011
Razem od 1584—1904 r. włącznie . .	27.505

Święcenia kapłańskie 1905 r. Najprzew. X. Biskup sufragan Anatol Nowak udzielił naszym Scholastykom w Krakowie wyższych święceń: subdyakonatu d. 18 marca w kościele XX. Misyonarzy na Stradomiu; dyakonatu d. 8 kwietnia w katedrze na Wawelu; presbyteratu w wielką sobotę d. 22 kwiet. w kościele św. Barbary. Wyświęceni: Bielecki Wiktor, Bulsiewicz Władysław, Chęć Jan, Hanaczek Józef, Krzemiński Felicyan, Mollo Franciszek (tylko na subdyakona), Piechocki Maksym. (tylko dyakonat), Prochyra Włodzimierz, Tarnawski Franciszek, a nadto Leon Müller z prowincyi niemieckiej, odbywający studya teologiczne w kolegium krakowskiem.

W Przemyślu otrzymał Franc. Mollo dyakonat d. 24 kwiet.

w katedrze, z rąk X. Biskupa Pelczara i presbyterat d. 30 kwiet. od X. Biskupa sufragana Fischera, w pojezuickim kościele N. Serca Jezusowego.

We Wrocławiu, w kaplicy seminarzyckiej wyświęcony d. 30 marca na subdyakona Ryszard Malotta, przez X. Biskupa sufragana Henryka Marx.

Pierwszą mszę św. odprawili w niedzielę wielkanocną (23 kwiet.): OO. Hanaczek, Krzemiński, Bulsiewicz (wszyscy trzej w naszym kościółku na Wesołej), Tarnawski (w kościele św. Barbary), Chęć (w Staniątkach), Prochyra (w Łagiewnikach), Bielecki (w Nowym Sączu). O. Müller d. 27 kwiet. w kościółku na Wesołej. O. Mollo d. 3 maja w Chyrowie, w kaplicy konw.

Przeniesieni (w czasie od 1 stycznia do 8 maja 1905 roku): O. Pilch do Kołomyi; O. St. Janowski 9 stycz. do św. Barbary; O. Kuryłowicz do kol. krakow.; O. Bapst do Chyrowa; O. Zatłokiewicz do Jass; O. Wagner do Opawy na Superiora; O. Płukasz do Starejwsi na admin. parafii; O. Urbanek do Starejwsi; O. Haudek do rezyd. św. Elżbiety w N. Sączu; O. Józef Szczepański do kol. w Nowym Sączu; O. Kockmann do Chyrowa.

Schol.: Daniel Egry do kol. krak. (iuv. script.).

Bracia: CC. Białobrzeski do Lwowa na zakryst.; Szmyd do N. Sącza na furtyana; Dutkiewicz do Zakopanego; Szafran do kol. krak.; Sielak do N. Sącza (cellarius); Banaś do Tarnopola; Porawski do Chyrowa; Józef Krzysiek do kol. krak. (iuv. script.); Jan Łopatniuk do kol. krak. (ad domestica).

Dimissi: Joseph Cebulski, Sch.; Max. Mazur. Nov. Coadj.

Autographa Sanctorum et Beatorum Soc. Jesu, quae in collegio Staraviesiensi asservantur, in unum codicem compacta:[1]

1. S. P. Ignatii, literae patentes, quibus P. Oliverio Manareo facultates a S. Sede Societati concessas communicat a. 1552 (latine).

2. S. Ignatii, pagella hispanice scripta, ex codice aliquo evulsa. Appositum est testimonium P. Roothaan, scripturam hanc esse S. Ignatii.

3. S. Ignatii, epistola ad Consules Ariminenses, qua respondet, se quamvis voluntate sit promptissima, nunc illis servire non posse, cum desint operarii; sperat tamen, se posthac Deo bene iuvante illis satisfacturum. Romae d. 14 Dec. 1554 (italice).

4. S. Stanislai Kostka, quaedam preces (fragmentum, latine).

---

[1] Anno 1873 iussu P. Mariani Morawski, tunc temporis Socii Mag. Nov., compegit hunc codicem non ineleganter et in eius fronte chartam cum titulo ornatissimis literis exaravit, piissimus novitius Constantinus Müller, iuvenis magnae spei, die 7 Octobr. 1875 praemature defunctus.

5. S. Francisci de Hieronymo, duo exordia concionum de morte a. 1699 (italice).

6. S. Francisci Borgiae, epistola (sine die et anno, hispanice).

7. S. Francisci de Hieronymo, epistola ad Euphrasiam Pignatelli (sine die et anno, italice).

8. S. Francisci de Hieronymo, fasciculus 12 pagellarum, in quibus idem Sanctus conciones aliquot quadragesimales italice exaravit.

9. B. Andreae Bobola, formula professionis et votorum simplicium, quae post professionem fiunt (latine).

10. B. Petri Canisii, epistola a. 1593 scripta ad P. Georgium Salbium, rectorem collegii Dilingani, in qua ei varia monita de gubernatione et perfectionis propriae cura impertit. Friburgi d. 26 Sept. 1593 (latine).

11. S. Joannis Berchmans, libellus 26 paginarum, continens varias adnotationes de rebus spiritualibus (latine).

Praeterea reperiuntur in eodem codice quatuor alia autographa:

12. V. P. Roberti Card. Bellarmini, epistola ad P. Fridericum Szembek Cracoviam de quibusdam indulgentiis nepoti Archiepiscopi Gnesnensis concessis, quas idem oblivioni dederat. Romae d. 19 Martii 1615 (latine).

13. R. P. Nicolai Lancicii, ratio conscientiae anno 1641 P. Gregorio Szelecio, Provinciali Bohemiae, reddita (latine).

14. R. P. Nicolai Lancicii, litterae quas absoluta prov. Lithuanae a. 1633 visitatione ad Superiores Nesvisio d. 19 Dec. dederat. Litteras scripserat secretarius, sed P. Lancicius sua manu subscripsit (latine).

15. R. P. Gasparis Drużbicki, aliquot scripta de rebus spiritualibus (latine).





NOWE FUNDACYE W NOWYM SĄCZU.

Rezydencya przy kościółku św. Elżbiety »na kolonii«[1].

Liczna kolonia robotników kolejowych w Nowym Sączu przez kilka lat pozostawała w nader opłakanych stosunkach duchownych. Zamieszkując swe domki odległe od centrum miasta, a więc i od obu kościołów katolickich, o dobre pół godziny drogi, a nie mogąc ze względów służbowych szafować dowolnie czasem i zajęciami, wystawioną była bezustannie na wyraźne niebezpieczeństwo zupełnego zaniedbania się w obowiązkach religijnych. Aby temu zapobiedz, postarali się wreszcie ludzie dobrej woli u władz rządowych o pozwolenie i fundusz na wybudowanie osobnego domu Bożego dla kolonii w pobliżu dworca, który to kościółek miał być zarazem trwałą pamiątką 50 letniego jubileuszu cesarskiego. Budowę rozpoczętą w r. 1897 ukończono w r. 1899,[2] poczem zarząd jego złożono w ręce jednego z Wikarych parafialnych, X. Jana Kosmana.

Wkrótce jednak okazało się, że jeden, choćby najgorliwszy, lecz katecheturą w szkołach obciążony kapłan, nie podoła pracy nad gminą tylotysięczną, a tak troskliwej wymagającą opieki, jak to ma miejsce zazwyczaj w większych centrach fabrycznych, w których i o występki i o wypadki nieszczęśliwe łatwiej niż gdzieindziej. Tak licznym powinnościom duchownym mogła zadosyćuczynić z powodzeniem tylko jakaś korporacya zakonna,

---

[1] Kolonia robotnicza w Nowym Sączu powstała pomiędzy 1885 a 1890 r. Pierwotnie służba kolejowa mieszkała w Starym Sączu i osobnymi pociągami dojeżdżała do dworca nowo-sądeckiego. Gdy ruch na obu liniach zwiększył się i przytem wyłoniła się potrzeba nowych warsztatów, zbudowano na znacznych przestrzeniach pomiędzy dworcem nowo-sądeckim a miastem znaczną ilość domów z ogrodami i tam przeniesiono cały personal urzędniczy i robotniczy.

[2] Budowę prowadził żyd, nadinżynier kolejowy, p. Schleister, który przy tej okazyi miał podobno zdradzić się z ochotą przejścia na łono Kościoła. Umarł jednak wnet potem, bez chrztu św.

obeznana dokładnie z warunkami miejsca i pracy, a zdolna za pomocą ćwiczeń duchownych, okazalszych nabożeństw i innych tym podobnych środków wpływać na ruchliwy umysł rozgorączkowanego robotnika. Rzecz cała nabrała jeszcze większego znaczenia, gdy się okazało, że z pomienionych okoliczności pragnie skorzystać partya rusińska, która pod pozorem opieki duchownej nad ludnością greckiego obrządku, rozpoczęła już zabiegać o nabycie nowego kościółka na swój użytek. Wówczas już i władza duchowna widziała się zniewoloną do przeszkodzenia prawdopodobnym niesnaskom partyjnym, i stąd poszło, iż sam Najprzew. X. Biskup tarnowski Dr Leon Wałęga zwrócił się w r. 1903 do przełożonych naszych z zapytaniem, czyby nie zechcieli objąć w zarząd pomienionego posterunku.

Propozycye przyjęto bez wahania i zaraz zredagowano odpowiednie podanie do c. k. Ministeryum, w którem O. Prowincyał Ledóchowski wyłuszczył, pod jakimi warunkami mógłby dostarczyć pracowników do rzeczonego kościółka. Chodziło głównie o zapewnienie im odpowiedniego przytułku, aby dla odległości mieszkania lub troski o utrzymanie, nie ucierpiała zbytnio służba Boża. Ofertę podpisano d. 21 lipca 1903 r.

Na odpowiedź nie kazano z Wiednia zbyt długo czekać i po kilkakrotnych ustnych pertraktacyach dnia 18 grudnia t. r. stanął układ pomiędzy krakowską dyrekcyą kolei państwowych a przełożonymi zakonu, zatwierdzony uchwałą ministerstwa z 23 grudnia t. r. (L. 57043/10), mocą którego cała parcela budowlana (L. kat. 1228), na której wznosi się kościół, wraz ze dwiema przyległemi parcelami gruntowemi (L. 1278/10 i 1278/11) wraz z całym inwentarzem kościelnym, oddaną nam została w fizyczne posiadanie i używanie pod następującymi warunkami:

1) Codziennie o takim czasie, aby nauka na tem nie cierpiała, ma się odprawiać w kościółku msza św. dla dzieci szkolnych, bez wszelkiego wynagrodzenia ze strony rządu. — 2) Podobnież bez wynagrodzenia ma się odprawiać w niedzielę i święta msza święta dla służby kolejowej, zamieszkałej na kolonii lub w mieście. Nadto obowiązują się nasi do wszelkich innych powinności pasterskich względem tejże służby kolejowej i ich rodzin, do jakich ich ustawy zakonne upoważniają, jako to: do katechizacyi, głoszenia kazań, udzielania Sakramentów św. itp. — 3) Na wypadek śmierci którego z kolonistów lub z ich rodzin, mają być zwłoki bez osobnego wynagrodzenia wystawione w krypcie kościelnej, ile razy tego rodzina zmarłego zażąda.

Tyle stanowi artykuł II rzeczonej umowy. Artykuł III zastrzega naszym wyłączne prawo używania kaplicy wraz z obowiązkiem utrzymywania jej, ulepszeń i restauracyi kosztem własnym. Nie przyjęli natomiast nasi na siebie żadnych ciężarów czysto administracyjnych, ani kancelaryi, która pozostała przy parafii. Także i katechetura w szkole przynależnej do kolonii

pozostała na razie przy dotychczasowym katechecie X. Kosmanie, i dopiero w roku bieżącym (1905) przeszła w ręce naszych Ojców z rezydencyi.



Kościółek św. Elżbiety »na kolonii« w Nowym Sączu.

W następstwie tej umowy został oznaczony termin urzędowych oględzin i odbioru na dzień 30 kwietnia 1904, jak to stwierdza protokół podpisany imieniem Dyrekcyi przez pp. Dra Wróbla i Dra Warzeszkiewicza, z naszej zaś strony przez O. Pro-

wincyała Ledóchowskiego i Rektora Siarkowskiego. Dnia następnego po dokonanych oględzinach t. j. 1 maja, zjawili się w kościółku pierwsi nasi ojcowie XX. Ignacy Mieloch i Józef Pustkowski, jako prawomocni zawiadowcy i stróże nowej winniczki Pańskiej.

Gdyby pomyślność pracy apostolskiej zależała tylko od zewnętrznych warunków miejsca na którem się działa, to musielibyśmy powiedzieć, że nowa rezydencya sandecka była od początku w tej mierze uprzywilejowaną. Wyjątkowo zupełnie (przynajmniej jak na ostatnie czasy) przyszliśmy tu do gotowego; niespodziewanie i bez wielkiego zachodu staliśmy się posiadaczami świątyni, która bezwątpienia uchodzić może za jedną ze znamienitszych ozdób podkarpackiej stolicy powiatu.

Wzniesiona z ciosu i cegły, podług planów jednego z najzdolniejszych architektów p. Talowskiego, a pod wezwaniem patronki cesarskiej św. Elżbiety turyngskiej, kaplica, a raczej kościółek ten znalazł godne siebie pomieszczenie przy znanej z wdzięku alei łączącej główny dworzec kolejowy z miastem. Smukła jej wieżyczka, zakończona dość oryginalną w szczegółach latarnią dzwonniczą, strzela wysoko w niebo ponad otaczające szczyty drzew i domostw, a stanowi śliczne uzupełnienie korpusu obmyślanego i wykonanego w stylu mieszanym romańsko-gotyckim, na sposób tak zwanego «Rohbau». Powyżej frontowego portalu, opatrzonego u góry jubileuszowymi emblematami cesarskimi (korona, monogram i cyfry 1848—1898) zdobi ją ogromny krucyfiks kamienny, dzieło rzeźbiarza Stan. Wójcika z Krakowa. Do krzyżowego wnętrza budowy napływa światło i powietrze w obfitości przez okazałe rozetowe okna i pięć wejść, aż nadto przewiewnych, bo wiodących wprost z podwórza. Pomieścić się jednak wygodnie w obrębie ścian nie zdoła więcej niż 700 osób i dlatego zazwyczaj znaczna część obecnych na nabożeństwie osób zatrzymywać się musi na placu przedkościelnym.

Stylowej, zewnętrznej ornamentyce murów nie odpowiada natomiast wcale urządzenie wewnętrzne, w którem na pierwszy rzut oka daje się rozpoznać ręka c. k. geniusza kasarnianego. Nic, tylko gołe ściany, pomalowane na jajecznicę, która w nieprzerwanej żadnym floresem strudze ścieka na czarno-białą szachownicę sztajngutowej posadzki! Widocznie jednak powodem tej architektonicznej oszczędności musiały być poważne jakieś niedostatki kasowe, a nie poziome lekceważenie świętości, bo rzecz najważniejsza, t. j. wielki ołtarz, znowu zaleca się swym poważnym, stylowym wyglądem, na który składa się, obok obszernej menzy i ram gotyckich, wykonanych w drzewie, wcale piękny, choć nie zanadto nabożny obraz św. Elżbiety rozdającej jałmużny. Także i niewielki chórek nad wniściem, na którym

pomieszczono zwykłe harmonium pedałowe — nie wiele pozostawia do życzenia.

Z objęciem w zarząd kościółka nasi postarali się natychmiast o jakie takie usunięcie braków, i w krótkim stosunkowo czasie z pomocą serc poczciwych załatwili nie jedno. Nasamprzód w dwu płytkich niszach, po obu stronach balasków, stanęły prowizoryczne ołtarze boczne, jednej wysokości i kształtu, z tłem sukiennem, czerwonem, zwieszonem na ścianie w miejsce właściwej szafy ołtarzowej. Lewy, od strony ewangelii, poświęcony jest Matce Najśw. od Nieustającej Pomocy, której obraz sprowadzony z Rzymu, wraz z kosztowną dosyć ramą, wykonaną we Lwowie jest darem składkowym palaczy kolejowych. Poniżej tamtego umieszczono w ołtarzu niewielki (40 × 50 cm.) ale za to cenny obraz św. Stanisława Kostki, przedstawiający naszego świętego Młodzieniaszka w postawie modlącej.[1] Ołtarz od strony epistoły, poświęcony Najsł. Sercu Pana Jezusa, stanął ofiarnością samych konduktorów. Antypedya do obu ołtarzy sprawili niemałym kosztem zacni pp. inżynierstwo Jelonkowie. Z innych potrzeb kościelnych, sprawionych już za «naszego panowania», wymieniam: piękny baldachim, zakupiony przez warsztatowców i jeszcze piękniejszy, misternie wykuty z żelaza żyrandol, dzieło kolejowych ślusarzy, który na Wystawie metalurgicznej w Krakowie w roku ubiegłym powszechny budził zachwyt i uznanie.

Teraz, już tylko patrzeć rychłoli obok domu Bożego stanie odpowiedni dom mieszkalny dla naszych księży. Dotychczas mieszczą się oni w kilku izdebkach w domu prywatnym (p. inżyniera E. Schirockiego) nieopodal kościoła. Nie mają jeszcze dotąd odpowiednich środków utrzymania, ale jest nadzieja, że z pomocą Bożą wnet i pod tym względem znajdą się w korzystniejszych warunkach, tak jak w pracy duchownej nie długo

---

[1] Podług dat zebranych przez O. Jarosława Rejowicza (list z dnia 16-go października 1904 r.), obraz ten, wraz z innym obrazem Matki Boskiej, nabył w r. 1902 O. Józef Gadowski, jako minister rezydencyi krakowskiej, za pośrednictwem pani Wiktoryi Rusinowskiej za cenę 10 fl., po jakiejś zmarłej niedawno staruszce. Artystka krakowska, p. K. Wojciechowska, której oba płótna przedstawiono do oceny, uznała tylko pierwszy za wartościowy i wiedziona szczególniejszem nabożeństwem do świętego Młodzieniaszka, własnym kosztem postarała się o jego odnowienie w atelier artystycznem Hausera w Berlinie, pod warunkiem, że w którymś z naszych kościołów cześć publiczną odbierać będzie. Tamże uznano go za piękny okaz sztuki z końca XVI wieku i jako taki dostał się nawet na Wystawę sztuk pięknych w Krakowie, gdzie zwrócił na siebie uwagę recenzenta z »Czasu« (por. »Czas» z 19/VI 1903). Następnie, po wyjeździe O. Gadowskiego z Krakowa, gdy żaden ze starszych naszych domów nie zgłaszał się o jego nabycie, obraz niniejszy dostał się w ręce O. Jarosława Rejowicza, który powierzył go do przechowania swej matce. Przypadkowo zauważył go tam, bawiący w przejeździe w Krakowie, O. Załęski i po krótkim targu nabył go dla świeżo otwartej rezydencyi w Nowym Sączu, za tę samą cenę 10 fl.

potrzebowali walczyć z przeciwnościami i nieufnością swych owieczek. Po krótkim peryodzie szykan i przykrości doznawanych głównie ze strony, trwożliwej o swą hegemonię, socyalnej demokracyi, doczekali się przecież jeszcze w tym samym roku dowodów uznania i życzliwości ze strony wielu, przy sposobności wspaniałej procesyi Bożego Ciała, urządzonej na kolonii w dniu 12 czerwca na wzór parafialnej t. j. *cum omni genere musicorum* i z czterema ołtarzami, z których dwa stanęły staraniem inteligencyi, dwa inne robotników osobistym trudem. Również przyszła do skutku, z okazyi jubileuszu Maryańskiego, pomimo mnogich trudności, organizacya osobnej, dziś już 106 członków liczącej sodalicyi dla pp. kolejarzy, jak gdyby na dowód, że i Matka Najśw. chce się ze swej strony przyczynić do rozwoju duchownego, wśród tych — najbardziej roztargnionych z roztargnionych.

Jan Marczyński T. J.

Willa w Zabełczu.

Po przeniesieniu studyów filozoficznych z Tarnopola do Nowego Sącza (1895 r.), wnet wyłoniła się potrzeba jakiejś willi dla nowego kollegium, jakiegoś schroniska dla naszych młodych na dzień czwartkowych i na czas wielkich, letnich wakacyi, tak jak tego wymaga natężona praca umysłowa, której z obowiązku przez tyle miesięcy się oddają. Początkowo radzono sobie w ten sposób, że urządzano tylko mniejsze lub większe wycieczki, pół lub całodzienne, do lasów pobliskich lub na dalsze wzgórza. W lipcu r. 1897 raz jeden spróbowano zastąpić brak własnej willi wycieczką na willę Starowiejską. Ale to okazało się zbyt niedogodnem dla tamtejszego kolegium, liczącego zawsze dość sporą liczbę mieszkańcow, także spragnionych wytchnienia i swobody na świeżem powietrzu. Więc w następnych czterech latach spędzano wielkie wakacye już to w Lubowli na Spiżu w zamku hr. Andrzeja Zamoyskiego, już to w Szczyrzycu u OO. Cystersów. Szczególniej lubowelskie wycieczki zapisały się mile we wspomnieniach ówczesnych filozofów, gdyż znajdowali tam nietylko wszelkie wygody potrzebne do odpoczynku, ale nadto sposobność do zwiedzenia prześlicznych podtatrzańskich miejscowości: Drużbak, Kolbachu, grot Bialskich, Pienin i t. d. Ale i te wyprawy miały swoją ciemną stronę: kosztowały dużo, a narażały wciąż naszych scholastyków na zetknięcie z obcymi.

Tym wszystkim niedogodnościom zaradziło — Zabełcze.

Jestto wioska położona tuż nad Dunajcem w odległości 2 kilometrów od Nowego Sącza, w stronie północno-zachodniej od tegoż. Prawdziwy to zakątek. Od miasta oddziela je zupełnie niewielkie wzgórze, zwykły teren jesiennych ćwiczeń oblężniczych c. i k. armii; od północy szereg wielopolskich pagórków; od reszty świata odcina je modra wstęga Dunajca.

Zabełcze znane już było Długoszowi jako osada podmiejska.[1] Około r. 1580 należało do Jana Brańskiego.[2] W wieku XVII księgi parafialne w Wielogłowach wymieniają jako jego właściciela, słynnego podstolego w. k. Jana Dobka Łowczowskiego.[3] Później przechodziło po kolei w ręce Jagielnickich, Reklewskich i Trauczyńskich. Od Trauczyńskich nabył je około roku 1870 niejaki p. Wincenty Wyszkowski dla swego syna Kazimierza, który znów je wymienił w r. 1879 za Koniuszową, dobra posagowe swej siostry Bronisławy, wydanej za Dra Gustawa Romera z Jodłownika. Za czasów tych ostatnich gospodarzy, Zabełcze stało się prawdziwie centrem życia umysłowego i obywatelskiego dla całej okolicy, t. j. dla szlachty Nowo- i Staro-Sandeckiego, Limanowskiego i Grybowskiego okręgu. P. Gustaw, jako człowiek wybitnych zdolności umysłowych i tęgości charakteru, a przytem prezez miejscowej Rady powiatowej, nadawał ton w sprawach społecznych i politycznych. Uprzejma i zacna p. Bronisława czuwała nad rozwojem stosunków towarzyskich i sąsiedzkich.[4] Trwało to mniej więcej do roku 1890. W r. 1894 pożar, który zniszczył miasto Nowy-Sącz, nawiedził i Zabełcze, dokąd silny wiatr przenosił szczątki palących się domów, płonące żagwie i papiery. Zniszczony dwór wraz z zabudowaniami folwarcznemi odnowiono niebawem. Ale wnet potem, powołano p. Romera, jako znanego z uczciwości i pracowitości obywatela a biegłego prawnika na posadę dyrektora-referenta Towarzystwa Ubezpieczeń do Krakowa. W roku 1899 umarła pani Bronisława. Prawie równocześnie powychodziły za mąż jedyne dwie ich córki Wanda i Adela. Dość, że do Zabełcza nie było już komu zaglądać, aui poco, chyba, aby odnawiać wspomnienia lepszych, weselszych czasów, bezpowrotnie minionych.

Skorzystał z tego troskliwy zawsze o dobro «młodych« ś. p. O. Rektor Maćkowski i już w r. 1899 wyprosił u p. Romera pozwolenie, aby nasi scholastycy mogli odbywać swe tygodniowe

---

[1] Liber Beneficiorum I. 373.

[2] Słownik Geograficzny Sulimirskiego.

[3] Pomnik jego przechowuje się dotychczas w Nowym Sączu, przy obecnym zborze luterskim, dawniejszym kościele OO. Franciszkanów.

[4] Pomiędzy innemi instytucyami dobroczynnemi, któremi się opiekowała, zasługuje na wzmiankę t. zw. »Czytelnia okrężna« dla dworów okolicznych, która na wielką skalę dopomaga do umysłowego wykształcenia naszych zapracowanych zawsze hreczkosiejów.

wycieczki we czwartki do opustoszałego dworu. Zastrzeżono sobie tylko nietykalność kilku ubikacyi mieszczących kancelaryę i sypialnię. Był to prosty akt bezinteresownej gościnności, podobnie jak to miało miejsce w Lubowli, i na razie wiele dopomógł do urozmaicenia życia kolegiackiego scholastyków sądeckich. Przy tej sposobności udało się O. Rektorowi zastrzedz sobie u właściciela prawo pierwszeństwa na wypadek spodziewanej sprzedaży.

Jakoż w dwa lata później w r. 1901 wieść się rozeszła po całej ziemi sandeckiej, że p. Gustaw Romer sprzedaje Zabełcze Jezuitom z Nowego Sącza. Poł roku trwały pertraktacye. O. Maćkowski był już wówczas rektorem w Chyrowie i w sierpniu t. r. zakończył nagle ruchliwe swe życie. Ale myśl jego i starania o kupno podjęli zarówno W. O. Prowincyał Ledóchowski, jak następca w rektorstwie sandeckim X. Siarkowski. Kontrakt zawarto dnia 24 października i mocą tegoż nasze kolegium sandeckie stało się właścicielem całego obszaru dworskiego w Zabełczu za sumę 65.000 złr., którą wypłacono natychmiast p. Romerowi.

Posiadłość cała obejmuje okrągło 170 mórg dość dobrej nadrzecznej ziemi, w tem 28 mórg wikliny, łąki i lasu oraz dwór z zabudowaniami folwarcznemi i niezbyt wielki ogród; reszta przypada na glebę orną. Większą część gruntu, tak jak to miało miejsce w ostatnich latach gospodarstwa p. Romera, pozostawiono w dzierżawie miejscowym chłopom. Dla własnego użytku zatrzymano tylko kilkanaście morgów roli, wiklinę, która bez wszelkiego wkładu przynosi dość znaczne zyski, dwór z otoczeniem całem i brzeg wzgórza przyległego do Dunajca, który obecnie eksploatuje się na kamień budowlany. Jedyna w tem miejscu karczma dworska, pozostała niestety w posesyi izraelity, Dattnera, który z powodu kontraktu zawartego z poprzednim właścicielem na lat 12, nie mógł być prawnie wyrzuconym z niej przed upływem terminu dzierżawy.

To, o co najwięcej chodziło t. j. miejsce na willę znalazło się w zupełności. Dworek, obejmujący dwie części: starą parterową i nowszą piętrową, wzniesioną przez p. K. Wyszkowskiego, pomieścić może wygodnie 20—30 scholastyków z księżmi, gdy zjadą na swe dwutygodniowe wakacye. Dawną kancelaryę p. Romera (na prawo od wejścia), przerobiono na ładną kapliczkę, w której ustawiono dawniejszy czerwony ołtarz z domowej kaplicy kolegiackiej, dla której w zamian ś. p. O. Maćkowski sprowadził nowy ołtarzyk z Monachium. Sala jadalna, obszerna jak należy, spełnia nadal rolę swoją, jako wcale przyzwoity refektarz. Obok niej, na lewo położony salon służy obecnie za aulę i schronisko wspólne na wypadek zimna lub słoty. Odznacza się gustownem urządzeniem, na które składają się cale uczciwe meble, częścią odkupione od dawnego właściciela,



Willa w Zabełczu.

częścią nowo zakupione z okazyi otwarcia willi, oraz szereg reprodukcyi historycznych obrazów Matejki, Grottgera i Kossaka, zdobiących barwnie malowane ściany. Resztę pokoi w liczbie 5—6 przeznaczono na «cubicula» na czas wakacyi. Kuchnia i składy mieszczą się w końcu starego domu, tak, że nie przeszkadzają wcale ani życiu wspólnemu, ani swobodzie ruchów, tak potrzebnej tym, którzy tu szukają rozrywki i spokoju. Z jadalni wprost prowadzą drzwi na długą, ale dość wąską werandę, obrosłą dzikiem winem, na której w dnie cieplejsze zbierają się nasi, spożywać dary Boże.

Z tej werandy ocenia oko należycie całą estetyczną, hygieniczną i ekonomiczną wartość nowej posiadłości.

Przedewszystkiem narzuca się pod uwagę zachwyconemu widzowi ogród, ów sławny niegdyś ogród zabełecki. Dwadzieścia ośm stuletnich dębów, (z których kilka dochodzi półtora metra w średnicy), olbrzymów prawdziwie historycznych, bo znanych najstarszym nawet generacyom okolicznych mieszkańców, to główna ozdoba ogrodu. Wtórują im w okazałości i powadze: ogromny okaz drzewa tulipanowego, rzadkość w naszym kraju, i wspaniałe tuje, dochodzące 7 metrów wysokości. Gęste zarośla szpilkowe i liściaste dopełniają ram tego obrazu chwytającego za serce w dniach letnich całym powabem zieloności, świeżości i rozkosznych, pełnych światła i cieni wdzięków przyrody. Ongi, pod opieką tych liściastych strażaków dwa stawy rybne zbierały te cuda natury na zwierciadlaną taflę swych wód. Dziś jeden staw, trwa nadal w tej roli, drugi zasypany jeszcze przez ostatniego z naszych poprzedników (podobno ze względów hygienicznych) ustąpił miejsca romantycznej murawie, na której brat ogrodnik znajduje pola poddostatkiem do popisów ogrodniczo-cieplarnianych. Pośrodku ogrodu, tuż naprzeciw werandy, zgrabna altana drewniana tuli się do rozmarzonych swem otoczeniem modrzewi. Na prawo, w głębi podwójny szereg młodych grabków, zasadzonych w latach 1903 i 1904, utworzy w przyszłości piękną, cienistą aleję. Całości obrazu dopełnia dość rozległy widok na całą naddunajecką kotlinę objętą od południa, zachodu i północy pasmem lesistych wzgórz, łączących się już dalej z prawdziwemi Karpatami. Ślicznie tu i wesoło nad wyraz!

Nic dziwnego że i życie tu płynie wesoło i wcale po Bożemu. Do rozrywki naszym «młodym» dopomagają i one widoki śliczne i stawek pełen ryb, karmionych regularnie po obiedzie przez «poważnych ojców» z X. Rektorem na czele, i łódka na stawie (nb. nie bardzo przewrotna) i spory zasób gier i zabaw, wśród których miejsce naczelne zajmuje «lawn-tennis» w lecie, a zimą ślizgawka. Czasami, w chwilach «nastroju», jednostajność zakonnej ciszy przerwie melodyjny dźwięk pieśni:

»Matko ma! Zakonie mój!
Dla Cię życie me! dla Cię prac mych znój...

lub innej jakiejś, nuconej przez któregoś z naszych «czarnych słowiczków». Czasem metaliczny głos gramofonu[1] przypomni, że żyjemy w czasach maszyn i techniki. Czasem cała willa rozochoci się na widok gromadki młodych, wracających z jakiejś przechadzki lub wycieczki ku Chruślicom, Dąbrowie lub Chełmcowi, ba! nawet na Jawornik lub Prehybę.[2] A kiedy cichym, letnim wieczorem rozlegnie się zwykły wieczorny śpiew:

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie Boże prawy...

z kaplicy, lub kiedy błądzące w zadumie oko spotka gromadkę «kleryczków» zajętych gorliwie przyozdabianiem figury Niepokalanego Poczęcia, umieszczonej w zagłębieniu najokazalszego dęba na pamiątkę Jubileuszu, to wówczas myśl zakonnika (odciętego tutaj nawet od folwarcznych budynków sporym parkanem klauzurowym) mimowoli wznosi się ku wyżynom przyszłych, nieśmiertelnych rozkoszy i dziwuje się, że Bóg miłosierny właśnie ten prześliczny zakątek przeznaczył w wyrokach swoich na przytułek dla tych, co to dla Niego wszystkiem na świecie chcieli wzgardzić.

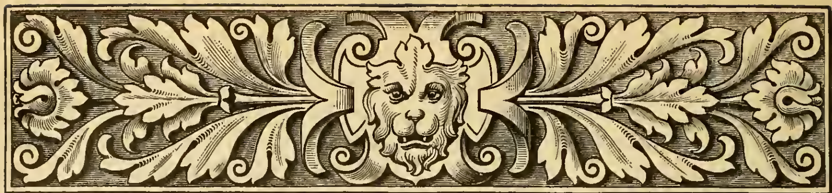
X. Gustaw Fihauser T. J.

---

[1] Darowanego scholastykom przez X. proboszcza Ropskiego z Chomranic.

[2] Dwie znaczniejsze góry w okolicy Jawornik — w stronie Limanowy; Prehyba — za Starym Sączem.





Z MISYJ ZAGRANICZNYCH.

List[1] O. Józefa Markiewicza,
misyonarza w Belgijskiem Kongo.

Wybacz mi, Ojcze przezacny, że tak skąpe podaję wiadomości z Kongo, ale zajęcia nie pozwalają na listy częste, a zwłaszcza na listy szlifowane refleksyą, czy treść, czy forma jest w nich dobra. Chcąc jednak W. Ojcu dotrzymać słowa, a sobie zaoszczędzić czasu, wyciągnę po prostu z mego dzienniczka, począwszy od 1 stycznia 1904 r., ciekawsze szczegóły, może one posłużą ku rozrywce CC. Nowicyuszów.

1 stycznia 1904 r. (Mieszkałem wtenczas jeszcze w Kisantu). Dziwiłem się, czemu nasi chłopcy dziś pracują. Wytłómaczono mi, że w Kongo obchodzą się, tak jak w Belgii, cztery tylko święta: Boże Narodzenie, Wniebowstąpienie, Wniebowzięcie i uroczystość Wszystkich Świętych. Inne przeniesione na niedzielę. Ponieważ dziś przypada pierwszy piątek miesiąca, odbyło się wieczorem ku czci N. Serca P. Jezusa krótkie nabożeństwo z wystawieniem N. Sakramentu. Chłopcy śpiewali pieśni w języku «kikongo», potem «Tantum ergo», następnie celebrans odczytał akt poświęcenia się Sercu Jezusowemu, a wszystkie dzieci powtarzały za nim zdanie po zdaniu. Nastąpiło błogosławieństwo N. Sakramentem, w końcu odśpiewano psalm: «*Lukembila Mfumu Nzambi bese bonso*» (t. j. Laudate Dominum omnes gentes).

12 stycznia poszedłem na stały pobyt do stacyi misyjnej Kimpako, na pomoc O. Swannet'owi, przeciążonemu tam od kilku miesięcy pracą. Podróż tę, jak również dość sporo szczegółów z mego pobytu w tej miejscowości, opisałem już w listach poprzednich.

---

[1] Raczej kilka listów, ściągniętych przez Wydawcę w jedną całość.

13 stycznia przybyłem popołudniu do Kimpako.

14 stycznia oglądałem pola zasadzone maniokiem, kukurudzą, ziemniakami słodkimi, fasolą, bananami; ma to służyć do wyżywienia misyonarzy i około 100 chłopców murzyńskich tutaj się wychowujących. Następnie oglądałem budynek szkolny. Jest to dom strzechą pokryty; ściany z belek i drągów pełne szpar nie zalepionych gliną, aby przewiew ustawiczny ochładzał i oczyszczał powietrze. Podłogi niema żadnej, tylko ziemia ubita, a na niej ustawione deski na klockach, niby ławeczki do siedzenia dla chłopców. Szkoła podzielona na dwie klasy: jedna sylabizujących, druga czytających. Około rozstawionych pulpitów z książką grupuje się pięciu lub więcej chłopców, a jeden murzynek umiejący już czytać, ćwiczy swą gromadkę. Przechodząc obok szkółki, słyszy się ciągle słowa: «diaka» (to znaczy: znowu, jeszcze), a na tę komendę jedni chłopcy krzyczą z całego gardła: a, e, i.., drudzy: bala, bala, bala etc. Murzyni mają tak dobrą pamięć, że w krótkim czasie całą książkę wyuczą się na pamięć, ale w samych początkach przy sylabizowaniu trudność z nimi wielka, bo gdy im przyjdzie kilka liter połączyć w zgłoskę, już ustaje ich rozum. Pytałem się doświadczonych misyonarzy, czyby nie można uczyć tych chłopców czytania w sposób więcej rozumny, odpowiedzieli: «niema rady, trzeba uczyć, jak w hajderze żydowskim». Ostatecznie, przy pomocy pamięci lokalnej chłopcy murzyńscy w przeciągu jednego roku potrafią się nauczyć czytania.

15 stycznia. Całą noc i nad ranem słychać było w oddali muzykę murzyńską; ogólne wrażenie, jakby dzwony monotonnie dzwoniły. Charakter muzyki i śpiewu zupełnie inny, niż u nas, bo też i skala tonów, n. p. w instrumencie «kisanci» (podobnym trochę do gitary) różni się całkiem od naszej. — Brat Roelandts, stawiając rusztowanie pod dzwonnicę, natrafił na stare cmentarzysko pogańskie. Obok kości ludzkich natrafiono tu na kość słoniową.

17 stycznia. W czasie Mszy św. chrześcijanie nasi przystąpili go Komunii św. dość przyzwoicie, ale Br. Roelandts pilnował porządku. Po Mszy miał O. Swannet naukę w języku «kikongo», a po krótkiej przerwie ja odprawiłem z naszymi chłopcami Drogę krzyżową, odczytując modlitwy z książki, aczkolwiek ich nie rozumiałem. Murzyni dziwili się, że, choć niedawno z Europy przybyłem, wymawiam zrozumiale ich słowa. Zawdzięczam to językowi polskiemu, który bogactwem i rozmaitością swych brzmień przewyższa inne języki europejskie, a w wymawianiu samogłosek: a, e, u, i, zupełnie się zgadza z językiem Bakongów. Przeciwnie, Francuzi, Niemcy, Anglicy wymawiają samogłoski nienaturalnie, zanadto przez nos i gardło. Po skończonej drodze krzyżowej odmówiliśmy 5 Ojcze nasz i Zdrowaś Marya, z rozkrzyżowanemi rękami. Po tem nabożeństwie prze-

łożeni wiosek, katechiści, no i każdy z osobna chłopiec, o ile mu było potrzeba, przedkładali misynarzom swe kłopoty: jedni proszą o lekarstwo, inni o przybory do pisania, tamten się żali, że mu lampart kozę zjadł, ów znowu, że koza książkę mu zjadła i prosi o nową. Niemała to próba cierpliwości przy wielkiem natręctwie murzynów.

19 stycznia. Hałasu wielkiego narobili dwaj murzyni pod naszą rezydencyą. O co chodzi? Znaleziono trupa na drodze; krewny zmarłego nie chciał go pogrzebać ale uciekał, więc naczelnik wioski zarzucił mu powróz na szyję i ciągnął do pracy. Pytamy murzyna, czemu nie chce pochować brata swego? Odpowiada: «Nie mam go w co owinąć». O. Swannet dał mu kawał perkalu, murzyn zaś, zabrawszy perkal, ucieka w las. Dogoniono go jednak i znowu naczelnik wioski prowadzi go na powrozie. Murzyn się rzuca i nie chce iść. «Masz perkal, o co ci jeszcze chodzi?» — «Ja sam nie potrafię wykopać grobu». Posłał zatem O. Swannet kilku starszych chłopców naszej misyi, ale i ci nie wiele okazali miłości bliźniego. Trzeba ich było przykładem Tobiasza zachęcić do tego uczynku miłosierdzia nad zmarłym.

26 stycznia. Z jednej osady misyjnej *(ferme chapelle)* przyprowadzono kozę, z której murzyn wykroił żywcem kawał mięsa i zjadł, mszcząc się za szkodę, wyrządzoną mu w polu. — Dziś zaskarżono katechistę z Kitempy, że nie pilnuje dzieci sobie powierzonych, ale włóczy się po wsi i żąda kur od pogan, grożąc im zemstą białych, jeśli mu nie dadzą, czego się od nich domaga. Trzeba wybatożyć takiego katechistę i wyrzucić z wioski, gdyż nietylko, że sprzeniewierza się swemu posłannictwu, ale nadto zdzierstwami swemi nienawistnie usposabia murzynów przeciwko białym, w szczególności przeciwko misyonarzom i rządowi. Murzyni już i tak mają dużo podatków nałożonych przez rząd «Niezależnego Konga»; muszą dla osad misyjnych dostarczać chleba, dla rządu zbierać kauczuk — za to jednak płaci się im. Gdy urzędnik państwowy lub misyonarz zażąda tragarzy, okoliczne wioski, na rozkaz szefa dystryktu, obowiązane są ich dostarczyć, za co również płaci się dość dobrze; ale murzynom każda praca za ciężką się wydaje i dlatego w lasy uciekają, aby uniknąć pracy przez rząd nałożonej.

2 lutego. Był tu geometra od rządu przysłany z Leopoldville, w celu odmierzenia 10 hektarów ziemi dla misyi w Kimpako. Zapłaciliśmy dobrze krajowcom za teren im odjęty; szkody wielkiej nie mają, bo przestrzenie niezmierne odłogiem leżą i ani za 100 lat nie pójdą w uprawę. Aby wytyczyć granice naszej posiadłości, szliśmy z geometrą przez lasy i zarośla, a cała gromada murzynów, z mieczami w ręku, cięła w prawo i w lewo krzaki i trawy olbrzymie. Natrafiliśmy na leża dzikich zwierząt, bardzo zgrabnie z trawy i gałęzi zbudowane; ulubione to miejsca

lampartów i wężów «boa», bo położone w pobliżu strumyków i źródeł. — Chłopcy idąc na katechizm, narobili dużo hałasu; wąż ogromny, czarny siedział na drzewie, tuż przy szkole. Br. Roelandts wziąwszy go na cel, palnął ze strzelby, a wąż spadł na ziemię. Murzyni kijami go dobili i głośnymi okrzykami objawili swą radość. Wąż ten, jak mówili, gdy ukąsi, natychmiast trupem kładzie człowieka.

11 lutego. Choroby różne trapią naszych chłopców, ale sami sobie winni, bo jedzą gąsienice, myszy, zielska różnego rodzaju n. p. owoc kauczuku, który mleczem swoim klei wnętrzności. Obje się murzyn, a już straszna gorączka go trawi, serce bije, jakby ostatnią miało wybić godzinę; a gdy dasz murzynowi garść soli angielskiej, za godzinę już zdrów i ogląda się, czy gdzie jakiej myszy, gąsienicy, lub co najmniej konika polnego nie uda mu się schwytać. Jeśli za karę chłopiec nie dostanie mięsa, całe pół dnia będzie płakał i lamentował, jakby go największe nieszczęście spotkało; a gdy mu drugi trochę «makaji» t. j. okrasy ukradnie, leci co żywo na skargę z rozpaczliwem szlochaniem, jakby się podwaliny świata zachwiały. Tutaj chłopiec 6 letni tak swe żale umie wywodzić, że w Europie ani 20 letni nie zdobyłby się na ten potok wymowy i na tę rozmaitość gestów. Lecz z tem wszystkiem ileż kłamstwa, ile obłudy i wykrętów w małych nawet dzieciach się kryje! aż serce się ściska, gdy misyonarz od rana do wieczora musi na to patrzeć i zbyt mały widzi rezultat swej pracy nad poprawieniem w dzieciach tej natury przewrotnej. Mówię raz chłopcu 10-letniemu: «Bóg cię za kłamstwa karać będzie» a on mi na to: «Bóg jest dobry, ja tylko zemsty szatana się boję».

16 lutego, środa popielcowa. Dziś po raz pierwszy w Kimpako chłopcy popiół na głowy swe przyjmowali. O. Swannet tłómaczył im znaczenie tego obrzędu. W czasie mszy śpiewali pieśni wielkopostne.

21 lutego, pierwsza niedziela postu. Dziś miałem kazanie w czasie Mszy św., naturalnie czytane, bo języka »kikongo« jeszcze nie posiadam. Po kazaniu Droga krzyżowa, która mię o febrę przyprawiła, lecz nie mnie samego, bo się do niej i O. Swennet i Br. Roelandts przyznali.

29 lutego. Jakaś kleptomania, czy rzeczywisty, ze złej woli pochodzący nałóg ogarnął naszych murzynów. Chłopiec 5-letni zabił patykiem kurę i zjadł jej część, a nie mogąc dać całej rady, usnął wśród pierza zabitej przez się ofiary. Tenże ukradł 6 jaj. Drugi zniszczył kawał pola zasadzonego ziemniakami i z najspokojniejszą minką, jakby nic nie był winien, zjadł je, mimo, że go choroba senności trapi i blizką grozi mu śmiercią. Inny chłopiec 5-letni w nocy po schodach wyszedł na ganek rezydencyi i zabrał owoce, a ponieważ zimno mu było, ściągnął obrus ze stołu misyonarza i owinąwszy się nim, usnął

wśród lasu, gdzie węże, lamparty i inne dzikie zwierzęta się kręcą. Powiesz chłopcu naukę, on cię najpobożniej wysłucha, a gdy się jego skruchą już cieszysz, on ci wśród kazania przerywa, mówiąc: «Ojcze daj mi kawałek mięsa, bo dziś suchego chleba jeść nie mogę». Na takie *dictum* misyonarz się czuje, jakby zimną wodą oblany; to też nauczony doświadczeniem i nauką Ducha św., który dzieci rózeczką bić kazał, kijem napędza rozumu do głowy, a bojaźni bożej do przewrotnego serca murzynów.

7 marca. Przyszedł na skargę murzyn z rozbitą głową, ze zranionemi i pokrytemi krwią skrzepłą piersiami. Co za przyczyna? Oto nasz katechista domagał się odeń kur, do których żadnego prawa nie miał, a gdy poganin się bronił, odebrał rany i to od rodzonego brata, od chrześcijanina, od katechisty! O jakież zmartwienie, jakiż wstyd dla nas misyonarzy! Prawda, i św. Paweł skarżył się na grube występki pierwszych chrześcijan, ale też i miał dużo pociechy z gorliwości wielu. Tu w Kongo pierwociny chrześcijaństwa pozbyć się swych narowów pogańskich nie mogą, a nam tyle zmartwienia i zawodu przynoszą.

23 marca. Wieczorem słyszymy śpiew i widzimy gromadę murzynków, zbliżającą się do naszej rezydencyi. Co to takiego? Żołnierz kongijski przyprowadził nam trzydziestu chłopców. Upominaliśmy się bowiem u rządu o sieroty, które uciekły z naszej misyi; więc żołnierz ów przebiegał wioski i niektórych uciekinierów pochwycił, innych nie znalazłszy uzupełnił nowym zaciągiem sierot, które nam rząd «Niezależnego Konga» oddaje na wychowanie. To są zawiązki chrześcijan.

27 marca, niedziela palmowa. Dziś około 200 murzynów naszych przystąpiło do Komunii wielkanocnej. O. Swannet miał naukę o Komunii św. i o święceniu palm. Wszyscy chłopcy otrzymali palmy i to prawdziwe palmy, które wczoraj od południa ścinali i przygotowywali na uroczystość dzisiejszą.

Wielka środa. Przygotowania w kościele do ceremonij wielkotygodniowych. Dziś O. Swannet wysłuchał 50 spowiedzi wielkanocnych — za kartkami. Ja mu poradziłem ten sposób kontroli, praktykowany u nas w Polsce.

Wielki czwartek. Rano o godzinie 6 Msza św. śpiewana, w czasie której murzyni, przez O. Swanneta poprzednio wyćwiczeni, śpiewali: Kyrie, Gloria, Credo etc. dość dobrze i ściśle podług nut. Po Mszy św., zwyczajem prowincyi belgijskiej, wystawiony był przez cały dzień N. Sakrament w kielichu na tronie, a dwaj chłopcy ubrani w sukienki czerwone i w komże adorowali P. Jezusa, odmawiając różaniec. Także i starsi klęcząco, a chłopcy od 7—12 lat siedząco adorowali, zmieniając się co pół godziny. Wieczorem krótkie nabożeństwo, w czasie

którego odśpiewano kilka pieśni; jedna z nich melodyą przypomina naszą pieśń: «Jezu Chryste, Panie miły».

W wielki piątek i sobotę wszystkie ceremonie odprawiliśmy z O. Swannetem według mszału. W wielką sobotę ochrzciłem umierającego naczelnika sąsiedniej wioski pogańskiej Kimpako. Choć mało kto się tu nawraca, jednak naczelnik, z którym zawsześmy się dobrze obchodzili, zawezwał mię w chorobie do siebie i bardzo szczerze powtarzał, że wszystko uczyni, co do zbawienia potrzebne i żon się wyrzekł, aby mógł otrzymać łaskę chrztu świętego, po którym też wkrótce umarł.

W wielkanocną niedzielę nie ma tu Rezurekcyi, jak u nas w Polsce. Kościół przyozdobiony w chorągwie i palmowe gałązki. Chłopcy ze wszystkich osad (fermes chapelles) zebrali się do Kimpako. *Lumingu lu Pake* (niedziela Paschy) ożywia ich wiarę, a wieprzowina, którą dziś otrzymali i to z wieprza w ich oczach zastrzelonego, utwierdziła ich trochę w przekonaniu, że misyonarze przecież ich dobra pragną.

5 kwietnia. Wieczorem piękny widok przedstawiało nasze płaskowzgórze, całe oświetlone pochodniami, poruszającemi się w różnych kierunkach. To chłopcy nasi przy świetle okłotów ze zeschłej trawy, polowali na świerszcze polne, ulubiony swój przysmaczek.

6 kwietnia w nocy, w przyległej wiosce Kitempie murzyni urządzili nocne tańce z salwami ze strzelb. Nieszczęśliwy strzał zabił jednego murzyna, drugiemu rozerwał dłoń. Br. Roelands opatrzył ranę i kazał się murzynowi zatrzymać aż do wyzdrowienia w osobnym domku. Gdzie tam — murzyn uciekł nazajutrz i więcej się nie pokazał.

W marcu żółć mi dokuczała, a gdy lekarstwa nie pomagały, odbyłem za radą O. Swanneta tygodniową podróż dla zwiedzenia kaplic. To pomogło. Podróż tę opisałem już w innym liście.

W tymże miesiącu marcu byłem raz wezwany do chorej chrześcijanki w wiosce *Mputu,* niedaleko od Kimpako. Nie wiedząc, co to za kobieta, wziąłem z sobą Oleje św. i N. Sakrament. Mamy zaś tutaj przywilej nieść N. Sakrament w bursie na piersiach pod suknią, bez komży i światła, tylko się bierze małą stułę pod suknię. Wyruszyłem w towarzystwie brata Roelandts'a i małego 10-letniego chłopczyka, który wskazywał drogę. Ale co to za droga! Zaraz za dziedzińcem misyi zaczyna się dziki step afrykański. Wysoka trawa biła nas ciągle po twarzy, całe ubranie przemoczone od rosy i potu. Idąc ścieżką, a raczej łożyskiem ściekającej po deszczu wody, tak wązkiem a zarazem głębokiem, iż trzeba było dobrze uważać, aby nie upaść i nóg nie połamać — przyszliśmy nakoniec do wioski. Do domu chorej wnijść prawie niepodobna przez drzwiczki tak maleńkie, jak do psiej budy. Wyszła zatem chora przed chałupkę, ale nie

można było z nią nawet zaczynać spowiedzi, gdyż, jak to Br. Roelandts zbadał, nieszczęsna ta chrześcijanka sprzedaną została przez męża swego chrześcijanina poganinowi za żonę, za 60 franków. Powiedziałem jej: «Nie mogę cię nawet spowiadać, dopóki nie powrócisz do męża, albo, gdyby z nim żyć nie można, dopóki nie zamieszkasz sama we wiosce chrześcijańskiej w Kimpako». Ona na to: «Pójdę do Kimpako, jeśli mię puści ten z którym mieszkam». Mówi na to murzyn, który ją kupił: «A co z mymi 60 frankami? co powie naczelnik wioski, od którego cała ta sprawa zależy?» — Poszliśmy więc do naczelnika wioski, lecz zastaliśmy go chorym na senność. O tej sprawie nie można było z nim mówić; natomiast wyłożyłem mu sześć prawd wiary, wzbudziłem z nim akt żalu i pragnienie chrztu i poleciłem, aby, gdy będzie się czuł mocno chorym, wezwał mię jeszcze do siebie. Nie czekując jednak na jego wezwanie odwiedziłem go po kilku dniach z Br. Roelandts'em. Wszedłem do jego chałupki; on leżał na macie a obok palił się ogień, dymem swym wędząc formalnie wszystko, co w domku było. Br. Roelandts kazał chorego wynieść przed dom, zagrzać wody i obmyć ciało, okryte grubą warstwą brudu i nadjedzone od robactwa. «Obmyjcież go przecie — rzekł Brat do murzynów — wszak to wasz naczelnik, którego wy kochacie». Murzyni w śmiech, a żony chorego pouciekały. «Nie ma co czekać już dłużej — rzekłem do Br. Roelandts'a — chory co chwila zasypia, trzeba go ochrzcić». Więc napędziłem murzynów, pokrótce chorego naczelnika pouczyłem ile było do chrztu potrzeba i ochrzciłem. Mfumu Kiesi w kilka dni umarł. Co się zaś tyczy owej chorej chrześcijanki, próbowałem ją nawrócić, lecz mi odpowiedziała, że do piekła nie pójdzie, bo już jest ochrzczona. O co za lud nieszczęsny! Zanim opuściłem wioskę Mputu, powiedziałem murzynom kazanie tej treści: P. Bóg szczerze pragnie, abyście się dostali do nieba i dla tego wam przysyła kapłanów, którzyby was wyuczyli wiary. Ale wiara sama nie wystarcza, trzeba jeszcze według niej żyć. Odczytałem im przykazania Boże i zapytałem, czy one trudne. Odpowiadali, że trudne, albo kiwali głowami i śmiali się tylko — a chłopak 15 letni obchodził tę gromadkę ludzi i muchy miotełką spędzał. Przerwał mi jeden z murzynów: «Czemu każecie, byśmy wam nosili *luku?* (t. j. chleb z manioku)». Odpowiedziałem: «To przecież dla waszych sierot, a my za *luku* płacimy». On dalej: «My nie możemy wam *luku* nastarczyć, ile potrzebujecie». «Pracujcie — powiadam — więcej, to wam trudnem nie będzie». «My chorzy — odpowiadają — wielu z nas we wsi wymarło». «Pracujcież więcej, to będziecie zdrowszymi — z lenistwa choroby wasze. Po nocach pijecie i tańczycie, a za dnia śpicie i nic nie robicie, nauki Bożej przyjąć nie chcecie, stąd słusznie tyle cierpicie».

22 kwietnia straszliwa burza z gradem, jakiej tu od dawna nie widziano. Murzyni grad nazywają kamiennym deszczem. Na gradzie tłómaczymy im lód w zimie u nas, ale im się nie chce jakoś w to wierzyć.

27 kwietnia był tu szef (po galicyjsku starosta) z Pesi, nazwiskiem Luke, pod którego władzą jest nasze Kimpako. Murzyn wprawdzie, ale człowiek wykształcony, rodem z Lagos, przybył w te strony ze Stanley'em odkrywcą Konga i odtąd już przeszło 20 lat tu przebywa. Mówił mi, że jest protestantem, bo rząd angielski w Lagos wychował go w protestantyzmie, lecz może przejdzie na katolicyzm, jak to już dwaj jego koledzy uczynili. Energią swoją i umiejętnem obchodzeniem się z murzynami, zjednał sobie u nich wielkie znaczenie, a nam misyonarzom świadczy niemałe usługi. Jeden list jego do naczelników wiosek wystarcza, że murzyni wiernie uiszczają się z obowiązku dostarczania chleba dla naszych sierot, że drogi naprawiają, że szkody wyrządzone natychmiast wynagradzają. (Gdy to piszę, wampir wleciał mi przez okno; uganiam się za nim, aby nie nocować w towarzystwie tak złośliwego zwierza).

4 maja. Komisya rządowa nakazała, aby sieroty naszej misyi z Kimpako stawiły się w Madimbie (czyli Banza-Boma) do popisu. Jaki cel ma rząd w tem rozporządzeniu, nie wiem. Powiadają urzędnicy, że zapisane na liście rządowej dzieci nie mogą z misyi uciec, a w razie ucieczki można się o nie upomnieć; że rząd do kosztów utrzymania tych dzieci przyczyni się i będzie nas bronił wobec pretensyi krajowców. Zatem około 800 chłopców z różnych osad misyjnych (fermes chapelles) podążyło do Madimby; malcy siedmioletni szli 10 godzin przez przepaści i bagna, góry i lasy. O. Swannet był w Madimbie, a ja sam jeden zostawszy w domu, (gdyż Br. Roelandts odwołany został do Kisantu) musiałem wydawać tej ogromnej masie chłopców ubranie i żywność na cały czas ich pobytu w Madimbie, bo murzyn w drogę z domu żywności nie weźmie i ani się nie troszczy o jutro, więc cały ciężar spada na misyonarza. Skutek tego popisu na razie opłakany dla naszej misyi; wielu bowiem z chłopców, podchowanych już przez pewien czas u nas, jeżeli byli osieroceni śmiercią ojca tylko, nie zostało wpisanych w listę naszych sierot; opuścili zatem nasze ochronki (fermes chapelles) i wrócili do wiosek pogańskich. Nawet ci, którzy już są ochrzczeni, nie chcą żyć wśród wiosek chrześcijańskich, my zaś, wobec takiego rozporządzenia rządu, nie możemy ich zmuszać do powrotu pod naszą opiekę.

11 maja. Wieczorem zostałem zawezwany do wioski pogańskiej Kimpako, gdzie jedna chrześcijanka konała. Istny szkielet. Umarła w nocy zaopatrzona św. Sakramentami. Rano na Wniebowstąpienie Pańskie chrześcijanie odmówili za jej duszę różaniec i wzięli udział w pogrzebie, który odprawiłem. Lecz

ci murzyni chyba uczuć ludzkich nie mają, tak na wszystko obojętni.

12 maja. Dziś wieczorem umarło dziecko przełożonemu wioski chrześcijańskiej Kimpako. Dlaczego? Oto według panującego tu zwyczaju, leją murzyni trzy razy dziennie zimną wodę na dziecko; czy pora zimna, czy gorąca, czy dziecko zdrowe, czy chore — wszystko im jedno. Naturalnie, dziecko zdrowe przetrzyma tę próbę, wzmocni się i zahartuje jeszcze więcej; słabe dostaje zapalenia płuc i umiera. Wymysł to iście szatański, ponieważ te dzieci umierają bez chrztu, a powód jego prawdopodobnie ten, że «kibuti» t. j. właściciel dziecka, pragnie z niego dochować się niewolnika tęgiego, zdolnego do noszenia ciężarów; jeśli dziecko jest słabe, chce się go pozbyć czemprędzej.

17 maja byłem w wiosce chrześcijańskiej Kitwenge, gdzie murzynka chrześcijanka zostawała w niebezpieczeństwie życia wraz z dzieckiem. Przez jakie cztery góry i przepaście porosłe lasami przyszedłszy tam na miejsce, ujrzałem domek chrześcijański otoczony mnóstwem murzynów, a tuż pod strzechą zobaczyłem «nganga» t. j. kapłana pogańskiego, który trzymał «biteke» czyli bożka swego i głaskał go jakąś trzepaczką z piór czy z liści palmowych. Spostrzegłszy mię, uciekł co żywo. Kto go tu sprowadził dociec prawdy nie mogłem. Kazałem ludziom ustąpić. Dałem matce wody św. Ignacego i szczęśliwie wraz z dzieckiem wybrnęła z niebezpieczeństwa. Dziecko ochrzciłem przed kaplicą, pozwalając murzynom, aby się przypatrywali ceremoniom, które im tłómaczyłem — ale ich to ni ziębi, ni grzeje; obojętnie patrzą na wszystko. O Duchu święty, przeniknij promieniem swej łaski te nieszczęsne serca!

Było to w maju. Około 6 wieczorem przyszedł chłopiec z Kilemfu, z kartką od «butamuntu» (t. j. od przełożonego wioski chrześcijańskiej), abym pospieszył do chorego chłopca. Nie można tu tak prędko wybrać się w drogę, bo trzeba brać wiele rzeczy ze sobą: i ołtarz przenośny z przyborami do Mszy św. i żywność dla siebie i tragarzy i łóżko składane — tak każe roztropność, aby zdrowia i życia nie zniszczyć za jednym razem. Jednak mimo marudzenia murzynów, w niespełna pół godziny już byłem w drodze. Tymczasem już o godz. $6^1/_2$ ciemności egipskie nas ogarnęły. Nie bardzo to rzecz przyjemna lecieć w nocy przez trawy, krzaki, przez lasy po korzeniach i wystających pniakach — a zwłaszcza murzynom z ciężarami na głowie. Gdzieniegdzie w puszczy leśnej olbrzymie drzewa leżące na poprzek ścieżki, tarasowały nam drogę; trzeba było przez sieć gałęzi i konarów się przedzierać: to karku nachylić, to klęcząco się czołgać po ziemi, by wyminąć plecionkę lianów. Miałem przy sobie latarnię, ale ta zaledwie na dwa metry rzucała światło; więc murzyni nieśli wielkie snopy długiej trawy

(niangi) i jak pochodnią oświecali drogę. Przeszliśmy przez wioskę chrześcijańską Bamba, potem zbliżaliśmy się do wioski pogańskiej Kisengi — i tu usłyszałem głos potężny, który recytował jakby litanią, a potem ponurym dźwiękiem trąby przerywał ciszę nocną. Spytałem murzynów moich, co to takiego. Odpowiedzieli, że kapłan pogański modlitwy odprawia. Co za modlitwy i do kogo? A — do szatana, który w języku »kikongo« zowie się «ukadi» t. j. duch biały [1]. Po kilkakrotnem nawoływaniu kapłan pogański zagrał na trąbie i na nowo rozpoczął nawoływanie. Las zaczął się przerzedzać; przyszliśmy do wioski Kisengi tuż pod sam dom, gdzie «nganga biteki» t. j. kapłan bożków się znajdował, ubrany w rodzaj rzymskiej togi, a pod chałupką na przyzbie siedziały dwie kobiety z dziećmi. Jedna wiła się od boleści, cała oblana jakimś płynem. Spytałem, co jej brakuje, odpowiedziała, że chora. Niestety, nie miałem tym razem ze sobą apteczki podróżnej, więc nie mogłem poratować chorej. Do kapłana pogańskiego powiedziałem, że praca jego daremna, gdyż ani szatan, ani «biteki» nie zleczą chorej; w ręku P. Boga wszechmogącego tylko życie i zdrowie nasze. Nie na rękę było to kapłanowi, więc żeby przerwać rozmowę, powiedział, że droga do Kincili prowadzi przez las tędy a tędy. Poszliśmy dalej, ale niestety »nianga« się skończyła, nie było czem drogi oświecać. Chłopiec, który mię do chorego prowadził niby na bliższe ścieżki, okropną nas wiódł drogą, tak, że zaledwie dotarliśmy do Kincili na godzinę 10 w nocy, nic prawie od obiadu w ustach nie mając. W Kincili, wiosce chrześcijańskiej, spali już wszyscy; obudziliśmy «butamuntu» t. j. przełożonego wioski i pytam, czy daleko jeszcze do Kilemfu? Odpowiada: «ntama mingi» t. j. odległość ogromna. Co robić? Już

---

[1] Murzyni wierzą wprawdzie w jednego tylko Boga, lecz o niego nie dbają, bo dobry, więc im nic złego nie zrobi; ale szatan to złośliwy, on może szkodzić ludziom, stąd trzeba go ułagodzić modlitwą i ofiarami. Szatan też na wezwanie kapłana wpuszcza inne złe duchy w bałwanki (biteke) i te niby pomagają murzynom. Oto jedna z formułek których kapłani pogańscy używają do swych czarów:

1. Do chorej kobiety: *Lamba madia mu diambu di nganga biteki*. (Przygotuj jedzenie dla kapłana bożków).
2. Do szatana: *Loka biteki*. (Wnijdź do bałwanków t. j. do figury bożków).
3. Do szatana: *Baganga biteki*. (Zrób ducha w bałwankach).
4. Do chorej kobiety: *Bazenga nsusu mu biteki*. (Zabij kurę dla bożka).
5. Do chorej kobiety: *Kusa menga muna biteki*. (Pomaż się krwią ofiary bożka).
6. Do szatana: *Bakuka biteki muntu bela*. (Ulecz dla bałwanków człowieka chorego).
7. Do kobiety: *Basa nlongo*. (Kładź lekarstwo).
8. Do kobiety: *Bakatula nlongo*. (Zdejm lekarstwo).
9. Do szatana: *Babajabwasa pambu, balembula nkisi*. (Zniszcz oczarowanie, zdejm uroki).
10. Do kobiety: *Batumisa nganga*. (Zaproś kapłana — raz jeszcze, rozumie się, aby zarobił co, a przynajmniej, aby kurę zjadł).

przeszło cztery godziny idziemy; ludzie i ja pomęczeni i zgłodniali. Ha, trzeba odpocząć, człowiek nie z kamienia; czas wziąć się do pożywienia. «Posilcie się, mówię do mych ludzi, i przenocujcie w Kincili, a ja pójdę do Kilemfu z ludźmi z Kincili, którzy poniosą kufer mszalny i żywność». Zatrąbił «butamuntu»; wnet zbiegli się tutejsi chłopcy, przynieśli nowe snopy «niangi», a dwaj najsilniejsi wzięli pakunki. Ruszam w drogę, wtem moi chłopcy z Kimpako mówią, że oni wolą ze mną iść dalej, niżli nocować w Kincili. Tem lepiej. Ze zmęczenia jednak szedłem już drzemiąco, ale chęć poratowania duszy chorego dodawała siły tak, że potrafiłem iść jeszcze trzy godziny i koniec końców — o pierwszej po północy stanąłem we wiosce chrześcijańskiej Kilemfu. Pytam się o chorego, a »butamuntu« odpowiada: «już umarł!» «A kiedy?» Murzyn wskazał na niebo, mówiąc: «gdy słońce było w tem oto miejscu na niebie». A więc około godziny 5 po południu. O. Swannet mi mówił, że chłopiec ten był bardzo dobry i że niedawno temu odbył spowiedź i komunię wielkanocną.

Poszliśmy spać; nazajutrz trzeba było o godzinie szóstej Mszę św. odprawić. Dlaczego tak wcześnie po nocy źle przespanej? Aby uniknąć zabójczych promieni słońca, które w godzinach późniejszych zachodzą aż do ołtarza. (Kaplica, to szopa z podsieniem). Po Mszy św. ochrzciłem katechumena chorego na senność i zostawiłem dlań 2 franki na żywność. Potem zapowiedziałem pogrzeb uroczysty zmarłego. Obrałem miejsce na grób między dwoma palmami i wszystkich chłopców moich zaprzągłem do pracy: jedni grób kopali, drudzy ścinali krzaki i wysoką trawę, aby umożliwić przystęp do grobu, inni ciosali krzyż. Mówię do «butamuntu» (przełożonego wioski): «teraz rozpocznę pogrzeb». A on na to: «*Kibuta* (t. j. właściciel zmarłego chłopca) nie chce pozwolić na pogrzeb». Dla wyjaśnienia rzeczy to dodam, że we wsi prócz kilku ludzi wolnych, wszyscy inni to niewolnicy; więc i do zmarłego chrześcijanina rościł sobie prawo własności poganin, wuj jego. Pytam: «czemu *kibuta* nie chce pozwolić na pogrzeb?» Odpowiada «butamuntu»: «bo nie ma dość materyi, by owinąć ciało zmarłego». — «To szukajcie materyi». Ta się wkrótce znalazła, a nadto naczelnik wioski pogańskiej Kilemfu przyniósł drugi kawał materyi i tak przeszkody usunięte. Uformowałem procesyę: krzyż naprzód, po bokach dwaj chłopcy ze świecami, dalej chrześcijanie i katechumeni w liczbie kilkunastu, do których przyłączyło się kilku pogan ciekawych. Ponieważ nieboszczyk umarł na senność, chorobę zaraźliwą, więc mieszkał daleko za wioską wśród chaszczów. Pierwszy raz zobaczyłem w jaki sposób murzyni ubierają zmarłego. Oto okręcają ciało nową materyą. Potem jakby w wałek owijają je rogóżką, potem znowu materyą, której końce u stóp i głowy zawięzują — co wygląda jak mumia

egipska, tylko, że twarzy nie widać. Śpiewałem: *De profundis, Miserere, Benedictus,* jak u nas; chciałem bowiem chrześcijan zbudować i pogan do P. Boga pociągnąć naszymi obrzędami, zwłaszcza, że poganie kładą wielką wagę na to, aby pogrzeb był ładny. Gdy ciało złożono do grobu, wszyscy murzyni kładli garstkę ziemi na zmarłego tak, jak i u nas się to czyni, dopóki nie zakryli ciała. Mogiłę usypali jak u nas, a na niej wbiłem krzyż. Chrześcijanie i poganie byli z tego pogrzebu bardzo zadowoleni.

Wracając z pogrzebu zobaczyłem murzynka 10-letniego, całkiem nagiego, który trząsł się i nie mógł ustać na nogach. Pytam się, co mu takiego? Odpowiadają: chory na senność. Przyszło mi na myśl ochrzcić go. Kazałem go sprowadzić do wioski chrześcijańskiej Kilemfu. Zaczynam mówić do chłopca, a on w krzyk. Każę go ludziom trzymać, lecz on się wszystkiemi siłami wydziera. Na szczęście O. Swannet zaopatrzył mię na drogę paczką sucharków — daję je chłopcu. Słodycz sucharków rozbroiła dzikusa i uspokoiła tak, że już się mię nie lękał. Zaczynam go uczyć sześciu prawd wiary, mówię mu o chrzcie, wzbudzam z nim akty wiary, nadziei, miłości i żalu. Chłopiec na wszystko odpowiada, że wierzy, że żałuje, że pragnie być w niebie i że chce przyjąć chrzest święty. Więc na co z chrztem zwlekać? Lada dzień chłopak może umrzeć gdzieś w zaroślach; na pomoc naszych chrześcijan nie ma się co spuszczać, bo oni gorliwością o zbawienie współbraci nie grzeszą, my zaś misyonarze za daleko, aby trafić na dobrą porę i ratować umierających. Zatem ochrzciłem go. Ten chłopiec tak się przywiązał do mnie, że jak piesek leciał za mną. Nie bardzo mi było przyjemnie iść w towarzystwie nagiego, lecz niebawem senność go w drodze zmorzyła i rzuciła na ziemię. Serce się ściskało na widok tego snu: oto całe ciało drżało, piersi, jak miech wzdęty pracowały.

Wypadło mi iść przez wieś pogańską Kilemfu, odległą kilka minut od chrześcijańskiej wioski tego samego nazwiska. Położenie przecudne. Leży ta wieś w kotlinie, którą ciasnym wieńcem otoczyły góry lesiste. Sama wioska czysto umieciona, a nad strzechami powiewają jakby skrzydła husaryi polskiej — olbrzymie liście bananów. Gdym przed chwilą w Kilemfu chrześcijańskiem pakował kufer mszalny, pomyślałem sobie: weź wodę ze sobą, a nuż w drodze spotkasz umierającego, to ci się przyda. I w samej rzeczy, w Kilemfu pogańskiem spostrzegłem kobietę, leżącą u drzwi swego domku. «Co jej brakuje?» pytam. Odpowiadają: «chora na «manimbę» t. j. na senność. Wołam na tragarza: «dawaj skrzykę mszalną» — a tymczasem tłómaczę pogance: «Wprawdzie tu na ziemi wiele cierpisz, ale Bóg cię jednak kocha i chce ci po śmierci dać niebo; kapłana ci swego przysyła, by ci drzwi do nieba otworzył...» Spłakała się kobieta

i zapragnęła chrztu. Udzieliłem jej więc tego sakramentu, pouczywszy wpierw o niezbędnych artykułach wiary. Zostawiłem jej franka na żywność, aby z głodu nie umarła. «Patrzcie — mówię do obok stojących pogan — ta kobieta przyjęła chrzest święty i czuje się szczęśliwą, bo pójdzie do nieba; wy słyszycie od czasu do czasu nauki misyonarza, a chrztu św. nie chcecie przyjąć. W grzechach grzęźniecie, dla grzechów P. Bóg was karze, iż prędko umieracie a krótko żyjecie». Murzyni pochwycili te słowa, że dla grzechów wcześnie umierają i powtarzając je kilkakrotnie, śmiali się i cieszyli, jak głupie dzieci. O Boże, otwórz im oczy!

W drodze z Kilemfu do Boenze mieliśmy upał straszny. Postanowiłem wypocząć trochę a znalazłszy dobre miejsce w lesie, kazałem się tragarzom zatrzymać, aby coś przekąsili. Posiliłem się i ja także, ale odpocząć nie można było, bo deszcz ulewny wypłoszył nas z lasu. A więc naprzód! Szliśmy potokami, spoceni od pośpiechu, zmoczeni od deszczu, potem z jednej przepaści do drugiej, z jednej góry na drugą, aż wreszcie po trzech godzinach dotarliśmy do Boense. Tu najprzód odszukałem chorego, którego miałem zaopatrzyć ostatnimi sakramentami, ale na szczęście wyzdrowiał; odwiedziłem następnie kobietę chorą, którą przed kilku tygodniami ochrzciłem i pytam się, czy niema jeszcze kogo ciężko chorego? Odpowiadają: jest tu poganka jedna, która popadła w chorobę snu. Idziemy do niej. Wszedłszy do chałupki mówię chorej o P. Bogu, ale nie chciała słuchać. Poprosiłem dwóch murzynów chrześcijan, aby do niej przemówili, bo języka tutejszego nie znam jeszcze dobrze. I oto murzynka zmienia naraz swe usposobienie, na moje pytania odpowiada: «Ntondele» t. j. miłuję P. Boga, pragnę chrztu... Skończywszy z nią katechizm, udzieliłem jej sakramentu chrztu św.

Była godzina 4½ po południu — trzeba się spieszyć do Kimpako, bo dzień się już nachyla, lub jak Bakongowie mówią: «ntangu ofwila» — słońce przymiera. Na szczęście murzyni obrali krótszą drogę, tak iż o godzinie 7 wieczór byliśmy w domu. Ale co to za droga wśród lasów! jeden krok fałszywy, a po ślizkiej ścieżce zjechać można do przepaści. Murzyni mają dziwny instynkt, iż po ciemku nawet wiedzą, gdzie nogę postawić, jak ciężar na głowie trzymać, aby nie stracić równowagi, jak wymijać liany, ciernie, gałęzie bijące po twarzy. Że mię zwierzęta dzikie nie zjadły, żem nie zachorował po tak awanturniczej wycieczce — doprawdy, przypisać to muszę szczególniejszej opiece Bożej, czuwającej nad misyonarzem!

21 maja, wigilia Zielonych Świątek. Odprawiliśmy uroczyste poświęcenie wody do chrztu i ochrzciliśmy 13 chłopców. Otrzymali nowy kawał perkalu, kawałek chleba europejskiego i wakacye dzień cały.

30 maja, w poniedziałek wyruszyłem w drogę na zwiedzenie kaplic (fermes chapelles). Pierwszą stacyą była kaplica w Nsundi, godzinę drogi odległa od Kimpako. Mgła lekka okrywała lasy i góry, bo to początek zimy, w czasie której deszcze ustają, a mniejsze rośliny usychają. Osada chrześcijańska Nsundi składa się z 4 domków, z kaplicy i mieszkania dla misyonarza. Pierwszą rzeczą było wypytać chłopców katechizmu a i samego katechistę wyegzaminować, w jaki sposób chrzci umierających pogan w okolicy. Oglądałem pola naszych chrześcijan, lecz one są bardzo daleko za wioską. Pytam, dlaczego? «Dlatego, odpowiadają, aby kozy i wieprze nie niszczyły manioku i ziemniaków». «To pilnujcież trzody swojej!» Murzyni w śmiech — oni nie rozumieją co to pasterz, a choć im lampart porwie kozę lub wieprza, im się nie chce zdobyć na trochę przezorności, aby strzedz dobytku swego. Zresztą choć lampart zabije wieprza lub kozę, a nawet kilka sztuk naraz, to tylko wypija krew, wnętrzności niesie w las, resztę zaś mięsa zostawia, więc murzyni nie mają żalu wielkiego do tego zwierza. Gdym wracał z pola, prosił mię katechista, abym mu las po jednej i drugiej stronie drogi pobłogosławił, bo on zamierza go spalić i obrócić na pole uprawne. Wieczorem poszedłem z katechistą i chrześcijanami do wioski pogańskiej Nsundi, by odmówić modlitwy u stóp krzyża, ustawionego w pośrodku wioski. Przyłączyła się do nas gromadka pogan; wysłuchali mej nauki o celu człowieka. Co się działo w duszy tych pogan, nie wiem; w zachowaniu ich jednak zewnętrznem przebijała się zupełna obojętność na rzeczy boże. Więc dla uproszenia im łaski nawrócenia do wiary św. odśpiewaliśmy litanię Loretańską. Nazajutrz rano odprawiwszy o 6 godzinie Mszę św. rozdałem obrazki chłopcom, a ponieważ się żalili, że »ukadi mpempa« duch biały t. j. według ich wyrażenia szatan, przechodzi przez ich wioskę, więc dla ich uspokojenia poświęciłem im wodę i poleciłem żegnać się nią. Zwyczaje chrześcijańskie są tu nowością, ciągle trzeba je neofitom przypominać i do ich praktykowania przynaglać.

We wtorek poszedłem do Kimpongo przez góry i lasy. W drodze napotkałem na łapki, w które chwytają murzyni myszy leśne, wiewiórki i inne t. p. przysmaczki. Wioska chrześcijańska Kimpongo, zbył odległa od wioski pogańskiej tegoż nazwiska, przenosi się na inne, dogodniejsze miejsce. Poszedłem to miejsce zobaczyć. Trzeba się było drapać z przepaści na góry, przeskakiwać strumyki. Murzyni okrzyk zdziwienia wydali gdym przeskakiwał potoki, bo oni je zawsze w bród przechodzą, za leniwi, aby się zdobyć na małe wysilenie, choćby rów tylko mieli przeskoczyć. Gdym wracał z nowej osady, zabiega mi drogę murzyn i mówi: «Ja to miejsce na kaplicę poradziłem, należy mi się *matabisz*» t. j. wynagrodzenie. Dałem mu pudełko

zapałek, aby się pozbyć natręta. W wiosce pogańskiej Kimpongo zobaczyłem przed domem skórę jakiegoś zwierza, rozciągnioną na drutach; zapytałem katechistę, co to takiego? Odpowiedział: «biteke» t. j. przedmiot, w który szatan wstępuje, aby chorych leczyć. Powiedziałem poganom: Napróżno wzywacie «biteke», wzywajcie Pana Boga. Oni na to z dziwnie głupkowatą miną wołali: «Aha, aha!» (Tak jest, tak jest!) i dalej obojętnie siedzieli. Idąc przez las, napotkałem olbrzymie drzewo zwane «bubu» t. j. dzika figa. Z jednego pnia rozchodziło się jakby siedm olbrzymich drzew, które konarami swemi osłaniały rozległą przestrzeń, 35 kroków w promieniu, jak to sam osobiście zmierzyłem. Drzew pomarańczowych tu pełno, okrytych, jak u nas jabłonie, licznym owocem. Zerwałem ich kilka, bo to własność naszej misyi. — Obok jednego domku, tuż pod samą ścianą pełno flaszek leżało; co to? Grób dziecka. Nieco dalej mnóstwo gałęzi złożonych w kupie — to znowu grób pieska.

Przybyłem na noc do *Kitempy*. Chałupki murzyńskie bardzo tu nędzne: drzwiczki tak małe, że trzeba się dobrze zgiąć i wykręcić, aby do wnętrza się dostać; dach tak nizki, że zaledwie w samym środku domku można stać prosto. W jednej takiej chatce trzeba było nocować; myślałem że przynajmniej sam jeden będę tu spał — ale gdzie tam; musiałem się podzielić z trzema murzynami miejscem nie większem, jak trzecia część dawnego mego *cubiculum* w Starejwsi. Nazajutrz rano kłopot, gdzie Mszę św. odprawić? Lasu niema; wicherek lekki wśród pola pogasiłby świece i uniósł Hostyę świętą, w domku murzyńskim, podobnym z niechlujstwa do chlewka, nie wypada spełniać świętych tajemnic. Ale Najśw. Panna, o której właśnie przypadało officium: *Auxilium Christianorum,* uciszyła burzę, więc wśród pola zbudowałem ołtarz. Kazałem najprzód wbić w ziemię cztery koły, na nich położyłem drzwi stare i okryłem je dywanikami, a na nich dopiero umieściłem menzę ołtarza przenośnego. W Kitempie zastałem zaledwie czterech chłopców, więc wcześnie się z nimi załatwiwszy, już o 9 godz. rano wybrałem się do *Matamfu.* Po drodze spotkałem murzynów protestantów, którzy w Kitempie mają niby kaplicę *(ferme chapelle);* ubrani są pięknie i nic nie robią, bo pieniądze z Anglii i Ameryki opłacają obficie ich prozelityzm.

Ej, może kto ciężko chory wśród pogan? przyszło mi na myśl; więc wróciłem do Kitempy pogańskiej, gdzie istotnie znalazłem murzyna śmiertelnie chorego. Pouczywszy go, jak mogłem, rzeczy koniecznych do chrztu św., kazałem zawołać jego żonę. W Dolnem Kongo małżeństwo, jako związek dozgonny nie istnieje; mąż według swego widzimisię, wyrzuca żonę z domu, a inną kupuje za 30 franków. Zapytałem więc obie strony, czy chcą żyć w małżeństwie aż do śmierci? Odpowiedzieli że tak, więc udzieliłem chrztu świętego mężowi choremu na senność.

Słabość ta trwa niekiedy lat kilka i chory, choć blizkim zdaje się konania, nieraz znowu wraca do zdrowia; więc dla bezpieczeństwa trzeba było przed udzieleniem chrztu uporządkować związek małżeński. — Znalazłem w Kitempie jeszcze jedną kobietę chorą, okrytą ranami, ale że nie było nic niebezpiecznego, więc obiecałam jej przysłać lekarstwo z Matamfu, dokąd apteczka misyonarska mię wyprzedziła.

Co to za droga do *Matamfu!* Trzeba być murzynem, aby zapamiętać te ścieżki, które raczej dla zwierząt leśnych, niźli dla ludzi służyć mogą. Od 7 godziny rano nic w ustach nie miałem — a tu idź i idź wśród żaru. Jużem ustawać zaczął od pragnienia. Brat De Sadelaer (który był w Zambezie pierwej, a teraz jest w Pesi, w Kongo) upadł raz z pragnienia w drodze. Pierwszą rzeczą, jak opowiadał, było przygotować się na śmierć, lecz nie czuł nic na sumieniu; więc myśli nad tem, jakby życie ratować. Oto poprostu (proszę darować) uryną własną zwilżał gardło i na tyle odzyskał siły, iż doszedł do stacyi misyjnej. — U mnie nie przyszło do tej ostateczności, lecz z trudnością dowlokłem się do Matamfu. Winem mszalnem zmieszanem z wodą, zaspokoiłem pragnienie, zjadłem obiad i siły odzyskałem. Mówią mi, że w *Kizambu* naczelnik wioski śmiertelnie chory. Po godzinie drogi przychodzę do tej wioski, może pierwszy z Europejczyków, bo nawet O. Swannet, choć już trzy lata przebywa w Kimpako, nie słyszał o istnieniu tej miejscowości — tak jest ukryta wśród lasów. Wychodzi naprzeciw mnie człowiek około 25 lat mający, miłej powierzchowności, z gromadką ludzi. Pytam go, gdzie naczelnik wioski chory? On mówi: «We wiosce nikt nie choruje, a ja jestem tu naczelnikiem». Kazałem rzecz zbadać katechiście z Matamfu — i ten również potwierdził, że tu niema chorego. Powiadam murzynom: «Nie macie się czego lękać, ja tu nie przychodzę na zwiady, jaką ilość kauczuku nałożyć wam należy do zbierania; ja szukam chorego, by otworzyć mu bramę do nieba». Oni mi ofiarowali kurę. «Weźcie ją sobie, ja darów waszych nie potrzebuję, ale dobrej woli, byście zapragnęli słuchać o Bogu, o przykazaniach Jego i szczęście wieczne sobie zapewnili». To wszystko dla tych ludzi było obojętne; ich cała myśl, by w lenistwie ich nikt im pokoju nie zakłócał.

Wróciłem z niczem do Matamfu, i znowu idę do Kimalendy, aby tam przygotować do chrztu chorą na senność. Alem i tu nic nie wskórał, bo mi powiedziano, że chora jest u swych krewnych w Kigandze. Wieczorem odmawiałem modlitwy we wiosce pogańskiej Matamfu, ale prócz mych chrześcijan i katechumenów, nikt z pogan, mimo zaproszenia, nie zjawił się. Wracam do kaplicy w Matamfu — a tu zabrakło żywności dla mych tragarzów. Wiktuały, które im dałem na cztery dni, już w dwóch dniach spałaszowali, choć mi przyrzekli, że niczego przez cztery dni nie zażądają. Szczęściem,

udało mi się zakupić 5 bochenków chleba, a O. Swannet nadesłał z Kimpako kawał wieprzowiny; więc z głodu jeszcze nie umrzemy. Pouczony jednak doświadczeniem, sam po kawałku porcyę każdemu z osobna wydzielałem, resztę zachowałem u siebie.

Czwartek, Boże Ciało! ale w Kongo święta zwyczajem belgijskim na niedzielę przeniesione — więc smutno mi było w szopie bez żadnej uroczystości Mszę św. odprawić. Chłopcy w Matamfu umieli dość dobrze katechizm, za kłamstwo jednak i lenistwo, na którem dnia tego dwa razy ich schwytałem, zamiast śpiewu «Lukembila» *(Laudate Dominum omnes gentes)*, odmówili przy pożegnaniu za pokutę 5 razy Ojcze nasz i Zdrowaś *cum expansis brachiis*. Około godziny 11 rano pospieszyłem do Kingombi, gdzie zastałem list, by wracać do Kimpako. Więc chłopców wyegzaminowałem prędko z katechizmu i już miałem puścić się w drogę, aż tu z sąsiedniej wioski murzynki poprzyprowadzały dzieci, aby im dać lekarstwo. Miałem ze sobą apteczkę, więc jak mogłem, tak zaradziłem ich biedom. Z powrotem gdy przechodziliśmy przez rzekę Wutu, trzeba się było skąpać, a stosunkowo woda była dość zimna. Nadchodząca burza zmusiła do pospiechu, aby deszcz nie sprawił nam drugiej kąpieli, i to na przepocone ubranie. W Kimpako zastałem O. Butaye i Brata Gillet, którzy przybyli z Kisantu, aby po pracy i po chorobie swej trochę wypocząć w naszem dzikiem ustroniu.

W miesiącu czerwcu rozliczne choroby trapiły naszych chłopców w Kimpako. Ci, co chorowali na senność, nie mogąc razem z innymi przebywać w tych samych mieszkaniach, zmuszeni byli nocować pod otwartem niebem przy ognisku, lub też gdy wiatr zbyt chłodny im dokuczył, chronili się pod ściany domków i tu spali na dworze, okryci kawałkiem perkalu. Pod wrażeniem tego smutnego widoku miałem raz w nocy taki sen: Widziałem jednego z mych krewnych okrytego wrzodami i konającego wśród wielkich boleści. Litując się nad jego nędzą, pielęgnowałem go i zaopatrzyłem Sakramentami św. On mi za to serdecznie dziękował. Po przebudzeniu pytam sam siebie: Czyliż ci biedni, schorzali murzyni nie są braćmi twoimi? Wybuduj dla nich osobny dom, miej o nich staranie, a Bóg ci w pracy błogosławić będzie. — Tego samego poranka cieśle wzięli się do roboty i w kilka dni pod okiem O. Swanneta (gdyż ja nigdy w życiu budową się nie zajmowałem) stanęły dwa dość przyzwoite domki dla chorych. Później jeszcze, gdy zaraza szerzyła się coraz bardziej, wybudowaliśmy trzy inne domki dla pomieszczenia nietylko tych chorych, co tu do śmierci pozostali, ale i wielu innych z okolicy, których przyjmowaliśmy na kilka dni, aby ich na śmierć przygotować, a następnie ostatnimi Sakramentami zaopatrzonych, lub nawet ochrzczonych, odsyłaliśmy do ich wiosek.

21 czerwca przyniósł tu jeden chrześcijanin dziecko dwuletnie, opuszczone od wszystkich, bo matka umarła, a ojciec o nie wcale się nie troszczył. Nie mogąc zatrzymać tego dziecka bez pozwolenia ojca, przywołaliśmy go i pytamy, czy poznaje swoje dziecko? «Tak — odpowiedział — ale co ono mię obchodzi? ciężarem jest tylko dla mnie». — «Więc nie chcesz tego dziecka?« — «Nie chcę», odrzekł przy świadkach. Spisaliśmy protokół, a sierotę odesłaliśmy do Kisantu zakonnicom na wychowanie. «Zwierz dziki ma jakieś uczucie dla potomstwa swego, a tyś gorszy od dzikiego zwierza» — rzekłem wyrodnemu ojcu, który bezczelnie domagał się jeszcze «matabiszu» t. j. zapłaty za dziecko. Odprawiliśmy go z niczem, mając już w ręku spisany przy świadkach protokół.

27 czerwca przybył do Kimpako król murzyński nazwiskiem Lula, z okolicy «Lula-Lumene» w południowo-wschodniej części krainy Bakongów. Człowiek ten bogaty, a jak na poganina — poczciwy. Gdy zadzwoniono na «Anioł Pański», on ukląkł z nami, przeżegnał się i z uszanowaniem brał udział w modlitwie. Ubrany był jakby jaki biskup: miał na sobie rodzaj alby i dalmatyki, na głowie coś jakby infułę, a w ręku trzymał pióropusz czerwony; broda na czerwono pomalowana, palce rąk i nóg ozdobione mosiężnymi pierścieniami. Zabytek to widoczny z tych czasów, kiedy w XVII i XVIII wieku kwitnęło w Kongo chrześcijaństwo, a biskupem katolickim był nawet murzyn. Król Lula zabawił w Kimpako pół godziny, nie raczył jednak nawiedzić naszego mieszkania, tylko na dziedzińcu kazał rozwinąć składane krzesło podróżne i zasiadł na niem, otoczony swym dworem. Nie upominał się o podarunki, jak zwykle murzyni, prosił tylko o mydło i o szklankę piwa, którego trochę upił zasłoniwszy usta dłonią, by go pijącego nie widziano, resztę zaś podał do skosztowania swoim poddanym. Aby zaimponować tutejszym murzynom, którzy go zewsząd ciekawie otaczali, wsiadł do lektyki ze skóry wołowej i kazał się obnosić przez środek tłumu, niby błogosławiąc podniesioną do góry ręką i wstrząsając pióropuszem, jakby kropidłem, to w prawo, to w lewo. Na ten widok murzyni jakby w szał wprawieni, z głośnymi okrzykami odprowadzili króla aż do drogi wiodącej ku Lula-Lumene.

9 lipca. Nadeszła pora palenia traw. Olbrzymi pożar ogarnął zarośla, otaczające naszą stacyę w Kimpako, posuwał się pod kościół i zabudowania misyjne. W strachu, co począć z rozszalałym żywiołem, rozstawiłem w odległości kilkuset metrów od domu setkę chłopców z gałęziami palmowemi, by tłumili ogień. Zlokalizowano go w dolinach, niebezpieczeństwo minęło. Aż tu naraz straszliwy chrzęst słyszę na naszej wyżynie, widzę ogień tuż przy kościele. Biegnę co tchu zobaczyć, co się tam dzieje. A oto O. Swannet, mając doświadczenie pięciu lat w Kongo, umyślnie kazał popalić trawy tuż przy domu w tym celu, aby

pożar, srożący się jeszcze w dolinach, nie mógł się w nocy dostać do domów, lecz aby się zatrzymał na granicy wypalonych traw. Przez trzy dni w całej okolicy pełno było ognia i dymu.

25 września, w niedzielę zawezwano mię do chorej chrześcijanki w wiosce Luka. Muszę tu nadmienić, że O. Prefekt apostolski zakazał mi od godziny 10 rano aż do 3 po południu puszczać się w drogę, choćby chory nawet i konał, bo słońce w tej porze dnia jest zabójczem. Podał tę racyę, że z większą jest chwałą Bożą zachować życie misyonarza dla wielu dusz, niźli je zniszczyć dla jednej duszy, którą Pan Bóg może ratować innym sposobem. Wyruszyłem tedy około godziny 4 po południu, w towarzystwie kilku chłopców, niosących żywność i inne przybory niezbędne w podróży. Szedłem bez przerwy cztery godziny przez góry i lasy ścieżkami krętemi; bo taka to już natura murzynów, że nigdy prostą drogą nie pójdą, lecz zbaczają ciągle to w prawo to w lewo; a jeźli na drodze gałąź jaka leży, nikt jej na bok nie usunie, ale choćby i tysiąc murzynów szło razem, musi ją każdy ominąć. Przechodząc przez wioskę Matamfu, gdzie niedawno temu zaopatrywałem św. Sakramentami chorego na senność murzyna, znalazłem domek jego spalony. Nieco dalej w wiosce Kizamba byłem sam w niemałym strachu, bo napotkałem na pożar traw wyschniętych wskutek upałów straszliwych. Szczęście, że ogień lasów zielonych się nie ima, lecz na nich się zatrzymuje i gaśnie. Idąc tedy gęstemi zaroślami, uniknąłem niebezpieczeństwa. W czasie upałów wystarczy trawę na stepie podpalić zapałką, aby olbrzymi pożar ogarnął okolicę. Lasy zaś trzeba wprzód ściąć, a gdy drzewo na słońcu podeschnie, dopiero wtedy mogą się zająć od pożaru. To też krajowcy, jeśli chcą kawał lasu zamienić na pole uprawne, ścinają najpierw drzewa, po kilku tygodniach zapalają je, a na spalenisku sadzą gałązki manioku, ziemię trochę motyką wzruszywszy. — Napotkałem w drodze na cmentarz pogański, a na nim krzyż; widocznie chłopcy chrześcijańscy nie znając dobrze zwyczajów Kościoła św., pochowali swego towarzysza razem z poganami. W Kintaki murzyni witali mię uprzejmie, a nawet sam naczelnik tej wioski wyszedł na moje spotkanie. Dano mi tutaj wiązkę zeschłej trawy, dla oświetlenia niknącej już w ciemnościach drogi, zwłaszcza że czekała mię niebezpieczna przeprawa nad przepaścistym brzegiem rzeki Mobi i przez lasy, gdzie łatwo spotkać się można z lampartem. Stanąłem jednak szczęśliwie u celu mej podróży, we wsi Luce, i odmówiłem z chrześcijanami wieczorne modlitwy, na które zeszli się też poganie, poczem udałem się na spoczynek. W Luce nie było dla mnie osobnego mieszkania, spałem więc w «szymbeku» t. j. małej chałupce, razem z dwoma murzynami.

Nazajutrz rano o godz. 4 udałem się do odległej o 20 mi-

nut kaplicy, wyspowiadałem chorą na senność chrześcijankę, dałem jej w czasie Mszy św. wijatyk, potem Oleje św. i błogosławieństwo papieskie. Byli na Mszy św. i poganie. Dowiedziawszy się od nich, że 8-letnia murzynka imieniem Lugambu zachorowała ciężko na senność, spieszę do niej czemprędzej, staram się ją do chrztu przygotować, lecz dziewczynka bała się mnie, bo może pierwszy raz w życiu widziała wtedy białego człowieka. A trzeba wam wiedzieć, że murzyńskie dzieci boją się białego człowieka, jak u was dzieci boją się kominiarza, i jeszcze więcej, ponieważ dyabeł wedle mniemania murzynów jest biały. Starsi jednak murzyni ośmielali dziewczynkę, wołając: «A odpowiadajże nauczycielowi Pana Boga!» — i sama matka zachęcała swe dziecko do przyjęcia chrztu świętego. Nie wiele to jednak pomagało. Dopiero gdy chorej dałem kawałek chleba i mięsa, na ten argument skruszyło się serce, a w głowie jaśniej zrobiło się. Odtąd już śmiało słuchała mych nauk i odpowiadała na pytania, tak iż mogłem jej udzielić chrztu św.; dałem jej imię Marya.

W powrocie z Luki do Kimpako wypadło mi przechodzić przez »zandu», t. j. targowicę murzyńską, gdzie mnóstwo ludzi z całej okolicy zeszło się z towarami swymi. Oto jak się przedstawia targ w Dolnym Kongo. Co czwarty dzień gromadzą się murzyni dokoła olbrzymiego drzewa, nie pośród wioski, ale na stepie lub w lesie. Mężczyźni wogóle przyzwoicie ubrani, o wiele mniej kobiety, dzieci zaś do 10-go niemal roku chodzą całkiem nago. Chrześcijan odróżnić można po tem, że lepiej okryci, a na wierzchu ubrania noszą medaliki, krzyżyki, szkaplerze, koronki. Naczelnicy murzyńscy zazwyczaj uzbrojeni w piki, chodzą w otoczeniu swych niewolników (baleke). Towarów rozmaitość znaczna: kozy, wieprze, kury żywe i zdechłe, nieraz dobrze już cuchnące; wino palmowe (malafu), chleby z manioku, ananasy, banany, orzechy ziemne (nguba), ziemniaki słodkie, rośliny zwane «pili-pili», które podobnie jak u nas pieprz służą murzynom za przyprawę, dalej ryby suszone, koniki polne, świerszcze i gąsienice, ulubiony przysmaczek Bakongów. Były tu i tanie kuchnie «Pod słońcem», gdzie sprzedawano gorące potrawy, gotowane w wielkich kotłach. Prócz tego sprzedawano koszyczki pięknie wyplatane, maty, rogóżki, różne materye na ubrania, naczynia gliniane, proch strzelniczy i t. d. Wogóle murzyni mają do handlu spryt wielki; oby w tym samym przynajmniej stopniu mieli zamiłowanie do pracy i do rzeczy Bożych!

W powrocie do Kimpako wypytywałem się o chorego katechumena, którego miałem ochrzcić, lecz niestety dowiedziałem się nieco póżniej, że umarł w Kingombi i to bez chrztu św. Widoczna kara Boża nad tym człowiekiem. Oczerniał nas misyonarzy wobec protestantów, którzy tu misyę w sąsiedztwie założyli. I oto zapadł na chorobę snu, opuścił naszą wioskę

chrześcijańską a przeniósł się gdzieś w głąb lasu. Wysłaliśmy za nim zaufanego katechistę, by mu przed śmiercią udzielił chrztu św., ale zanim go znaleziono, już umarł jako poganin. Ten przykład kary Bożej, gdy go O. Swannet podniósł na katechiźmie, sprawił na ludziach naszych wielkie wrażenie. Dałby Bóg, aby nie prędko zapomnieli o tem, i zanim pobudka miłości stanie się dla nich zrozumiałą, aby przynajmniej bojaźń Boża trzymała ich w karności!

* * *

Oto kilkanaście przeszłorocznych faktów z mego misyonarskiego dzienniczka. W tym roku (1905) w marcu i kwietniu mieliśmy bardzo niezdrowe powietrze. Czterej nasi księża: OO. Van Heede, Opdebeeck, Hendricks i Cus chorowali w Lemfu na «hematurę» (mocz krwawy); ci wszyscy wrócili do Europy. W Kisantu O. Prokurator był konający wskutek choroby żółciowej, a teraz na święta wielkanocne zapadł po raz wtóry na tę samą niemoc. Także i mój towarzysz w Kimpako, O. Swannet, był ciężko chory, ale Br. Gillet, przysłany na moje żądanie z Kisantu, wyratował go od «hematury». Bawi tu u nas w Kimpako na kuracyi Br. Molitor; cały tydzień chorował na febrę, zanosiło się nawet na »hematurę»; dziś ma się znacznie lepiej; w czasie Wielkiego tygodnia dyrygował śpiewem w kościele, a teraz ćwiczy dalej w śpiewie naszych murzynków. Ja trzymam się dosyć dobrze, chociaż feberka i żółć od czasu do czasu przypominają mi, że jestem w Kongo. — Pisałem już dawniej, że mamy opuścić Kimpako. Nie prędko to jednak nastąpi. Czekamy, aż będzie zbudowana linia kolejowa do granic Zambezy, wtenczas w pobliżu kolei obierzemy miejsce odpowiedne na założenie nowej stacyi.

Wszystkich Ojców, Scholastyków i Braci serdecznie pozdrawiam. Załączam tu dla O. Kusiackiego fotografię Kusia, króla plemienia murzyńskiego Bawilów w Kongo francuskiem. Mile wspominam sobie W. Ojca Stanisława; Boże daj w niebie pogwarzyć sobie serdecznie!

Kimpako (post. Madimba, Congo Belge) 24 kwietnia 1905.

X. Józef Markiewicz T. J.

Misye dla Polaków w Północnej Ameryce (1901—1902).

List O. Alojzego Warola.

Cleveland O., d. 12 lutego 1905 r.

...Lipiec i sierpień (w r. 1901) poświęcone były wakacyom w St. Louis i własnym rekolekcyom. Upałów, jak w tym roku, nie pamiętali nawet najstarsi ludzie w Ameryce. W czasie tych dwóch miesięcy miałem w niedziele kazania u proboszcza polskiego X. Stanowskiego w St. Louis i słuchałem spowiedzi regularnie w każdą sobotę od godz. 3 popołudniu do 10 w nocy, czasem i dłużej. Pracą tą atoli, a zwłaszcza kazaniami wcale się nie męczyłem, trwały one zaledwie 20 minut na ogólne życzenie tak proboszcza jak i parafian, a to ze względu na upały i ścisk ludu w świątyni. Nawet w czasie krótkiej nauki nasze panie i panny z takim szumem dla ochłody puszczały w ruch wachlarze, że mi się zdawało, jakbym do wiatraków przemawiał. Wogóle w tych miesiącach Ameryka nie naprzykrza się w niedziele Panu Bogu. Sumy ciche i wczesne, kazania pięciominutowe albo żadne — to cała służba Boża. Są nawet osobne podręczniki do kazań na wszystkie niedziele w roku, z naukami na 5 minut obliczonemi *(Five minuts sermons for the sunday throughout the year)*. Myślę, że tak samo czczą Boga w Anglii w tej ciepłej porze roku, bo pod tym samym tytułem wpadły mi do ręki kazania w Londynie drukowane.

Pierwsza poważniejsza praca po wakacyach, to 40-godzinne nabożeństwo z początkiem września w *St. Louis*, na które nasz stały przyjaciel X. Urban Stanowski zaprosił nas wszystkich trzech misyonarzy (OO. Matauschka, Rothenburgera i mnie), zanim wyruszyliśmy z domu na dalsze wyprawy.

Następnie od 15—23 września dawaliśmy misyę w *Toledo* (stan Ohio), w kościele św. Antoniego, którym zarządza X. Andrzej Suplicki, znany nam z przeszłego roku z Berei, gdzie się również naszą pracą posługiwał. Nic tu nie mam szczególnego do powiedzenia; orka była twarda, pole rozległe. Program zwyczajny wykonany, który nakreśliłem w poprzednim liście. To samo więc wstawanie o 5 godz. z rana — ta sama ciągła spowiedź — to samo rozrywanie piersi na ambonie — to samo zemstowanie na pijaków i na przemądrzałych amerykańskich chłopów, którym dobry zarobek i swobodne stosunki pokrzywiły klepki w zarozumiałych głowach — to samo późne opuszczanie konfesyonału o 11 godzinie w nocy. Proszę mię zatem nie winować, że wogóle o przebiegu naszych misyj mało wspominam. Nie chcę powtarzać tych samych szczegółów, by nie nudzić. Daru cudów nie posiadamy: «niezależności» zupełnie nie zniesiemy. Na to trzeba czasu, cierpliwości i innych czynników.

Fecimus quod potuimus; faciant meliora potentes. — W Toledo liczą do 15.000 Polaków. Składają się na to dwie parafie: nasza, gdzie obecnie wre praca i druga św. Jadwigi, do której jeszcze w tym roku zaglądniemy, bo i tu później była misya. Obydwie mają ładne gotyckie kościoły, budynki szkolne okazałe. U św. Antoniego 900 dzieci w szkole, którym przewodzi 12 Sióstr Felicyanek. Przy szczupłej pomocy wysłuchaliśmy przeszło 4000 spowiedzi.

Samo również miasto, które obejmuje 131.822 mieszkańców, robi niezłe wrażenie. Z gmachów uderzył mię przedewszystkiem budynek sądowy w centrum miasta. Wygląda jak cytadela upstrzona bogatą ornamentyką wokoło. Zewnątrz i wewnątrz jest co widzieć. Zewnątrz porozkładane dywany rzadkich kwiatów na dużej przestrzeni ogrodu; wśród nich sztuczne fontanny tryskają kroplami wody, podtrzymując wegetacyę; wewnątrz gmachu posadzki i obicia ścian marmurowe. Zaimponowało mi również kilka ulic. Jedna z nich przedewszystkiem, gdzie bogaczy siedlisko, to rozkoszny park will wśród starożytnych drzew, przecięty szeroką, asfaltowaną aleją. Nic tu nie miesza spokoju plutokratom: ani hurgot tramwaju, bo «bogacze nie pozwalają» na przeciągnięcie tędy linii, ani rynkowy gwar przekupek — chyba szum drzew i świstawka listonosza, który według tutejszego zwyczaju, przechodząc koło interesowanego domu, aby oszczędzić czasu, wygwizduje *plenis buccis* hejnały, by wywabić mieszkańca do odbioru nowinek. — Toledo tworzy jedno z ogniw w łańcuchu nadbrzeżnych miast nad jeziorem Erie. Połączone z innemi komunikacyą lądową (liczne koleje i tramwaje elektryczne) i wodną. Tak zostają w łączności miasta: Detroit, Toledo, Cleveland, Erie, Dunkirk, Buffalo i wiele innych mniejszych, niby paciorki różańca na drucianym łańcuszku.

Opuściwszy wielkie północne wody, zniżyliśmy się (zawsze my trzej, powyżej wzmiankowani) na południe do *Pittsburga* (Pensylw.), znanego nam z przeszłego roku, nie tak z kurzawy dymów, które wiszą nad miastem, jak z pracy w kościele Najśw. Serca Maryi, u Ojców ze Zgromadzenia Ducha św. Teraz przyszło pracować znowu u tychże Ojców, ale w innym kościele. Byli wówczas XX. Cezar Tomaszewski, Paweł Kwapuliński (rodem z Lipin na Górnym Śląsku) i Strzelczok. Dzisiaj, oprócz pierwszego, wszyscy nowi. Ostatni opuścił Zgromadzenie. Żal mi było tych Ojców, widząc ogrom ich pracy. Do chorego wzywają ich przynajmniej trzy razy dziennie. Mnóstwo fabryk, więc i o śmierć nie trudno. Chrztom nie ma końca: sam tu raz 15 naraz dziatek ochrzciłem. W szkole dzieci 750, Sióstr Nazaretanek 12. Co się zaś misyi tyczy, która trwała od 28 września do 14 października, mogę ręczyć, że 10.000, jeśli nie więcej osób pojednało się z Bogiem w Sakramencie Pokuty. Pomagali, oprócz miejscowych kapłanów, inni następujący sąsiedzi: X. prałat

Wład. Miśkiewicz, proboszcz innej parafii w Pittsburgu; jego brat X. Franc. Miśkiewicz, proboszcz z Everson, Pa.; X. F. Baczewski, wikary powyższego prałata; X. Wład. Lipski z Cincinnati; X. Michał Retke ze Zgrom. Ducha św., profesor z kolegium tychże OO. w Pittsburgu; O. Benedykt Lęga, Franciszkanin z Buffalo († w Buffalo w r. 1902); X. Andrzej Smetsz z Braddock; X. Cichocki z Latrobe (dziś w Anglii); X. Wuerst z Sharpsburg; X. Łuniewski z Homestead; X. Kopera z Winber; X. Galewski z New Kensington. Ostatni umarł roku 1904 w Chicago, w domu swej siostry. Rektor naukowego zakładu OO. św. Ducha, X. Hehir i inni *graves Patres* (nie Polacy) życzliwie często nas odwiedzali a nawet w swoim domu wyprawili nam huczny bankiet, oprowadzając po wszystkich zakątkach swego zakładu.[1] Polska, tygodniowa gazeta w Pittsburgu p. t. «Wielkopolanin», inspirowana i stojąca na żołdzie polskich OO. św. Ducha (zwłaszcza X. Tomaszewskiego) parę razy wysławiała tę naszą misyę — aż do przesady.

Po tygodniu wytchnienia, podążyliśmy w stronę Nowego Yorku, do *Brooklyna*, gdzie od 19—27 października mieliśmy misyę w kościele św. Kazimierza, u X. Dra Wojciecha Nawrockiego. Miasto Brooklyn leży na wyspie, którą zowią Long Island (długa wyspa). Jest długa i szeroka, jakby osobne króle-

---

[1] Tu miejsce, by parę słów dorzucić o początkach tegoż Zgromadzenia. Założył je W. O. Franciszek Marya Paweł Liberman, ex-rabin, urodzony 12-go kwietnia 1804 r. Był piątym synem żydowskiego rabina w Alzacyi, Łazarza Libermana. Blizki jego krewny, Uhlman, piastował godność wielkiego rabina w centralnym zarządzie, jakby w synedrium żydowskiem, w Paryżu. Nasz fundator został ochrzczony w Paryżu 25 grudnia 1826; umarł 2 lutego 1852. (Po bliższe szczegóły o życiu i działalności W. O. Libermana odsyłam do dzieła, napisanego po francusku przez kard. Jana Pitrę, a przetłumaczonego na niemieckie przez J. Müllera. Wyd. Stuttgart, Jos. Roth'sche Verlagshandlung 1893). Nawrócili się niektórzy jego krewni; i tak bratanek O. Libermana, jeszcze żyjący, jako członek Zgromadzenia św. Ducha uczył nawet teologii polskich Ojców z Pittsburga. Zgromadzeniem rządzi obecnie piąty dopiero z rzędu generał, X. biskup Aleksander Leroj, który dłuższy czas przedtem w Afryce poświęcał się misyom. Rezyduje w Paryżu, mając pod swym zarządem do 300 członków całej Kongregacyi. Prowincyał na Stany Zjednoczone mieszka blizko Filadelfii w wiosce Cornwells, gdzie jest i nowicyat. W swoim czasie byliśmy tam gośćmi, gdzie z nami O. Rydlewski, Polak, jako prokurator prowincyi i domu, cały ich dobytek zlustrował. W temże ustroniu (w Cornwells) odpoczywa po ciężkich trudach zmarnowany, inny polski kapłan, także Duchacz, O. Jaworski, jeden z pierwszych pionierów polskiego wychodźtwa do Ameryki. Wiele się przyczynił razem ze ś. p. X. rektorem Dąbrowskim do założenia polskiego Seminaryum w Detroit; wystawił parę kościołów polskich w Ameryce. On to ukształcił parafię św. Stanisława w Pittsburgu, w której obecnie na misyi bawimy i pozostawił po sobie niewygasłą pamięć w tem miejscu. Ludzie w Pittsburgu ze łzami w oczach o jego poświęceniu wspominają. Dziś złamany, nie tak wiekiem (dochodzi mu 60 lat), jak trudami i zgryzotami, których mu nawet jego najbliższi dali wiele skosztować, siedzi cały dzień w pogodnej porze w ogrodzie w cieniu drzewa i trzęsie się, jak osika, nerwowo. Nawet nie może się sam pożywić.

stewko na wodzie, oddzielone od Nowego Yorku i okolic cieśniną Atlantyku, którą zowią East River (wschodnia rzeka). W tej to właśnie cieśninie przed kilku miesiącami, 1.000 przeszło osób naraz znalazło grób w wodzie, wskutek pożaru na wycieczkowym okręcie «Generał Slocum». Straszną scenę opisały wszystkie, nawet i wasze gazety. Brooklynowi na wyspie widać tęskno, bo się pobratał z N. Yorkiem. Podał mu rękę mostem, który uchodzi za jeden z tak zwanych «amerykańskich cudów».[1]

---

[1] Takich cudów liczą tu jedenaście; oglądałem je prawie wszystkie.

Pierwszy cud, to ów most na wspomnianej cieśninie, 5.989 stóp długi, kosztował 13 milionów dolarów. By mu ulżyć ciężaru, dorobiono drugiego towarzysza (również kolosalny łuk wodny) który 1903 roku z wielką uroczystością wśród salw armatnich oddano do usługi publicznej między N. Yorkiem a Brooklynem. Nowy jeszcze więcej zadziwia. Długi na 7.200 stóp, szeroki 118 stóp, podparty dwoma filarami na wodzie w oddaleniu 1600 stóp. Wysokość nad poziomem wody wynosi 134 st. Ma nieboraczek ciężkie zadanie. Dźwiga cztery tory dla małych pociągów kolejowych, składających się z 4—5 wagonów. Oprócz tego obarczono go dwoma torami tramwajów elekrycznych, trzema torami dla zwykłej komunikacyi wozowej. Nadto musi mieć miejsce na dwie drogi (osobna tam, osobna napowrót dla piechurów) i dwie dla automobilistów i kołowców. Budowa pochłonęła przeszło 20 milionów dolarów. Statkiem nocą pod te olbrzymy płynąc, zda się, że wspaniała tęcza nad głową, utkana światłem gęstych lamp elektrycznych i odbijająca łunę blasku, co z tramwajów i innych punktów jasnych bije.

Drugi amerykański «cud», to statua wolności *(Statue of Liberty*, zwana także *The Bartholdi' statue)* — niezmierna pani z bronzu w środku portu nowojorskiego. Stworzył ją mistrz Fryderyk Bartholdi (ur. w roku 1833 w Kolmar, † 4 października 1094 w Paryżu), a Francya podarowała ją Ameryce. Dedykacya i odsłonięcie odbyło się w r. 1886. Mały statek co 15 minut wiezie ciekawych z N. Yorku na wysepkę, gdzie gigas stoi. Choć wzrostem zdumiewająca — bo 305½ stóp wysoka — pozwala sobie jednak po pustej głowie kołki ciosać, gdzie 40 naraz osób może wprawdzie nie rozumu zasięgnąć, ale wygodnie rozglądnąć się po porcie, po jego ścianach, na które się składają Nowy York, Brooklyn, miasto Jersey City, miasto Hobboken (niemiecka i holenderska przystań) i inne nadbrzeżne ciekawe miejscowości. Proszę obliczyć ile funtów tabaki mogłoby obsłużyć jej nosek na pięć stóp długi? W podniesionej prawicy dzierży lampę elektryczną, która nocami zastępuje latarnię morską, wskazując drogę okrętom.

Trzeci «cud», prześliczny park nowojorski, zwany Central-Park, gdzie bogaty zwierzyniec i ciekawe muzea. Podróżnemu, co o Nowy York potrącił a w tymże parku nie był, każdy Amerykanin przytknie: »Nie znasz N. Yorku!«

Czwarty, Croton, akwadukt w N. Yorku.

Piąty, pomnik Jerzego Waschingtona w Waszyngtonie, najwyższe dzieło rąk ludzkich na świecie po wieży Eiffel — 555 stóp wysokości. Na szczyt prowadzą schody wewnątrz, po ktorych pół godziny w pocie czoła trzeba się drapać. Goście zwyczajnie wybierają elewator (windę), z którymi raz 8 minut wisiałem w powietrzu, zanim dotarliśmy do szczytu. Wtłoczono nas do skrzyni 30 osób razem. Cała Ameryka przyłożyła rękę do tego pamiątkowego dzieła; pojedyncze Stany ułożyły swoim kosztem pojedyncze z marmuru, piętrowe wzniesienia.

Szósty dziw amerykański — gmach senatu w mieście Albamy, w Stanie nowojorskim (Nowy York nie jest stolicą Stanu), zadziwiający rozmiarami i sztuką. Koszta wyniosły 26 milionów dolarów.

Sześć powyższych «cudów» bożek-dolar dokazał; na pięć następnych wysiliła się amerykańska przyroda.

Jakże się udała nasza misya w Brooklynie? W trzy lata później — właśnie w chwili, kiedy te wspomnienia zbieram na papier — otrzymałem list od X. Dra Nawrockiego, w którym między innemi wyczytałem co następuje: «Miałem tu świeżo OO. Misyonarzy z Krakowa (z Kleparza). Dawali u mnie misyę. Nie ganię ich zapału i poświęcenia apostolskiego. Tęgo pracowali. Wy jednak przed trzema laty głębiej zapisaliście się w sercach parafian» i t. d. Ja zaś tak mówię: Mimo tych pochlebnych frazesów i całego kapitału sił jakieśmy w tę pracę włożyli, nie myślę jednak, żeśmy byli bohaterami chwili. Trzeba bowiem wiedzieć, że Brooklyn z N. Yorkiem — to próg Ameryki dla emigrantów. Kto nie ma krewnych lub znajomych w głębi kraju, tu osiada i tymczasem, jak wróbel z dachu, rozgląda się za okruszyną chleba. Utracyusze i rozbitki społeczne, albo raczej ci, co swą niesumiennością rozbili cudzą fortunę, obwijają się, jako pasożyty, koło konarów polskiego społeczeństwa i jako gorący patryoci, ssą, gdzie mogą, soki do życia. Wiele złego sprawiają między amerykańską Polonią — przedewszystkiem na wędkę niezdrowego patryotyzmu łowią niebacznych, z uszczerbkiem wiary, którą ostudzają w swem otoczeniu. Stąd i nasza praca w Brooklynie nie mogła wydać tego owocu, którego można się było spodziewać. Przedewszystkiem parafia X. Dra Nawrockiego — to gniazdo polskich liberałów. Kazania patryotyczne jeszcze mają jakiś dla nich urok, lecz skoro misyonarz poruszy o temat pokuty i spowiedzi, krzywią nosem: że to nie dla nich. Widzieliśmy wprawdzie kilku przy konfesyonale, ale, jak X. Nawrocki mówił, przysunęły ich do niego względy ludzkie i bojaźń, by nie utracić wpływu na innych, a zwłaszcza, by nie wypaść z łaski proboszcza, z której dość często korzystają. Za to wokoło plebanii — zwłaszcza około południa, kiedy nęcący zapach potraw uderzy w powonienie, krążą jak głodne wilki i pod różnym pozorem anonsują swoją wizytę. Jeden chce się widzieć z OO. Jezuitami, pod których, jak mówi, światłem kierownictwem w Chyrowie lub w Tarnopolu wyższe wykształcenie pobierał i przyszłość sobie utrwalił.

Siódmy, wodospad Niagary. Coś o tem nadmieniłem w 3 zeszycie »Naszych Wiad.« (str. 191). W toku dalszych opisów jeszcze staniemy przy nim.

Ósmy, park miejski we Filadelfii, największy, jak mówią, w całym świecie. W r. 1876, na pamiątkę 100-letniej rocznicy ogłoszenia niepodległości, odbyła się w nim wystawa swiatowa. Długość parku wynosi 24 mil ang. (do 48 kilometrów).

Dziewiąty, jaskinia Mamuta, w Stanie Kentucky. Słyszałem i czytałem o tem wiele, nie miałem jednak sposobności naocznie sprawdzić, jak i dwóch następnych.

Dziesiąty, naturalny most na rzece Ceder, w stanie Wirginia.

Jedenasty, urocza dolina w Kalifornii, zwana Yosemite Valley. Długa od 8—10 mil ang., prawie milę szeroka, urozmaicona wodospadami i wspaniałą panoramą skał, które się wznoszą na 3.089 stóp w górę.

Drugi staje z gotowym portretem dla proboszcza, który, jak się przechwala, sam z artyzmem wykonał, choć pędzla nie potrafi w farbie umaczać, ale podobiznę obstalował gdzieindziej. Inny znowu, w roli turysty albo agenta gazeciarskiego lub też manipulanta przy austryackim konzulacie, pcha się z pustym żołądkiem urzędowo do księdza. Jest tu również krawców bez liku, przedewszystkiem z Królestwa Polskiego (potężna liczba z Warszawy), co w literatów się bawią, niby uświadamiając ciemny naród. Zostawmy filozofów, bo to twardy orzech, a przejdźmy do prostaczków, bo *cum simplicibus sermocinatio Domini.* Od ostatnich jeszcze więcej się roji w Brooklynie i na całej wyspie Long Island, niż od przemądrzałych światłodawców. X. Biskup brukliński, którego dyecezyę stanowi ta wyspa, bawiąc z nami na misyi, żalił się na brak księży polskich i dodał, że tak tu w liczbę rosną Polacy, iż niezadługo «zostanę biskupem czysto polskim».

Po tej misyi moi starsi koledzy (OO. Matauschek i Rothenburger) pośpieszyli gdzieindziej, ja zaś z X. Drem Wojciechem Nawrockim podążyłem na inną wyspę, znaną pod nazwą *Barren Island* (Goła wyspa). Goła, a pełna życia, ale bardzo nędznego. Jej egzystencyę zdradza zmysł powonienia już o parę mil wokoło na morzu, zwłaszcza gdy podmuch silniejszego wiatru z perfumami na tem śmiecisku wyjdzie naprzeciw gościa. W istocie, tu skład śmieci N. Yorku i Brooklyna, ale dziwnie z amerykańską spekulacyą wyzyskanych. Wszystko, co w tych dwóch miastach padnie, czego się kto pozbędzie, co kogo w oko lub w nos kole — czy podupadły rumak, czy ryba, co straciła biegłość pływania, czy sałata albo inne odpadki, z których zrezygnowali biesiadnicy przy stole: wszystko tu pożądane. I najmniejsza partykułka przybiera nowe kształty w formie szczotek ze sierści, mydła z łoju, guzików z kości, olejów z zielenizny. Sprawdza się to naocznie, co we fizyce uczą, że nic w naturze nie ginie. Cztery fabryki w ruchu. Jedna «New York sanitary Comp.» wyrzutki zielenizny praży w kotłach, wyciska olej i do 250 beczek dziennie odsyła znowu do N. Yorku, z czego najlepsze mydła produkują. Wymacerowana w ogniu substancya jeszcze nęci oko znawcy ku sobie. Dzieci przedewszystkiem analizują jej zawartość, przetrząsają do odrobiny i często z niej wyłowią złote lub srebrne zarzucone kosztowności. W moich oczach znalazł 10-letni chłopiec srebrną broszkę o wartości kilku dolarów, a żona polskiego robotnika, u którego w czasie tej misyjki mieszkałem, pokazywała mi złoty łańcuszek od zegarka, pierścionek szczero-złoty, srebrną łyżeczkę do kawy i inne cenne drobiazgi, wydobyte z przygotowanej masy sałaty. Stary żyd polski (z Husiatyna) z wypłowiałą jak Judasz brodą, skupuje te klejnoty i «robi sobie życie«. — Oprócz tejże fabryki są inne, w których nieżywe konie przechodzą różne metamorfozy. Dziennie

przeciętnie do 50 egzemplarzy przypływa tu na wyspę; w lecie wielkie upały dostarczają ich o cztery razy więcej. Właściciel fabryk, Wight, katolik dość praktykujący, zatrudnia przy tym «biznesie» wielką liczbę operatorów. Wyprzęgają oni owe zdechłe konie ze skóry — tę znowu bajcują i garbują, wydmuchują szpik z kości, który zmieszany ze spirytusem ma być skutecznem lekarstwem na reumatyzm. Mięso pchają do kotłów; przegotowane suszą i trą na proszek, z czego znowu dla ziemi pod uprawę sporządzają posiłek. Przez podobny alembik przechodzą szczątki innych nieżywych stworzeń; w szczególności zaś ryby, w tłuszcz zamienione, dostarczają oleju, który w sztuce malarskiej, jako domieszka do farb, ma mieć znakomite zastosowanie. Była tu jeszcze inna fabryka, z której dziś kończyny dachu i kominów sterczą z pod wody — reszta zapadła się w trzęsawisku. Trzeba bowiem wiedzieć, że ta cała nieapetyczna wyspa, to wydmy mokrego piasku, ciągle, podczas przypływu morza, wodą nawiedzonego tak, że domy mieszkańców nie dotykają ziemi, ale wspierają się na palach, jak na szczudłach. Fabrykant Wight, o którym była wzmianka, pod względem religijnym dość czyni. Wystawił tu kościółek katolicki, dał go pod opiekę irlandzkiego kapłana, gdzie też i nasi Polacy schodzą się na Mszę św. Naszych jest tu do 300. X. Dr. Nawrocki ma o nich pieczę. Raz w miesiącu dojeżdża, a w czasie wakacyj posyła organistę-nauczyciela, by się ich dziećmi zajął. Misyjkę urządziłem w wzmiankowanej kaplicy, a choć wszystko w porządku się odbyło, jako wierny kronikarz nie mogę jednak taić, że nie oszczędziłem pospiechu, aby się jak najprędzej wydostać ze zgniłej atmosfery, którą przesiąkło nietylko powietrze, ale i sami mieszkańcy, ich ubranie i pościel, na której spałem i naczynia stołowe. Mimo to wielu z tych wyspiarzy mieszka tu od niepamiętnych czasów, naturalnie *ab assuetis non fit passio.* Kto przyjedzie do Ameryki, a o pracę mu trudno, tu ją natychmiast znajdzie. Mój n. p. gospodarz, u którego mieszkałem (Jakób Urbański) 7 lat tu przebywa, zarabiając przy analizie koni 55 dolarów miesięcznie. Nawet rozrywki nie brak w tem ustroniu, bo pięć karczem (t. zw. salunów) stoi otworem. Bez żydka się nie obejdzie, więc choć jedną polski żyd arenduje, inną ma Polak, Jan Ziemetra, reszta w rękach Amerykanów. Dyrektor poczty — również rosyjski żydek. Przy tak wstrętnej robocie ludzie mają pociąg do picia. To też walczyłem z tem nieszczęściem, co mi sił starczyło.

Po tych harcach z pijaństwem na wyspie Barren Island, połączyłem się znowu ze socyuszami (OO. Matauschkiem i Rothenburgerem) w *Checopce* (w stanie Massachusetts), miasteczku leżącem w dyecezyi Spriengfield. Tu ludzie przeważnie z Frysztaka i Dembowca (okolice Jasła i Krosna) popadli w «niezależność», odłączyli się od polsko-katolickiego Kościoła, którym wówczas

zarządzał ks. Franciszek Chałupka i skleili sobie «niezależny zbór», żywiąc między sobą odpadłego kapłana, którego nazwiska nie pamiętam. X. Chałupka różnych używał środków, by błędne owce przynęcić. Sprowadził im nawet z Frysztaka byłego ich proboszcza X. Prusaka, w nadziei, że tenże wywrze wpływ na nich. Cała ta długa i uciążliwa peregrynacya frysztackiego plebana, wszystkie zaklinania i biadania poszły w las — jak w owem starem zamczysku, gdzie jakieś licho niepokoiło ludzi, o czem śpiewa poeta w balladzie p. t. «Strachy» dodając:

Próżno księdza sprowadzono,
Próżno kadził, próżno święcił —
Różne z dyabłem staczał boje;
Pleban swoje — dyabeł swoje!

Nawet w rok po naszej misyi, samego X. Chałupkę z Checopee wystraszono, że gdzieindziej musiał szukać przytułku. Dziś podobno lepiej w tem miejscu pod zarządem OO. Franciszkanów; O. Franciszek Czeluśniak, były nasz uczeń z Krakowa gwardyanuje.

Nasza misya, jeszcze za księdza Chałupki, trwała dwa tygodnie, od 2—17 listopada. Nie można zaprzeczyć, że się dosyć zrobiło; nasze trudy miały wpływ na uspokojenie głów wzburzonych, które tu ciągle judziły lepszą część parafii. Nawet odpadły kapłan pogodził się z kościołem niedługo po naszym wyjeździe z Checopee. W tym jednak względzie może więcej OO. Franciszkanie położyli zasługi niż my. Oddać «suum cuique». Misya wogóle wszystkiego nie załatwi. To kometa, co zabłyśnie chwilowo i przeleci, albo raczej cieplejszy promyk słoneczny, co zagrzeje na chwilę i zniknie, jeśli stałe światło słoneczne w regularnej ciepłocie serc ludu nie utrzyma. Czasem wzywają nas kapłani do pomocy, aby gasić dobrze już nadpalony budynek, w nadziei, że skoro się zjawimy, z ruin wyrośnie całość. Spowiedzi zebrało się tu na parę tysięcy, bo i Polaków mieszka tu do 3.000, a mało kto nie korzystał z łaski misyi. Szczególnie tu uderza nadmiar polskich dziewcząt, zajętych w bawełnianych fabrykach. Bawełnę sprowadzają ze stanu Texas i południowych stron Północnej Ameryki, plantowaną tamże na wielką skalę. Tu ją zamieniają w płótna, które się rozchodzą w dalekie strony świata — nawet do Chin. Maszyny pędzi woda. Mówią, że kobiety a zwłaszcza dziewuchy, większej przy tem zajęciu dorabiają się karyery, niż mężczyźni, zgrabniej się uwijając z tkaniną. Stąd też taka moc tychże stworzeń, jak makiem zasiał. Trudno się było z niemi uporać przy słuchaniu spowiedzi; a nawet w drugim tygodniu, przeznaczonym dla mężczyzn, mocniej atakowały konfesyonał, niż ich bracia i ojcowie.

Następnie po Checopee zapuściliśmy sieci na samym brzegu amerykańskiego wschodu, w portowym mieście *Bostonie*. Nie mam zanotowanej daty, kiedy to było, ale łatwo obliczyć; od-

jąwszy tydzień wypoczynku w Checopee i dodawszy dwa tygodnie, które nas tu zajęły — wyjdziemy na swoje. Boston jest to jedno z najludniejszych (560.892 mieszkańców), z najstarszych i najbardziej historycznych miast Ameryki. Tu rozpoczęła się walka o niepodległość, — tu składał przysięgę Jerzy Waszyngton po objęciu komendy nad wojskiem rewolucyjnem pod drzewem, które do dziś dnia zachowane; — tu Kościuszko zaciągnął się w jego szeregi; — tu miejsce urodzenia głośnego fizyka i polityka, Benjamina Franklina, który, jak o nim napisano: *Eripuit coelo fulmen, sceptrumque tyranno* (ur. 1706, † 1790 we Filadelfii); — tu przez długie lata błyszczał nauką i prawością (choć protestant) najsłynniejszy amerykański poeta H. W. Longfellow, zasiadając na katedrze profesorskiej w głośnym harwardzkim uniwersytecie [1]; — tu wreszcie oświata podniosła wysoko swój kaganiec, przez co zjednała miastu przydomek «amerykańskich Aten». W blasku tejże oświaty musi być jednak nieco domieszki dymu, skoro pewien niekatolicki mówca w kwestyi religijnej na Filipinach, atakując decydujące koła, tak się wyraził: «Dajcie spokój Filipińczykom i ich wierze. Nie odbierajcie im religii, w której wzrośli i w niej byli szczęśliwi. Obróćcie raczej te wielkie sumy, które dajecie na wyrugowanie przekonań u dalekiego wschodu, na to, co nam bliższe i niecierpiące zwłoki. Poszlijcie raczej misyonarzy do Bostonu, by tam uczonych panów, przesiąkłych ateizmem, katechizmu nauczyć...»

My zaś, jezuiccy misyonarze, weszliśmy tam nie dla luminarzy tego wielkiego świata, ale dla «maluczkich» naszych rodaków, na wezwanie X. proboszcza Franciszka Chmielińskiego, w ciągłej zostając pracy po dalekich od miasta osadach przez całe dwa tygodnie [2], aż do Bożego narodzenia. Pociecha i smutek pomieszały się razem. Radość widzieć, jak nasz poczciwy ludek, zasłyszawszy o misyi rzuca co najpilniejsze i biegnie pod ambonę — a tak uporczywie stoi późno w noc przy spowiedzi, jakby wmurowany w posadzkę. Boleść znowu, bo nie brak ta-

[1] Harvard College zaraz przy Bostonie, na przedmieściu Cambridge. Wielu głośnych uczonych i polityków tu się kształciło. Longfellow ur. 27 lut. 1807 w mieście Portland, w stanie Main — umarł 24 marca 1882, pochowany w Bostonie. Najpiękniejszy jego utwór p. t. «Evangeline», napisany po angielsku wierszem heksametrowym, w którym opisuje niewinny romans francuskiej dziewicy Evangeliny z Kanady, co wśród różnych prześladowań ze strony Anglików utraciła z oczu swego narzeczonego Gabryela i poznała go dopiero konającego w szpitalu, gdzie jako Siostra Miłosierdzia poświęciła się usłudze chorych. Jest tam i wzmianka o Jezuitach, do których misyi się schroniła wśród swej tułaczki, dzieląc los swych francuskich z Kanady rodaków, nękanych przez Anglików. Ktoby skądinąd nie wiedział, jakiego wyznania autor, ze samych jego dzieł wziąłby go za katolika.

[2] Tydzień w *Bostonie* XX. Matauschek i Warol; w tym czasie X. Rothenburger sam w *Salem*. Następny tydzień XX. Matauschek i Warol w *Lowel*, a X. Rothenburger w *Laurence*.

kich rybek, co się w swej niebaczności poprzyczepiały do zatrutej przynęty odszczepieńca Hodura i jego popleczników. W stronach Bostonu najwięcej nieboraków z Galicyi zagarnął Hodur. I tak n. p. w mieście Lowell, filii bostońsko-polskiej parafii (dziś już zorganizowana osobna parafia) komitet przy niezależnym kościele składa się ze samych wychodźców z Odrzykonia. Rządził nimi niejaki Papoń, niedoszły kleryk rzymski, powolne narzędzie Hodura, wykropiony na księdza przez odszczepieńczego biskupa Kozłowskiego z Chicago. Dziś tam już dosyć zmiany na lepsze, bo osiadł dobry kapłan, zbudował kościół i przeciwdziała niezależności. O to wszystko potrącili w swoich listach («Nasze wiad.» str. 24 i 104) OO. Rothenburger i Janowski, podając świeższe wiadomości; moje już przestarzałe.

Zbliżyły się święta Bożego Narodzenia. Osobną im poświęcam wzmiankę, bo, choć nie były długie, wiele mię pouczyły i obdarzyły. Gwiazdka świąteczna zabłysła mi w tym roku szczególniejszym promykiem, spuszczając dary, o których warto wspomnieć. Było to w mieście Cincinnati (największe po Clevelandzie miasto w stanie Ohio, liczy 325.902 mieszkańców), dokąd na odpoczynek z Bostonu 36 godzin koleją bez przerwy wędrowałem. W Cincinnati mają nasi OO. naukowy zakład. Tu X. Rektor, Wojciech A. Diercknes, wielkiej zacności Ojciec, przytulił mnie na święta. Ale znowu X. Wład. Lipski, co tu Polaków obsługuje, nie dał mi w kolegium wysiedzieć, lecz powołując się na moje z nim koleżeństwo z teologii w Krakowie, wyciągnął mię do siebie. Nie ociągałem się przed zajęciem, którego, jak zwyczajnie w czasie świąt i dla niego i dla mnie nie zabrakło — tembardziej, że ksiądz parafialny mając mszalnego w domu gościa, lubi się dać zastąpić. Ale za to poznano się na rzeczy. Bo oto, skoro pierwsza gwiazda w wigilię zjawiła się na niebie, komitet parafialny, ze śmietanki złożony, uroczyście wezwał mię do «offisu» (do kancelaryi). «Mamy prezent dla Jegomości» — odzywa się przewodniczący i odwijając papendekel, wyciąga z niego — proszę zgadnąć co? — buty! Naturalnie, z wdzięcznością wyciągnąłem rękę po podarunek. Skąd im jednak aż buty dostały się do głowy — zwłaszcza, że moje dawne trzewiki jeszcze były *in statu quo*, a palce przez skórę nie wybijały się na wolność? Jak mię później dosięgło — taka była geneza. Prezydent parafialnego komitetu zwoławszy nadzwyczajne posiedzenie, postawił nagły wniosek: «Jak upamiętnić pobyt misyonarza u nas?» — «Zima — trzeba mu buty sprawić» podnosi głos sekretarz. «Ja pana podporuję» (częsty wyraz na takowych debatach, znaczy: popieram) odzywa się ktoś z radców. Jednogłośnem *scrutinium* wyszły trzewiki z urny. Lecz i to faktu nie tłómaczy; *ultima ratio* taka: W parafialnych budynkach, które nabyto w nadziei urządzenia w nich później

szkoły, oprócz innych lokatorów szewc (Niemiec, protestant) rozbił skórzany namiot, a z rentą przez długi czas zalegał. Tą drogą chciała mu rada nieco czynszu odtrącić. Szewc jednak nie w ciemię bity, widząc, że cała moc uchwały o jego się kieszeń odbije, bardzo skąpo szafował skórą i przy najlepszej woli komitetu tak się ciasno ze swego zadania wywiązał, że z wielką forsą, przy użyciu potężnej dozy federwajsu, mogłem dopiero nogi do przystani wprowadzić. Cóż jednak było czynić? «Bierz Michale, co Bóg daje!» Długo w tychże parafialnych butach paradowałem po Ameryce.

Drugi prezent był innego rodzaju i gdzieindziej — w naszem kolegium. Nasi OO. w Ameryce nie znają gry w «mattony». Mają jednak inne rozrywki. I tak n. p. w wigilię nowego roku urządzają sobie wieczorem skromną zabawę i rozdają małe prezenty we formie jak u nas na św. Mikołaja. W kolegium w Cincinnati różni różne zagrabiali podarki z odpowiednią perorą, stosownie do każdego potrzeby; mnie się dostała fajka. Nie wspominałbym o tej drobnostce, ale parę *rationes sufficientes* dostarczają pobudki. Najpierw z punktu historycznego. Była to imitacya historycznej swej siostry, jakiej Indyanie Stanów Zjednoczonych używali w podnioślejszych momentach swych dziejów — jak n. p. przy zawieraniu kontraktów, przy podejmowaniu wybitnych gości i t. p. Naczelnik szczepu, przyjmując miłego interesanta, na znak przyjaźni podawał mu fajeczkę na długim cybuszku, obstrzępioną piórami orła, podobną do dzisiejszych stambułek tureckich, zwaną «calumet». W każdej większej encyklopedyi można jej rycinę oglądać. Z fajki przeszła nazwa na miasta, dziś pod tem imieniem znane, zwłaszcza w zachodnich częściach Stanów Zjednoczonych. Taką fajką raczono nieraz dobrego Indyan przyjaciela, naszego O. Jakóba Marquette S. J. (1637—1675); z takiej pykał fundator Filadelfii r. 1682 i prawodawca Pensylwanii, kwaker Wilhelm Penn, targując się z Indyanami o nabycie terenu pod stolicę przyszłego kraju. Ponieważ po bratersku przy słodkich dymkach lulki przyszło do zgody, więc i do przyszłej osady przylgnęła nazwa «braterska miłość», co znaczy słowo: Filadelfia. Za to znowu praojca Penna mieszkańcy Filadelfii postawili wysoko. Na wieży ratuszowej w temże mieście, która sama 535 stóp wzbija się w górę, stoi ogromny praszczur z kapeluszem na głowie. Po brzegach kapelusza parę osób może sobie urządzić piesze wyścigi. — Druga racya, że o fajce wspominam, jest sensu moralnego. Wyszło mi to bowiem na lepsze. Od tej chwili zarzuciłem cygarety i wziąłem się do fajki, która i korzystniej oddziaływa na zdrowie i mniej pociąga kosztów.

Powiedziałem poprzednio, że te święta mię obdarzyły i pouczyły. Był to czas popisu miesięcznego naszych uczniów w kolegium. Poczciwy X. Rektor, zapraszając wszystkich do-

mowych Ojców i gości z miasta na publiczną klasyfikacyę, nie zapomniał i o mnie. Wszedłem do obszernej, amfiteatralnej sali, zaopatrzonej w loże, galerye, ozdobionej portretami dostojników Kościoła i świeckich wybitnych osobistości. Ta sala nosi napis: «Memorial Hall» (pamiątkowa sala), ufundowana z dobrowolnych składek byłych uczniów zakładu, którzy, choć już obecnie poważne w państwie zajmują stanowiska, związani w jedną koleżeńską ligę (Alumni Association) rokrocznie z całego kraju tu się gromadzą na swoje wzajemne debaty. Nie jest to tylko unikat w kolegium Jezuitów w Cincinnati. Tu w Ameryce każdy prawie szkolny instytut, spoczywający w rękach duchownych, w ten sposób łączy byłych swoich elewów. Tego rodzaju związki mają na celu utrzymanie koleżeńskiej spójni pomiędzy byłymi alumnami między sobą i zakładem. Zasady, które wynieśli z zakładu, nie giną wśród zgiełku zajęć rodziny i publicznych obowiązków, ale przy wspólnym, systematycznie opracowanym, corocznym zjeździe i wymianie myśli pod kierownictwem dawnych swych profesorów, odświeżają się na nowo, gruntują i utrwalają charakter. O ważności tych związków nie można za wiele powiedzieć — przykład godny naśladowania i gdzieindziej.

Powyższa pamiątkowa hala ma gotowych miejsc do siedzenia na 800 osób, oprócz wolnych krużganków dla stojących. Sam zaś akt klasyfikacyi i rozdawania nagród, który nas tu zgromadził, przypomniał mi podobną ceremonię w zakładzie chyrowskim, praktykowaną co miesiąc. Prefekt nauk, czyli tu powszechnie znany Wice-prezydent, wygłasza nazwiska premiantów. Ci śmiałym krokiem wstępują na udekorowaną scenę, gdzie O. Rektor (Prezydent zakładu) w otoczeniu grona nauczycielskiego przypina *bene meritis* krzyże zasługi na piersiach, wśród oklasków zgromadzonej publiki. Na początku, w środku, i przy końcu tejże parady orkiestra, złożona z uczniów zakładu pod dyrekcyą księży, jako też odpowiednie deklamacye — urozmaicają uroczystość. Trzeba bez pochlebstwa podnieść, że deklamacye uczniów idą, jak z płatka. Mały chłopczyna nawet z klasy elementarnej, jak stanie przed publicznością, jak zmierzy widza okiem i posypie wierszami — to tak zapomni o swojem otoczeniu i przejmie się swoją akcyą, jak to powiada któryś poeta nasz o głuszcu, że «gdy tokuje, nic nie widzi, nic nie czuje». Spoci się to biedactwo, jak myszka, a gestykuluje zamaszyście, jakby się potykał z wiatrakami. Jest to właściwe Amerykanom — ich kaznodziejom po kościołach, predykantom po zborach, ich okolicznościowym mowcom i wszelakim «pryczerom» nawet po rogach ulic — że do deklamacyi przywiązują nadzwyczajną wagę. Potwierdzę to innym przykładem.

Następnego dnia byłem z Ojcami w publicznym gmachu miejskim w t. zw. «Springer Music Hall» na występie muzy-

kalno-deklamacyjnym na dochód katolickich sierot. Hala pomieści 5 tysięcy osób — na zewnątrz i na wewnątrz bardzo okazała. Struktura budynku przypomina krakowskie «Collegium novum». Wówczas hala była wypełniona po brzegi. Sierotki: chłopczyki i dziewczątka, bawiły na scenie gości. Maleńkie te żyjątka od 4—8 latek, występowały razem w liczbie po 20 i więcej w rozmaitych krotochwilnych pozycyach. Śpiewały chórem, ciągle równo razem gestykulując jak na komendę, recytowały pojedynczo swoje wierszyki, lub występowały w dyalogach — a to z takim zapałem i przejęciem się swą rolą, że widzom nietylko serca ale i sakiewki topniały, bo nie mogąc opanować wzruszenia, co kto miał pieniędzy, rzucał małym aktorom na scenę, aż biedaczki wśród nawału szczęścia, musiały się kryć z przestrachu za kulisy, by się schować przed dolarowymi pociskami.

Nie jest mojem zadaniem zapuszczać się w szczegóły tego wieczorka, który zagaił jenerał Michał Ryan (brał udział w wojnie domowej 1861—1865 r.), prezes domu sierot pod wezwaniem św. Józefa, mową na temat miłosierdzia i miłości dla biednych, którąby mogła być powtórzoną z wielkiem zbudowaniem z każdej katolickiej ambony; nie wchodzę w ocenę istotnie ładnej aryi, którą wydobywała smyczkiem na skrzypcach niejaka Miss Gretchen M[c] Curdy Gallagher, zawołana śpiewaczka: — potwierdzam tylko to, co wyżej powiedziałem, że tu już małe dziecko umie się z deklamacyą popisać.

Ta sama hala miejska skupiała już nazajutrz parę tysięcy gości. Prawie przez dwie godziny przemawiał niejaki p. Adams na temat o kardynale Newmann'ie, o jego zasługach na polu piśmiennictwa, o życiu dostojnika, który jak wiadomo, był konwertytą. Adams, jeden z najwymowniejszych amerykańskich mówców, były episkopalny minister z N. Yorku, obecnie gorliwy katolik, literat i korespondent gazet, formalnie porywał słuchaczy swą oratorską swadą. Wykład uprzyjemniała muzyka i śpiewy chóru pod dyrekcyą p. Boexa, organisty naszego kościoła t. j. nie zwyczajnego «dławidudy» ale prawdziwego mistrza chórowego, zarazem nauczyciela muzyki w naszym zakładzie i gdzieindziej. Pan Adams wystąpił publicznie, uproszony przez amerykańsko-katolickie stowarzyszenie, obejmujące i świeckich i duchownych, które pod nazwą *Knights of Columbus* (Rycerze Kolumba) zawiązało się w r. 1900, o tendencyi katolickiej. Ma za zadanie przedewszystkiem przeciwdziałać masoneryi. Dlatego w swem wewnętrznem zakroju przypomina organizacyę masonów i niewtajemniczonemu w ich ducha może nasunąć podejrzenie, czy to wszystko na dobrej drodze. Rycerzów Kolumba nie trzeba brać za jedno z t. zw. *American Catholic Federation*. Ostatnie jeszcze późniejsze i rozleglejsze w ramach. Obejmuje wszystko co katolickie w Ameryce:

wszystkie narody, korporacye, bractwa, zostawiając jednak każdej narodowości, każdemu stowarzyszeniu jego indywidualną odrębność. Jest to katolicka koalicya na wielką skalę: nowy, wielki krok naprzód w rozwoju katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych. Udział Polaków w tej olbrzymiej katolickiej rodzinie nie skąpy.

Jeszcze jedno słówko o owej hali miejskiej, gdzieśmy tyle widzieli i słyszeli. W parę dni później oklaskiwano murzyna, wybitnego urzędnika magistratu pod względem wykształcenia i żyłki administracyjnej. Mówca ten dawniej już sięgał czarną swą ręką ale jasnymi wywodami, aż po burmistrzowskie berło. Obecnie dał się znowu publicznie widzieć *ad captandam benevolentiam* ludu.

Dalsza po Nowym Roku (1902) misya wypadła w *Oil-City* (w stanie Pensylwania) od 10—18 stycznia. Brali w niej udział tylko OO. Matauschek i Rothenburger; ja zostałem w Cincinnati, pomagając X. Wład. Lipskiemu. Zresztą w Oil-City niewiele naszych ludzi, bo tylko do 500 osób wówczas dochodziło. Dla trzech misyonarzy zamało pracy.

Złączyliśmy się następnie i we trzech podążyli do *Braddock* (w Pensylwanii), gdzie natenczas zarządzał polską parafią X. Antoni Smetsz; dziś już w Pittsburgu ma lepszy kawał chleba. Trwała ta misya od 24 stycznia do 2 lutego. Wysłuchaliśmy 900 spowiedzi. Nikt nam nie pomagał.

Następnie wszyscy trzej pracowaliśmy w *Toledo* (stan Ohio) w kościele św. Jadwigi, którym zarządza ksiądz Doppke. Misya wypadła między 14—22 lutego. Spowiedzi wysłuchanych 1500.

Buffalo, N. Y., od 27 lutego do 15 marca. Podejmował nas gościnnie X. prob. Tomasz Flaczek w parafii św. Wojciecha. Pierwszy tydzień pracy był poświęcony dla niewiast, drugi dla mężczyzn. Do spowiedzi przystąpiło około 5.000 osób. Kilka familii t. zw. «niezależnych» wyrzekło się błędów i pojednało z Kościołem św. Po tej pracy zaskoczyły nas święta wielkanocne. Moi dwaj starsi koledzy zostali u X. Flaczka, ja znalazłem zajęcie w sąsiednim kościele Przemienienia Pańskiego, u prob. X. Wójcika.

Po świętach udaliśmy się wszyscy trzej misyonarze do *Perth Amboy* w trentońskiej dyecezyi, nad morzem, blisko N. Yorku. Zatrzymał nas dwa tygodnie od 27 marca do 10 kwietnia miejscowy proboszcz X. Stefan Szymanowski. Spowiedzi wysłuchanych 1503. Pomoc skąpa.

Trenton, w kościele św. Krzyża. Wówczas ks. prob. Czarnecki nas podejmował; dziś już trzeci pasterz po nim tu gospodarzy. Spowiedzi wypadło na 1200. Misya trwała od 20—28 kwietnia.

Detroit, w parafii św. Wojciecha od 8—24 maja. Osobno dla niewiast, osobno dla mężczyzn. Spowiedzi naliczyliśmy 6.000.

Pomoc w słuchaniu dość obfita. Reporter (Jan Schmedding) najwybitniejszej gazety angielskiej *Detroit Journal* w temże mieście, który co chwilę zaglądał do kościoła i na plebanię, prawie w każdym dniu znalazł dla tej pracy pochlebne uwagi w szpaltach swego dziennika. X. Franc. Mueller, proboszcz na «Wojciechowie» a nasz pracodawca, swoją gościnnością i sprytem wabi do siebie prawie wszystkich politykierów z miasta; to też burmistrz miasta Detroit, Wilhelm Maybury, sędzia miejski Jakób Phelan, pierwszy inspektor policyi Jerzy Fowle, kapitan policyi Quinn i inne grube miejskie figury prawie codziennie asystowały nam przy stole. Burmistrz, choć mason podobno aż 33 stopnia, po misyi zjawił się w swym urzędowym powozie, zapraszając na oględziny miasta. Pod jego przewodnictwem zwiedziliśmy ratusz, biura magistrackie i wszystko, co wpadło w oczy. Urzędnicy ogołoceni ze surdutów — w koszulach skrzypią piórem po aktach; można ich protekcyonalnie poklepać po ramieniu, zaglądnąć w treść pisaniny, nikt się nie pogniewa, nie każe czekać *drei Schritte vom Leibe* — a przecież to funkcyonaryusze miasta, które liczy 285.704 mieszkańców! Kapitan policyi, wiedząc, że O. Matauschek przez 30 lat w swoich wycieczkach mjsyjnych prawie z konia nie schodził i że do tego stworzenia czuje specyalny afekt, przysłał temuż Ojcu dwa najpiękniejsze, okulbaczone rumaki na cały dzień do dyspozycyi. Nie mógł się czcigodny weteran oprzeć pokusie i choć w pierwszej chwili się zarumienił, skoro jednak na nasze naleganie dorwał się do strzemienia, to jak wprawny ritmajster uciął z kopyta. Było to wielkie amerykańskie *show* (widowisko), choć w nierozległych granicach podwórza plebanii.

Ostatnią pracą przed wakacyami była trzydniówka w *Detroit* w kościele św. Kazimierza u X. P. Gutowskiego, połączona z 40-godzinnem nabożeństwem. Wszyscy trzej ci sami, jak powyżej braliśmy w niej udział. Trwała od 8—11 czerwca. Kazań wypowiedzianych 7, spowiedzi wysłuchanych 1.200.

Dalszy ciąg misyj opiszę później. Tymczasem polecam się pamięci i modlitwom. *X. Alojzy Warol T. J.*

List O. Fr. Bümanna T. J. (z prow. niem.).

Misyonarza w Północnej Ameryce.

Cleveland, O. (St. Ignatius College) 16 lutego 1905.

Wielebny Księże Redaktorze *Naszych Wiadomości!*

Dwa lata przepędziłem w prowincyi galicyjskiej, w Krakowie, mając podwójny cel na oku: jeden, aby się uczyć teo-

logii, drugi, aby nabrać wprawy w polskim języku. Z teologii zdałem już egzamin, ale nie zdałem jeszcze z polskiego. Niniejszy list niech okaże, o ile w tym języku postąpiłem i niech zapewni was, że ducha narodowego, zaczerpniętego w Polsce, podtrzymuję i krzewię w Ameryce na misyach między Polakami.

Pierwsze kroki stawiam na polu misyjnem pod kierunkiem doświadczonego misyonarza O. Alojzego Warola. Z nim razem odprawiłem najprzód tygodniową misyę (3—12 września 1904) w mieście *Natione* (Pens.) u X. proboszcza Rykaczewskiego. Praca nie poszła tak łatwo, bo lud niespokojny, a parafia, jak nam mówiono, składa się z wielu takich indywiduów, które w starym kraju trudniły się przemycaniem koni i wódki za granicę. To też na wszelki przypadek — boć strzeżonego P. Bóg strzeże — proboszcz zostawił w naszych pokojach nabite rewolwery. Nie przyszło wszakże do ich użycia, gdyż wszystkim przecie wiadomo, że kieszenie misyonarzy puste. Parę jednak miesięcy przedtem opryszki włamali się nocą do mieszkania ks. Rykaczewskiego, jeden chwycił go śpiącego za gardło, drugi groził mu rewolwerem, gdyby choć słówko pisnął. Zabrali 250 dolarów, butelkę szampana, paczkę cygar i podziękowawszy za gościnność, uciekli. Tem się tłómaczy, czemu nas ks. proboszcz uzbroił na noc w pistolety. W czasie misyi widzieliśmy u tych ludzi dużo skruchy i zapału do dobrego.

Następnie pojechaliśmy do miasta *Johnstown* na 40-godzinne nabożeństwo. W drodze przystępuje do nas konduktor kolejowy i pyta, czy umiemy po polsku, bo, powiada, «jakaś dziewczyna polska, jadąca tym samym pociągiem, ma do mnie jakiś interes, lecz nie mogę wyrozumieć czego chce». Była to służąca z Pittsburga, rodem z Haczowa od Starejwsi. Przez kilka miesięcy szukała napróżno w Ameryce swej siostry, mając jej adres nadesłany od matki z Haczowa. Z tego adresu okazało się, że jej siostra ma przebywać w złym domu w Johnstown. Pospieszyliśmy na ratunek, w czem nam dopomógł polski proboszcz w Johnstown, X. Dębiński, do któregośmy jechali. Zaraz zatelefonował do szefa policyi i posłał do magistratu ową dziewczynę dawszy jej za towarzysza jednego Polaka umiejącego po angielsku. Detektyw i siostra biednej owieczki przeszukali dom rozpusty i znaleźli ofiarę. Właściciela tego domu skazano na 105 dolarów kary. W Johnstown pracowaliśmy trzy dni (24—27 września); ja miałem kazania ranne, O. Warol wieczorne. Rok przedtem miał tu O. Warol 8 dniową misyę, więc już nie byliśmy obcymi tamtejszym ludziom, którzy nas też wcale nie oszczędzali w konfesyonale.

Byłem potem z O. Warolem na misyi w mieście *Salamanka* (stan nowojorski) od 29 października do 7 listopada; ja głosiłem słowo boże rano, on wieczorami. Wysłuchaliśmy 500

spowiedzi obaj razem. Tu widziałem, po pierwszy raz w Ameryce, Polaków podeszłych wiekiem, dziadusiów i babusie zgrzybiałe; jest to bowiem jedna z najdawniejszych osad polskich. Lecz poprawnie mówiąc, jest to właściwie osada indyańska. Nietylko miasto, ale i cały powiat należy do Indyan, od których nie wolno nikomu z białych ani kawałka ziemi kupić na własność. Może na to pozwolić tylko sejm Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie. Prawo to jednak bywa dość często omijanem w ten sposób, że biali nabywają od Indyan ziemię kontraktem zawieranym na 99 lat. Ludność indyańska znacznie już okrzesana, buduje na sposób europejski swe domy, leniwa jednak do pracy w polu. Nie potrzebują też Indyanie wiele się trudzić, bo rząd daje im zapomogę pieniężną, żywność i odzież. Natomiast biegają ustawicznie po okolicznych górach, zbierając jagody i różne lecznicze zioła. Między innemi z rośliny zwanej Sasafras, sporządzają bardzo skuteczne leki i słynny hygieniczny likier. Dali nam tego nektaru niewielką buteleczkę, którą krzepiliśmy się z Ojcami na rekreacyi po powrocie do kolegium. W czasie misyi w Salamance, fotograf tamtejszy, Amerykanin, prosił natarczywie, byśmy mu się pozwolili odfotografować. Gdy i ks. proboszcz Bartkowski poparł jego prośbę, zgodziliśmy się, żeby nas fotografował w otoczeniu dzieci szkolnych i nauczycieli. Zdjęcie to posyłam Ojcu. Lecz aniśmy się domyślali, co ten fotograf z nami zrobi. Sporządził podług tej fotografii kilka czy kilkanaście klisz i sprzedawał je różnym redakcyom gazet amerykańskich — a tak nasze facyaty chodziły z rąk do rąk po całej niemal Ameryce. X. proboszcz Bartkowski gdy jako student uczęszczał do gimnazyum naszych Ojców w Buffalo, zasłynął zręcznością w podbijaniu piłki; jest to amerykańsko narodowa gra, którą tu nazywają «base ball». Otrzymane wtedy w nagrodę drogie klejnoty, jak n. p. złote zegarki, rzadkie monety, cenne szpinki i inne kosztowne bawidełka, przechowuje dotąd u siebie na pamiątkę.

Następnie udałem się z O. Warolem do *Buffalo,* gdzie od 24—26 listopada odprawiliśmy 40 godzinne nabożeństwo w kościele Wniebowzięcia N. M. P., u ks. proboszcza Ludwika Chodackiego.

Zaraz potem, od 26 listopada do 5 grudnia w temże mieście, w kościele św. Kazimierza u ks. prob. Franciszka Kasprzaka, wypadło nam mieć 8 dniową misyę. Praca ciężka, ale jak *deus ex machina,* zjawił się na szczęście w czwartym dniu misyi O. Beigert z pomocą. Nie poskąpił mu Bóg głosu, to też grzmiał na grzeszników z ambony, jak Jowisz z Olimpu. Wiele tu było skruchy, wiele łez i lamentu. Wysłuchaliśmy 1.800 spowiedzi.

Po świętach Bożego Narodzenia odbyła się misya w *Pittsburgu* w kościele Przenajśw. Rodziny, u ks. proboszcza Anto-

niego Smetsza. Trwała dwa tygodnie, od 21 stycznia do 6 lutego. Pracowaliśmy wszyscy trzej — każdy miał jedno kazanie dziennie. Nadto mnie dostało się święcenie tak zwanych «pamiątek misyjnych»; trzeba było przy tej funkcyi dość często przemawiać, objaśniać, tłómaczyć. Dewocyonaliów lud tu nie nabywa (jak to widziałem w Polsce, będąc z O. Szajną na misyi) od kramarzy i przekupek, ale sam proboszcz sprowadza je w wielkiej ilości i przy pomocy najętych ludzi sprzedaje w szkole, albo pod kościołem w hali. Dochód z tej sprzedaży obraca na utrzymanie kościoła. Proszę odgadnąć za ile dolarów ks. Smetsz rozprzedał tych pamiątek? *Incredibile dictu* — za 1.700 dolarów! Naturalnie połowa tej sumy wróciła do kupca za towar, reszta obrócona na pokrycie długów kościoła. Z tego można mieć wyobrażenie, jak wielką moc szkaplerzy musiałem ludziom nałożyć, ile dawać wyjaśnień, jak często machać kropidłem. — Byłem też świadkiem scen bardzo wzruszających, a przytem wielce zabawnych. I tak, patrzę, a tu chłopi, jak żandarmi złodzieja, prowadzą przemocą jakiegoś drągala. On się im wyrywa, ale chłopi mocno go trzymają i suną z nim na plebanię, jak siepacze ze skazańcem pod szubienicę. «Zawołajcie — krzyczą — ojca misyonarza, żeby go wyspowiadał, bo ten człowiek już dawno nie był w kościele, a żyje, jak poganin!» Więzień jednak, gdy straż była zajęta pertraktacyą na plebanii, wymknął się jak piskorz i dał drapaka do miasta. Powstał rozruch i dalejże w pogoń za grzesznikiem. Wtem uciekinier pada jak długi na ślizkiej drodze. To uratowało sytuacyę. Wtłoczyli go do kościoła i strzegli przy konfesyonale aż do chwili, kiedy biedak ukończył swoją spowiedź u ks. Beigerta. Czy się szczerze nawrócił pod grozą takiego przymusu? nie wiem. Innym razem kobiety gwałtem przyprowadziły do kościoła jakąś pijaczkę i pilnowały tak długo, aż się wyspowiadała. Wszystko to nadzwyczaj mię rozczulało. Wysłuchaliśmy 2.200 spowiedzi.

Z misyi tej wróciłem na krótki wypoczynek do kolegium (w Cleveland) zmachany okrutnie, jak żołnierz po manewrach. Mamy na przyszłość prace zamówione aż do Nowego Roku (1906). W samym Pittsburgu trzej inni proboszczowie zaprosili nas do siebie z pomocą. We wrześniu jednak trzeba mi iść do «Manrezy» t. j. na trzecią probacyę. Miałem zamiar prosić przełożonych, aby mię na probacyę do Polski posłali, lecz się rozmyśliłem, bo to koszt niemały, z drugiej zaś strony mam i tu polskich Ojców: Warola i Beigerta, mam lud polski, więc i praktyki nie brak.

Zachowajcie mię zawsze w pamięci przed Bogiem tak, jak ja o was pamiętam. Gdyby moi dawni koledzy i przyjaciele chcieli mię czasem paru słowami zaszczycić, znajdą w katalogu

adres do mnie ten sam, co i do O. Warola, boć razem zgodnie w jednym mieszkamy domu.

Polecam się św. modlitwom.

Sługa w Chrystusie

Ks. Franciszek Bümann T. J.

List Br. Augustyna Żurka, z Zambezy.

Meruru (Africa, North Eastern, Rhodesia; via England, Capetown, Salisbury, Feira) dnia 1 stycznia 1905 r.

Drogi w Chr. Bracie Piotrze! [1]

Dzięki Bogu, czuję się teraz pod względem zdrowia o wiele lepiej, niż w październiku i w listopadzie, jak to pisałem w liście poprzednim. Przez te dwa miesiące po moim przybyciu do Meruru, niedomagałem już to z powodu upałów wielkich, już też dla odmiennego sposobu życia i braku niejednej rzeczy. Ze wszystkich tych jednak bied najbardziej dała mi się we znaki febra, w której się bardzo nieszczęśliwym czuję, bo mi uderza na głowę i osłabia pamięć. Nie dosyć febry; walec od koła młyńskiego spadł mi na nogę i potłukł ją tak mocno, że przez kilka tygodni była spuchnięta. Nim nastąpiło polepszenie, pokazały się na tej nodze wrzody; trzeba je było pielęgnować ażby dojrzały. Nie mogąc się doczekać końca, otwieram jeden wrzód i zamiast materyi wyciskam — robaka! W drugim tak samo, aż i w dziesiątym także robak. «Jakim sposobem brat nabył tych robaków?» pytają. «Alboż ja wiem?» Zdaje się, że w nocy jakaś mucha usiadła mi na nodze i złożyła swe jajka w mojem ciele, bo siatki nad łóżkiem jeszczem nie był sobie urządził. Nigdy dotąd czegoś podobnego nie doświadczyłem, anim słyszał, żeby to kogo spotkało.

Nasza stacya misyjna w Meruru, gdzie obecnie przebywam, jest odległa o pięć kwadransy drogi od dużej rzeki Loangwy, która stanowi granicę między posiadłością portugalską, a Rodezyą angielską. Najbliższą pocztę mamy w *Feira* (w Rodezyi po drugiej stronie Loangwy, u jej ujścia do Zambezy) i w *Zumbo;* obydwie od nas równo odległe o siedm godzin drogi.

Meruru jest miejscem dla stacyi misyjnej tak dogodnem, że uważać je należy za prawdziwy dar Opatrzności Bożej. Ileż

---

[1] Do Br. Wojciechowskiego w Krakowie.

to nieraz muszą się nasi po pustyniach afrykańskich nachodzić, natułać, zanim coś odpowiedniego wynajdą! a nawet i wtedy jeszcze będzie czegoś niedostawało; bo albo brakować będzie wody, albo, gdy jej nie brak, trzeba ją za pomocą machin pompować i rozprowadzać; to znowu gdzieindziej niema w pobliżu drzewa zwłaszcza budulcowego, albo też gleba tak jest licha, że do uprawy dla nowo tworzących się osad chrześcijańskich wcale się nie nadaje. Tu przeciwnie, jak daleko okiem zasięgnąć, równina obszerna, ziemia czarna, żyzna, poprzecinana naturalnymi rowami, w których cały rok płynie woda ze źródeł; drzewa grubszego i cieńszego podostatkiem. Pszenicę mamy tu własną, z której chleb bardzo wszystkim smakuje, a P. Jezus nie wzdryga się w hostyi, choć niedość białej, bo z mąki razowej upieczonej, z nami sakramentalnie przebywać. Skoro młyn ukończę, może nam się uda bielszą mąkę otrzymać. Dotychczas niewiasty kaferskie trą nam pszenicę rękami na kamieniu. Owoców rozmaitych obfitość wielka, i to nietylko tych które dzika natura tu rodzi, a z których czarni umieją dobry robić użytek, ale mamy też gatunki szlachetniejsze, jak: ananasy, banany, papaje, pomarańcze, cytryny i t. p. Drzewka owocowe sprowadzone z Europy, przyjęły się i rosną wcale dobrze, ale jeszcze nie rodzą; założona zaś, dość rozległa winnica poczęła już winne grona wydawać, choć w ostatnim roku widocznie jakiś błąd popełniono, bo grona nie dojrzały przed nadejściem pory deszczowej. Tu jak ogrodnik tak rolnik, jeżeli chce europejskie drzewa i jarzyny chodować i doczekać się z nich pożytku, musi przez pewien czas robić próby i doświadczenia, a nie zniechęcać się zaraz, skoro mu się coś w jednym lub drugim roku nie powiedzie. Mamy też swoje bydełko, choć rasy nieszczególnej, t. j. kozy i t. zw. zambezkie owce, bez wełny. Zebra przebywa niedaleko od nas, innej też zwierzyny niemało, a lwy i lamparty podchodzą nocami dość często do nas z wizytą. Niedawno jeden z Ojców przyniósł do domu węża, z rodzaju boa, którego napadł lampart i śmiertelnie poranił. Potwór na 3½ metra długi, a miał około 40 jaj w sobie.

Osad kaferskich w całej okolicy, nie bardzo wprawdzie licznych, jest dosyć naokoło nas. Założono już pośród nich 4 misyjne filie, gdzie nasi księża katechizują. Apostołowanie jednak, jak wszędzie w Afryce, tak i tutaj, idzie bardzo powoli; trzeba jeszcze wiele modlitwy i ofiar, aby Bóg serca tych dzikich ludzi do przyjęcia łaski swojej usposobił. Z chrztem dorosłych nie spieszymy się; z zasady czeka się lat przynajmniej cztery. W tych ośmiu latach odkąd tu nasi osiedli, ochrzczono nie wiele więcej nad 20 familij. Przedewszystkiem zajmujemy się dziećmi, aby je wychować w prawdziwej wierze i zaludnić niemi nowe chrześcijańskie osady. Obecnie chłopców około 60, a dziewcząt 20 wychowuje się pod naszem okiem. Trzeba się

z nimi obchodzić jak z jajem, inaczej uciekają do swych pogańskich jeszcze rodziców. Właśnie, gdy to piszę, odbywa się wesele, bo dzisiaj ożeniliśmy jednego z naszych chłopaków; więc podchmieleni piwem kaferskiem *(badua)*, bębnią i chałaszą co nie miara.

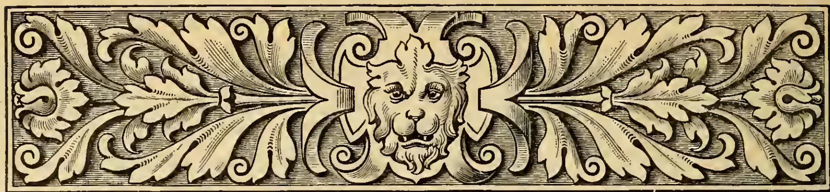
Kościoła jeszcze nie mamy. Zaczął go wprawdzie ś. p. O. Menyharth budować, ale że był za szczupły, postanowiono go powiększyć w ten sposób, że co było odpowiednie do nowego planu, zatrzymano, resztę murów zburzono. Będzie to więc świątynia dość okazała. Roboty jednak dla braku robotnika postępują naprzód niesporo. Trzeba dalej pomyśleć i o klasztorku dla zakonnic i o schronisku dla dziewcząt — a gdy to wszystko stanie, można mieć dopiero nadzieję, że czarni chętniej ku nam garnąć się będą.

W Meruru spoczywają zwłoki zacnych Ojców i Braci naszych, jak O. Czimermana, O. Platzera, Br. Wiggera, którzy w Riccico (koło Zumbo) pomarli i tu przeniesieni. Także OO. Menyharth i Vogler tutaj leżą pochowani.

Oto kilka szczegółów z naszej stacyi misyjnej w Meruru, nikomu z was dotąd z opisu nie znanej. Za książki, które ks. Fridrich pozwolił mi przysłać, najserdeczniej dziękuję. Pozdrawiam wszystkich WW. Ojców i Braci, polecając siebie i misyę waszym świętym modłom.

Sługa w Chr.
Augustyn Żurek T. J.





Z MISYJ KRAJOWYCH.

Misye w Lipsku i Stojanowie (1905 r.).

W dniu 14 maja rozpocząłem z O. Kraupą trzydniową misyjkę u X. kanonika Pączka w Lipsku pod Narolem, na którą oprócz miejscowych parafian zgromadziło się mnóstwo ludu z dalszych okolic. Skąd tak liczny zastęp wiernych wziął się na tej misyjce? Oto lud, dawniej unicki, z za kordonu, dowiedziawszy się o misyi w Lipsku, pospieszył w grupach, przekradając się przez granicę, aby nasłuchać się słowa Bożego i Sakramentem Pokuty przygotować na przyjazd Biskupa lubelskiego X. Jaczewskiego, wizytującego poraz pierwszy od niepamiętnych czasów ich rodzinne strony. Kwietniowy ukaz carski, dozwalający na tolerancyę religijną w Rosyi, taką obudził radość i tak głęboki ruch religijny wśród podlaskich Unitów, że kto mógł spieszył za granicę, aby się upewnić czy to prawda — czy to nie nowa jaka zasadzka ze strony władz rządowych, po której do dawnych, nowe mają dodać prześladowania za stałość we wierze.

Wobec takich okoliczności tematu do kazań i prywatnych rozmów naturalnie nie brakło, a korzystając z tak dobrego usposobienia słuchaczy rozdzieliliśmy sobie tematy do kazań: miewaliśmy dziennie pięć nauk; nadto śpiewaną wotywę — i sumę późniejszą odprawialiśmy w parafialnym kościele z wielką okazałością. Dla tych, którzy przybyli z za kordonu, codziennie miewaliśmy osobną naukę odpowiednią do szczególniejszych potrzeb ich duszy i odmiennych stosunków w jakich się znajdują. Czas wolny od nauk przesiadywaliśmy od świtu do późnej nocy w konfesyonale, w czem dzielnie dopomagali nam kapłani miejscowi. Wzruszająca była scena, gdy w dniu 16 maja naraz 26 apostatów obojga płci ze łzami w oczach błagało o przyjęcie do Kościoła katolickiego. Wezwałem ich do prezbyterium i wedle rytuału rzymskiego przyjąłem od wszystkich równo-

cześnie wyznanie wiary św., wśród rozrzewnienia tysięcy ludzi obecnych w kościele. Chwila ta była tak podniosłą i rzewną, że najzatwardzialsi grzesznicy kruszyli swe serca, i jednali się z Bogiem. Między innymi był pewien starzec, który w młodości żył jako unita, lecz wskutek przemocy i gwałtu dał się skłonić w r. 1876 do odstępstwa i trwał w niem pomimo uwag robionych przez najbliższe osoby, i ledwie dał się namówić, aby wziąć udział w misyi. Ta dobra wola wyjednała mu łaskę u Boga, bo zupełnie przejrzał, uznał swój błąd i z wielką skruchą powrócił do jedności z katolickim Kościołem.

Misya przeciągnęła się ponad program aż do 20 maja, gdyż z każdym dniem nowe kompanie przybywały z Królestwa. W dwu ostatnich dniach pobytu w Lipsku kazania miewaliśmy na obszernym placu przed kościołem z kazalnicy prowizorycznej, bo kościół nie mógł wszystkich pomieścić. Niemniej wzruszająca była scena gdy z dalszych stron — z zagranicy — przybyli na słuchanie słowa Bożego, z płaczem żegnali się z nami i padali do nóg, dając tem samem dowód jak silnie węzeł duchowny nawiązanym został między nami a nimi. Silna wiara tych prawdziwych wyznawców Chrystusa posunięta do heroizmu w znoszeniu prześladowania — na nas kapłanach zajętych przy tej misyi nie mogła pozostać bez zachęty do dalszej podobnej pracy. A nadarzyła się ona niebawem.

Ten sam X. proboszcz w Lipsku prosił mnie «najusilniej» abym przybył na uroczystość poświęcenia nowych wspaniałych dzwonów w dniu 17 września i przy tej sposobności wygłosił słowo Boże. Takiemu pracownikowi w winnicy Pańskiej jak X. kan. Pączek nie można odmówić kapłańskiej przysługi — bo jeśli prosi, to widocznie skutek pracy jest zapewniony. Przybyłem chętnie z Krakowa w sobotę 16 września. Zastałem już tłumy ludu otaczające kościół, a wśród nich zapewne połowa z za kordonu unitów, którzy chcieli brać udział w radości księdza proboszcza Pączka, z powodu jutrzejszej uroczystości, skoro on przez długie lata skutecznie starał się ich w utrapieniach pocieszać, a w prześladowaniu za wiarę nieść pomoc kapłańską. Spowiedzi od rana, jak zwykle w tej miejscowości, liczba nieskończona. Zjechali się prócz ludu okoliczni obywatele i wielu urzędników z administracyi, sądownictwa i skarbu a na ich czele starosta p. Chrząszczewski. Sumę celebrował proboszcz sąsiedniej parafii w kapliczce ustawionej przed kościołem. Obok stała prowizoryczna ambona. Gdym stanął na niej, oczom moim przedstawił się prześliczny widok kilkutysięcznych zbitych w jedną masę słuchaczy z najrozmaitszych warstw społeczeństwa. Każda pragnęła odpowiednią naukę usłyszeć i każdej łatwo ją było udzielić — skoro dzwony po poświęceniu mają urzędownie przemawiać swym doniosłym głosem w imieniu Kościoła — a więc i Boga samego, w smutnej i radosnej losów kolei od

kolebki do grobu. A ponieważ głos dzwonów przemawiać będzie nietylko do pobożnych ale i do grzeszników, którzy jeszcze trwają w schizmie poza granicznymi słupami, i do tych co rzadko do kościoła chodzą a jeszcze rzadziej do św. Sakramentów, choć odpustowych obiadów nigdy nie opuszczają — powiedziałem co dzwony im mówić będą silnym echem do duszy przez cały ciąg ich życia, powtarzać będą za św. Janem Chrzcicielem: *Ego vox clamantis in deserto, parate viam Domini, rectas facite semitas ejus* póki jeszcze czas. Lud z prostotą przyjął te słowa do siebie i zaraz naukę w praktykę stosował, garnąc się tłumnie do konfesyonału — inni wzajemnie się sekowali że dzwon na nich dzwoni, lub pytali czy do nich słowa się odnosiły; na co odpowiedziałem: każdemu sumienie da najdokładniejszą odpowiedź.

Bardzo żałowałem że tego samego dnia byłem zmuszony wracać do Krakowa, aby nazajutrz rozpocząć rekolekcye sześciodniowe w Łagiewnikach dla Pokutnic, gdyż kompania za kompanią spieszyły do Lipska na tę uroczystość — wszyscy z zabranych prowincyi — w nadziei, że znowu będą mogli pokrzepić swe dusze, trapione prześladowaniem czynowników rosyjskich, pomimo tolerancyjnego ukazu.

* * *

Przed paru laty bawiłem w Stojanowie już po spaleniu się starego drewnianego kościoła. Proboszcz miejscowy, X. Janor, prosił mnie wówczas usilnie, abym przybył na misyę, jaką ma zamiar urządzić przed konsekracyą nowego kościoła, którego budowę już wówczas rozpoczął. Porozumiawszy się z Przełożonymi, obiecałem, i wówczas ułożyliśmy, że może dwu wystarczy, jeśli trzeciego misyonarza trudno będzie zdobyć.

Z początkiem bieżącego roku przypomniał mi X. proboszcz stojanowski daną obietnicę, a zarazem zawiadomił, że kościół już stanął, poświęca go Sercu Pana Jezusa, i dzień konsekracyi naznaczony na 30 czerwca, w którym przypada w tym roku uroczystość Serca Jezusowego, a misya ma się rozpocząć 21-go czerwca wieczorem. Stojanów leży już za Bugiem tuż nad granicą Wołynia rosyjskiego, i owszem należał kiedyś do wołyńskiego województwa; słuszną więc miałem nadzieję, że echo zamierzonej misyi przeleci słupy graniczne i połów dusz będzie obfity. Lecz zwykle każda dobra sprawa bez okupu trudów i trudności obejść się nie może. Tak było i w tym wypadku. W wigilię wyjazdu z Krakowa dowiedziałem się, że nie otrzymam żadnej pomocy na tę już dwukrotnie obiecaną misyę. Cofać się uważałem za niestosowne, zwłaszcza, że proboszcz pewnym był mego przyjazdu a odłożyć misyi nie mógł, bo już był zapowiedziany i ułożony przyjazd X. Arcybiskupa na kon-

sekracyę kościoła. Z drugiej strony czułem swe słabe siły, zwłaszcza po kilkunastu seryach rekolekcyi od postu do owej pory dawanych, i obawiałem się, że przy niezmiernych upałach niepodobna będzie samemu tak mozolnej pracy wydołać! Jedyna moja nadzieja była w X. proboszczu Stafieju, który z wielkim skutkiem pracował czasami na misyach wspólnie z naszymi Ojcami. Po drodze z Krakowa wstąpiłem do niego -- lecz niestety, miał u siebie uroczystości parafialne wymagające koniecznie jego obecności. Gdy i ta nadzieja zawiodła, nie pozostawało nic innego jak samemu zabrać się do misyi. Pomimo pospiechu przybyłem do Sokala dopiero popołudniu 21 czerwca a następnie końmi kilka mil wozem najętym wlokłem się do wieczora — i już zapóźno było mieć kazanie wstępne, gdym stanął przed stojanowskim nowo zbudowanym kościołem.

Poczciwy X. proboszcz, ani na chwilę nie wątpił o mojem przybyciu; opóźnienie przypisał przypadkowi, lecz jakiż zawód go spotkał, gdy tylko mnie samego zobaczył. Zawołał: «Skoro Ojciec sam przybył, to sam misyę mieć musi, bo ja nie mam nikogo do pomocy. Jestem bez wikarego, a sam zająć się muszę rozmaitemi przygotowaniami do ostatecznego wykończenia wnętrza kościoła i do przyjęcia Arcybiskupa». — «Na to byłem już przygotowany» — odpowiedziałem X. proboszczowi, następnie po krótkiej gawędce ułożyliśmy plan nauk i nabożeństw.

Dzień następny, uroczystość Bożego Ciała (22 czerwca), od rana zapowiadał się bardzo korzystnie dla misyi. Pogoda prześliczna sprzyjała, więc tłumy ludu z okolicznych wiosek i miasteczek nawet z dalszych stron nadciągały do Stojanowa. Mszę świętą celebrowałem w prowizorycznej kaplicy urządzonej z paru izb starego mieszkalnego budynku. Było tam tak ciasno i duszno, że ani mowy nie było o urządzeniu w tej kapliczce misyi; w otwartem polu było również ryzyko, bo słońce niemiłosiernie paliło, a w razie deszczu nie podobnaby było miewać kazań, bo lud by się rozbiegł. Zaproponowałem umieszczenie prowizorycznej ambony w nowym kościele i tamże rozpoczęcie misyi. Zrazu X. Proboszcz miał skrupuły, czy to wypada w niepoświęconym jeszcze kościele miewać kazania, lecz łatwo rozprószyłem jego wątpliwości; w mgnieniu oka ambonę ustawiono w kościele, dokąd w procesyi udaliśmy się z kaplicy. Dom Boży odrazu zapełnił się ludem pobożnym, ucieszonym, że przed konsekracyą wpierw będą uświęcać w nim swe serca.

Uroczystość Bożego Ciała, tytuł kościoła Najświętsze Serce Pana Jezusa i rozpoczęcie misyi przed konsekracyą świątyni: wszystko razem przemawiało za tem, aby jako temat nauki pierwszej wziąść Najświętszy Sakrament w stosunku do naszych dusz – jaki stąd obowiązek wypływa dla nas — jak przygotować się godnie do Jego przyjęcia. Na końcu zapowiedziałem

początek misyi: dwie nauki rano, dwie popołudniu, z których jedną z popołudniowych przeznaczyłem dla dziatwy obojga płci.

We wszystkich naukach brali udział wierni, pomimo, że czas żniwa odrywał ich do roboty. Aby ułatwić ludowi udział w misyi, miewałem dla starszych już o wczesnej godzinie dwie pierwsze nauki, trzecią wieczorem po czerwcowem nabożeństwie, na którem X. proboszcz udzielał błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem. Dziatwa przychodziła około południa na swoją katechizmową naukę.

Do pomocy w słuchaniu spowiedzi przybyli XX. Lazaryści z okolicy i paru kapłanów świeckich, także na telegraficzną prośbę z Chyrowa przybył O. Wojciech Baudiss z O. Kargolem — z których pierwszy powiedział nawet jedno kazanie, pomimo zmęczenia drogą i pracą w konfesyonale.

Kulminacyjnym dniem była uroczystość św. Piotra i Pawła — wigilia konsekracyi kościoła — dzień przyjazdu X. Arcybiskupa Bilczewskiego a również zakończenie nauk misyjnych.

Gdym miał w tym dniu już po raz czwarty do ludu przemawiać, tak wielkie rzesze zebrały się wiernych, że nawet obszerny kościół nie był w stanie żadną miarą wszystkich pomieścić. Przeniesiono więc ambonę przed kościół, gdzie wygodnie chociażby kilkadziesiąt tysięcy ludu mogło się pomieścić. Gdym zobaczył «olbrzymi łan dojrzałego pod zbiory zboża» — tysiące ludu cisnącego się na słuchanie słowa Bożego — pomimo wielkiego zmęczenia (boć było to 29-te kazanie w ciągu ośmiu dni) taki opanował mię zapał, tak jakoś przybyło sił do mówienia, że ani spostrzegłem się, gdy godzina minęła. Zachęcałem lud do wytrwałości w powziętych postanowieniach, dawałem wskazówki jak mają sobie pomagać, aby zachować swą duszę w łasce Bożej, utrzymać jej godność jako żywej świątyni Boga, konsekrowanej kiedyś Krwią Chrystusa Pana przez Sakrament Chrztu. W końcu udzieliłem obecnym zupełnego odpustu — za udział w misyi. Zeszedłem z ambony, a X. proboszcz Janor podbiegł, ukląkł i zalewając się łzami nagle ucałował me ręce na podziękowanie za słowo Boże. Widok pokory X. Proboszcza do reszty rozrzewnił obecnych; wszystko się rzuciło do moich nóg, i tylko ucieczka na plebanię uchroniła mnie przed dalszymi manifestacyami zbyt gorących uczuć.

Niebawem inny zapanował nastrój wśród nagromadzonych tłumów. Oto zbliżała się chwila przyjazdu X. Arcybiskupa. Parafianie wyszli z procesyą niosąc chorągwie, obrazy i insygnia brackie. Wszyscy postrojeni w świąteczne czyste ubrania: niewiasty w charakterystycznych czerwonych zawojach, dziewczęta w wieńcach na głowie; odznaczała się między ubranymi grupa prawosławnych chłopów, przybyłych z zagranicy na nauki misyjne i aby przypatrzyć się, jak Lachy swego Arcybiskupa witają. Okoliczni obywatele z rodzinami wszyscy się zgroma-

dzili, dając swem zachowaniem najlepszy przykład ludowi. X. proboszcz z okolicznem duchowieństwem stanął u tryumfalnej bramy, misternie uwitej z zieleni, przyozdobionej chorągiewkami i szarfami o barwach narodowych i papieskich. Takież chorągwie, lecz znacznie większe, powiewały ze szczytów kościoła i jej wież wspinających się wysoko pod niebiosa. Wszystko to oblane złotawym blaskiem pogodnie zachodzącego słońca przedstawiało widok wspaniały, tem wspanialszy, że towarzyszyła mu cisza wiejska i ten smętny spokój charakterystyczny we wschodnio-północnej części Galicyi — Lodomeryą zwanej.

Nie będę opisywał przybycia X. Arcybiskupa, ceremonii zwyczajnych przed konsekracyą kościoła i samej konsekracyi w dniu 30 czerwca. Wszystko odbyło się okazale o ile stać na to prowincyonalne miasteczko. Cały dzień byłem zajęty słuchaniem spowiedzi. Z za kordonu mniej osób przybyło niż się spodziewałem. Raz, że za Bugiem już nie Królestwo lecz zabrane prowincye w cesarstwie się rozpościerają — gdzie Unia już dawno zniesiona i ledwie pamięć swego istnienia po sobie pozostawiła, powtóre, że po naszej stronie znaleźli się zdrajcy, którzy swych braci Unitów z za kordonu natychmiast denuncyowali do władz rządowych rosyjskich, ilekroć który chciał zaspokoić swe potrzeby duchowne u łacińskiego kapłana. Lecz i ci co byli, czy to w duszy katolicy, czy jeszcze niepewni, z radością powracali w rodzinne strony, aby opowiedzieć swoim najbliższym: że takiej pobożności i tak szczerych objawów wiary w urzędowej cerkwi nigdy nie widzieli.

Nazajutrz w sobotę 1 lipca wyjechałem do Tetewczyc, aby ochrzcić świeżo-narodzonego parafianina, pierwszego po konsekracyi kościoła, a syna tamtejszego obywatela. Chrzest odbył się bardzo uroczyście w tym domu obywatelskim a dziecko wedle zwyczaju przechowywanego w owej rodzinie, trzymał ojciec chrzestny na karabeli — aby uprosić dlań męstwo w obronie wiary i ojczyzny.

X. M. Czermiński T. J.

Wycieczki misyjne do robotników polskich w Szwecyi.

W czerwcu 1905 roku.

Zaraz po ukończeniu wspaniałej uroczystości koronacyjnej obrazu Matki Boskiej we Lwowie, udałem się na pastoracyę do Polaków w Westfalii, gdzie w trzech miejscowościach: najprzód w Herne (od 4—12 czerwca), potem w Gelsenkirchen-Hüllen

(12—15 czerwca) i w Gelsenkirchen-Schalke (15—18 czerwca) miałem nauk prawie 30 (po dwie dziennie), a spowiedzi wysłuchałem blizko 2.000. Z Westfalii kazano mi jechać na podobną pracę do polskich robotników w Szwecyi, więc na Berlin—Sassnitz puściłem się w drogę i dnia 21-go czerwca stanąłem w portowem mieście szwedzkiem Malmö, gdzie na mnie oczekiwał przezacny staruszek O. Stolberg T. J. Z nim, po wygodnym noclegu u miejscowego proboszcza, dnia 22-go czerwca, t. j. w sam dzień Bożego Ciała o godz. 5 zrana, pierwsza wycieczka misyjna do Lindholmen; potem po kolei: do Bromölla (23—26 czerwca), Tosterrup (27-go), Glimmingehus (28-go), Ståramarkyr (29-go), Tulesburg (1-go lipca), Örtofta (2-go), Marieberg (8-go), Surköping (9-go), Belteberg (10-go), Vestraby (11-go), Vallhalsgård (12-go) i Oscarström (16-go) — razem stacyi 13.

Z opisów moich poprzedników, OO. Rudzkiego i Gadowskiego, wiecie już mniejwięcej jak takie wycieczki wyglądają: Przyjechawszy na miejsce (zazwyczaj wieczorem), rano po wczesnej mszy świętej a czasem jeszcze poprzedniego wieczora słucha się spowiedzi, potem druga msza święta O. Stolberga z komunią świętą wspólną i nauką, po obiedzie różaniec albo coś w rodzaju niesporów i — jazda dalej, do następnej stacyi. Tylko w Bromölla, gdzie przy kopalni koalinu zajętych około 200 Polaków i Rusinów, zatrzymaliśmy się nieco dłużej korzystając ze święta św. Jana Chrzciciela, które w całej Szwecyi obchodzi się z niezmierną uroczystością, jako święto nietylko kościelne ale i narodowe; dlaczego? — nie umiem powiedzieć. Oczywiście prócz naszych biedaków, garnących się do Pana Boga jak umieją i mogą, mało widziałem tam takich, którzyby tę uroczystość pojmowali z punktu religijnego. Ale za to parady wszelakiej było tam dosyć. Sklepy wszystkie były pozamykane. Od najmłodszego do najstarszego wszyscy postrojeni, aż kapie od wszelakiej kosztowności; muzyka rżnie od ucha coraz to inne marsze i fanfary. Miałem prawdziwie dość sposobności do podziwiania dobrego humoru i animuszu tych naszych śmiertelnych niegdyś wrogów i to właśnie w chwili, gdy jedna połowa tego państwa (Norwegia) oświadczyła się z niezłomnem postanowieniem rozwiązania stuletniej unii.

Ale wracam do moich ekskursyi misyjnych. Dzięki zapobiegliwości O. Stolberga, prawie wszystkie powiodły się wyśmienicie. Wszystko było z góry obmyślane i przygotowane; ludzie usposobieni jak najlepiej, a aparaty mszalne woziliśmy ze sobą. Tylko w Surköping uległ nasz pierwotny program niejakiemu zamieszaniu a to wśród następujących okoliczności:

Było tam na miejscu około 50 robotników polskich, których większa część po krótkiem przygotowaniu przystąpiła do spowiedzi św. zaraz po naszym przyjeździe (8 lipca); reszty miałem wysłuchać na drugi dzień rano po mszy św., poczem

wszyscy razem mieli przystąpić do Stołu Pańskiego w czasie mszy św. odprawianej przez O. Stolberga. Tymczasem wczesnym rankiem, w czasie mojej mszy św., nadjeżdża niespodziewanie jeszcze coś 15 osób z sąsiedniego folwarku, o których pobycie nic nie wiedziano poprzednio i dają nam znać, że ich tam jest jeszcze więcej, którzy pragnęliby również skorzystać z naszego pobytu, ale z powodów służbowych przybyć do nas nie mogą. Cóż było robić? Rada w radę, postanowiliśmy z O. Stolbergiem jechać do nich. Więc załatwiwszy się jak najprędzej z obecnymi, wsiedliśmy na wózek, ja po lekkiej kawie a O. Stolberg naczczo, aby dla tamtych odprawić drugą Mszę św. z komunią. Mimo pośpiechu nie udało nam się jednak zaspokoić wszystkich, bo i nie wszyscy byli już naczczo, nie będąc pewnymi naszego przyjazdu i nie wszystkich zastaliśmy w domu, z powodu przyjazdu księcia następcy tronu szwedzkiego, któremu kilku poszło się przyglądać do portu. Wyspowiadałem jednak jeszcze coś 15 osób ku ich najżywszemu zadowoleniu i tylko staruszek O. Stolberg wyszedł krucho na tym pościgu za zabłąkanemi owieczkami, bo wypościł się aż coś do 5 popołudniu.

Ogółem przystąpiło do Sakramentów św. w ciągu tych wycieczek osób około 800, t. j. wszyscy prawie Polacy jakich tam widzieliśmy i spotkaliśmy. Tylko tam, gdzie ich jest więcej w kupie, albo gdzie żyją w styczności z innymi Słowianami (np. Rusinami w Bromölla, Czechami w Oscarström), tam znalazł się jeden drugi «kawaler» na tyle uświadomiony, aby nasze zachęty do spowiedzi św. i Komunii zbyć obojętnem milczeniem. Prawdziwie ze łzami w oczach przychodziło dziękować Panu Bogu za te dowody łaski i opieki nad tymi naszymi obieżyświatami i nieraz mogłem sobie powtarzać w duchu z radością: Wszak nam wiara nie zginęła!...

Przyznać też trzeba, że sami Szwedzi umieją ocenić tę wierność dla praktyk religijnych u naszego ludu i (choć może nie bez pewnego wyrachowania) szczerze starają się utrzymywać polskich robotników w tem usposobieniu ducha, chroniąc ich ile możności przed zetknięciem się z innymi robotnikami, zwłaszcza Szwedami, wśród których idee «Czerwonego sztandaru» prosperują znacznie lepiej niż przepisy św. katechizmu. Z tych też powodów nietylko nie stawiają nam najmniejszych przeszkód w naszych misyjnych usiłowaniach, ale owszem sami gdzie mogą wyszukują nam nasze rybki, jak to n. p. miało miejsce w Örtofta, gdzie niejaki p. Bennet na własną odpowiedzialność sprowadził 20 robotników z sąsiedniego folwarku Christineberg w nieobecności właściciela. Inna rzecz z Rusinami. W Bromölla, gdzie ich zastałem około 50, nadaremnie tłómaczyłem im, że sam Ojciec św. dał księżom łacińskim pozwolenie na zaspokajanie ich potrzeb duchownych. Zaledwie coś siedmiu odważyło się wyspowiadać się i wykomunikować u nas. Reszta nawet na

nabożeństwach nie śmiała się pokazać, bo tam w kraju ich ojciec duchowny zakazał im spowiadać się przed księdzem łacińskim!

Z gorliwością w sprawach duszy szła w parze u naszych prawdziwie rozczulająca życzliwość dla nas misyonarzy. Gdzieśmy się tylko pokazali, przyjmowali nas ze łzami w oczach i wyciągniętemi rękami, a na wyjezdnem nie było końca rzewnym podziękowaniom, zapewnieniom i prośbom, abyśmy o nich nie zapominali. Niktby nie powiedział, że to ludzie obcy, z którymi po raz pierwszy, a może i ostatni tam się spotkałem. Tak to pod obcem niebem rozbudza się w nich starodawne przywiązanie do księdza i kościoła. W Mariebergu cała kolonia (złożona z samych dziewcząt) wyszła na nasze spotkanie w procesyi i ze śpiewaniem, i aż sam O. Stolberg nie mógł się powstrzymać od łez wzruszenia na widok tych objawów czci i radości, z jakimi to biedactwo garnęło się do ręki kapłańskiej a potem gotowało się do ugoszczenia Pana Jezusa wśród siebie. W Surköping znowu, gdzie dla braku innego miejsca nabożeństwo miało się odbywać w baraku, byliśmy świadkami jak cała gromadka cisnęła się przez noc całą na korytarzu w największym zaduchu i niewygodzie, aby tylko nie znieważyć «świętego miejsca» t. j. sali mieszkalnej, przerobionej na prędce na kaplicę. — Po innych stacyach nie było z tem takiego kłopotu, bo albo urządzano wszystko w szkole (wolnej z powodu wakacyi), albo w zabudowaniach dworskich, albo nareszcie w mieszkaniach samych pp. urzędników (oczywiście lutrów), którzy czuli się niezmiernie pogłaskanymi tym dowodem zaufania z naszej strony i zazwyczaj sami na siebie przyjmowali obowiązek goszczenia nas oraz zewnętrznego porządku, strzegąc nas przed natręctwem ciekawych swych współrodaków. W Vestraby żona zarządcy dóbr sama zajęła się nawet urządzeniem lokalu do nabożeństwa (szkoły); kazała cały budynek przystroić zielenią, stół przeznaczony do Mszy św. ponakrywała najwspanialszymi obrusami, kwiatami i kandelabrami, a po środku tegoż umieściła drogocenną statuetkę Zbawiciela, dłuta Thorwaldsena. Jeszcze piękniej wypadało to zewnętrzne nabożeństwo w tych dwu lub trzech miejscach, gdzie sam właściciel, albo ktoś z rodziny, albo nareszcie sąsiad lub rządca katolik. Tak było n. p. w Tulesbo, gdzie żona właściciela, p. Markör jest katoliczką i w Vallhalsgård, gdzie wszystkiem tem zajmował się niejaki baron Sparre, wyższy urzędnik kolejowy i konwertyta, choć wcale nie spokrewniony z hrabstwem Sparre z Kronowall, u których miałem przyjemność spędzić dzień Serca Jezusowego w gościnie pomiędzy jedną wycieczką a drugą, i o których tyle dobrego wypisali OO. Rudzki i Gadowski — najzupełniej słusznie. Ten bar. Sparre był do spowiedzi św. i uczestniczył we wspólnych nabożeństwach w Vestraby i Vallhalsgård, a chociaż nie rozumie ani słowa po polsku, nie opuścił ani jednej nauki,

mówiąc żartobliwie: że Duch św. sam uzupełni w inny sposób to, czego on ze słuchu nie pojął.

Jednem słowem — cała ta moja misyjka umocniła mię tylko w przekonaniu, że w naszej św. wierze tkwi coś, co nawet tym tak trzeźwym Szwedom imponuje i daje do myślenia. Inaczej nie umiałbym sobie wytłómaczyć tej uderzającej uprzejmości i szacunku, jaki nam okazywali na każdym kroku sami ich pastorowie i inni z inteligencyi. Dotychczas najlepiej na tem wychodzą nasi emigranci i nasze — kości, bo na każdej niemal stacyi zastawaliśmy wspaniałe ekwipaże, którymi nas też wyprawiano w dalszą drogę. Ale myślę, że kiedyś może i bardziej duchowne pożytki dadzą się z tych objawów wyciągnąć. Przynajmniej grunt serca nie zdaje się być bardzo niesposobnym ku temu, sądząc z niektórych przymiotów, których odmówić im niepodobna. Mam tu na myśli przedewszystkiem ową sławną szwedzką uczciwość, o której miałem sposobność przekonać się naocznie.

X. Ignacy Mieloch T. J.

We wrześniu 1905 r.

Przebywając od stycznia aż do jesieni b. r. na pastoracyi między Polakami w Westfalii, otrzymałem od Przełożonych rozkaz udania się do Szwecyi, aby zostających tam bez duchownej opieki polskich robotników pocieszyć i pracą kapłańską umocnić we wierze. Jakoż wyruszywszy pociągiem pospiesznym przez Hamburg, stanąłem około południa 6 września w mieście portowem Kilonii, gdzie zaraz bez czekania wsiadłem na odpływający do Danii mały statek «Prinz Sigismund». Na wyjezdnem miałem sposobność przyglądnąć się z blizka wojennym okrętom niemieckim, które jakby potwory okute żelazem, stoją rzędem na straży po obu stronach przystani, dozwalając wolnego przez środek przejazdu rojącym się mniejszym statkom i łodziom. Gdy już mój okręt był w ruchu, w tem oto widzę z pokładu, jak jeden z tych olbrzymów wysuwa się naprzeciw wpływającemu do przystani obcemu pancernikowi; rozlega się strzał armatni, że aż w uszach mi zajęczało, a mózg wstrząsnął się w czaszce; potem zaraz powtórzył się podobny huk jeszcze coś kilkadziesiąt razy. Przerażeni i zdziwieni pytamy, co to ma znaczyć? Po chwili wytłumaczono nam, że to są salwy powitalne na cześć księcia Henryka, małżonka królowej holenderskiej Wilhelminy, który właśnie wjeżdża do portu Kilonii.

Podróż moja morska wypadła nadzwyczaj przyjemnie. O godzinie $4^1/_2$ popołudniu byłem już w Korsör na wybrzeżu Danii, stąd koleją cały ten kraik aż do Kopenhagi przeciąłem prawie w dwie godziny, i znów wsiadłszy na statek, po półtora-

godzinnej żegludze stanąłem wieczorem w mieście portowem Malmö. Tutaj na mnie już czekał O. Stolberg. Nazajutrz 7 września rozpoczęliśmy naszą objażdżkę misyjną po miejscowościach, w których Polacy przebywają na robocie.

Byliśmy najprzód w *Vestraby,* gdzie ucieszonym z powodu naszego przybycia ludziom wyprawiliśmy w uroczystość Narodzenia Matki Boskiej rodzaj polskiego odpustu; mieli bowiem w tym dniu 2 msze św., 2 kazania, oraz przemowę przy Komunii św., do której przystąpili wszyscy (65 osób). Nabożeństwa odbywały się w budynku szkolnym. Po obiedzie u zarządcy dóbr, puściliśmy się dalej koleją do Skelderwiken, stąd pieszo (pół godziny) do dworu *Walhala,* gdzie 18 osób z Jaworznika polskiego i Nienadowy znajdowało zarobek. Tu nazajutrz w uprzątnionej i krasnemi chustkami kobiecemi przyozdobionej izdebce odprawiłem sam jeden Mszę św., miałem dwie nauki i słuchałem spowiedzi. Posileni Komunią św. poczciwi nasi ludzie ofiarowali mi z dobrego serca na śniadanie posiłek, na jaki w swem ubóstwie zdobyć się mogli: więc postawili na ławie garnuszek grzanego mleka, masło, chleb, obok którego figurował zardzewiały kozik (nożyk) galicyjski za 3 centy. — Zaraz potem wózkiem udaliśmy się do Engelholm, gdzie w domowej kaplicy pewnego barona, katolika, odprawił około południa O. Stolberg mszę św. Wieczorem tego dnia (w sobotę) pośpiesznym pociągiem stanęliśmy w *Oskarström.* Powietrze było zimne i niezdrowe — co odczułem w całem ciele a najwięcej w gardle. Z trudnością więc odprawiłem nazajutrz funkcye kapłańskie w kręgielni, którą Polacy i Czesi zamienili na prędce na kaplicę. Na mojej mszy śpiewali Polacy, na drugiej, O. Stolberga, nucili Czesi swoją pieśń: *Tysiac krat pozdravamy Tebe.* Zauważono, że dwóch polskich młodzików nie bierze udziału w nabożeństwie, lecz stoją opodal od kręgielni. Gdym się do nich zbliżył, czmychnęli, jak zbrodniarze.

Osłabiony silną gorączką i bólem gardła, musiałem przerwać pastoracyę; pojechałem do Malmö i tam w łóżku przeleżałem aż do piątku. Rano w sobotę dalsza praca w *Christineberg,* we wstrętnej od robactwa chacie, przemienionej na kaplicę. Nazajutrz w *Tulesborg,* podobnież nędzna chałupa, daleko za wsią w czystem polu, służyła do nabożeństwa nam księżom i polskim robotnikom, których się zeszło 31 osób.

W *Bromölla* zatrzymaliśmy się dwie całe doby, więc dłużej niż w innych miejscowościach; tutaj bowiem stosunkowo najwięcej jest naszych ludzi: Polaków i Rusinów. Biedny ten lud! pracuje bardzo ciężko, a mało zarabia, wyzyskiwany przez agentów żydów. I gdyby nędza przybrała postać ludzką, nie wyglądałaby gorzej od tych biedaków w łachmanach, z palcami u bosych nóg poobwijanymi szmatą, aby paznogci nie obić o kamienie, których tu pełno po ziemi rozsianych, a które, jak

twierdzą nasi ludzie, z deszczem niegdyś spadły z nieba, jako kara Boża na Szwedów. Widok nędzy naszego ludu wpływa ujemnie nawet na samych Szwedów, między którymi utrzymuje się mniemanie, że kto katolik, ten już musi być ubogim. Kaplicę urządziliśmy w jednej z szop fabrycznych na strychu; pełno tu było jak w młynie pyłu białego, który się nie dał całkiem wymieść, a nadto wielkie mnóstwo rur, rurek i drewnianych modeli, służących do wyrabiania z mielonego kaolinu różnych cegieł i cegiełek. Poczciwi ludziska ustroili, jak mogli, tę zapyloną budę zielenią, a gromadząc się w niej na nabożeństwo, padali kornie na kolana, bili czołem o podłogę, całowali ją; wskutek czego pył przylgnięty do ich czoła, ust i wąsów, świadczył o mniejszej lub większej gorliwości w tych aktach pokory, na jaką każdy chciał i umiał się zdobyć. Wszyscy Polacy (104) przystąpili do Sakramentów św.; z Rusinami była ta sama bieda, na jaką utyskiwali moi w tej pastoracyi poprzednicy. Mimo to udało mi się kilku Rusinów nakłonić do spowiedzi.

W końcu jeszcze *Anderslöf* i *Charlotenlund* zatrzymały nas po jednym dniu; w pierwszej miejscowości, gdzie lud nasz we dworze bardzo źle traktowany, służyła nam za kaplicę szkoła, w drugiej dom nędzny, w którym mieszkają robotnicy. Wszędzie po kilkadziesiąt spowiedzi, po dwie nauki przegradzane pieśniami i modlitwami. Dnia 25 września pożegnaliśmy się z O. Stolbergiem; on wrócił do swej parafii w Norköping, a ja przez Kopenhagę i Lubekę podążyłem w moje strony.

Lud nasz jest w Szwecyi przychylniej poniekąd, niż w Niemczech, widziany od miejscowej ludności, u której nie spostrzega się wcale rasowej nienawiści względem nas; ale zato bardziej, niż w Niemczech, pozbawiony jest wszelkiej pomocy i pociechy religijnej, gdyż przez cały czas swego tam pobytu na robocie, niema sposobności pomodlenia się choćby raz jeden w kościele. Zaś co do samej pastoracyi — ta po ludzku ma tę jedną dobrą stronę, że trwa krótko, zresztą dostarcza misyonarzowi okazyi do ponoszenia samych trudów i niewygód na chwałę Bożą.

X. Antoni Rybka T. J.

Rekolekcye dla inteligencyi polskiej w Serajewie.

W kwietniu 1905 roku.

(Wyjątek z listu O. Arndta).

....Obrałem drogę na Wiedeń, gdzie trzeba mi było rozmówić się z O. Prowincyałem austryackiej prowincyi. Przekro-

czywszy granicę Bośni, wstąpiłem po drodze do Trapistów w Banjaluce. Ojcowie ci przyjęli mię bardzo gościnnie i oprowadzili po swym klasztorze. Mają tu oni olbrzymią fabrykę sukna, obsługiwaną motorami elektrycznymi, a do tego celu wyzyskują znajdujący się w pobliżu zakładu wodospad. Sukna i przeróżne materye ich wyrobu rozchodzą się szeroko po Austryi i Węgrzech. Widziałem w tymże klasztorze jednego zakonnika, O. Władysława, dobrze znanego w naszej prowincyi, dla którego X. Opat miejscowy nie miał dość słów pochwały.

Chociaż już była połowa kwietnia, zimno w tych górach czuć się dawało dotkliwie. W Serajewie znalazłem u naszych jak najlepsze przyjęcie, a nawet jeden z nich, O. Hammerl, mój dobry znajomy z trzeciej probacyi, oczekiwał na stacyi kolejowej mego przybycia. Mają tu nasi, jak wiadomo, seminaryum dyecezalne pod swym zarządem.

W Serajewie, nad wszelkie moje spodziewanie, wypadło mi dawać rekolekcye, po pierwszy raz w polskim języku i to komu? — inteligencyi polskiej! Było to tak: X. Arcybiskup Stadler wygadał się przypadkiem przed którymś z wysokich urzędników, że ma u siebie chwilowo księdza, który mówi po polsku. W lot ta wiadomość rozeszła się w mieście między kolonią polską. Niebawem zjawia się w pałacu arcybiskupim deputacya pań polskich z prośbą, aby ten ksiądz mówiący po polsku, udzielił im rekolekcyi. Ks. Arcybiskup obiecał im, więc i ja też oczywiście musiałem się na to zgodzić; aby jednak nie robić Polakom zawodu, zapytałem się tej pani, która stała na czele deputacyi, czy nie bardzo razić ich będzie, jeśli w mych naukach uchybię nieraz przeciw gramatyce? «Nie, nie — odpowiedziała — obyśmy tylko miały rekolekcye!» Rozpoczęliśmy tedy ćwiczenia duchowne w niedzielę Palmową, a skończyliśmy je w Wielki czwartek. Po pierwszem rozmyślaniu panie płakały z radości. Płynnie mówiłem, to prawda; ale że moje nauki więcej odznaczały się zapałem i gorliwością, niż pięknością stylu, o tem nie ma najmniejszej wątpliwości. Na niektóre konferencye przychodziło po kilku oficerów i urzędników Polaków. Na końcu 23 pań i 4 mężczyzn przystąpiło do spowiedzi.

W całej Bośni liczba Polaków dość znaczna, zwłaszcza w okolicy Banjaluki, gdzie im Trapista O. Władysław, nie odmawia pomocy duchownej. Rusini jednak, których także dość sporo po koloniach około Banjaluki, wolą chodzić raczej do cerkwi schizmatyckiej, niż do kościoła katolickiego. Nadaremnie X. Arcybiskup Stadler starał się temu przeszkodzić.

Nawróceń ze schizmy mało. Niedawno jeden proboszcz schizmatycki został katolikiem, lecz, że wykształcenia posiada bardzo niewiele, X. Arcybiskup pozwolił mu tylko odprawiać mszę świętą. Byłem już raz dawniej, dziesięć lat temu w tych stronach, wezwany przez X. Arcybiskupa Stadlera w tym celu,

aby mu dopomódz w sprawie pozyskania schizmatyków dla Kościoła katolickiego. Niestety, owoczesne plany nasze i gorliwe zabiegi zostały bez skutku, a powodem tego głównie ta okoliczność, że narody schizmatyckie tak w Bośni, jak i na całym półwyspie bałkańskim stały się już napół protestanckimi i ideę narodowościową zbyt łączą z religią. Ale nie trzeba tracić nadziei. Zaświta kiedyś może i niezadługo dla tych narodów dzień łaski i zmiłowania Bożego.

Atoli nie w sprawie nawracania schizmatyków lecz w innym celu sprowadził mię w tym roku do Serajewa X. Arcybiskup Stadler. Założył on poprzednio w swej dyecezyi żeńską kongregacyę zakonną pod wezwaniem Dzieciątka Jezus, teraz zaś pragnąc dla tegoż zgromadzenia Sióstr wystarać się o zatwierdzenie papieskie, zapytał w Rzymie, jakby do tego należało się zabrać. Odpowiedziano mu, aby się poinformował z mojej niemieckiej książki o kongregacyach żeńskich. On jednak wolał raczej zasięgnąć osobiście mojej rady, niż się informować z książki – i dlatego za zgodą naszych Przełożonych wezwał mię do siebie. Razem tedy ułożyliśmy konstytucye dla zakonnic i stosowne relacye wysłaliśmy do Rzymu...





Z zapisków i wspomnień o ś. p. O. Henryku Jackowskim. [1]

I. O rodzicach i rodzinie.

W Prusiech zachodnich, w powiecie Starogrodzkim (Stargardt), «w pięknem położeniu nad jeziorem, w którem po jednej stronie dwór się przegląda, naprzeciw, z wyniosłego wzgórza kościół», leży wielka wieś Jabłowo, niegdyś królewszczyzna, potem (w w. XVI) własność starostów gniewskich, później możnej rodziny Czarlińskich, a wreszcie w w. XIX dziedziczny majątek Nostitz-Jackowskich, herbu Ryś [2]. Przez wieś idą dwa bite trakty, jabłowsko-pelpliński i starogrodzko-skurzecki. Przy miejscu, gdzie się krzyżują, stoi na wysokim postumencie ozdobnie wyrobiona figura kamienna N. M. Panny; a nieopodal, u stóp góry, pod kościołem widać kosztowne mauzoleum, kryjące zwłoki dziedziców tutejszych p. Jacka Jackowskiego i jego małżonki Konstancyi [3] z Grąbczewskich, oraz jednego z ich wnuków.

---

[1] Niedawno zmarły nasz O. H. Jackowski doznał od Pana Boga tej niepowszedniej łaski, że w sposób znacznie przewyższający wszelką miernotę osiągnął jeden i drugi ideał wskazany nam przez zakonne konstytucye: odznaczył się wśród współczesnych zarówno cnotą i przymiotami osobistymi, jak dziełami dokonanymi na pożytek bliźnich. Dzięki temu, czterdziestolecie jego życia i pracy w zakonie nastręcza poddostatkiem materyału do biografii przenoszącej rozmiarami swymi zwykłe pośmiertne wspomnienia, jakie dotychczas zwykliśmy byli zamieszczać w naszem pisemku, po zejściu któregoś z Naszych. Miasto więc silić się na niedokładne jakieś *compendium vitae*, pragniemy odtąd pod powyższym nagłówkiem, a w sposób więcej kronikarski, podawać do wiadomości naszych to wszystko, co się zachowało lub uratowało z dokumentów mniej dostępnych ogółowi, a odnoszących się do nieodżałowanej pamięci O. Henryka. Krytyczne ugrupowanie i ocenę wypadków pozostawiamy przyszłemu biografowi. *(Przyp. Red.)*.

[2] Tak według tradycyi rodzinnych i herbarzy. Słownik geograficzny Sulimierskiego podaje błędnie herb Gryf.

[3] W Słown. Geogr. błędnie: Katarzyna.

Ci państwo, to rodzice naszego O. Henryka [1].

Pan Jacek, albo, jako powszechnie zwano Hjacenty, był to obywatel znany i ceniony w całej ziemi chełmińskiej, człowiek prawdziwie «starej daty i starej cnoty», na wskróś prawy i szlachetny, a przytem gorliwy patryota i jeszcze gorliwszy katolik, czego nieraz dawał publiczne dowody, usługując n. p. do mszy św., nawet w podeszłym już wieku i przestrzegając najakuratniej wszelkich praktyk wiary św. Miał też sławę zawołanego gospodarza, a dzięki tym wszystkim przymiotom umysłu i charakteru potrafił sobie zaskarbić cześć i względy nawet u przedstawicieli wrogiego, pruskiego rządu. Zaszczycony godnością Landschaftsdirektora szczecińskiego [2], miał sposobność niejednokrotnie życzliwość tę wykorzystać na pożytek rodaków, zwłaszcza, że sam król Fryderyk Wilhelm IV. prawie że przyjaźnią go otaczał. Opowiadają naprzykład, że gdy pewnego razu król przybył do Starogrodu, a na bankiecie na cześć jego wydanym p. Hjacenty zajął miejsce tuż obok niego, skorzystał z tego nasz p. Marszałek, aby napomknąć coś o jakiemś podaniu swojem do ministeryum, na które cztery razy już otrzymał odpowiedź odmowną. Na to król krótko: «Pisz pan zaraz!». I zaraz na miejscu, przy stole podanie napisane ołówkiem podpisem swym sankcyonował [3]. Osobistą energię i stanowczość p. Hjacentego maluje znowu wybornie inny wypadek, który miał miejsce po śmierci jego żony, pani Konstancyi. Donosząc o jej zgonie swemu synowi O. Henrykowi, będącemu już podówczas rektorem w Starejwsi, wyraził swe życzenie, aby jako syn, przybył oddać matce ostatnią przysługę. W pierwszej chwili wymówił się ks. Jackowski swymi obowiązkami zakonnymi i niebezpieczeństwem podróży po ogłoszeniu praw majowych. Na to ojciec telegraficznie: «Nie dam pochować matki, dopóki ty nie przyjedziesz!» Sprawa oparła się aż o O. Prowincyała Kautnego i konsultę prowincyalną, w której zasiadał między innymi O. Kamil Praszałowicz, dobrze obznajomiony ze stosunkami rodzinnymi Jackowskich. Ten wyraził przekonanie, że tak stanowczych słów rozżalonego starca, a zasłużonego wielce około rozwoju naszych misyi w Poznańskiem i Prusiech, lekceważyć nie można. «Co postanowił, tego pewnie nie odwoła». Koniec końcem kazano O. Henrykowi jechać. Było to już w tydzień po śmierci matki, ale zwłoki istotnie leżały jeszcze nie pochowane [4]. Umarł

---

[1] Dziadkiem O. Henryka był p. Hipolit, ożeniony z Jezierską; pradziadem Aleksander, żonaty kilka razy, między innemi z Kczewską i Radolińską. (Podług notatek udzielonych nam przez p. Ludwika Jackowskiego z Poznania).

[2] Coś, w rodzaju naszego marszalka pow.

[3] Z opowiadania O. Burkiewicza d. 7 października 1905.

[4] Z zapisków O. Mellina; zesz. I. str. 54. — Zapiski te są jednem z najważniejszych źródeł, z których czerpiemy. Obejmują 2 zeszyty in 4^0 o 312 stronach bitego pisma, a powstały za rektoratu O. Mellina w Starejwsi, pomiędzy

p. Hjacenty d. 27 maja r. 1877, krótko po wspaniałym jubileuszu swej 50-letniej pracy obywatelskiej, który całe Chełmińskie zgromadził w Jabłowie z objawami czci i wdzięczności dla swego Nestora [1].

Prawdziwem dopełnieniem tego typu staropolskiego obywatela, była pani Konstancya, córka p. Fabiana Grąbczewskiego z Radzik w Królestwie polskiem, niewiasta, jak powiadają, wielkiej świątobliwości. Sam O. Henryk nieraz lubiał w kazaniach powoływać się na budujące przykłady z jej życia i niejednemu z nas stoją zapewne w pamięci owe wzniosłe poglądy na świat i życie i to wszystko «co mija», które właśnie zaczerpnął z owej skarbnicy bogobojności, jaką było serce tej matki dla swych dzieci [2]. A jakiem było życie tej zacnej pani, taką była i śmierć: cichą, pogodną a napiętnowaną cechą wybranych Bożych. W r. 1876 dnia 19 lutego wybrała się do Pelplina, aby przystąpić do Sakramentów św. Za powrotem, gdy spożywa śniadanie, nadchodzi od gospodarstwa pan Jacek i żartobliwie przymawia się: «Po spowiedzi, to pewnie moja żona poprawi się i da mężowi dobre drugie śniadanie, bo zmęczony». Pani Konstancya pospieszyła natychmiast zarządzić, co było potrzeba, a powróciwszy do jadalnego pokoju, zasiadła przy mężu, aby mu asystować przy spożywaniu darów Bożych. Wtem tknięta paraliżem serca, osuwa się z krzesła i bez wszelkich boleści oddaje ducha Bogu, którego w życiu tak gorąco umiłowała [3].

O dzieciach tych dwojga państwa wiemy tylko, że najstarsza córka wyszła za Ostaszewskiego. Druga, Zofia, była zamężną za Edwardem Kalksteinem, późniejszym Zmartwychwstańcem, potem Cystersem w Mogile [4]. Syn jeden, Teodor, spadkobierca całej fortuny ojcowskiej, na którą składały się dobra Jabłowo i Lipinki, o obszarze przeszło 900 mórg pruskich, brał czynny udział w powstaniu lutowem z r. 1863. Objąwszy w posiadanie majątek, życiem nad stan doprowadził go do ruiny, iż wszystko poszło na licytacyę, już za prowincyalstwa O. Henryka. Zonatym był trzy razy: najpierw z p. Julią Sampławską, bezdzietnie; potem z dwiema pannami Gutry, z któremi miał troje dzieci.

1897 a 1900 r. Posiadają one tem większą wartość, że O. Mellin jest bliskim krewnym O. Jackowskiego, a nadto w latach 1901 i 1902 dla pewności sam je jeszcze O. Jackowskiemu w Tarnopolu odczytywał, a ten poprawiał je i uzupełniał z największą szczerością i prostotą, *ut veritati sit locus*.

[1] Porównaj «Kuryer poznański» z owych czasów.

[2] Kilka razy przynajmniej słyszałem opowiadanie o owym pierścionku ślubnym p. Konstancyi z napisem «I to minie», które to słowa powtarzała sobie i innym w wypadkach smutku lub niepowodzenia.

[3] X. Mellin I. 54.

[4] Jako Cysters uczęszczał na wykłady filozofii i teologii do naszego kolegium na Wesołej w Krakowie.

Żywot pełen niepowodzeń zakończył smutnie w szpitalu we Wrocławiu w wielkim niedostatku [1].

Czwartym i najmłodszym, był syn urodzony d. 8 sierpnia 1834 w Jabłowie, który na chrzcie św. otrzymał imię Henryka Konstantego [2].

II. Z lat chłopięcych i studenckich.

«O sobie samym najlepiej nic nie mówić: ani dobrze, ani źle», brzmiała jedna z zasad, powtarzanych często przez O. Jacckowskiego w egzortach, konferencyach i rozmowach duchownych. Że ta zasada nie była jednak u niego wynikiem jakiegoś tetrycznego usposobienia, ale tylko rodzajem hasła duchownego, praktyki pobożnej, opartej na chrześcijańskiej wzgardzie samego siebie, za dowód posłużyć może ta okoliczność, że w chwilach żywszego wzruszenia, zwłaszcza w kazaniach, rekolekcyach i broszurkach ascetycznych, nieraz od niej odstępywał i z prawdziwie staropolską otwartością napomykał coś niecoś ze swych osobistych doświadczeń życiowych, aby prawdę omawianą jak najgłębiej wryć w serca słuchaczy, a tak przekonać ich, jak mawiał, że «nie święci garnki lepią».

Mam właśnie pod ręką jeden z takich dokumentów, urywek niedrukowanego dotąd i niedokończonego traktaciku dla młodzieży, który wiele rzuca światła na lata jego młodości.

«Któż za młodych lat swoich nie marzył o swej przyszłości?» zapytuje na wstępie i zaraz dorzuca we formie serdecznej gawędy: «Marzyłem oczywiście i ja i różnie w młodej głowie mojej się plotło. Pamiętam, miałem może lat ośm; intrygowała mię na obrazie z wojen napoleońskich szczególnie postać jenerała, co z konia wskazywał ręką w białą rękawicę ubraną na pozycyę nieprzyjacielską i komenderował widocznie do ataku. Rodzice byli na dłuższy czas wyjechali, więc skorzystałem z tego, by od starego służącego, którego wielkim byłem faworytem, wyprosić sobie obywatelski mundur ojca. Nie psuło mi to fantazyi, że, kiedy przywdziałem złocisty mundur, poły wlokły się po ziemi, że szpada z napisem: *pro lege, rege et patria* sięgała mi po sam nos, że stosowany kapelusz z pióropuszem musiałem z czoła spuścić aż na plecy, że do białej rękawiczki byłem mógł włożyć prawie nogę, ale z miną zamaszystą stawałem przed zwierciadłem i naśladując mego jenerała na obrazie, wyciągałem rozkazująco rękę i komenderowałem wojsko

---

[1] X. Mellin, tamże.

[2] Podług świadectwa chrztu wystawionego w r. 1858 przez proboszcza starogrodzkiego X. Kołaczkowskiego. Chrzest św. odbył się dnia 15 t. m., a rodzicami chrzestnymi byli p. Jan Narzymski i ciotka, panna Katarzyna Grąbczewska.

moje urojone do ataku na również urojonego nieprzyjaciela. W onym czasie, ile razy który z gości zapytał, czem kiedyś będę, zawsze nastroiwszy marsa, odpowiadałem: jenerałem, ale nie francuskim jeno polskim. — Może w pół roku później byłem na kazaniu o sądzie ostatecznym, które tak mię zajęło, że długo uspokoić się nie mogłem; i pod tem wrażeniem zapał do wojaczki ustąpił marzeniom o kapłaństwie, o kazaniach, o nawracaniu ludzi i ochronieniu ich od strasznego sądu Bożego. — Później, kiedy byłem już w szkołach i począłem rozczytywać się w naszych poetach, marzyłem o tem jedynie, żeby zostać poetą i wciąż wiersze były mi w głowie. Marzyłem i o dyplomatycznej karyerze, marzyłem i o kupiectwie, marzyłem i o tem, żeby za przykładem ojca osiąść na wsi. Pstro było w głowie, jak zwyczajnie u młodego».

Na podstawie tego wyznania snadnie dopatrzyć się możemy w osobie młodego Henryka owego znanego typu polskiego pacholęcia, pełnego życia i fantazyi, z jakich ongi rekrutowały się szeregi naszych bohaterskich rycerzy i hetmanów. W naszych czasach, nie nastręczających już tyle sposobności do zaspokojenia podobnych, idealnych popędów, usposobienie to marzycielskie mogło się stać dla niego powodem bolesnego rozczarowania, ba! nawet ruiny, gdyby nie czujna opieka rodziców, a zwłaszcza trzeźwego a surowego ojca. Gdy bowiem ono marzycielstwo zaczynało przybierać zbyt wielkie rozmiary i ujemnie odbijać się na studyach, jak naprzykład w owej «fazie poetyckiej, skutkiem zajęcia się rymowaniem», pan Hjacenty brał syna «w pole i dużo a poważnie i niesłychanie poczciwie» rozmawiał z nim o obowiązkach obywatelskich dorastającego młodzieńca i wskazywał na środki i zasady, podług których powinien był całe swe życie urządzić. A kiedy wrodzona żywość charakteru, pomimo najuroczystszych obietnic, tu i ówdzie wybuchła z jakiemś znaczniejszem wykroczeniem, podobno — ot! poprostu! — stosował bez ceremonii starodawną metodę pana Winnickiego. O tych przeprawach swoich z surowym ojcem, wspominał O. Jackowski nieraz z najżywszą wdzięcznością, jako o jednej z najcenniejszych łask Bożych i widocznie za młodu już umiał je należycie ocenić, skoro nie zrażał się niemi wcale w praktyce 4-go przykazania, za którą mu też Pan Bóg istotnie zapłacił i «długiem życiem i dobrem powodzeniem».

Pierwsze lata studyów gimnazyalnych odbył Henryk Jackowski w Brunsberdze, a potem w Chełmnie [1]. Ostatnich lat $6^1/_2$ w Gdańsku, gdzie też zdał maturę d. 1 marca 1853, licząc lat wieku niespełna 19 [2].

---

[1] X. Mellin I. 55.

[2] Olbrzymich rozmiarów świadectwo dojrzałości przechowuje się w archiwum naszej prowincyi, a opiewa, jak następuje:

Ze świadectwem dojrzałości w ręku podążył Henryk do Berlina i dnia 9 kwietnia t. r. 1853 wpisany został w poczet zwyczajnych słuchaczy tamtejszego uniwersytetu na wydziale prawniczym. Tamże pozostawał dwa lata t. j. przez 4 semestry, aż do 31 marca 1855. Pod tą datą wystawiono mu przez fakultet absolutoryum (Abgangs-Zeugniss) [1]. Dopiero jednak 31

Heinrich v. Nostitz-Jackowski aus Jablau bei Preuss. Stargardt, 18 1/2 Jahr alt, katholischer Confession, Sohn des Rittergutsbesitzers v. Nostitz-Jackowski auf Jablau, war 6 1/2 Jahr auf dem hiesigen Gymnasium, davon zwei in Prima.

I. Sittliche Aufführung, Anlagen und Fleiss. Sein Betragen gegen Lehrer und Mitschüler war anständig und gesetzmässig; sein Schulbesuch mit Ausnahme einer längeren, durch Krankheit veranlassten Versäumniss im Ganzen regelmässig; sein häuslicher Fleiss, zwar nich für alle Gegenstände des Unterrichtes gleichmässig angestrengt, doch im Allgemeinen befriedigend, und besonders in den grösseren und selbständigen häuslichen Arbeiten von gutem Erfolge.

II. Kenntnisse und Fertigkeiten.

1. Sprachen: *a)* in der deutschen Sprache hat er die Fertigkeit erworben, seine Gedanken in logischer Ordnung und correkter Form auszudrücken.

b) in der lateinischen Sprache hat er ganz genügende grammatische Sicherheit und befriedigende Gewandtheit sowohl in freier Composition, als im Uebersetzen aus dem Deutschen, als endlich im Verständnisse der Schriftsteller erlangt.

c) in der griechischen zeigte er sowohl in seiner schriftlichen als in seiner mündlichen Uebersetzung eine genügende Fertigkeit und Sicherheit.

d) in der französischen entsprachen seine Leistungen bei der schriftlichen wie bei der mündlichen Prüfung den Forderungen.

2. Wissenschaften: *a)* Religionskenntnisse. In der Religion waren seine Antworten bei dem mündlichen Examen grösstentheils befriedigend.

b) In der Mathematik waren seine Leistungen bei der schriftlichen Prüfung genügend, bei der mündlichen ganz genügend.

c) In der Geschichte & Geographie entsprachen seine Kenntnisse im Ganzen den gesetzlichen Forderungen.

d) In der Pysik waren sie ganz genügend.

e) In der Philosophischer Propädeutik und *f)* deutschen Literaturgeschichte genügend.

Świadectwo opatrzone pieczęciami miasta i gimnazyum oraz podpisami komisyi egzaminacyjnej, w której skład wchodzą: radca Starcke jako komisarz rządowy, Schumann delegat gminy, Engelhardt dyrektor, profesorowie Herbst, Anger, Hirsch, Marquart, Czwalena i Brandstäter i katecheta X. Miszewski. Ogółem świadectwo wcale pomyślne, biorąc na uwagę surowość cenzur pruskich. Jest ono dowodem, że nasz młody abituryent i na punkcie postępu w naukach posiadał pewnę szlachetną ambicyę. Na uwagę zasluguje szczególnie wzmianka o staranności w pracach obszerniejszych i samodzielnych, która i nadal pozostała cechą jego działalności.

[1] Świadectwo to stwierdza jedną tylko nieprawidłowość, mianowicie iż «wegen unterlassenen Kartenwechsels» został d. 8 lutego 1855 z listy słuchaczy wykreślony, ale już w miesiąc później d. 14 marca napowrót przyjęty. Następuje wykaz sluchanych przedmiotów, wraz z praktykowaną naówczas klasyfikacyą ze strony profesorów. Słuchał więc Jackowski w Berlinie:

I. W półroczu letniem 1853:

1) Logik, beim Herrn Prof. Trendelenburg, — fleissig (20. XII. 54).

października 1855 r. widzimy go znowu uczniem uniwersytetu wrocławskiego [1]. Co robił w przerwie od 31 marca 1855 r. do października, nie wiadomo. Z przytoczonych świadectw wynika wszakże, że owe $2^1/_2$ roku studyów uniwersyteckich nie minęły mu na zupełnej «akademickiej swobodzie». A jeżeli są luki, to sądzę, że tutaj właśnie szukać należy owych «chwil burzliwych», o których wspomina nekrolog *Czasu* (r. 1905 nr. 55). Autor tegoż nadmienia nadto «o długach karciarskich, złych kompaniach, zerwaniu z ojcem», a pewnie nie wyssał sobie tego z palca. Szczegóły jednakowoż tych scen bolesnych pozostaną zapewne tajemnicą na zawsze, bo ich świadkowie zabrali klucz do nich ze sobą do grobu. Wspomnę tu tylko jeszcze o tem, co przed kilkunastu laty słyszano z ust samego O. Jackowskiego. Było to o ile pomnę, w czasie dorocznych rekolekcyi w konwikcie chyrowskim. Mowa była o grzechu i jego skutkach. W trakcie rozważania łzy puściły się z oczu O. rektora. Głosem stłumionym i przerywanym wykrztusił wreszcie: «Wierzajcie mi chłopcy! I ja byłem grzesznikiem... I ja Boga ciężko obrażałem... Byłem bardzo złym człowiekiem... Jedno tylko.. Nigdy w życiu nie splamiłem się plugastwem ciała!...» Tu wstrząsnął ramionami z takiem obrzydzeniem, że sam ten widok wystarczał, aby nabrać silnego przekonania, że ten człowiek był zawsze — czystym.

---

2) Geschichte des römischen Rechts, beim H. Prof. Gneist, — sehr fleissig (20. XII. 54).

3) Institutionen, beim H. Prof. Gneist, — sehr fleissig (20. XII. 54).

II. W półroczu zimowem 1853/54:

1) Pandecten und Erbrecht, beim H. Prof. Gneist, — sehr fleissig (10. III. 54).

2) Englische Staats-Verfassung, beim H. Prof. Gneist, — sehr fleissig (10. III. 54).

III. W pólroczu letniem 1854:

Naturrecht, beim H. Prof. Stahl, — sehr fleissig (20. XII. 54).

IV. W półroczu zimowem 1854/55:

1) Deutsche Staats- u. Rechtgeschichte, beim H. Prof. Homeyer — fleissig (15. III).

2) Criminal-Prozess, beim H. Prof. Heffter, — sehr fleissig (26. III).

3) Deutsches Staats- u. Privat-Fürstenrecht, beim H. Prof. Stahl, — ebenso (15. III).

Co się tyczy prowadzenia się: «ist in disciplinarischer und ökonomischer Aussicht nichts Nachtheiliges vorgekommen». Podpisano: Litscherlick, Lennert, Rudroff, Dove.

[1] We Wrocławiu słucha przez zimowe półrocze (1855/56) dalszych wykładów prawniczych; t. j. encyklopedyi, metodologii, krajowego prawa pruskiego, niemieckiego prawa prywatnego, oraz prawa handlowego, wekslowego i dla żeglugi u profesora Gauppa, a prawa małżeńskiego i kanonicznego u Gitzlera, znowu ze świadectwem «fleissig» od obydwu i z końcowem poręczeniem «dass sowohl in sittlicher als in ökonomischer Beziehung durchaus nichts Nachtheiliges über ihn zur Kenntniss der Disciplinar-Behörde gekommen ist». Absolutoryum wystawione d. 12 marca 1856 przez rektora Hetschlera, sędziego uniw. Ahrendsa i dziekanów Huschke'go i Elvenicha.

III. Powołanie do stanu duchownego i zakonu.

Właśnie w tym czasie, gdy Jackowski stał na ukończeniu studyów prawniczych i na seryo zapewne zastanawiać się począł nad planem dalszego życia, okręg pelpliński, jak wogóle całe Prusy zachodnie, był widownią gorliwej pracy misyjnej naszych najtęższych misyonarzy ludowych, OO. Baczyńskiego, Praszałowicza, Kamieńskiego, Wawreczki i innych. W wycieczkach swoich nawiedzali oni nieraz dom pp. Jackowskich i tam zapewne, pod wpływem zetknięcia się z nimi, zrodziło się w sercu młodego syna domu pierwsze, słabe jeszcze powołanie do stanu duchownego. Ale natychmiastowemu wstąpieniu do zakonu stanęła na zawadzie energiczna odmowa ze strony pana ojca. Więc skończyło się na tem, że Henryk postanowił na razie rozpocząć studya teologiczne na własną rękę w Rzymie. Na wyjezdnem zapoznał się z jednym z profesorów seminaryum pelplińskiego X. Juliuszem Zuchtem, licencyatem św. teologii, u którego zasięgnął pierwszych wskazówek odnośnie do zamierzonego studyum i pożyczył nawet sporo książek treści dogmatycznej, aby nie tracąc czasu, jeszcze w Jabłowie rozglądnąć się w tym tak obszernym materyale.

Dnia 13 października 1856 r. był już w Rzymie i wraz z X. Janem Koźmianem zamieszkał w kolegium OO. Zmartwychwstańców, na którego czele stał wówczas sam sławny Hieronim Kaysiewicz. Ulegając namowie opiekuna swego i sąsiada przez ścianę w mieszkaniu, O. Piotra Semeneńki, ograniczył się pierwotnie nasz Henryk do słuchania jego wykładów filozoficznych o Kancie. Wnet jednak zraził się do nich z powodu niesłychanej ich zawiłości i niezrozumiałej zwykłym śmiertelnikom terminologii. Więc zapoznawszy się przypadkowo z asystentem naszej prowicyi niemieckiej X. Jakóbem Pierlingem, za jego poradą, po miesiącu studyów w Polonicum przepisał się do coll. Romanum, w którem podówczas zbierał laury sławny Passaglia. Wykład jego jasny i żywy przypadł znacznie lepiej do gustu młodemu adeptowi świętej nauki; a że z niego i należycie korzystał, za dowód posłużyć może i to, że na jego podstawie wnet połapał się na wartości dzieł pożyczonych mu przez X. Zuchta, w których przeważał modny naonczas Güntheryanizm. Słuchał nadto wykładów filozofii i historyi kościelnej; a gdy w pół roku później, wezwany przez swego biskupa X. Jana Nepomucena Marwicza opuszczał Rzym, O. Kaysiewicz wystawił mu pochlebne świadectwo, iż we wszystkich tych naukach «quantum per tempus licuit, non parum profecit, magna cum laude ingenii et diligentiae». Dokument wystawiony d. 16 kwietnia 1757 stwierdza nadto, iż Henryk przez cały ciąg swego pobytu w kolegium «moribus erat semper honestissimis et inte-

gerrimis, pietatem in Deum et assiduitatem in exercitiis religionis adimplendis gessit praecipuam» [1].

Opatrzony na drogę błogosławieństwem Ojca św. Piusa IX i odpustem zupełnym na godzinę śmierci [2] dla siebie i dla całej rodziny aż do drugiego stopnia pokrewieństwa i powinowactwa, podążył Henryk w tym jeszcze miesiącu do kraju i wstąpił już na stałe do seminaryum dyecezalnego w Pelplinie. Tu zaraz na wstępie musiał stoczyć jednę z walk najprzykrzejszych dla człowieka znającego wartość pokory i posłuszeństwa, ze swym obecnym profesorem, wspomnianym X. Zuchtem. Najpierw bowiem zauważył, że X. profesor ogranicza się w wykładach dogmatycznych do małego podręcznika X. Perronego. Będąc w posiadaniu tej książki, Jackowski uznał za zbyteczne notować wykłady. To było pierwszym powodem niechęci i niezadowolenia. Sprawa zaogniła się jeszcze bardziej, gdy z biegiem wykładu teorye osobiste X. Zuchta, okazały się identycznemi z potępionemi propozycyami Günthera, których wykaz drukowany Henryk Jackowski przywiózł ze sobą z Rzymu. X. Zucht, który był zawsze i jest dotąd dobrym katolikiem, dopuścił się tego błędu ze szczerej niewiadomości. Ale Jackowski, pewien swojego, na błąd nawet mimowolny pozwolić nie mógł. Uwiadamia więc o niebezpieczeństwie X. Duchownego i regensa X. Hildebranda, a ci wysełają go wprost do Biskupa, który rzecz zbadawszy dokładnie, natychmiast usunął z katedry niefortunnego teologa [3]. Po tem niemiłem zajściu dalsze lata studyów minęły już spokojnie. Kiedy otrzymał święcenia mniejsze — niewiadomo. Na subdyakona został wyświęcony «ad titulum mensae Eppalis» w dzień św. Piotra i Pawła 1859 r. przez X. Sufragana chełmińskiego Jerzego Jeschke; na dyakona i kapłana w rok później 1 i 7 kwietnia 1860, w kaplicy biskupiej, przez samegoż X. Ordynaryusza Jana Marwicza [4]. Pierwszą mszę św. odprawił X. Henryk d. 18 kwietnia przed cudownym obrazem Matki Boskiej w Skępem, w Królestwie Polskiem [5], które to miejsce zdawna otaczała czcią szczególniejszą cała

---

[1] Dokument ten przechowuje się w archiwum naszej prowincyi.

[2] Według dokumentu z d. 15 kwietnia t. r. 1857, przechowanego również w archiwum. Pierwotne słowa petycyi «usque ad quartum gradum» Pius IX zmienił własnoręcznie na «secundum».

[3] Wszystkie szczegóły dotyczące powołania, pobytu w Rzymie i X. Zuchta zaczerpnęliśmy z rękopisu O. Mellina I. 56 i np. — Notabene, X. Zucht po kilku latach duszpasterstwa powrócił do swego ulubionego zajęcia i pomimo sędziwego wieku (ur. w r. 1826) do dziś dnia wykłada teologię w seminaryum w Pelplinie z powszechnem uznaniem. W roku 1870 otrzymał nawet godność kanonika gremialnego kapituły chełmińskiej.

[4] W Niedzielę Palmową i Wielką Sobotę. — Dokumenty odnośne przechowują się w archiwum.

[5] Skępe, miasteczko w dyecezyi płockiej należało wówczas do hr. Zboińskiego, ojca hr. Karoliny Bromirskiej, znacznej dobrodziejki naszej prowincyi.

rodzina Grąbczewskich, właścicieli sąsiednich Radzik. Do tej mszy św. usługiwały mu cztery generacye najbliższych krewnych, t. j. dziadek po matce p. Fabian Grąbczewski, ojciec p. Hjacenty, brat rodzony Teodor i siostrzeniec Teodor Kalksztein, a kazanie okolicznościowe wypowiedział miejscowy Bernardyn O. Bonifacy Jastrzębski, znany z udziału w powstaniu lutowem patryota i ze starań podjętych na emigracyi w Dreźnie około nawrócenia J. I. Kraszewskiego, sławnego powieściopisarza [1].

Wnet po prymicyach d. 25 kwietnia, otrzymał X. Jackowski posadę wikarego przy kościele parafialnym w Damsdorf (po polsku Niezabyszewo) [2]. W parę tygodni później jeden ze stryjów przywiózł mu od X. Arcybiskupa warszawskiego Antoniego Fijałkowskiego nominacyę na kanonika honorowego kolegiaty w Łowiczu, wraz z insygniami [3], oraz listem, którym X. Arcybiskup wzywał go do przyjazdu i objęcia kanonii, gdyż zamierza go kreować profesorem teologii w seminaryum duchownem w Warszawie. X. Jackowski podziękował za względy, ale wezwaniu odmówił i nie poczynił nawet żadnych kroków u swego Ordynaryusza w sprawie używania insygniów, gdyż nosił się już wówczas ze stałym zamiarem wstąpienia do zakonu i czekał tylko na sposobność i pozwolenie ojca. Natomiast z całą energią zabrał się do pracy pasterskiej, naprzód jako wikary przy kościele w Niezabyszewie, do którego jako filia należał również kościół w mieście powiatowem Bytowie, a w parę miesięcy później, jako pierwszy ekspozyt w samymże Bytowie [4]. Dzień w dzień zasiadał wytrwale do konfesyonału, kiedykolwiek tego ktoś zażądał, tak, że nawet z dalszych okolic schodzili się do niego ludzie, pewni, że w każdej chwili zastaną go gotowym do porady w kłopotach duszy [5]. Nie zaniedbując własnych obowiązków nauczyciela i kaznodziei, postarał się własnym kosztem i niemałym trudem o odprawienie misyi ludowej dla swych parafian, na którą zaprosił naszych Ojców

---

[1] X. Jastrzębski po różnych przeprawach sekularyzował się i umarł jako kapelan PP. Wizytek w Krakowie.

[2] Niezabyszewo, wieś w powiecie Bytowskim. Akt nominacyi X. Jackowskiego posiadamy w archiwum.

[3] Należał do tych insygniów order kanonicki, który miał się nosić na szyi na niebieskiej wstążce. O. Jackowski przywiózł go ze sobą do Starejwsi i złożył jako wotum przed figurką M. B. Nowicyackiej, gdzie dotąd się znajduje. Akt nominacyi podpisany przez X. Arcybiskupa d. 8 maja 1860 posiadamy w archiwum.

[4] Bytowo albo Bytów (niem. Bütow) miasto liczące dzisiaj do 7000 mieszkańców, przed reformacyą posiadało katolicką parafię, której nieliczne resztki przydzielone zostały do wiejskiej parafii w Niezabyszewie. Za czasów X. Jackowskiego utworzono z nich ekspozyturę liczącą około 500 dusz, zamienioną w r. 1883 na nowo na osobną parafię z 1300 katolików. — Obie miejscowości leżą w dzisiejszej prowincyi pomorskiej.

[5] X. Mellin I. 58.

z niemieckiej prowincyi [1]. Własnym kosztem odrestaurował i w nowe aparaty zaopatrzył miejscowy kościół. Wybudował szkołę osobną dla dzieci katolickich. Wreszcie dał początek katolickiemu stowarzyszeniu rękodzielników, z niemałym pożytkiem dusz i zbudowaniem dla bezporównania liczniejszych protestantów, którzy przymawiali nawet katolikom, że «ten ksiądz nie długo u nich pewnie pozostanie, bo on do większych rzeczy stworzony» [2]. Była to istotnie praca w duchu t. zw. stowarzyszenia św. Ignacego dla kapłanów świeckich, do którego zapisał się zaraz po wyświęceniu [3]. Nic też dziwnego, że odtąd już i władza kościelna coraz energiczniej zaczęła się sprzeciwiać jego wstąpieniu do zakonu, zasłaniając się przedewszystkiem brakiem zgody ze strony ojca.

W końcu jednak Pan Bóg wmięszał się w sprawę i dopomógł do urzeczywistnienia onych heroicznych popędów swego sługi. Z gorliwością bowiem młodego X. Ekspozyta nie bardzo szła w parze jego kieszeń. W krótkim czasie wydatki zaczęły znacznie przenosić dochody, zaczęły się długi, które płacić musiał oczywiście zacny pan Hjacenty. Z czasem jednak ta hazardowna gospodarka uprzykrzyła się i jemu. Więc gdy pewnego razu X. Henryk przybył znów do Jabłowa z prośbą pokorną o wyrównanie jakichś rachunków, ojciec żachnął się niecierpliwie: «A poszedłbyś już raz do tych Jezuitów! Nie płaciłbym przynajmniej za ciebie długów!» Na to tylko czekał X. Henryk. Nie bawiąc długo, jedzie do Pelplina i oświadcza X. Biskupowi, że pozwolenie żądane od ojca tylko co otrzymał, więc prosi o zwolnienie z dyecezyi. Zaskoczony tą niespodziewaną wiadomością ks. Marwicz wyprawia natychmiast konnego posłańca do Jabłowa, wzywając pana Jackowskiego do siebie. Ten, nie spodziewając się również niczego, spieszy do Pelplina i tam dopiero z ust Arcypasterza dowiaduje się jakie to znaczenie umiał nadać sprytny synek jego własnym słowom, wypowiedzianym w chwili rozdrażnienia. Bądź co bądź oświadczył X. Biskupowi «iż słowa raz danego, jako szlachcic, nie cofa» i za powrotem do domu powtórzył to samo synowi. Ale na tem nie zakończyły się trudności ze wstąpieniem do zakonu. Teraz już sam konsystorz począł protestować, wymawiając się brakiem ludzi do obsadzenia świeżo otwartej ekspozytury i t. p. Jakiś czas czekał X. Jackowski i tylko listownie przypominał swą prośbę o mianowanie następcy i pozwolenie na wyjazd za gra-

---

[1] Korespondencya przeprowadzona w tym celu z O. Anderledym, ówczesnym prowincyałem niemieckim, przechowuje się w archiwum parafialnem w Bytowie.

[2] Opowiadał to naszemu O. Al. Bukowskiemu, późniejszemu administratorowi tej samej parafii, pewien stary mieszczanin, pamiętający jeszcze czasy X. Jackowskiego.

[3] Patent przyjęcia z d. 22 kwietnia 1860 posiadamy w archiwum.

nicę. Ale gdy rzecz się zanadto zaczęła przewlekać i nawet listy jego pozostawiano bez odpowiedzi, a on sam coraz jaśniej zdawał się poznawać wolę Bożą wołającą go do zakonu, postanowił wszystko przeciąć od razu i w liście pisanym wprost do X. Biskupa Marwicza oświadczył kategorycznie, że w dzień Wszystkich Świętych t. r. (1861) stanowczo wyjeżdża a parafię pozostawia na opiece konsystorza. To poskutkowało. Zaraz znalazł się następca i już 13 października podpisał X. Marwicz *litteras dimissoriales*, mocą których zwolnił zupełnie X. Jackowskiego od obowiązków względem swej dyecezyi i pozwolił na wstąpienie do zakonu *absque onere regressus.*[1]

Jeszcze tylko dwa miesiące upłynęły do upragnionej chwili wyjazdu. W tym czasie miał X. Henryk sposobność przekonać się w jak wdzięczną rolę złożył posiew swego trudu i pracy, choć zaledwie półtora roku pozostawał w Bytowiu. Pomiędzy innemi oznakami wdzięczności otrzymał pisemne podziękowanie od owego katolickiego stowarzyszenia rękodzielników, które doskonale maluje uczucia poczciwych parafian, tak nagle pozbawionych swego troskliwego pasterza.[2]

Jeden tylko człowiek zdawał się zgoła nie pojmować tego zwrotu w życiu młodego a pełnego nadziei kapłana. Był nim wspomniany X. licencyat Zucht. Odgadł on dawno, kto to przyczynił się najwięcej do jego usunięcia z profesury. Więc na wiadomość o zamierzonem wstąpieniu do Jezuitów, spotkawszy się przypadkiem z X. Henrykiem, gdy ten był już w drodze do Galicyi, zaczepił go zdziwiony:

— Jakto? Ksiądz wstępujesz do Jezuitów?... Chcesz być Jezuitą?

---

[1] X. Mellin I. 59 i np. — Litteras dimissoriales posiadamy w archiwum. Paszport wystawiony d. 28. X. 1861 w Koszalinie przez rejencyę pruską zezwala tylko na wyjazd na rok «in Sachen des Berufs».

[2] Adres, którego oryginał posiadamy w archiwum, brzmi jak następuje:

Hochwürdiger, Hochwohlgeborener Herr!

Empfangen Euer Hochwürden hiermit unseren tiefgefühltesten Dank für das viele Segensreiche, das Sie während Ihres Seins in Bütow gewirkt haben. Namentlich danken wir Euer Hochwürden für die Stiftung des Vereins, für Errichtung der Schule, in welcher unsere Kinder mit den Lehren unserer heiligen katholischen Kirche bekannt gemacht werden, für die Ausschmückung des Gotteshauses, für Abhaltung der Mission und für Einführung der Marienandacht. Der Allgütige vergelte Ihnen das alles tausendfach! Unvergesslich sollen Euer Hochwürden uns immer sein und wenn unser Gebet bei Gott etwas vermag, dürfen wir unbesorgt sein um Ihr Glück hienieden und um Ihr ewiges Heil!

Gedenken Euer Hochwürden auch in der Ferne zuweilen der kleinen Bütower-Gemeinde und schliessen sie dieselbe in Ihr Gebet beim heiligen Messopfer ein.

Mit der grössten Ehrfurcht und Hochachtung verharrt

Euer Hochwürden Hochwohlgeboren

Bütow d 5. 11. 61. Der Handwerkerverein.

— Dlaczego nie mam być Jezuitą? — odparł w tym samym tonie X. Jackowski.

— Bo nie masz ducha posłuszeństwa! — brzmiała odpowiedź urażonego X. licencyata, która jednak nie zdołała zachwiać serca, w tym wypadku, lepiej świadomego swych praw i obowiązków.[3]

Dnia 31 grudnia r. 1861 stanął X. Jackowski w Łańcucie; a że to był pierwszy nasz dom, do którego przybył, i formalne przyjęcie otrzymał już pierwej, więc zaraz tego samego dnia, jako w wilię Nowego Roku poczęto mu liczyć lata powołania. W sam dzień Nowego Roku odśpiewał jeszcze w Łańcucie uroczystą sumę, a w dwa dni później, 3 stycznia 1862 r. stanął w Starejwsi, gdzie właśnie na czele domu i nowicyatu stał stosunkowo młody jeszcze, ale pełen wybitnych przymiotów umysłu i serca, O. Kasper Szczepkowski. (C. d. n.)

X. Gustaw Fihauser T. J.

---

[3] X. Mellin I. 56.

Prośba od Redakcyi. Pragnąc w tych zapiskach pomieścić wszystko, coby kiedyś mogło posłużyć do dokładniejszej charakterystyki życia i dzieł O. Jackowskiego upraszamy uprzejmie WW. Ojców i Braci o nadesłanie nam w jaknajkrótszym czasie wszystkich pism, listów i notatek, mających związek z jego osobą. Za poszanowanie spraw czysto osobistych ręczy się najzupełniej; drobne wspomnienia z życia, misyi, opowiadań i t. d., wystarczy podać w krótkości, choćby *currente calamo*.







NEKROLOGIA.

O. Jacek Stopka

zmarły w Chyrowie d. 22 grudnia 1904 r.

Urodził się d. 6 kwietnia 1842 r. w Ratułowie, wsi należącej do parafii w Czarnym Dunajcu. Ukończywszy w Nowym Sączu (1856—1862 r.) sześć klas gimnazyalnych, wstąpił do seminaryum dyecezyalnego w Tarnowie i jako kleryk w sukni duchownej uczęszczał do siódmej i ósmej klasy tamtejszego gimnazyum.[1] Po złożeniu egzaminu dojrzałości, który podówczas odbywał się jeszcze wyłącznie w języku niemieckim, poświęcał się Jacek Stopka przez lat cztery (1864—1868) studyom teologicznym i zdał wszystkie egzamina *cum eminentia,* jak tego dowodzą przechowane świadectwa. Odznaczył się szczególnie w językach wschodnich: syryjskim, arabskim i chaldejskim. Wyświęcony na kapłana w Tarnowie d. 21 lipca 1868 r. przez X. Biskupa Pukalskiego, pełnił obowiązki wikaryusza w miasteczku Niepołomicach (należącem podwówczas do dyecezyi tarnowskiej), a od r. 1874—76 zajmował posadę kapelana szkoły rolniczej w Czernichowie, gdzie zjednał sobie, jako profesor religii, języka polskiego i pomocniczo niektórych innych przedmiotów niezwykły mir; wydane mu bowiem przy opuszczeniu tego stanowiska świadectwo ówczesnego «prezesa w kuratoryi»

[1] Trzeba bowiem wiedzieć, że aż do roku 1868 przyjmowano do Seminaryum dyecezyalnego w Tarnowie biedniejszych studentów już po 6-ej klasie gimnazyalnej, utrzymywano ich, tak samo jak kleryków teologów, kosztem państwa i posyłano do publicznego gimnazyum. Takich kleryków gimnazyastów bywało nieraz do trzydziestu. Chodzili w sutannach na wykłady do 7 i 8 klasy gimnazyalnej, które mieściły się podówczas w południowem skrzydle gmachu seminarzyckiego.

tej szkoły z d. 1 lipca 1876 zaznacza, że «stwierdzał zawsze charakter zacny i ducha prawdziwie religijnego, który mu zjednał szacunek tak dyrekcyi zakładu jak i kuratoryi».

Własną pracą, krwawym trudem wyrwał się ten śmiały i dzielny syn górala z pod Czarnego Dunajca z objęć uroczej przyrody tatrzańskiej, aby życie poświęcić dla zdobycia wiedzy i nauki. I posiadł ją obficie; lecz tego wszystkiego było mu za mało. Głęboka wiara i pobożność niezwykła parły go do większego zjednoczenia z Bogiem. Porzucił zdobyte z takim mozołem stanowisko i wstąpił do nowicyatu naszego w Starej-wsi d. 10 sierpnia 1876 r., aby w zaciszu zakonnem znaleźć wymarzony od młodości ideał służby Bożej i swobodę do dalszych studyów tak przezeń umiłowanych. Nieugięta wola, wytrwała natura góralska — i tkliwa, bezinteresowna pobożność sprawiły, że dotarł do mety. Jaśniejący wszelkimi cnotami w pożyciu i stosunkach ze współbraćmi swymi w zakonie, z niegasnącym ani na chwilę zapałem oddał się dalszym naukowym trudom.



O. Jacek Stopka.

Jakoż po złożeniu, d. 13 sierpnia 1878 r., pierwszych ślubów zakonnych, słucha przez dwa lata wykładów filozofii scholastycznej w Starej-wsi, poczem (1880 r.) zapisuje się na Uniwersytet Jagielloński. — Właśnie wtenczas powstała myśl założenia w prowincyi naszej na większą skalę zakładu wychowawczego, w miejsce konwiktu tarnopolskiego, trzeba więc było przygotować zastęp egzaminowanych profesorów. Ś. p. O. Jacek pierwszy z naszych podjął się ochoczo, mimo czwarty krzyżyk na barkach, tej pracy, i zapisał się na Uniwersytet Jagielloński, w którym między r. 1880—83 uczęszczał na wykłady filologii klasycznej pod kierownictwem profesorów: Bandrowskiego, Iskrzyckiego, Kazimierza Morawskiego i Kruczkiewicza, gorliwie nadto studyując slawistykę pod ś. p. zacnym profesorem Malinowskim i uczęszczając na wykłady prof. Creizenacha. W ciągu roku 1884 uzyskał dyplom do nauczania filologii klasycznej w gimnazyach austryackich.

Następnie przez jeden rok uczy w konwikcie tarnopolskim

języka greckiego i drugi rok wykłada obydwa języki klasyczne scholastykom naszym w Starejwsi, aż gdy w r. 1886 otwarto gimnazyum chyrowskie, został mianowany dyrektorem (t. j. prefektem nauk) w tymże zakładzie i piastował ten urząd przez lat 7 wśród najtrudniejszych warunków.

Stargawszy swe siły, złożył w roku 1893 ten ciężki urząd i obok pracy nauczycielskiej, której nie zarzucał, wszystek wolny czas poświęcił odtąd na pisanie słownika grecko-polskiego do autorów czytywanych w gimnazyach. Mrówcza ta praca, wykonywana z największą sumiennością, cechującą ś. p. zmarłego w każdym jego trudzie, pożarła resztki jego sił fizycznych, już i bez tego nadwątlonych tyloletnimi wysiłkami. Dzieła dokonał — obecnie jest ono w rękach c. k. Rady szkolnej krajowej — ale zato nadwerężył wzrok. Ostatnie lata życia z tego powodu były dla niego wielkim ciężarem; ale wszelkie boleści znosił z heroicznem męstwem i najgłębszą pokorą chrześcijańską, zostawiwszy po sobie piękny przykład niezrównanej pracowitości i wyzyskania swych talentów dla dobra naszej młodzieży... aż do ostatniego szelążka.

Czynnym był O. Stopka jako profesor w Chyrowie aż do roku 1902. Gdy jednak do utraty prawie zupełnej wzroku przyłączyło się częściowe sparaliżowanie ciała, utrudniające chód i mowę, wysłali go przełożeni do Nowego Sącza, gdzie pomagał, ile mógł, w konfesyonale. Chciano jeszcze spróbować, czy nie przyniesie mu polepszenia górskie powietrze rodzinnego Podhala i dlatego wysłano go na stały pobyt do rezydencyi w Zakopanem. Atoli nadzieja ta zawiodła. Wrócił tedy O. Jacek do Chyrowa i tu po kilku miesiącach zakończył życie. W przeddzień śmierci był jeszcze na wspólnej rekreacyi, rozmawiał wesoło i żartował. Całą następną noc widocznie miał się niedobrze i nie kładł się wcale, gdyż widziano o różnych godzinach światło u niego, a kiedy rano o godzinie 6½ wszedł do jego pokoju jeden z chłopców służebnych, znalazł go leżącego na podłodze, a łóżko było posłane. Natychmiast przybiegło na ratunek kilku Ojców i Braci, udzielono bezprzytomnemu absolucyi i Sakramentu Ostatniego namaszczenia; przywołany lekarz Dr. Mężyk stwierdził już tylko ostatnie konanie, a wkrótce potem śmierć.

Ś. p. O. Stopka umarł o godz. 7½ rano d. 22 grudnia 1904 r., pochowany w wigilię uroczystości Bożego Narodzenia.

Kapłan pobożny, gołębiczej prostoty zakonnik, cichy, posłuszny, pracowity, nikomu nie przykry a uczynny dla wszystkich, wielki miłośnik zakonnego ubóstwa, zostawił wśród nas najlepszą po sobie pamięć.

* * *

W czasach studenckich, a nawet i wtedy gdy już był księdzem świeckim, pisywał rzewne, a zawsze głęboką tchnące pobożnością wierszyki. Ogłosił drukiem dwie broszurki dla dzieci wiejskich:

Pamiątka stulecia kanonizacyi św. Jana Kantego. Napisał Jacek Stopka słuchacz III r. św. Teologii. Tarnów, druk Rusinowskiego 1867. 16, str. 32 (wierszem).

Historya narodu polskiego skrócona. Napisał ks. Jacek Stopka. Tarnów, druk Rusinowskiego 1873. 16, str. 39 (prozą).

Jedno kazanie O. Stopki (na Niepok. Pocz. N. M. P.) drukowane w «Kazaniach i Szkicach Księży T. J.» tom VIII str. 261.

O. Michał Jakubiński

zmarły w Starejwsi d. 27 lutego 1905 r.

Urodził się 16 sierpnia 1855 r. w miasteczku Jaćmierzu, niedaleko od Starejwsi. Rodzice jego zacni mieszczanie, Stanisław i Rozalia z Jakubowskich Jakubińscy, byli bardzo cnotliwymi i pobożnymi ludźmi. Ojciec z zawodu stolarz, choć zajęty ciężką pracą, nawet w dni powszednie na Mszę św. do kościoła uczęszczał, prosząc Boga dla siebie i swojej rodziny o opiekę i błogosławieństwo. To też P. Jezus widocznie się tą rodziną zaopiekował, bo i wśród doczesnego błogosławieństwa krzyżów im swoich nie szczędził i dwóch ich synów do swojego zakonu, do Towarzystwa Jezusowego łaskawie powołał. A mieli ich tylko dwóch: Michała starszego i Leona. Pragnąc dać im wykształcenie i zapewnić lepsze jakieś w świecie, za Bożą pomocą, stanowisko, obydwóch po ukończeniu szkoły parafialnej w Jaćmierzu, oddali do szkoły normalnej w Sanoku, a potem do gimnazyum w Jaśle.

Michał z natury żywy, ciekawy i sprytny, zwłaszcza w zawodzie praktycznym, już od pierwszej młodości za przykładem i nauką rodziców dawał dowody pobożności i przywiązania do kościoła: codziennie służył do Mszy św., a względem miejscowego proboszcza X. Kulczykowskiego, wielce dla studentów łaskawego, okazywał serdeczny, synowski niemal afekt. Do Starejwsi przychodził często z rodzicami na odpusty; tu też u stóp cudownego obrazu posłyszał i zrozumiał głos Boży, powołujący go do zakonu. Za tę wielką łaskę później, u schyłku życia swego dość krótkiego, pięknie się odwdzięczył Matce Boskiej Starowiejskiej.

Po ukończeniu klasy 4-tej gimnazyalnej wstąpił do nowi-

cyatu w Starejwsi 12 września 1873 r., w 18-tym roku życia.[1] Przebywszy zwykłe próby i studya w zakonie z przerwą trzech lat, w których przed rozpoczęciem teologii zatrudniony był w konwikcie tarnopolskim jako prefekt dywizyi i nauczyciel drugiej klasy gimnazyalnej — otrzymuje święcenia kapłańskie w 1886 r., poczem znów jeszcze rok jeden był prefektem konwiktorów w Tarnopolu i jeden rok wykładał humaniora klerykom bazyliańskim w Dobromilu, resztę zaś lat życia poświęcił gorliwej pracy kapłańskiej w trzech domach naszych: w Stanisławowie (8 lat na trzy zawody), w Nowym Sączu (1 rok) i wreszcie w Starejwsi (6 lat), gdzie na urzędzie zarządcy parafii wytrwał aż do końca życia.

Do pracy apostolskiej rwała się jego gorąca dusza. Misyonarzem nie był w całem tego słowa znaczeniu, bo na to nie pozwoliły mu siły fizyczne dość wątłe, ale od pracy misyonarskiej nie stronił, owszem dość często się jej podejmował, choć na mniejszą skalę,[2] a całą duszą pracował jako robotnik dobry na ambonie i w konfesyonale. Bywało, że nieraz w Stanisławowie, gdy wszyscy inni księża rozjechali się na misye, on sam jeden tygodniami w ormiańskim kościele (bośmy wtedy jeszcze nie mieli własnego) cały ciężar pracy ponosił, a oprócz tego i domem zawiadywał i w ogrodzie, gdzie wiele ulepszeń zaprowadził, jako zamiłowany pomolog roboty podejmował i towarzyskie stosunki podtrzymywał z miastem. Jego wziętości u ludzi zawdzięczać ma w znacznej części rezydencya tamtej-

---

[1] Ważniejsze daty z jego życia zakonnego:

1873—75 nowicyat w Starejwsi; pierwsze śluby d. 13 września 1875 r.

1875—81 w Starejwsi na retoryce trzy lata i tyleż na filozofii. Święcenia niższe otrzymał z rąk Arcybiskupa orm. X. Romaszkana d. 4 września 1877 r. w czasie uroczystości koronacyjnych obrazu M. B. Starowiejskiej.

1881—82 w konwikcie tarnopolskim prefektem najmłodszej dywizyi.

1882—84 tamże uczy w 2 klasie gimnazyalnej.

1884—86 w kolegium krakowskiem słucha teologii skróconej. W r. 1886 udzielił mu ks. Biskup Dunajewski święceń wyższych: subdyakonatu w Niepołomicach 27 czerwca, dyakonatu w Krakowie 29 czerwca, presbyteratu w Staniątkach 4 lipca. Prymicye 5 lipca w naszym kościółku na Wesołej.

1886—87 w Tarnopolu prefektem najstarszej dywizyi.

1887—88 w Starejwsi na 3 próbie.

1888—89 w Stanisławowie kaznodzieją i spow. Tamże złożył ostatnie śluby d. 2 lutego 1889 r.

1889—90 w Dobromilu uczy klasycznych języków kleryków bazyliańskich.

1890—94 w Stanisławowie kaznodzieją, spowiednikiem, a w ostatnim roku także duchownym domu.

1894—95 w Nowym Sączu kaznodzieją, spowiednikiem.

1895—98 w Stanisławowie duchownym w domu, operaryuszem w kościele.

1898—1905 w Starejwsi zarządcą parafii aż do końca życia swego.

[2] Tak n. p. brał udział w Zawałowie i Powitnie (1888 r. w jesieni); w rekolekcyach misyjnych w Stryju (marzec 1899), tudzież w Trześniowie i Golcowej (w jesieni 1900). W ostatnich latach swego życia udzielał dość wiele razy rekolekcyj licznie zebranym z bliższych i dalszych stron Służebniczkom w Starejwsi, a także w Bilce i Jabłonowie.

sza niejeden cenny dla domu i zakrystyi nabytek i że myśl budowy kościoła i nowego domu życzliwie powitano i do tego dzieła chętnie się przyczyniono. Z jakim nakładem pracy i z jakiem zarazem powodzeniem cicho a zbożnie pracował ś. p. O. Michał w Stanisławowie, to świadczy o tem pozostały po nim stos kazań tamże wyrobionych, i niewygasła latami i oddaleniem i śmiercią samą pamięć na niego u dusz, które do Boga prowadził. Kaznodzieją w wielkim stylu nie był. Schodziło mu na polocie krasomówczym, ale za to odznaczał się w swoich kazaniach jasnością wykładu, praktycznością zastosowanej a opartej na znajomości życia, bożej nauki. Lubił często mówić o wychowaniu dzieci. Mówił głosem bardzo donośnym, wyraźnym, a z dźwięku jego mowy przebijało się przekonanie o tem co mówi i przejęcie się wielkie przedmiotem. Słuchano go zawsze z uwagą, a słowa jego znachodziły posłuch u wiernych. Jeszcze więcej cenionym był jako spowiednik. Choć może z pozoru wydawał się za surowym, w gruncie rzeczy dla dusz szukających Boga był i wyrozumiałym przewodnikiem i roztropnym doradcą i pełnym miłości ojcem. To też zdania jego w sprawach sumienia chętnie zasięgano. Umiał też praktycznie zaopiekować się tymi, których mu Opatrzność Boża powierzyła. Zrozumiawszy ducha czasu, pracował pilnie nad sługami i robotnikami.

Wieloletniem doświadczeniem wzbogacony objął w zarząd parafię przy kościele starowiejskim d. 27 września 1898 roku. Prowadzenie tej parafii nie jest wcale łatwem zadaniem, przedewszystkiem dlatego, że trudno nią jednolicie pokierować; parafianie bowiem mając obok ks. proboszcza bardzo wielu innych kapłanów, łatwo mogą pominąć swego duszpasterza, a u innych księży szukać, nawet w ważnych sprawach porady. Skutek pokazał, że ś. p. O. Michał umiał pominąć wszelkie szkopuły, by utrzymać parafian w należytym względem siebie stosunku, zyskać ich posłuch, zaufanie i poważanie. Parafia miała w nim prawdziwego dusz swoich pasterza. Przedewszystkiem słuchał spowiedzi swoich parafian i takowym, gromadzącym się około jego konfesyonału, mimo nieraz wielkiego natłoku obcych ludzi, zawsze dawał pierwszeństwo. Choć wielu innych Ojców było w każdej chwili gotowych do posługi wiernym, on nieraz pozbawiał się dlatego tylko jakiejś rozrywki i odpoczynku, nie opuszczając domu, aby mógł być gotowym na zawołanie swoich parafian. Kazania do parafian miewał często, a w rekolekcyach dla nich urządzanych wielkiego dokładał starania, aby dobrze wypadły i sam nieraz brał w nich czynny udział. W zarządzie parafii był do tego stopnia stanowczym, że od jego wyroku nie było apelacyi. To też parafianie wiedzieli, że trzeba koniecznie słuchać rozporządzeń proboszcza, choćby one były przykre. W ten sposób usunął rozmaite nadużycia przy weselach i chrzcinach i to nieraz z narażeniem się na nieprzyjemności. Aby po-

znać parafię i z każdą duszą sobie powierzoną zetknąć się, odwiedzał pilnie raz na rok wszystkie domy, korzystając z tak zwanej «kolendy» w czasie Bożego narodzenia. Każda rodzina wówczas, każdy nawet członek tejże usłyszał słowo zachęty, nagany, czy przestrogi. Jak zaś kochał parafię i dbał o jej moralne i doczesne dobro, to świadczy nam o tem ten fakt, że odczuwał głęboko każdy wypadek smutny, czy gorszący i bolał nad nim serdecznie. W parafii za jego poradą i pomocą powstały dwa sklepy katolickie, a kilku gospodarzy, zachęconych przez niego do zakładania ogródków owocowych, poszło za tą radą i nie wzgardziło jego cennemi wskazówkami. Zaprowadził też wieczorne pogadanki dla gospodarzy w sali szkolnej, na które zbierali się dość licznie w każdą niedzielę po nieszporach. Na tych pogadankach najpierw on sam przewodniczył, a później inny ksiądz (O. Czencz), gdy mu zajęcie i zdrowie na to nie pozwoliły. Sam zaś wszedł w Radę gminną jako jej członek i tam, broniąc praw gminy, krzyżował plany złych ludzi, takowych albo odsuwając od nieprawnie posiadanego wpływu, albo ich zamiary złe odkrywając i niwecząc. A kiedy widział, że parafia potrzebuje osobnego cmentarza, bo dotąd był jeden cmentarz wspólny z miastem Brzozowem, wszelkich dołożył starań i w gminie i w Starostwie i u Najprzew. X. Biskupa, by osobny otworzyć cmentarz dla parafii i dokazał tego dzieła.[1] To też parafianie za tę troskę o dobro ich parafii, otoczyli go czcią prawdziwą i życzliwością: dobrzy kochali go, źli się bali i z bojaźni przynajmniej chronili się złego. Jeszcze i o tem wspomnieć się godzi, jako o fakcie świadczącym o jego szlachetnem sercu, że nietylko myślał o sobie, ale i o następcach swoich, albowiem dla ułatwienia pracy w urzędzie parafialnym, (przy pomocy swego brata, O. Leona Jakubińskiego) ułożył skorowidz genealogiczny wszystkich rodzin aż do czwartego pokolenia. To dzieło było owocem dwuletniej mozolnej pracy.

Główną atoli uwagę zwrócił ś. p. O. Michał Jakubiński, jako proboszcz, na szkołę miejscową. Pojął on prawdziwie po jezuicku wychowanie młodzieży w duchu wiary i ważność nauki katechizmu. Toż przedewszystkiem sam zaczął udzielać

---

[1] Pod ów cmentarz dla parafii Starowiejskiej zakupiła gmina pole z gruntów należących do stołu biskupów przemyskich. Położone ono koło figury (kolumny) stojącej na wzgórku między Brzozowem a Starąwsią, przy której zbierają się rok rocznie Słowacy z Homonny, przybywający na odpust do Starejwsi 8 września, a ciągnie się równolegle do drogi w stronę kościoła. Ś. p. O. Michał załatwił już był wszystkie formalności, już nawet wytyczono palikami miejsce, a krzyż dębowy wyciosano, aby go tam postawić, już i pozwolenie miał na poświęcenie tego cmentarza, ale śmierć przedwczesna nie pozwoliła mu nawet spocząć na tem miejscu, choć sobie tego życzył. Dziś to pole, zaraz po jego śmierci uplantowane i odgrodzone od reszty gruntów rowem i zasadzonemi dookoła drzewkami, jest już miejscem wiecznego spoczynku dla zmarłych parafian starowiejskich.

jak najregularniej nauki katechizmu w szkole. Wspominam o tem jako o wielkiej jego zasłudze, bo zanim on objął parafię, ważną tę placówkę w szkole obsługiwali dorywczo i bez należytego przygotowania i wprawy, po największej części Scholastycy, bawiący na studyach humaniorów w Starejwsi. Wytrwał on na tym posterunku z dziwną, że tak powiem, ale bożą pedanteryą, przez lat siedm, aż dopiero choroba przerwała mu tę pracę. Ile stąd urosło dobra dla dusz i dla rodzin katolickich, pokaże to przyszłość w pokoleniu przez niego wychowanem; na razie poznać było można jego gruntowną pracę przy słuchaniu spowiedzi dzieci szkolnych. Na tem jednak nie ograniczyła się jego opieka nad dziećmi. Zadał sobie nową, żmudną pracę, zaprowadzając między dziećmi kasę oszczędnościową, którą sam prowadził przy pomocy nauczycielki p. Chlebińskiej, przyuczając przez to dzieci do rozumnej, a tak naszemu ludowi potrzebnej oszczędności. Bywało, że dziewczynka, ukończywszy szkołę, podejmowała gotówką z kasy 30 i 40 koron. Wszedł nadto w Radę szkolną miejscową, a zostawszy jej przewodniczącym, z poświęceniem wielkiem czuwał tak nad nauczycielami jak i nad powierzoną sobie szkołą. On to znowu jako proboszcz i przewodniczący rozpoczął energiczne starania, by zmusić władzę szkolną do postawienia nowej szkoły na miejscu zdrowotnem. Stara bowiem szkoła urąga wszelkim prawom pedagogii, hygieny i dydaktyki. Sprawa, choć wśród trudności niemałych, postępowała naprzód. Było już nawet miejsce pod nową szkołę zakupione, gdy wtem śmierć przedwczesna przerywa te zabiegi, a źli ludzie, otrzymawszy pole wolne do działania, nie natrafiając już na podobny opór, sprawę tę znowu na jakiś czas zabili.[1]

Gorliwość jego atoli o chwałę Bożą zajaśniała dopiero w całym blasku w powziętej na szeroką skalę pracy nad upiększeniem kościoła starowiejskiego. W roku 1886 zniszczony pożarem kościół starowiejski powoli staraniem OO. rektorów kolegium i administratorów parafii dźwigał się ze znacznego zniszczenia. Albowiem choć dach nowy dano i wybudowano wieże przepiękne i sprawiono organy i dzwony, to jednak wewnętrzne urządzenie kościoła dużo pozostawiało do życzenia. Posadzka w wielu miejscach zepsuta, ołtarze zniszczone gwałtownie wołały o naprawę. Ołtarz wielki, przepięknej roboty włoskiej cały marmoryzowany, stracił zupełnie swój wygląd uroczysty, a odnowienie jego w r. 1877 dokonane przez Niemca Stolpera ze Śląska pruskiego, źle zrobione i pofałszowane, najfatalniejsze wydało

[1] Pierwotna szkoła parafialna w Starejwsi stała tuż obok kościoła, między dzisiejszymi schodami kościelnymi a kaplicą odpustową, oparta tylną ścianą o mur ogrodu kolegiackiego. Uczył w niej organista Józef Reszko. Stąd przeniósł ją O. Baczyński (około 1863 r.) na to miejsce, gdzie jest obecnie dom ubogich, zwany powszechnie szpitalem, a potem (1876 r.) cofnięto ją jeszcze dalej od drogi, frontem do kościoła, gdzie się obecnie znajduje.

skutki. Złocenia bowiem częścią zniszczone w czasie pożaru, częścią źle zrobione, zepsuły się i zczerniały, a piękny wygląd marmoryzowanego tła i okazałych filarów przybrał wstrętny widok starej, zżółkłej, pomarszczonej twarzy. Artysta bowiem ów Niemiec, aby ułatwić sobie pracę, zamiast zwykłą, wielce żmudną drogą wywołać na gipsaturze połysk marmuru, takowy zastąpił grubą warstwą pokostu, który z czasem pomarszczył się i pożółkł. Olbrzymie schody prowadzące do kościoła, a zbudowane tylko na ziemnym nasypie, poczęły się usuwać. Kościół zaś cały, wskutek kilkakrotnego bielenia, w ciągu lat stracił w swych delikatnych a pięknych ozdobach barokowych, na kapitelach, fryzach i pilastrach cały swój artystyczny wygląd. Prace poprzedników ś. p. O. Michała, aczkolwiek nie małe i nie pozbawione zasługi i uznania, skierowane atoli więcej do szczegółów, ginęły w tym ogólnym braku, jak kropla w morzu. Ś. p. O. Michał okiem znawcy dostrzegł te wszystkie główne braki i, choć w części, postanowił im zapobiedz. Na postanowienie takie nie łatwo musiał się zdobyć wobec trudności zewsząd się piętrzących — i trzeba było niemałej ufności w Opatrzność Bożą i pomoc Matki Najśw. Starowiejskiej, by podjąć się dzieła obrachowanego na kilkadziesiąt tysięcy koron, wobec kasy pustej i nieznacznych dochodów. Niejeden byłby się zadowolnił częściową naprawą. Tymczasem ś. p. O. Michał zaraz po objęciu parafii usuwa starą posadzkę, a zastępuje ją nową, steingutową wprawdzie, ale w kostki starannie ułożoną. Ile przez tę posadzkę zyskał kościół na czystości, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że to kościół odpustowy, skutki najlepiej o tem przekonują. Dokonawszy jednej wielkiej rzeczy, nie poprzestał na tem, ale wziął się do innego, większego jeszcze dzieła. Nasuwa się mu myśl, by zbudować trwałe, monumentalne schody wiodące do kościoła, w miejsce starych, prostych i nietrwałych, bo na nasypie ziemnym zbudowanych.[1] Za myślą idzie czyn. Plan

[1] Aż do objęcia w zarząd parafii starowiejskiej przez ś. p. O. Baczyńskiego 1863 r., wchód do kościoła przedstawiał się tak: Był nasyp ziemny, sięgający do wysokości progu drzwi wchodowych i z lekka opadający ku drodze; miejsce zaś przed kościołem było nie oparkanione, lecz tylko otoczone z trzech stron włoskiemi topolami. Dopiero O. Baczyński, po usunięciu wszelkich przeszkód jakie napotkał w odgrodzeniu miejsca przed kościołem od pola i drogi i w przydzieleniu go tylko na cele kościelne, takowe miejsce otoczył zamiast szpaleru topoli które wycięto, murem, obsadził drzewami i ozdobił (1866 r.) czterema kaplicami (piąta kaplica, dla nabożeństw w czasie odpustów, przylegająca do muru ogrodowego, stanęła 1873 r., za rektorstwa O. Jackowskiego) u wejścia zaś do kościoła zbudował schody. Były one dość okazałe, ale spoczywały tylko na nasypie. Ściany tego nasypu do wysokości drzwi kościelnych były zbudowane z cokli kamienia piaskowego, przed drzwiami dość obszerna rozciągała się platforma, wyłożona płytami kamiennemi, na nią prowadziły schody również kamienne, a całość była ujęta balustradą kamienną, dość udatnie zrobioną. Wchód był tylko jeden, choć obszerny, jednak dla mas tłoczących się tam i napowrót, jeszcze za szczupły. Ale z czasem i schody poczęły się

schodów wyrabia budowniczy p. Krzyżanowski z Krakowa, a kosztorys oblicza na 24.000 koron. Ś. p. O. Michał bierze się zaraz do budowy i w jednym roku stają prześliczne schody, najściślej wybudowane według planu. Dzięki pracy «na ofiarę» oraz dozorowi osobistemu i zapobiegliwości ś. p. O. Michała, koszta rzeczywiste spadły do 12.000 koron[1]. Budowa tych schodów, ich wygląd odpowiadający wspaniałej facyacie kościoła i wygoda dla tłumów gromadzących się na odpusty, zasługują na szczególniejszą naszą wzmiankę. Schody one przetrwają wieki, bo oparte są na sklepieniach, a stopnie mają granitowe. Dwa podia, wyłożone płytami marmurowemi, ułożonemi wzorzysto, łatwym czynią, nawet dla starców, dostęp do kościoła, a trzy wejścia: jedno frontowe szerokie i wspaniałe, dwa boczne na skrzydłach puszczone w łuk, sprawiają, że i przy największych masach pobożnego ludu nie ma obawy ścisku i niebezpieczeństwa wynikającego z natłoku. Sam zaś wygląd schodów, artystycznie wykonanych, wprost imponuje. Olbrzymia a kształtna ich postać zachwyca oko, które nie doznając rozdźwięku między nimi a barokowym stylem facyaty kościoła, chętnie ogląda ładnie i stylowo z żelaza wyrobione, a na mocnych filarach kamiennych osadzone latarnie i piękną po bokach schodów biegnącą balustradę żelazną. Z okazyi budowy schodów, wyrównał ś. p. O. Michał obszerny cmentarz przed kościołem, otoczony murem, dotąd zbyt spadzisto zbiegający do drogi i wybudował ładną bramę wchodową na cmentarz, o trzech wejściach, na której od drogi widnieje napis «Salve Regina», a od wnętrza cmentarza rok budowy jej i schodów: 1900. Od bramy do samych schodów prowadzi dobrze zbudowany z płyt kamiennych, dość obszerny chodnik.

Kto zna choć pobieżnie kościół starowiejski w czasie odpustu, ten wie, że nieraz pod naporem tłoczących się mas ludu pękała balustrada, oddzielająca nawę główną od presbyterium, ten również pamięta, jak trudnem i wprost niebezpiecznem,

---

psuć, jako z miękkiego kamienia, i nasyp począł się usuwać i zagłębiać. Na platformie w czasie deszczu tworzyły się zbiorniki wody. Przyczyna była ta, że kiedy budowano schody na nasypie, umieszczono w nim mnóstwo wielkie kości zebranych z pieczar kościelnych. Psucie się tych kości, przy zaciekaniu wody deszczowej do wnętrza nasypu, powodowało zapadanie się nasypu i schodów. Przy budowie nowych schódów wydobyto z nasypu około sześć beczek kości, które O. Michał Jakubiński przy ceremoniach kościelnych uczciwie pochował na cmentarzu przed kościołem.

[1] Dzięki staraniom osobistym ś. p. O. Michała, lud nietylko starowiejski ale i z okolicznych wsi spieszył ochotnie do pracy «na ofiarę» przy budowie schodów. I tak dziewczęta starowiejskie i z Gołaszówki, kolejką według numerów, przychodziły do roboty, gospodarze jeździli po kamienie. Pomogli im w tem, a nawet zapoczątkowali Trześniowianie i Haczowianie. Sporo też robotnika przychodziło z Bliznego, Malinówki, Wólki i Orzechówki. Kobiety zaś starowiejskie i bliźnieńskie przynosiły codziennie, również «na ofiarę», dla robotników «na ofiarę« pracujących masło, ser i chleb.

zwłaszcza przy ścisku, było wejście jedno jedyne o schodkach stromych, o wązkim otworze, do cudownego obrazu Matki Boskiej. Wprost poczytać można za cudowną łaskę Matki Boskiej Starowiejskiej, iż tam nigdy żadna katastrofa nie miała miejsca. Dziś, dzięki ś. p. O. Michałowi, silna dębowa balustrada oddziela nawę od presbyterium, a do obrazu Matki Boskiej prowadzą podwójne schodki o nadzwyczaj silnej budowie, osobne dla wchodzących, osobne dla schodzących. Nadto starą, zniszczoną już balustradę, okalającą wielki ołtarz, zastąpiono nową, artystycznie z dębowego drzewa wyrobioną. Wszystko to zaś jest robotą znanego z prac swych gruntownych i artystycznych, p. Kruka ze Lwowa. Jeśli do tych prac dodamy nowo sprawione stopnie wszystkich ołtarzy z polerowanego śląskiego granitu, to będziemy mieli obraz pracy ś. p. O. Michała do r. 1901 podjętej w celu upiększenia kościoła.

Mądrość ludzka mogła teraz śmiało doradzać O. Michałowi Jakubińskiemu, by sobie odpoczął po dokonaniu tylu dzieł, a innym też coś do zrobienia zostawił, zwłaszcza że nadszarpane siły pracą i słabe zdrowie i rozwijająca się choroba piersiowa, domagały się spoczynku. Ale czy ś. p. O Michał o tem myślał? Prawda, prosił, aby go z urzędu zwolniono i miał nadzieję; ale mimo to — podnoszę ten rys charakteru, jako bardzo piękny — nie opuścił rąk i nie powiedział sobie: «dość się natrudziłem, niech się też i inni trudzą». Jednego nie skończywszy, począł myśleć o czemś nowem, nie dbając na to, czy zostanie nadal na urzędzie, czy nie. Umysłowi jego czynnemu i praktycznej naturze nasunęła się myśl śmiała, mianowicie: czyby nie pomalować kościoła i nie odnowić artystycznie ołtarzy, a przynajmniej na razie ołtarza wielkiego. Myśl ta napotkała na wiele trudności. Jedni mówili: za wielki koszt; inni, patrząc głębiej w rzecz, wątpili, czy znajdzie się ktoś, któryby odpowiednio do stylu kościoła, potrafił takowy pomalować, upiększyć, a nie zepsuć; inni wprost wykluczali wszelkie malowidło, twierdząc, że tak najlepiej, jak jest i że, cokolwiek będzie, zepsuje wygląd kościoła. Atoli myśl raz zrodzona u ś. p. O. Michała, po otrzymanem przyzwoleniu ze strony Przełożonych, wnet się, jako u człowieka czynu, zamieniać poczęła w rzeczywistość.

Wczesną wiosną 1904 r. wnętrze kościoła starowiejskiego poczęło się zapełniać lasem smukłych jodeł,[1] służących za oparcie dla rusztowania. Równocześnie poczęto rozbierać z ozdób ołtarz wielki, aby go gruntownie odnowić. Wybrano malarza,[2] środku-

---

[1] Drzewo na londyny podarował Najprzew. X. Biskup Pelczar, początkowo tylko do użytku, a potem zupełnie. Desek potrzebnych na rusztowanie częściowo dostarczyli ludzie ze Starejwsi.

[2] Był nim p. Bergmann, mieszkający w Krośnie. Malował on przedtem kościół w Błażowej ku ogólnemu zadowoleniu miejscowego proboszcza i okolicznych księży.

jącego między wyborowym artystą a prostym malarzem dekoracyjnym, i polecono mu pomalować kościół odpowiednio do stylu, bez malowania obrazów. Zaczęła się najpierw robota murarzy, którzy gruntownie czyścili ściany i ozdoby kościoła z kilku warstw wapna i naprawiali w wielu miejscach zepsuty tynk; potem za nimi szła ślad w ślad robota malarska. Z drżeniem serca czekaliśmy na pierwsze pociągnięcia pędzla. Jakież było nasze zadowolenie, kiedy, ujrzawszy część pomalowanego sklepienia i oko się ucieszyło i serce poczęło róść w nadzieję, że będzie ładnie, że będzie dobrze. Kilka miesięcy roboty — a oto i świątynia Matki Boskiej Starowiejskiej, przybrana w odświętną szatę miłego dla oka i dość podniosłego dla serca malowania, wystroiła się jak mogła przy swojem ubóstwie, na wielkie święto roku jubileuszowego Najśw. Panny Niepokalanej. Pomalowanie kościoła starowiejskiego było wotum ś. p. O. Michała dla Najśw. Maryi Panny. — Pracę bardzo gruntowną nad odnowieniem wielkiego ołtarza i przystrojeniem go jak najwspanialej rozpoczęto zaraz, ale śmierć, która przerwała nić pracowitego żywota O. Michała, nie pozwoliła mu już oglądać tego dzieła, które w swem urzeczywistnieniu przewyższyło wszelkie nadzieje i zamieniło ołtarz w prawdziwe cacko artystyczne, godne tak wielkiej Królowej i Matki Miłosierdzia, Maryi, która z tego ołtarza w cudownym obrazie całej ziemi sanockiej przez wieki króluje[1].

---

[1] Odnowienie ołtarza poruczono Br. Janowi Klimkowi. Znany on już w zakonie z gruntownych a pięknie i artystycznie wykonanych prac kościelnych. Jest on z zawodu rzeźbiarzem. Pracował już poprzednio (wraz z dwoma innymi Braćmi) nad wewnętrzną dekoracyą kaplicy domowej w kolegium starowiejskiem. Jego też dziełem według własnych planów, to ołtarze i ozdoby tak w drzewie i gipsie, jak i złocenia w naszym kościele tarnopolskim, które swym artystycznym wyglądem zwróciły na siebie oczy ludzi z komitetu konserwatorów sztuki i zabytków polskich. — Odnowienie ołtarza starowiejskiego potrzebowało koniecznie znawstwa sztuki marmoryzowania. Sztuka ta dość trudna, znana dawniej mistrzom włoskim. Zmarły przed dwoma laty w Starejwsi Br. Bartłomiej Sagadyn posiadał właśnie tę sztukę, wyuczywszy się jej, jak sam często mówił, «od ostatnich mistrzów polskich». Staruszek ten, chociaż jeszcze nie było nawet mowy o odnawianiu ołtarzy w Starejwsi, powtarzał nieraz: «jak umrę, to już po mnie nikt tej sztuki nie będzie umiał; trzeba kogoś nauczyć» — a poznawszy zdolność w tym kierunku Br. Klimka, na niego zwrócił swe oczy. Począł go zapoznawać z tą sztuką teoretycznie, ale tylko dorywczo; dla praktycznej zaś nauki, za pozwoleniem Przełożonych, mieli wymarmoryzować mały pokoik, przylegający do rozmownicy. Już tynk odbili ze ścian, już założyli grunt pod marmoryzacyę, gdy wtem Br. Sagadyn ciężko zapada na zdrowiu i umiera. Br. Klimkowi pozostawił tylko trochę teoryi i narzędzia. To wystarczyło, aby Br. Klimek, przy pomocy Bożej, odkrył tajemnicę tej sztuki. Odnowiona marmoryzacya wielkiego ołtarza całym swym przepychem świadczy, że posiadł tę sztukę. Br. Klimkowi pomagali w odnowieniu ołtarza jego dawny uczeń w rzeźbiarstwie p. Stanisław Bielawski, rodak starowiejski, i dwaj chłopcy, obecni jego uczniowie.

Warto też wspomnieć coś o samej pracy koło odnowienia ołtarza. Otóż, gdy zdjęto zeń rzeźby, a była ich zastraszająca moc, przekonano się, że wszystkie literalnie zdziurawione robactwem. Po dokładnem zbadaniu musiano

Była to ostatnia praca ś. p. O. Michała, ale ostatnia dlatego, że mu na dalsze prace nie jego postanowienie, ale sam Bóg najwyższy nie pozwolił. Że tak było, to dowód w tem, iż nie skończywszy wewnętrznej roboty w kościele, gromadził już materyały do odnowienia kościoła na zewnątrz. Tem większa to i wspanialsza w oczach Bożych praca, że podjęcie się jej i czynny w niej udział w dozorze ciągłym roboty, do reszty słabe jego siły wyczerpały i rozwinięcie się choroby płucnej przyspieszyły. Od kilku lat utajona choroba piersiowa a objawiająca się silnym kaszlem, który go codziennie po kilkakroć męczył, nieraz aż do wyczerpania, znalazłszy w jego pracy wielkiego sprzymierzeńca, rozpanoszyła się na dobre. Już w listopadzie 1904 r. zapadł O. Michał na influencę i nibyto na gardło. Jeszcze niezupełnie wyzdrowiał, gdy, według planu, trzeba było urządzić rekolekcye trzydniowe dla parafian przed świętem jubileuszowem Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej. Zabrakło misyonarza i O. Michał głosił parafianom z wielkim zapałem i po dwie godziny dziennie prawdy Boże. Przetrzymał jako tako tę pracę. Nadszedł czas kolendy po Bożem Narodze-

---

więcej jak trzecią ich część albo zupełnie na nowo robić wedle modeli starych kawałków, albo w większych lub mniejszych częściach, stare, zupełnie zniszczone rzeźby nowemi zastępować. Pozostawione rzeźby, by wyniszczyć tkwiące w nich robactwo, gruntownie moczono, aż do nasiąknięcia w grynszpanie. Naturalnie, że wpierw oczyszczono je jak najstaranniej ze starego złocenia i gruntu gipsowego pod złoto. Tak oczyszczone z robactwa i dokładnie naprawione złocono zupełnie na nowo. Wspomnieć tu trzeba i o tem, że Br. Klimek wynalazł zupełnie inny grunt pod złocenia, nie ulegający wpływom zmian powietrza i wilgoci, jak to próby przedsiębrane wykazały. Wszystkie również figury Aniołów i Świętych na nowo białą farbą pociągnięte.

Zaznaczam dla pamięci pewne zmiany, wprowadzone do ornamentacyi ołtarza, z wielką korzyścią. I tak każdy sobie przypomina, kto uważnie badał ołtarz starowiejski, że na jego filarach spoczywała ogromna, tłocząca swym ciężarem masa podwójnych gzymsów w kolorze szarego marmuru. Gzymsy te rozdzielone były wprawdzie fryzem, ale ponieważ był on tego samego szarego koloru a nadto kształtu brzuchowatego, masy owej szarej nietylko że nie przecinał i nie nadawał jej lekkości, ale zlewając się z nią w jedną całość, niezmiernie powiększał jej ciężar. Brat Klimek wypukłość tego fryzu zniósł, a kolor jego szary zamienił w kolor różowego marmuru, odpowiednio do koloru fryzu w kościele. Nadto rzucił na jego płaską ścianę lekkie w stylu barokowym, *à jour* zrobione, złocone śliczne rzeźby. Odrazu ta masa gzymsów, przecięta tym fryzem, straciła na swej ciężkości, a gzymsy prześlicznie występujące naprzód, uwidoczniły wszystkie swoje kontury. Nadto gzyms w kształcie pół łuku, biegnący po ścianie ołtarza od jednego gzymsu do drugiego, również przedtem jednolitego koloru szarego, poprzecinany został na swej wklęsłości złoconymi, w dół idącymi rowkami. Aby zaś podnieść blask i piękność złoconej i rzeźbionej kotary, otaczającej obraz Matki Boskiej do około, tło tej kotary, przedtem tylko na szaro pomalowane, zastąpiono marmoryzacyą w kolorze marmuru zielonego. Dla obrazu Matki Boskiej zrobiono nową ramę, całą złoconą, z ozdobami barokowemi. Dano również do ołtarza antepedium marmoryzowane, zamiast dawnego malowanego.

Jest jeszcze zaprojektowana w wielkim ołtarzu jedna zmiana, mianowicie postanowiono sprawić nowe tabernakulum w stylu barokowym, aby tak

niu. Z dziwnie silną jakąś stanowczością O. Michał i w tym roku postanowił odwiedzić swych parafian. Może przeczuwał, że to już po raz ostatni odwiedza swoje owieczki. Zima była ciężka i ostra. Poszedł na kolendę, odwiedził z wielkim trudem wszystkie domy w Starejwsi, ale już nie mógł odwiedzić kilkunastu domów w przynależnym do Starejwsi przysiołku Gołaszówce. Nieubłagany kaszel i gorączka trawiąca niszczyły z zawziętością słaby jego organizm. Jeszcze odprawiał mszę św. najpierw w kościele, potem w domowej kaplicy; jeszcze załatwiał parafialne sprawy, ale to wszystko z wielkim wysiłkiem. Nie tracono jednak nadziei. Dopiero w połowie lutego 1905 r. zwołane konsylium lekarzy orzekło, że niema ratunku i dni jego są policzone. Oznaczono koniec jego życia na drugą połowę marca lub na kwiecień. Dnia 19 lutego O. Michał odprawił po raz ostatni mszę św. — był to ostatni jego wysiłek. 24 lutego przeniesiono go z pokoju proboszczowskiego do pokoju obok infirmeryi. Było to w dzień św. Macieja. Rzeczy wszystkie swoje z ubrania polecił poodnosić do krawczarni, mówiąc, że to mu już nie potrzebne, bo za kilka dni umrze.

---

całość zlewała się w jedną harmonię linii i kształtów. Obecne bowiem tabernakulum przed rokiem 1848 sprawione przez naszych, trochę w stylu renesans, obite blachą mosiężną, jest za ciężkie i psuje zupełnie cały urok stylowego ołtarza. Historya tego tabernakulum taka: Pierwotnie było tabernakulum stylowe, ale nie tak wysokie, aby sięgało aż powyżej dolnej części obrazu Matki Boskiej. Stąd pielgrzymi, wchodzący do cudownego obrazu, byli zupełnie widziani od ludzi w nawie kościelnej, co wcale nie przyczyniało się do skupienia w nabożeństwie. Dlatego to usunięto stylowe pierwotne tabernakulum, a uważając na stronę praktyczną więcej niż na artystyczną, kazano zbudować obecne tak wielkie tabernakulum, aby zupełnie zasłonić mogło ludzi wchodzących poprzed sam obraz Matki Boskiej. Pierwotne tabernakulum znajduje się obecnie w kościele parafialnym w Jasionowie, ale oczywiście, o ile można było, poobcinane ze wszech stron, by się mogło zmieścić na małym, stosunkowo do starowiejskiego, ołtarzu. Ale i dziś ono jest stylowe i ma w skrzydłach swoich lustra weneckie.

W kościele starowiejskim były cztery dodatkowe ołtarze. Z tych dwa umieszczone na załamaniu ścian presbyterium przechodzących w ramiona krzyża kościoła, mianowicie: od strony północnej ołtarz św. Teofila, nieznanego atoli dokładnie męczennika, ktorego znaczne relikwie spoczywają nad menzą — i od strony południowej ołtarz Pana Jezusa na krzyżu. Dwa inne ołtarze: św. Walentego i Jana Nepomucena, mieściły się na dwóch filarach po obydwu stronach nawy głównej, frontem do chóru. Postawili je nasi Ojcowie między rokiem 1830 a 1848, lecz niestety nie według stylu kościoła. Dwa pierwsze ołtarze: św. Krzyża i św. Teofila, są bez żadnego stylu, drugie dwa ubogie bardzo, były w stylu renesansowym. Z okazyi malowania kościoła poruszono myśl, czyby tych czterech ołtarzy nie dało się usunąć, bo i nie były koniecznie potrzebne, i psuły symetryę kościoła. Uchwalono, że dwóch pierwszych usunąć nie można, dla wielkiego do nich przywiązania ludu, ale że trzeba je przerobić odpowiednio do stylu kościoła; drugie dwa ołtarze, św. Walentego i Jana Nepomucena postanowiono skasować — i rzeczywiście je skasowano, atoli figury tych Świętych pozostawiono na dawnem ich miejscu, jak były pierwotnie w nyżach filarów; pomalowano je tylko odpowiednio do malatury kościoła w kolorze kremowym, z ozdobami złoconemi. Zyskały one przez to na piękności, a kościół nic nie stracił. Ołtarze św. Krzyża i św. Teofila czekają na odpowiednią przeróbkę.

Zatrzymał sobie tylko starszą suknię [1]. Myślano ciągle, że życie jego przedłuży się jeszcze, atoli O. Michał 25 lutego poprosił sobie jednego z młodszych Ojców i rozpoczął przed nim spowiedź z całego życia. Była to spowiedź długa, przerywana wskutek osłabienia, ale z wielkiem zbudowaniem dla całego domu odprawiona. Ukończył ją 26 lutego w nocy. Noc tę przepędził dość spokojnie, przez nikogo nie strzeżony. Rano 27 lutego powiedział do infirmarza: «dzisiaj coś się wielkiego ze mną stanie» — poczem posilił się, jak zwykle. O godzinie wpół do dziewiątej dzwonek domowy odezwał się nerwowym jakimś wołającym głosem. Wybiegli wszyscy z pokoi i wnet przeleciała smutna wiadomość, że X. Michałowi Jakubińskiemu zrobiło się bardzo źle i że zażądał, aby go zaopatrzono Sakramentami świętymi. Przybiegłszy do jego pokoju, zastaliśmy go już w zapasach ze śmiercią. Był spokojnym, tylko oddychał gwałtownie, jakby go coś dusiło. O. Minister zabierał się do udzielenia choremu ostatniego namaszczenia Olejem św., a drugi ksiądz niósł z kaplicy domowej Pana Jezusa. Umierający powtarzał tylko: «prędzej, prędzej, bo się spóźnicie!» Przyjął Pana Jezusa jako wijatyk, przyjął ostatnie namaszczenie Olejem św. i uspokoił się. Bracia rozeszli się do pracy, zostali tylko księża, by się zmieniać przy chorym. Ale nie było tego potrzeba. Chory trzymał w ręku krzyżyk i koronkę. Życie z każdą chwilą widocznie uchodziło, a on modlił się gorąco aktami strzelistymi: to korzył się przed majestatem Boga i błagał o miłosierdzie, to wznosił duszę swoją przez wiarę, nadzieję i miłość aż do nieba, to uzbrajał się znakiem krzyża św. i składał gorące pocałunki na ranach Pana Jezusa. Ale już i ręce poczęły mu odmawiać posłuszeństwa i głos ustawał. Wtem głowa opadła mu na bok i rozpoczęło się ciche, krótkie konanie. Zwołano wszystkich, poczęto odmawiać modlitwy za konających — udzielono mu rozgrzeszenia. Jeszcze kilka oddechów głębokich, potem spokój — i dusza O. Michała poszła po zapłatę do Pana. Zegar wskazywał pół do dziesiątej. W żałości i ze łzami w oczach odmówiliśmy *De profundis*. Wtem odezwały się wszystkie dzwony na wieżach starowiejskiego kościoła i poczęły długo i żałośnie płakać i płakać, aż się od ich żałości rozpłakały serca parafian, polecających duszę swego proboszcza Bogu. I szedł głos tych dzwonów wraz z wieścią o śmierci O. Michała po całym deka-

---

[1] Ś. p. O. Michał odznaczał się zawsze wielką oszczędnością. Tak n. p. otrzymawszy list, koperty zaadresowanej do siebie nigdy nie niszczył, ale starannie rozlepiwszy takową, w chwilach gdy był zmęczony przewracał ją tak, że była znowu do użytku. W jego koszu napróżnobyś szukał kawałka papieru czystego, choćby z koperty; rzeczy, których używał, tak umiał szanować, że mu na długie lata wystarczały. Śmiano się nieraz w żartach z jego oszczędności, ale skutki pokazały, że będąc oszczędnym jak w drobnych tak w większych rzeczach, dokonał dzieł pokaźnych.

nacie i zasmucił wszystkie serca jego znajomych, przyjaciół i dusz, nad któremi on tak zbawiennie pracował. Pierwszego marca w dzień błogosławionych naszych Męczenników Michała Karwalli i Tow., w dzień ładny i słoneczny tłumy wiernych nietylko ze Starejwsi, ale i z okolicy, już od rana zapełniły po brzegi świątynię starowiejską by jej długoletniemu gospodarzowi, co się o nią tak starał, oddać ostatnią przysługę. Zjechali się i księża proboszczowie z całego dekanatu. Po uroczystem żałobnem nabożeństwie, podczas którego wygłosił z własnej chęci pogrzebową mowę Wbny ks. Kanonik Władyka z Przysietnicy, ze łzą w oku wyruszyły tłumy ludu, odprowadzające zwłoki ś. p. O. Michała na wieczny odpoczynek. I szedł głos jeden cichy a wielki od tych murow świątyni, od ołtarzy i chorągwi i obrazów i od serc ludzkich, i od tego wszystkiego, co dobrze zrobił, przed tron wiecznego Sędziego i Królowej, Matki Miłosierdzia: «Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci».

X. Henryk Haduch T. J.

O. Michał Gruszczyński,

zmarły w Krakowie d. 17 lipca 1905 r.

I czemże całe niebo zasiane gwiazdami?
I czemże całe życie tkane wspomnieniami?
Oto nocą bezsenną, przeciągłą, bez końca —
Dopóki Bóg litośny nie użyczy słońca.

Ks. Al. Jełowicki.

Słowa te piękne wypisał zaraz na pierwszych kartach swego pamiętnika ś. p. O. Michał Gruszczyński i od nich to zaczynam jego życiorys, bo zdaje mi się, że w nich streszcza się choć krótkie, ale pełne prac dla Boga jego życie. Był on przez wszystkie prawie lata życia kapłańskiego misyonarzem tułaczem; toż życie jego było jakby ta noc bezsenna, przeciągła, bez końca, która niosąc utrudzenie i wyczerpanie ciała, duchowi jednak przynosiła bogatą strawę wysiłków i utrudzeń na chwałę Bożą podjętych i obfity plon na wieczność.

Urodził się on w Pilznie galicyjskiem nad Wisłoką 22 września 1865 r. z rodziców Franciszka i Katarzyny, zacnych z pobożności i pracowitego żywota mieszczan, a był z rodzeństwa najstarszym. Po chlubnem ukończeniu nauk w szkole wydziałowej w rodzinnem miasteczku, oddali go rodzice do gimnazyum do Tarnowa. Tu ukończył cztery klasy, a w piątej usłyszawszy

głos Pana Jezusa «pójdź za mną», pożegnał rodzinę i świat, i jak sam pisze w pamiętniku, «w dzień św. Stanisława Kostki 1882 roku przestąpił progi klasztorne OO. Jezuitów w Starejwsi»,[1] gdzie przyjęty do zakonu, wkrótce rozpoczął nowicyat.[2] Po ukończeniu nowicyatu i retoryki w Starejwsi, przepędził dwa lata w Tarnopolu na filozofii i tyleż przy konwikcie w Chyrowie, poczem wysłany został na teologiczne studya do Krakowa, gdzie otrzymał święcenia kapłańskie d. 10 czerwca 1894 r.

Od 1895 roku rozpoczyna on swój zawód misyonarski, przenosząc się z miejsca na miejsce, a o czynności jego wielkiej świadczy pokaźna liczba misyj, rekolekcyi, kazań i innych prac kapłańskich po rozmaitych parafiach, dyecezyach i krajach. W tych 10 latach przeorał on swą pracą wraz z innymi misyonarzami naszymi znaczną część Galicyi, a zwłaszcza dyecezyę przemyską; pracował na Śląsku i w Księstwie Poznańskiem i na Węgrzech, był na pastoracyi w Saksonii; słowem, odwiedził w tym czasie około 130 różnych miejscowości, wziął udział czynny w 14 wielkich misyach, w 70 rekolekcyach misyjnych

---

[1] Już poprzednio jako mały chłopiec, odbył wraz z ojcem swoim pielrzymkę do Starejwsi w r. 1877, z okazyi koronacyi cudownego obrazu Matki oskiej.

[2] Oto ważniejsze daty z zakonnego życia ś. p. O. Michała Gruszczyńskiego:

Dzień przyjęcia do zakonu 27 listopada 1882 r.

Pierwsze śluby w Starejwsi 1 maja 1885.

Uczy się humaniorów i retoryki w Starejwsi 1884—1887. Święcenia niższe otrzymał w Zręcinie 21 lipca 1885 od Biskupa przem. X. Soleckiego.

Słucha filozofii w Tarnopolu 1887—89.

W chyrowskim konwikcie prefektem 1889—91.

Na teologii w Krakowie 1891—94. Wyższe święcenia otrzymał w Krakowie z rąk Kard. X. Dunajewskiego: subdyakonat i dyakonat 17 i 25 czerwca 1893 w naszym kościółku na Wesołej, presbyterat w kaplicy Urszulanek. Pierwszą mszę św. odprawił 13 czerwca 1894 w kościółku na Wesołej.

Trzecia probacya w Starejwsi 1894—95.

Odtąd pracuje jako misyonarz i operaryusz ze stałym pobytem w następujących domach:

Nowy Sącz, od 4 września do 23 grudnia 1895;
Kraków (rezyd.), do 2 stycznia 1896;
Tarnopol, do 31 grudnia 1896;
Starawieś, do 15 lipca 1897;
Kraków (rezyd.), do 13 października 1897;
Kraków (koleg.), do 4 grudnia 1897;
Tarnopol, do 6 lutego 1898;
Kraków (koleg.), do 7 listopada 1898; tu złożył ostatnie śluby d. 15 sierpnia 1898;
Cieszyn, do 21 stycznia 1899;
Stanisławów, do 15 września 1899;
Kraków (rezyd.), do 31 lipca 1900;
Nowy Sącz, do 30 września 1900;
Starawieś, do 11 stycznia 1901;
Nowy Sącz, do 29 lipca 1903;
Starawieś, do 1 lipca 1905.

trwających trzy i więcej dni[1] a poza temi misyami wypowiedział kazań w liczbie 300.

Wielka łatwość mówienia, fantazya nieraz poetyczna, wrażliwość uczucia ożywiona i podniesiona przez zapał do pracy apostolskiej i miłość ludu sprawiły, że wyrobił się na dobrego kaznodzieję popularnego. Aby mu dopomódz w tym zawodzie, Przełożeni, przerywając mu pracę misyonarską, polecili mu nawet przepędzić rok jeden (1900/1) na studium Ojców świętych. Atoli potrzeba wielka pracy kaznodziejskiej od tego studium często go odrywała, i zapał wielki, z jakim pracował na misyach, bo wkładał w nie całą swoją duszę, wnet go o to przyprawił, że przy nawale roboty głos swój zszarpał i do cięższych, forsownych prac na razie stał się niezdolnym. Tak wytężająco pracował lat 5. Przez drugie lat pięć nie zaniedbał misyi, ale uczestniczył w nich rzadziej, częściej zato miewał kazania po różnych kościołach i parafialnych odpustach. Nie wzniósł on się wprawdzie na wyżynę kaznodziei znakomitych, dla braku polotu krasomówczego, ale nie spadł też do rzędu kaznodziei tuzinkowych, którzy mając pewien zapas kazań, temi a nie innemi ciągle pracują. Mimo braku czasu, w chwilach wypoczynku po misyach chętnie brał książki do ręki, jak kazania celniejszych mowców, albo prace historyczne, w których się kochał i takowe pilnie odczytywał i studyował. Sam wyznał, że przeczytał nieomal wszystkie znakomitszych mowców kazania misyjne tak

---

[1] Wypisujemy z jego pamiętnika porządkiem chronologicznym te miejscowości, w których udzielał rekolekcyi ludowych i misyi:

1895 r.: Humniska, Komorowice, Wilamowice, Dylągowa.

1896: Otorów i Duszniki w Ks. Pozn., Malechów, Kukizów, Tłumacz, Gorlice (misya), Tymowa, Ottynia, Delatyn, Tarnawica polna, Poręba radlna.

1897: Czaniec, Łękawica, Haczów, Trześniów, Nidek. Następnie w Ks. Poznańskiem: Lewków (mis.), Tursk, Leśno (mis.). — Pastoracya w Saksonii od połowy sierpnia do połowy października (w miejscowościach: Merseburg, Zappendorf, Burg, Cöthen, Oberröblingen, Halle, Bitterfeld, Delitsch — razem nauk 14, spowiedzi 2000). Dobrków, Jaworzno i w Ks. Pozn.: Ostrów.

1898: Raciborowice, Kraków u św. Mikołaja, Liszki, Budapeszt (dla robotników polskich), Wieprz, Radocza, Andrychów, Tursk (w Ks. Pozn.). — Pięć misyj: Strzyżów, Stojanów, Góra św. Jana pod Szczyrzycem, Ryglice i Stary Sącz. — Chochołów, Starawieś.

1899: Chodowica, Skałat, Tarnopol, Przework (misya), Pomorzany, Tadań, Lubaczów, Starawieś (misya).

1900: Podstolice, Kombornia, Tursk (w Ks. Pozn.), Wrocanka, Mutna (na Spiżu, misya), Trześniów, Starawieś, Golcowa.

1901: Nowy Sącz (rekol. dla więźniów), Mystków, Jedlicze, Rabka, Bogoniowice, Tursk (w Ks. Pozn.), Nowy Sącz (misya), Tuligłowy (misya), Barcice.

1902: Mystków, Nowy Sącz (dla szkoły), Niebieszczany, Gołuchów (w Księstwie Pozn., misya).

1903: Nowy Sącz (dla dzieci szkoln.), Gogolów.

1904: Nozdrzec, Humniska, Moszczenica, Brzozów (dla dzieci szkoln.), Łubno, Wilkowisko, Gogolów, Błażowa, Brzozów, Starawieś.

1905: Ustrobna, Sieklówka, Babice, Wesoła.

z literatury kaznodziejskiej polskiej, jak niemieckiej i francuskiej. To też na każdą misyę, na każde kazanie przynosił zawsze coś nowego, a kazania niedzielne czy odpustowe tak przygotowywał, że albo je całkowicie pisał, albo, dla braku czasu, przynajmniej szkicował. Rozczytywał się też chętnie w pracach apologetycznych, badał psychologię o uczuciach, a jeszcze w ostatnim roku życia oddawał się z zamiłowaniem nauce deklamacyi, pragnąc poznać teoretycznie jej artystyczną i psychologiczną stronę.

W kazaniach swoich, przedewszystkiem misyjnych celował umiejętnością wzbudzania gwałtownych uczuć — jak to zresztą można stwierdzić wyciągami odpowiednimi z jego zapisków misyjnych. Często się tam spotykamy z notatką: lud płakał rzewnie, rzucał się na kolana we łzach i t. d. Powtarzało się to i na zwykłych nieraz kazaniach. Myliłby się atoli ten, którybу sądził, że ś. p. O. Michał Gruszczyński dochodził do tego skutku jakiemiś czysto oratorskiemi sztuczkami, jak zmianą głosu, krzykiem, płaczem, lub nagromadzeniem strasznych, na fantazyę działających obrazów. Nie — ale uczucia wzbudzał przez podanie pobudek w odpowiedniej formie krasomówczej, wpierw jednak starał się założyć pod nie fundament przez gruntowne nauczanie.

Dopomagała mu do tego celu niemało wielka znajomość życia, zwłaszcza ludu małomiasteczkowego i wiejskiego. Nierzadko można było widzieć w kościele podczas jego kazania, kiedy barwnie i żywo malował w obrazach etycznych życie ludu, jak słuchacze zdumieni siebie w tych obrazach jak w zwierciadle oglądali, widzieli swoją nędzę, swoje biedy i wady; jak nieraz potakiwali mówcy głowami, lub nawet w zbytniem zajęciu, nie wiedząc o tem, mimowolnie podczas kazania półgłosem wymawiali: «prawdę gada — tak się dzieje!» Więc nieraz można się było spotkać u ludu wiejskiego z takiemi dlań pochwałami, iż mówiono: «nie ma to jak kazanie ks. Gruszczyńskiego! skoro zacznie mówić, to tak, jakby ci czytał w sercu, albo patrzył na to, co się w chałupie dzieje». Ostatnie kazanie wygłosił w Starejwsi w dzień Przenajśw. Trójcy, na 4 tygodnie przed śmiercią. Było to kazanie dogmatyczne o Trójcy Przenajśw., a tak się podobało ludowi i naszym, iż powszechnie mówiono: jeszcześmy nigdy tak pięknie każącego O. Michała nie słyszeli.

Przy sprawowaniu urzędu kaznodziejskiego, pracował on nadto jako katecheta. Nie wspominam tu o zwyczajnych katechizacyach, jakie miewał dla ludzi w godzinach poobiednych tu i ówdzie po naszych kościołach, zwłaszcza w Starejwsi; ale zasługuje na wzmiankę jego katechetura w trzech szkołach ludowych w Nowym Sączu od października 1901 aż do końca 1903 r. Pojął on katecheturę, jako bardzo ważny urząd i czynnik dodatni w wychowaniu młodzieży. To też starał się o to, aby zasady nauczania katechizmu nietylko ot tak, na ślepo w praktyce zachowywać, ale takowe i teoretycznie badał ciągle i z roz-

woju metody katechizowania pilnie korzystał. Miłość ku dzieciom jego opiece powierzonym dodawała mu w tej pracy zachęty i do wytrwania siły. Z zadania swego wywiązał się świetnie, bo i u grona nauczycieli zasłużył sobie na zaufanie i cześć, i u rodziców dzieci na pamięć i wdzięczność. Jakiej zaś nabrał wprawy w przemawianiu przystępnem do dzieci i z jaką miłością pracował na tem polu, pokazuje choćby to, że zaproszony przez brzozowskiego katechetę ks. Turka, by dał rekolekcye dzieciom szkolnym, takową przysługę aż na trzy zawody z chęcią i z wielkiem powodzeniem spełniał. To też po śmierci jego dzieci szkolne z wdzięczności za tę pracę poskładały się między sobą i zamówiły uroczyste nabożeństwo w kościele brzozowskim za spokój jego duszy.

Specyalnością X. Michała, jako spowiednika, było jaknajpilniej przygotowywać chorych na śmierć, przez dopomożenie im do dobrej spowiedzi. Nieraz mówił: tu trzeba być skrupulatnym, bo to ostatnia spowiedź w życiu, od niej wieczność zależy.

Według zapewnienia wiarogodnej osoby, mając serce od samej młodości dziewicze i niewinne, w życiu i obcowaniu towarzyskiem nie znał, co to obłuda. Był, jak to mówią, weredykiem. Może nie każdemu się taki przymiot podoba, może nieraz staje on się dla drugiego kamieniem obrazy, ale zwykle bywa ślicznym rysem charakteru, zaznaczającym prostą a niewinną duszę i łączy z sobą zawsze odwagę cywilną, która dobrze użyta, może dużo przynieść dobrego na chwałę Bożą. A ileż to razy, dzięki właśnie tej swojej odwadze wypowiedzenia prawdy, ś. p. O. Michał stawał w obronie czy to naszego Towarzystwa, czy dobrych obyczajów, czy wiary św., kiedy wobec niego takowe zaczepiano. A powiedzmy i to, że umiał nieraz po mistrzowsku albo komuś w oczy powiedzieć prawdę, albo bluźniące usta zmusić do milczenia.

Na pierwszej zaraz stronnicy wspomnianego wyżej pamiętnika, tuż u góry, jakby «motto», wypisał na jego prośbę O. Titz, instruktor jego z trzeciej probacyi, następujące słowa: *Quanto major es, humilia te in omnibus, et apud Deum invenies gratiam.* («O ile jesteś większym, o tyle upokarzaj się we wszystkiem, a znajdziesz u Boga łaskę»). Słowa te widocznie nie były bez znacznego wpływu na całe wewnętrzne, duchowne życie ś. p. O. Michała Gruszczyńskiego. Kto choć pobieżnie wnikał w jego życie, żyjąc z nim przez dłuższy czas, ten się przekonał, że nieraz z heroicznem zaparciem się znosił upokorzenia, na które narażało go dość często żywe jego usposobienie. To zaparcie siebie samego położyło grunt pod cnotę rzeczywistą i ściągnęło na niego łaskę wielką: wytrwanie w zakonie aż do śmierci. Gruntowna jego cnota zajaśniała przedewszystkiem w ciężkiej bardzo, ostatniej jego chorobie.

Choroba ta była dla niego z Opatrzności Bożej tym ogniem, jak się wyraża św. Paweł (1. Korynt. III. 13), który «próbuje każdego roboty, jaka jest». I pokazał ten ogień doświadczenia, że robota ś. p. O. Michała Gruszczyńskiego nie była ze «słomy» ani z «drzewa», ale z trwałego kruszcu, jakby ze srebra albo złota, które w ogniu bywa oczyszczone, a nie zginie. Był w sile wieku, zdrów, przed sobą widział wielkie pole pracy apostolskiej do której się rwał — a oto kazano mu to wszystko porzucić, usłyszał głos swego Pana: dosyć twojej roboty, pójdź, zdaj rachunek z talentów tobie użyczonych! I zgodził się, jakby na wyjazd na inne miejsce pracy. Bóg sam, który pokornym łaskę dawa, przygotował go na tę chwilę śmierci. Przez cały ostatni rok życia przychodziły mu ciągle myśli o blizkiej śmierci, których on nie odrzucał, ale je przyjmował, w ich urzeczywistnienie wierzył. Jak zeznaje jego rodzony i zakonny brat, O. Ignacy, w każdym liście nieomal, pisanym do niego w tym roku, wspominał o swojej niedalekiej śmierci. Razu jednego, widząc się z nim osobiście, w czasie rozmowy, O. Michał wyciąga z kieszeni rulonik skryptów, siada przy stoliku, rozwija je i mówi: «to są moje wybrane kazania, pozostawiam je u ciebie, abyś na wypadek mojej śmierci zrobił z niemi to, co ci się spodoba». Zaraz na początku choroby, choć jeszcze się na dobre nie położył do łóżka, napisał kartkę do matki swojej z oświadczeniem, że traci syna, a zarazem i ze słowem zachęty do zgodzenia się z wolą Bożą. Wszystkie zaś papiery jego, które był pozostawił w Starejwsi, wyjeżdżając dla porady lekarskiej do Krakowa, znaleziono po jego śmierci zupełnie uporządkowane i z oświadczeniem pisemnem, co mają z nimi zrobić, gdy umrze.

W ciągu ostatniego roku nie było żadnego objawu jakiejś groźnej choroby wewnętrznej. Niedyspozycya żołądka raz w raz się pojawiająca, skłoniła lekarza, że mu w maju 1905 r. polecił odbyć domową kuracyę karlsbadzką. Wykonał to, ale polepszenia nie było — co złożono na karb rozmaitych niedokładności przy domowem leczeniu się — owszem nastąpiło pogorszenie. Od czasu do czasu doznawał takich kurczów żołądka, że wijąc się z bólu, płakał, jak dziecko, kryjąc się naturalnie z tem przed okiem ludzkiem; dostawał również od czasu do czasu wymiotów. Było to już w pierwszej połowie czerwca. Na dobre rozwinęła się choroba dopiero 20 czerwca, objawiając się silnymi wymiotami i boleściami żołądka. Od tego dnia niczem się już nie posilił, niczem nie odwilżył wysuszonych gorączką ust i gardła, bo czego tylko się napił, wody czy lekarstwa, wszystko wśród strasznych boleści wyrzucał. Mimo to jeszcze cały tydzień chodził i mszę św., gdy się miał lepiej, odprawiał. Raz, gdy jeden z księży, który go odwiedził, spostrzegł na jego twarzy konwulsyjne drgania, wywołane szalonym bólem wewnętrznym i spytał

go, czy bardzo cierpi, odpowiedział mu: «tak bardzo może nie, tylko, że ja jestem taki niecierpliwy». Mimo te wszystkie zastraszające objawy, lekarz uspokajał i nawet nic groźnego w całej tej chorobie nie widział; aż po dwóch tygodniach takich męczarni (1 lipca) wysłano go ze Starejwsi do Krakowa w towarzystwie infirmarza Br. Jana Ślósarczyka, który prawdziwą nad nim roztoczył opiekę ojcowską. W Krakowie zebrani lekarze również zrazu nic pewnego nie mogli odkryć. Przepisano leki i poddano chorego obserwacyi. Dopiero 7 lipca zwołane konsilium wyszukało z wielkim trudem noworost w rodzaju sarkosomy, który zatkał jelito. Wnet przystąpiono do operacyi, na którą chory się zgodził. Po przebyciu nadzwyczaj ciężkiej operacyi, bo wycięto mu 45 cm. jelita, chory miał się stosunkowo dobrze, ale już pierwszy opatrunek wykazał, że nadziei życia nie ma. Pokazała się gangrena. Zrobiono drugą i jeszcze trzecią operacyę, bez znieczulenia chorego. Gdy go uwiadomiono o blizkiej śmierci, której i tak się spodziewał, przyjął tę wiadomość z nadzwyczajnem poddaniem się woli Bożej, a na drogę wieczności gotował się z taką cierpliwością, że doktorzy i służba szpitalna i bracia jego zakonni wyjść nie mogli z podziwu. Noc jego życia «bezsenna, przeciągła», w boleściach ostatnich «jakby bez końca» zbliżała się do świtu dnia bożego, «dopóki Bóg litośny nie użyczy słońca». — Z niedzieli 16 lipca na poniedziałek w nocy cicho i spokojnie, zaopatrzony św. Sakramentami, wśród aktów żalu i miłości, z ufnością w sercu w miłosierdzie Boże, wpatrzony w Serce Jezusa, niósł Bogu w ofierze kwiat swego życia, dopiero co w pełnię rozwinięty.

W Krakowie, gdzie był najmniej znany, odprowadziło go grono naszych i przyjaciół na miejsce wiecznego odpoczynku. Ale po szerokim świecie, gdzie głosił słowo boże, — zwłaszcza w okolicy Starejwsi, gdzie przez ostatnie lata pracował, wiadomość o jego śmierci była silnym epilogiem jego misyjnych kazań, a w wielu miejscach po parafiach uroczyste za jego duszę odprawiono nabożeństwo. – R. I. P.

X. Henryk Haduch T. J.





Kościół pojezuicki w Przemyślu.

O dawnym naszym kościele przemyskim, budowanym powoli od 1627 roku,[1] a świeżo odnowionym przez Najprzew. X. Biskupa Pelczara, przesłał w liście z dnia 30 stycznia 1905 O. Czenczowi do Starejwsi Najprzew. X. Infułat Teofil Łękawski wiązankę zebranych przez siebie szczegółów, które tu zamieszczamy, opuściwszy atoli początkowy ustęp listu, aby niepotrzebnie nie powtarzać tego, co już o kościele i kolegium przemyskiem podał O. Załęski w swem dziele «Jezuici w Polsce» (tom IV, część III, str. 1035—1055).

Oto co pisze czcigodny X. Infułat:

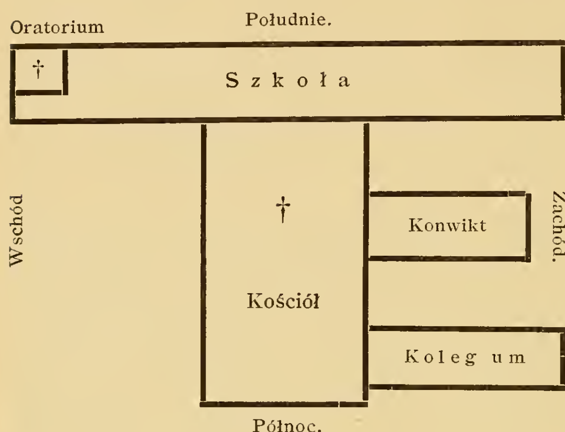
...Kościół ma trzy nawy. Poboczne nawy, węższe o połowę szerokości od głównej, kończą się od przodu kaplicami, z których jedna (od wschodu) była poświęcona Najśw. Pannie, druga (od zachodu) P. Jezusowi — jak z monogramów umieszczonych nad drzwiami kaplic przekonać się można. Nad nawami pobocznemi były obszerne loże z oknami ozdobnie okratowanemi, a otwierającemi się ku głównej nawie. Loże łączyły się z sobą za pomocą galeryi, umieszczonej ponad chórem muzycznym. Oprócz ołtarza wielkiego w stylu barokowym, było ośm innych, t. j. dwa w kaplicach, sześć w bocznych nawach. Ściany presbyterium i nawy głównej zdobiło 12 obrazów św. Apostołów, niektóre z nich dosyć dobrego pendzla [2]. Na ścianach obok kaplic były wizerunki św. Alojzego i św. Stanisława Kostki, w płaskorzeźbie. Facyata kościoła wspaniała, bogato ornamentowana, z dwiema po bokach wieżami, których szczyty dopiero w r. 1772 ukończone zostały.

---

[1] Twierdzenie, że w r. 1702 rozpoczęli Jezuici budować drugi nowy kościół jest mylnem, gdyż pierwotny kościół budowany od r. 1627 przez długi szereg lat, stoi aż dotąd.

[2] Sprawione za rektorstwa O. Jacka Wierzbickiego 1689—1692, kosztem przeważnie pani Ustrzyckiej kaszt. przem. (Archiw. Prov. Galic.. Resignationes Rector. Premisl. str. 2). *Przyp. Red.*

Gmachy dla kolegium i szkół, głównie z funduszów dostarczanych przez Annę z Tyrawskich Ulińską [1] równocześnie z budową kościoła (1627—1634) wzniesione, a w czasach późniejszych kilkakrotnie przebudowane i rozszerzone, przedstawiały się ostatecznie tak, jak to na załączonym rysunku uwidoczniłem. Gdy w r. 1682 rozebrali Ojcowie darowany im 1611 roku starożytny drewniany kościółek św. Piotra, a na uzyskanym w ten sposób placu rozszerzyli budynek szkolny — salę ostatnią od strony wschodniej w miejscu, gdzie stał poprzednio kościółek św. Piotra, zamieniono na życzenie kapituły w oratorium. W tem oratorium był ołtarz z wizerunkiem P. Jezusa ukrzyżowanego; po obudwu stronach krzyża św. Ignacy i św. Franciszek Ksawery; w górze nad krzyżem Matka Najśw. z Dzieciątkiem Jezus.



Front kościoła i kolegium.

[1] Zaślubiona z Jerzym Ulińskim, była córką Hermolausa Tyrawskiego, oraz bliską krewną O. Marcina Tyrawskiego T. J., którego imię związane jest z historyą cudownego obrazu Matki Boskiej Jurowieckiej. W posiadaniu X. Infułata Łękawskiego znajduje się cynowa tabliczka z trumny tej fundatorki, z napisem: «Anna de Tyraviis Ulińska, fundatrix Coll. S. J. Premisliensis. Obiit 15 Febr. 1653».

Zacna ta pani w swym obszernym testamencie, pisanym w Przemyślu d. 6 marca 1651 roku, między innemi powiada wyraźnie: «Chcę, aby ciało moje u Ojców moich Soc. Jesu w kościele św. Ignacego w Przemyślu odemnie murowanym pochowane było. A jeżeliby mnie Pan Bóg niegodną wprzód zniósł, aniżeli pomieniony kościół dokończony będzie, tedy tymczasem u tychże Ojców w kościółku św. Piotra niechaj będzie złożone, jako najskromniej bez kosztów i apparencyi niepotrzebnych, o co tychże Ojców moich upraszam. A ponieważ P. Bóg z nieprzebranej dobroci swojej zawsze mi był powodem, abym w marności świata jako najbardziej się przeglądając, obłudę niestatecznych nadziei światowych ustawicznie w oczach miała, przetoż mi i najmilszego przyjaciela (t. j. małżonka Jerzego Ulińskiego) wziął i pociech tych światowych umknął. Zaczem dosyć czyniąc i natchnieniu boskiemu i pierwszej intencyi Imci Pana Ojca Dobrodzieja mego, który się zawsze z tem deklarował, że to, com z łaski i dobrodziejstwa Imci miała, aby było na chwalę boską obrócone — com miała zapisanych od nieboszczyka pana małżonka mego: pięćdziesiąt tysięcy złotych na wszystkich dobrach nieboszczykowskich, tę sumę zapisałam na fundacyę, jako nazywają *de nova radice* Szkół i Kolegium Przemyskiego Soc. Jesu, zlawszy

Nastał rok 1773. Dnia 3 grudnia zjawił się w kolegium ks. Józef Kierski, kanclerz konsystorski i w obecności komisarza rządowego (austryackiego) Niedermeiera i notaryusza Staścinkiewicza przeczytał Ojcom *breve* znoszące zakon. Ponieważ rząd austryacki nie miał ani gotowych nauczycieli, którymby mógł powierzyć naukę w utrzymywanem dotąd przez Ojców gimnazyum, ani młodzieży przygotowanej do słuchania wykładów niemieckich, dlatego zostawił tę szkołę w rękach Ex-jezuitów, którzy uczyli aż do roku 1787. Prefektem był O. Jakób Gadomski. Dwóch tylko przysłano Niemców: Franciszka Fabritziego i Walentego Rolnego, jako nauczycieli do języka niemieckiego.

Wspomniałem o tych szczegółach, bo z losem Ojców złączony był i los kościoła. Ex-jezuici mieszkając w dawnem swem kolegium, odprawiali nabożeństwa w kościele, dokąd też młodzież gimnazyalna uczęszczała na mszę św. Nie zaraz więc po kasacie zakonu został kościół zamknięty, chociaż nie brakło intencyi, aby go na inny cel obrócić. I tak w r. 1780, gdy Rusini rozebrawszy dawną swą cerkiew, a nie mając środków na zbudowanie nowej, wnieśli do rządu prośbę o zasiłek, pozwolił im cesarz Józef II wybrać sobie jeden z pomiędzy trzech kościołów zniesionych: dominikański, jezuicki albo karmelicki. Dominikańskiego nie chcieli, bo wydawał się im za szczupły; jezuicki wspaniały, obszerny, w środku miasta położony, podobał się im, ale nie wypadało go zabierać, skoro Ex-jezuici mieszkający przy nim, nabożeństwa w nim odprawiali; dlatego wybór ich padł na kościół pokarmelicki.

W roku 1787 objęli gimnazyum świeccy nauczyciele, prefektem jego mianowany Ignacy Sawiczewski. Z Ex-jezuitów po-

---

na nich prawo moje w Lublinie przed księgami grodzkiemi w r. 1647, i nie powinni Ojcowie pomienieni Kollegium Przemyskiego ustąpić z dóbr ode mnie dożywociem trzymanych, aż im suma pomieniona zupełnie oddaną będzie, gdyż się na to JMP. Kamieniecki za się i sukcessory swoje zapisał pod zakładem stu tysięcy».

Oprócz powyższej sumy 50.000 złotych, legowała jeszcze Anna Ulińska dla przemyskiego kolegium wszystkie swoje ruchomości: klejnoty na monstrancyę i wszystko srebro. Także obicia, kobierce perskie, aparaty kościelne gotowe i niegotowe, i materye jakiekolwiek. Prócz tego naczynia kuchenne: miedziane, mosiężne, spiżowe i cynowe. Dalej wszystkie statki wodne, tak solne jako i zbożowe: szkuty, dubasy, lichtany, razem z frachtem przypadającym od tych statków. Nareszcie zboża wszystkie tak w snopie jako i w ziarnie; leguminy wszelakie w spiżarniach, płótna, przędziwa, nabiały, zgoła wszystką ruchomość swoją. Egzekutorów zaś testamentu swego: ks. Andrzeja Trzebickiego kanonika krakowskiego, ks. Andrzeja Podolskiego kan. przem., i Stanisława z Dąbrowicy, kasztelana lubel., błagała i zaklinała, «aby tym ubogim Ojcom moim i temu zaczętemu Kollegium przemyskiemu nie dopuścili krzywdy czynić, lecz aby ta odrobina substancyi mojej Bogu oddana i Jemu poświęcona, w ręce się sług Jego jako najprędzej dostała» (M. Podgórski: *Diversa Monumenta Histor. dioec. Premisl.* Resoviae 1883).

został tylko O. Jarocki, jako profesor retoryki, ale tylko przez pół roku; otrzymał bowiem probostwo w Drohobyczu, gdzie zostawił po sobie trwałą pamięć jako założyciel biblioteki i odnowiciel kościoła parafialnego, który ozdobił freskami, przypominającymi historyę tejże świątyni. Po odejściu Ojców z Przemyśla, kościół pojezuicki służył dalej do nabożeństw dla młodzieży gimnazyalnej. Z początkiem roku szkolnego 1820 otwarto dwuletni kurs filozofii, a 25 listopada tegoż roku instytut teologiczny. Dla umieszczenia tych dwóch zakładów musiano przerobić dawne loże nad bocznemi nawami kościoła. Prawdopodobnie przy tej przeróbce osłabiono sklepienia, skutkiem czego część sklepienia w loży od wschodniej strony runęła. Strach padł na Niemców (prefektem był wtenczas Jerzy Weber) — poszły relacye do c. k. gubernium we Lwowie, że «kościół się wali». Gubernium nakazało przytykające do kościoła klasy przenieść do kamienicy hr. Konarskiego, kościół zaś zamknąć i sprzedać. Wprawdzie, gdy strach minął, przekonano się, że kościół jeszcze się nie wali, ale nakazu zamknięcia go nie cofnięto. Nabożeństwo dla młodzieży przeniesiono do kościoła OO. Franciszkanów, a kościół pojezuicki, najpiękniejsza budowa Przemyśla, opustoszał. Rozpoczęła się wysprzedaż czy darowizna wewnętrznego urządzenia świątyni. Wielki ołtarz dostał się do kościoła w Krakowcu, gdzie do chwili obecnej istnieje; boczne ołtarze odstąpiono cerkwiom w okolicy Przemyśla; dzwon czy dzwony katedrze ruskiej w Przemyślu, gdzie dotychczas jeden dzwon nazywany przez pałamarzy cerkiewnych «Jezuitą», a ma się odznaczać tem, że nie chce być z inymi dzwonami w harmonii; ambona i organy mają się znajdować w okolicznych kościołach wiejskich. Nie przebaczono i marmurowej posadzce (sprowadzonej statkami z Gdańska 1697 r.) którą darowano czy też sprzedano któremuś kościołowi w sąsiedniej parafii. Pozostały tylko obrazy Apostołów, bo te wpuszczone w mur, nie dały się łatwo wydobyć [1]. Murów kościelnych nikt nie chciał nabyć, dlatego zamieniono pusty już kościół na magazyn broni i mundurów dla wojska, dawne zaś kolegium przeznaczono na zakład wychowawczy wojskowy. W czasie tym, kiedy kościół był magazynem, wiele obrazów ściennych uległo zniszczeniu, w grobach zaś, dokąd Ojcowie z kościoła św. Piotra przenieśli ciała pierwszych biskupów i kanoników przemyskich, gdzie też chowali swych zmarłych zakonników i oprócz głownej fundatorki Anny Ulińskiej licznych dobrodziejów i fundatorów swoich [2], trumny zostały rozbite i sprofanowane, a szczątki rozrzucone.

---

[1] Obecnie znajdują się w muzeum dyecezalnem.

[1] Takim fundatorem był, choć nie tutaj zapewne pochowany, Jan Bukowski, który dostarczył funduszu na utrzymanie misyonarzy przy kolegium przemyskiem. W rozmownicy naszego kolegium w Starejwsi znajduje się dotych-

Przed rokiem 1840 (data dokładna nie jest mi znana) rozebrano sygnaturkę z obawy, aby nie runęła.

W roku 1848 złożono w kościele broń odebraną gwardyi narodowej i akademickiej w Przemyślu — a gdzie był wielki ołtarz, umieszczono wizerunek feldmarszałka Radeckiego na koniu.

Dwa lata przedtem (1846) kosztem funduszu religijnego pokryto kościół dachem gontowym i odnowiono facyatę. W czasie tych restauracyi dobudowano na skrzydle, gdzie poprzód było kolegium a potem zakład wychowawczy wojskowy, drugie piętro, natomiast budynek parterowy, dawny konwikt, znajdujący się w pośrodku dziedzińca, zburzono.

W roku 1885 przeniesiono magazyn wojskowy do budynku umyślnie na teń cel wystawionego, kościół zaś pozostał pusty, skazany na powolną ruinę, w końcu na rozebranie. Aby go ocalić, ś. p. X. Biskup Solecki wniósł w r. 1889 przedstawienie do rządu, do władz autonomicznych, do konserwatora zabytków starożytnych, podnosząc jego wartość architektoniczną, jego znaczenie historyczne, bo wystawiony na miejscu pierwszego kościoła parafialnego w Przemyślu, bo pod nim złożone są ciała pierwszych biskupów i kanoników, bo mógłby służyć i nadal jako kościół dla garnizonu i dla młodzieży szkolnej. Przedstawienia biskupa były bezowocne. Wprawdzie centralna komisya konserwatorów po dwukrotnem zbadaniu orzekła, że kościół jako pomnik architektury z siedmnastego wieku, godzien jest zachowania, że odnowienie jego jest jeszcze możliwem, zrobiono już nawet kosztorys, lecz na tem wszystko się skończyło. Ani miasto, ani kraj, ani państwo nie pospieszyło z jakąkolwiek po mocą. I zdawało się, że kościół nie da się już uratować. Obawę tę uśprawiedliwił następujący wypadek. Ponieważ kościół od r. 1846 nie był wcale restaurowany, nic przeto dziwnego, że gzymsy w facyacie z tynku obnażone i cegły rozluźnione zaczęły się usuwać i spadać na przechodzących. Następstwem tego było, że bojaźliwszy niejeden zaczął wołać: Wieże się walą! przynajmniej kopuły wieżowe trzeba rozebrać! Bojaźni tej uległo starostwo ze starostą Goreckim i biuro techniczne, którem kierował Szumski. Poszły więc do Lwowa relacye o grożącem niebezpieczeństwie. Z namiestnictwa przychodzi w r. 1891 rozkaz rozebrania kopuł na wieżach. Podjął się dokonać tego dzieła zniszczenia żydek za wynagrodzeniem pieniężnem kilkuset złr. i pod warunkiem, że miedź i materyał do niego będą należały. I zwinął się tak prędko, że od niedzieli piątej postu

---

czas piękny jego portret w stroju polskim i z podpisem: *Joannes Bukowski, Dapifer sanocencis, Eques loricatae cohortis, fundator Missionis Premisliensis.* Podobną fundacyę (20.000 złp.) uczynił w r. 1756 dla naszego domu misyjnego w Turce. *(Przyp. Red.).*

do wielkiego czwartku 1891 r. już prawie robotę ukończył, a gdy konserwator, hr. Szeptycki dowiedziawszy się o rozbieraniu kopuł wieżowych, zatelegrafował do namiestnictwa, aby roboty wstrzymano, niestety było już zapóźno [1]. W miejsce kopuł pokryto wieże dachami z gontów. Lecz wicher gwałtowny z początkiem maja 1902 r. zerwał z zachodniej wieży dach, który spadając zrobił wyłom w wiązaniu dachowem nad główną i poboczną nawą, tak iż deszcze bez przeszkody zalewały sklepienie kościelne. Kościół stał się ruiną. Więc rząd postanowił go zburzyć i w miesiącu styczniu 1903 roku rozpisał licytacyę, przeznaczając na ten cel 16.000 koron. Zamierzał on zbudować na placu pokościelnym ruskie seminaryum duchowne, o które dopominali się Rusini. Boska jednak Opatrzność pokrzyżowała zamysły ludzkie.

Centralna komisya konserwatorska we Wiedniu, na której czele stoi Helpert, zrobiła w ostatniej chwili przedstawienie do ministeryum Wyznań i Oświaty w sprawie kościoła i równocześnie zniosła się z korespondentem swoim w Przemyślu, pułkownikiem Kiccola, aby tenże uczynił kroki stosowne w celu ocalenia kościoła. Kiccola napisał do Konsystorza biskupiego list w tej sprawie, którym spowodowany Najprzew. X. Biskup Pelczar pojechał do Wiednia, starając się nakłonić Ministeryum do

---

[1] Przy rozbieraniu kopuł wieżowych w kwietniu 1891 roku, gdy zdjęto blaszaną kulę na której był zatknięty krzyż, znaleziono w jej wnętrzu pergamin z takim napisem:

«Deo T. O. M. Auspice. Pretiosissima Dei Parente Maria S. L. C. opitulante. Universae Coelestis Curiae auxilio, speciatim S. Patris Ignatii invocato, cuius cultui haec dicata et nomine insignita ecclesia ad collegium Premisliense Societatis Jesu, sub tessera S. Parenti nostro freqentissime familiari: Ad maiorem Dei gloriam. Turri huic ad fastigium non ineleganter perductae (ad quod temporum et fatorum iniuria, intervallo aetatis maximo, reduci non poterat) tandem suffragante Dei Providentia, de integro perfecto opere, salutiferae Crucis signum impositum, anno Domini 1772 die 14 mensis Augusti. Ab introducta Premisliam Societate anno 162, a Residentia Premisliensi ad titulum Collegii evecta anno 126. Universam Christi Ecclesiam gubernante Clemente XIV, dioecesim Premisliensem Josepho Thadaeo a Kierkrz Kierski, Episcopo. Regnante Stanislao Augusto Poniatowski. Societatem Jesu moderante A. R. P. N. Laurentio Ricci, Praeposito Generali; Provinciam Minoris Poloniae S. J. Jacobo Konarski, Praeposito Provinciali; Collegium Premisliense R. P. Simone Maychrowicz, Rectore. Tam sumptuosum opus in perturbato quamvis regni statu, ab inundante tam exotico, aquilonari, austriaco, quam foederato polono milite, minime morantibus calamitosis annis, munifico in benefactoribus Deo consummatum. Omnipotenti itaque Dexterae, ubi suppliciter perennaturum committitur, succedentibus saeculis in immortalis memoriae monumentum consignatur. Globo huiusce turris, sacris Cineribus ac Imaginibus acclusis».

Oprócz powyższego dokumentu pergaminowego, umieszczone były w tejże gałce wieżowej dwa pakiety z Relikwiami świętemi, które wnet potem podarował Ojcom naszym chyrowskim X. Biskup Solecki. Kiedy d. 25 czerwca 1894 r. poświęcano w Chyrowie nową statuę Matki Boskiej, stojącą dotąd przed konwiktem, złożono w jej fundamencie oprócz innych pamiątek także i owe Relikwie, wyjęte z gałki wieżowej kościoła pojezuickiego w Przemyślu. (Porównaj nr. 6 gazetki *Z Chyrowa*, grudzień 1894, str. 24).

cofnięcia dekretu zagłady i wyjednać zezwolenie na restauracyę kościoła i gmachu pogimnazyalnego. Otrzymawszy pozwolenie ustne, przystąpił Najprzew. X. Arcypasterz natychmiast do restauracyi, na koszta której ofiarował 20.000 koron, spodziewając się, że rząd, kraj i miasto udzielą także pomocy. Restauracya kościoła i budynku doń przylegającego ukończoną została przed d. 13 listopada 1904 roku, w którym to dniu Najprzew. X. Arcypasterz dokonał obrzędu poświęcenia.[1] Koszta restauracyi kościoła wynosiły 98.405 koron, budynku pogimnazyalnego 76.059 k. Wewnętrzne urządzenie kościoła kosztowało 21.991 k.

Kościół i budynek pokryty jest dachówką. Wieżom przywrócone dawne ozdobne i wspaniałe szczyty; pośrodku dachu wznosi się smukła sygnaturka, zbudowana kosztem Kanoników dyecezyi przemyskiej, a głównie ks. Prałata Stachyraka. W pośrodku facyaty jaśnieje złocistym blaskiem Imię Jezus, tudzież napis pozłacany «Gloria Sacratissimo Cordi Jesu» i lata z jednej strony: «Aed. 1627», z drugiej: «Rest. 1904». Co do wewnętrznego urządzenia, wielki ołtarz wykonany przez Majerskiego podług dawnego wzoru, kosztem 20.000 koron ofiarowanych przez Najprzew. ks. Arcypasterza; w ołtarzu obraz Najsłodszego Serca Pana Jezusa malowany przez Popiela. Po bokach obrazu stojące przy kolumnach ołtarzowych figury św. Ignacego, św. Stanisława Kostki, św. Piotra i św. Pawła, sprowadzono z Gröden w Tyrolu; nad obrazem figura Najśw. Panny z Dzieciątkiem Jezus, w postaci siedzącej. Wkrótce mają stanąć dwa ołtarze w kaplicach: jeden poświęcony Najśw. Pannie Częstochowskiej ze składek mieszkańców Przemyśla (obraz Matki Boskiej wykonany w Częstochowie sprawił ks. Biskup sufragan Fiszer kosztem 1000 koron), drugi ołtarz św. Piotra ze składek Duchowieństwa dyecezalnego. Znajdują się już w kościele: ambona, balasy przed wielkim ołtarzem, ławki w nawie głównej w czterech rzędach; przybędą wnet konfesyonały. Dzwon większy, pod imieniem św. Jana Kantego, sprawili profesorowie

---

[1] ... «Ceremonii poświęcenia dopełnił ks. biskup Pelczar przy asystencyi biskupa Fiszera i Duchowieństwa; najpierw poświęcił ks. biskup budynek z zewnątrz, następnie jego wnętrze, poczem w procesyi przeniesiono do kościoła relikwie. Wreszcie odprawił ks. biskup Pelczar uroczystą mszę św. i wygłosił okolicznościowe kazanie oraz udzielił zebranym błogosławieństwa. Na uroczystości zebrani byli namiestnik hr. Potocki, marszałek kraj. hr. Badeni, hr. Leon Piniński, radca dworu Dembowski, szef biura prezydyalnego radca Zaleski, przedstawiciele władz rządowych, krajowych, wojskowości, szlachta z marszałkiem powiatu na czele. Po obchodzie kościelnym odbył się u ks. biskupa obiad na 70 nakryć. Wzniesiono szereg toastów, ks. biskup Pelczar toastował na cześć Ojca św., cesarza, ministrów dr. Piętaka, Hartla i obecnych dostojników. Namiestnik Potocki wzniósł toast na cześć ks. Pelczara». *(Gazeta Narodowa* z dnia 15 listop. 1904 r.).

Z naszych Ojców, pomimo zaproszenia, nikt nie był obecny na tej uroczystości, gdyż właśnie w tym dniu odbył się w Chyrowie pogrzeb ś. p. ks. rektora Stefańskiego. *(Przyp. Wydawcy).*

teologii kosztem 4.000 koron; drugi mniejszy i sygnaturkę zakupiono ze składek. Bielizny kościelnej i aparatów dostarczyły częściowo panie, dywany darował kupiec p. Piskorz. Brakuje jeszcze ołtarzy w nawach pobocznych, organu (jest tylko fisharmonia) i wielu innych rzeczy, ale Opatrzność Boża, która ocaliła kościół od zniszczenia, dopomoże, że i wnętrze jego wróci do dawnej świetności.

Także i budynek pogimnazyalny wyrestaurowany. Na drugiem piętrze mieszkają XX. profesorowie: Wais, Kochowski, Momidłowski, Babicki; na pierwszem pokoje X. Biskupa sufragana i dla XX. Emerytów; na dole drukarnia udziałowa i biuro redakcyjne *Echa przemyskiego*. W dawnych lożach nad nawami bocznemi umieszczone będą: biblioteka i muzeum dla dyecezyi przemyskiej.

W kościele odprawiają się codziennie 4 msze św.: t. j. o godzinie 6, $^1/_2$ 7, 7 i $^1/_2$ 8; tę ostatnią ma zwykle X. Sufragan. W niedzielę po godz. 8 jest nauka. W każdy pierwszy piątek miesiąca odprawia się nabożeństwo do N. Serca P. Jezusa.

Mieszkańcy Przemyśla cieszą się, że posiadają kościół odnowiony, który tak długo był ruderą; że pozłociste krzyże na wieżach górują znowu nad miastem, a głos «Kantego» rozlega się wśród pagórków otaczających miasto, zwołując pobożnych na nabożeństwo.

Tandem post tot discrimina rerum, we wrześniu 1904 r., gdy restauracya kościoła i przyległego budynku dochodziła do kresu, nadesłał Wysoki Rząd pozwolenie na restauracyę z tem jednak oświadczeniem, że tylko kościół odstępuje Najprz. X. Biskupowi, budynku zaś, jako będącego własnością funduszu religijnego, odstąpić nie może, zezwala atoli na jego używanie za czynszem rocznym 3.000 koron....





LITTERAE

Excellmi Illmi ac Rndmi Dni ANDREAE SZEPTYCKI

Archieppi Leopoliensis rit. graec.

ad Provinciam Galicianam S. J.

quibus gratias persolvit pro peracto rite opere Reformationis Ordinis Basilianorum.

Andreas Szeptycki Ruthenorum Haliciensis Metropolitanus, Archiepiscopus Leopoliensis, Admodum Reverendo Patri Vladimiro Ledóchowski e S. J. provinciae Galicianae Praeposito, omnibusque eiusdem provinciae Patribus salutem nostram in Domino, ac benedictionem.

Episcopi rutheni Haliciensis provinciae in conventu VIII. Kal. Nov. anni vertentis habito, qui quidem conventus nonnisi raro celebrantur et quasi provincialis synodi vices obtinent, unanimi consensu statuendum putaverunt, ut provinciae Soc. Jesu Galicianae in manus Reverendae Paternitatis Tuae eidem praepositae, pro opera in Ordinis Basiliani renovatione praestita, quod magnum sane fuit erga totam ecclesiasticam provinciam nostram beneficium, gratiae agerentur. Minime enim latere quemquam potest, quanti momenti pro Ecclesiae emolumento omnis sit Religiosus ordo, in quo sanctitas praesertim floreat aeque ac litterae, et ad Dei gloriam adhibeantur proximorumque utilitatem. Quod si de omni Ordine religioso valet, ut rerum gestarum monumenta evidentissime testantur, multo adhuc magis de Ruthena Ecclesia affirmandum esse videtur, quippe quae hunc unum tantummodo monasticum ordinem habeat. Cui quidem difficillimae rei, familiae videlicet Basilianae secundum mentem Summi Pontificis p. m. Leonis XIII instaurandae ac innovandae, Societatis provincia, cui praees, omnem contulit opem, neque laboribus pepercit ullis, dummodo in ea prodeant viri sanctitate, doctrina clari, qui maiori

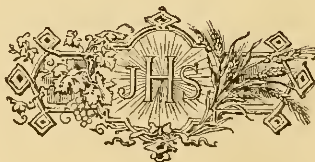
Christi gloriae, Eiusque Ecclesiae commodo totos sese impendant. Neque incassum collocatae in hoc opere curae atque conatus. Nam sacerdotes Ordinis S. Basilii M., quantumvis pauci adhuc plurimisque laboribus vitae claustralis distenti, nihilo secius omni ministerio, exercitiis praeprimis ac missionibus operam navant, uberesque Deo opitulante percipiunt fructus, qua re magnum dioecesibus nostris ferunt adiumentum. Quae sane omnia libenter agnoscentes ac profitentes, Deo Sapientissimo imprimis, cuius misericordis Providentiae fuistis administri, Vobisque Patres Reverendi debitas gratias persolvimus.

His, quae nomine proprio meorumque in Episcopatu sociorum protuli, licitum esto ea adiungere, quae meam respiciunt humilitatem, cui illud, quod Graeci τὸ μοναδικὸν καὶ ἀγγελικὸν σχῆμα vocant, gloriae est atque praesidio. Nam ego quoque haud exiguam annorum seriem a clarisssimis S. J. Patribus, meisque dilectis magistris in vitae monasticae certaminibus exercebar, et sub eorum regimine in diversis Ordinis nostri coenobiis vitam ducebam. Unde memoria illorum virorum, Patrum inquam Gasparis Szczepkowski, Henrici Jackowski, Michaelis Mycielski, Adalberti Mariae Baudiss nunquam, quoad vixerim, in animo obliterabitur meo. Centuplo retribuat Societati Deus Benignissimus, quod eius filii erga nos perfecerunt. Impertiatur, ut in tirociniis Vestris nunquam desint, qui Spiritu Dei vocati, sancti evadere unice desiderent. Suscitet in omni saeculo in Societate magnos sanctos, corona Confessorum Martyrumque palma donet quamplurimos socios. Omnia consilia Vestra, atque incoepta omnia fortunatissimum semper sortiantur effectum, ἐν Χριστῷ Ἰησοῦ τῷ Κυρίῳ ἡμῶν· ᾧ ἡ δώξα καὶ τὸ κράτος εἰς τοὺς αἰῶνας. Ἀμὴν.

Datum Leopoli ad Ecclesiam nostram cathedralem Sti Mega martyris Georgii, Kal. Nov. A. D. MCCCCV.

† *Andreas*
Metropolitanus
m. p.

(In charta pergamena cum appenso sigillo).





ROZMAITOŚCI.

Wrażenia z Neapolu.

(List O. Jana Rotha do W. O. Prowinc. Ledóchowskiego).

Nie mam dość słów, by O. Prowincyałowi należycie podziękować za udzielone mi najłaskawiej pozwolenie zrobienia wycieczki wakacyjnej do Neapolu. Jeżeli już miesięczny pobyt w górach albańskich był dla mnie wielkiem dobrodziejstwem, to ileż słuszniej muszę to powiedzieć o tych kilku dniach, które miałem szczęście spędzić w Neapolu. Powiadają: «zobaczyć Neapol, a potem umrzeć». Ja widziałem Neapol, jednak niechciałbym jeszcze umierać, owszem żyć, by ten czarujący zakątek ziemi raz jeszcze widzieć, lub przynajmniej we wspomnieniach o nim mieć nowy powód do chwalenia i uwielbiania niepojętej dobroci, piękności i wszechmocy naszego Stwórcy.

Podróż do Neapolu odbyłem w towarzystwie O. Beijersbergen, z holenderskiej prowincyi, mego kolegi na prawie kanonicznem. Po południu 14 września (1905) opuściliśmy Rzym. W *coupée,* do któregośmy siedli, spotkaliśmy O. Brandi. Opowiadał nam o doświadczeniach, robionych przeszłego roku w jego obecności przez O. Silva i dwóch neapolitańskich profesorów uniwersytetu z krwią św. Januarego, a których wynik O. Silva ogłosił w ostatnim numerze «Civiltà cattolica». Tego roku mają być doświadczenia dalej prowadzone, a względnie udoskonalone, i właśnie w tym celu jedzie on (O. Brandi) do Neapolu.

Na stacyi Monte Cassino rozstawszy się z O. Brandi, wysiedliśmy z pociągu, aby zwiedzić słynny klasztor Benedyktynów. Zdążaliśmy pieszo na górę, 900 m. wysoką, na której szczycie, jak orle gniazdo, wznosi się dumnie potężne opactwo benedyktyńskie. Piękny, szeroki, dopiero w ostatnich latach bity gościniec prowadzi spiralnie do góry. Im wyżej, tem coraz bar-

dziej czarujący widok: nad nami niezmierne zabudowania opackie, oblane promieniami zachodzącego słońca, — pod nami urodzajna, otoczona nagiemi gorami, przecięta przeźroczym strumykiem równina ze swemi polami, winnicami i sadami owocowymi. Po $1^1/_2$ godziny drogi stanęliśmy u furty klasztornej. O. Przeor, przywitawszy nas jaknajserdeczniej, prosił, byśmy mu tego za złe nie wzięli, że tylko jeden da nam obu pokój, ponieważ drugi już był zajęty. Ze szczerą podzięką przyjęliśmy gościnność i udaliśmy się do swego pokoju. Lecz jakżeż wielkie było nasze zdziwienie, kiedyśmy przekroczyli próg obszernego, wytwornie umeblowanego salonu z dwoma za kotarą łóżkami; dwoje drzwi prowadziło bezpośrednio na balkon, z którego mogliśmy się spokojnie rozkoszować wspaniałym widokiem na miasto, dolinę i naprzeciw leżące góry. Jakżeż dziko a romantycznie musiała ta okolica wyglądać za czasów św. Benedykta!

Następnego dnia po odprawieniu Mszy św. u grobu św. rodzeństwa: Benedykta i Scholastyki, zwiedziliśmy osobliwości opactwa. Pełen przepychu kościół z jego artystycznemi, jedynemi w swoim rodzaju stallami chórowemi; biblioteka z tysiącznymi rękopisami i książkami, krypta, właśnie odnowiona i dawne cele św. Benedykta i jego towarzyszy, pozamieniane na kaplice. Po serdecznem pożegnaniu się z O. Przeorem, opuściliśmy o godz. 10 tej klasztor, i około godz. 3 po południu przybyliśmy do Neapolu.

Kiedyśmy O. Stravino, rektorowi konwiktu «na Conocchia» w Neapolu listownie zapowiedzieli nasz przyjazd i prosili go, by nam zezwolił na kilkudniowy pobyt w swoim domu, otrzymaliśmy od niego list, który mi żywo przypomniał niezapomnianą nigdy odpowiedź naszego O. Mrowińskiego, gdy go prosiłem o pozwolenie odprawienia moich prymicyi w Czerniowcach. «Będziecie — pisał, jak niegdyś O. Mrowiński, tak teraz O. Stravino — najserdeczniej powitani i z otwartemi ramionami przyjęci, a wszyscy Ojcowie i Bracia do waszych usług są gotowi; wszyscy będą się starać taką miłość wam okazać, jaką nam poleca Matka Societas». Już O. Piątkiewicz opowiadał mi wiele o życzliwem usposobieniu neapolskich współbraci, ale miłość i uprzejmość, jakiej sam doświadczyłem, przewyższyła wszystkie moje oczekiwania. Zwiedziłem bądź z towarzyszem, bądź sam wszystkie nasze domy w Neapolu (jest ich kilka: rezydencya, teologia, nowicyat, konwikt i externat) — a wszędzie znalazłem tę samą przyjazną uprzejmość, tę samą, prawie dziecięcą radość, że widzą współbrata z obcej prowincyi. Zaraz przyłączyli się do mnie niektórzy Ojcowie, Scholastycy i Bracia, którzy ubiegali się między sobą, by mię oprowadzić po domu i po ogrodzie. Ponieważ atoli nikt nie chciał ustąpić, więc musiałem się w końcu zgodzić, że mię procesyonalnie oprowadzano po kaplicach, bibliotekach, pokojach i innych miejscowościach, aż

wreszcie zatrzymalismy się w refektarzu, gdzie nas już służący oczekiwał z flaszką ochładzającego wina. Takimi są nasi neapolscy współbracia i ze sobą. Tak n. p. jest tu zwyczaj, że Ojcowie lub Scholastycy, niezaproszeni i niezapowiedziani wstępują do drugiego domu na obiad, jeżeli przypadkiem w porę obiadową przechodzą. Nawet wakacye przepędzają w ten sposób, że idą od jednego domu do drugiego i w każdym 4—5 dni się zatrzymują w gościnie. Kiedy O. Generałowi się opowiada o tych osobliwościach Neapolitańczyków, on uśmiecha się nad ich dziecięcą naiwnością, — ale przyznać trzeba w każdym razie, że tym sposobem miłość bratnia wielce się podnosi i rozwija. Łatwo W. O. Prowincyał zrozumie, że czułem się w tych stosunkach jak w domu, między moimi galicyjskimi współbraćmi. Uchodziłem naturalnie wszędzie za Polaka. Rozumie się, że wypadki na dalekim Wschodzie, uciskanie unitów, nadzieje Polaków w Królestwie stanowiły zwykły przedmiot naszych rozmów. Niedawno temu czytali w refektarzu o prześladowaniu unitów przez Moskali. Dzieła Sienkiewicza, które prawie wszystkie na włoskie przetłómaczono, znają wszyscy nasi Ojcowie i Scholastycy; wogóle Włosi czytają je z prawdziwą namiętnością, nic więc dziwnego, że tu z Polakami bardzo sympatyzują.

W Neapolu interesowały mię przedewszystkiem, oprócz Muzeum narodowego, klasztor dominikański i kościół nasz *Gesù Nuovo.* Tu pod mensą ołtarza bocznej kaplicy spoczywa ciało św. Franciszka de Hieronimo; odprawiłem tam Mszę św., przyczem szczególnie pamiętałem o Ojcach galicyjskich. W klasztorze dominikańskim uczył swego czasu św. Tomasz z Akwinu. Pokazano mi krucyfiks, z którego Zbawiciel powiedział do niego te słowa: «Bene scripsisti de me Thoma; quam mercedem recipies?» na co Święty odrzekł: «Non aliam, nisi Te, Domine». Obok wisi dzwonek, którym zwoływano uczniów na wykłady Świętego. Zaprowadzono nas do dwu ciemnych pokoików, w których Święty pracował i odpoczywał. Wielce wzruszeni uklękliśmy na tem miejscu i polecaliśmy tak siebie, jakoteż serca naszych drogich współbraci opiece św. Doktora Kościoła.

W dzień po naszym przybyciu do Neapolu, t. j. w sobotę 16 września rano zrobiliśmy wycieczkę do Pompei, aby w cudownej kaplicy Matki Bożej się pomodlić. Pociąg był do ostatniego miejsca całkiem zajęty przez pobożnych pielgrzymów, którzy spieszyli wraz z nami do N. Maryi Panny, aby jej swoje potrzeby przedłożyć. W kościele były wszystkie konfesyonały oblężone. Po Mszy św., opatrzywszy się w dewocyonalia, udaliśmy się dorożką na miejsce katastrofy z roku 79 po Chr. Jakżeż smutny widok przedstawia to niegdyś kwitnące miasto! Dzisiaj podobne ono do wielkiego cmentarzyska. Domy, teatry, rynki, termy, świątynie — wszystko stoi tu jeszcze jak przed 1800 laty, więcej lub mniej dobrze zachowane; ale z wyjątkiem

płochliwych jaszczurek, które po ziemi biegają, lub wieszają się na murach, nie widzi się tu żadnego żyjącego stworzenia. W muzeum znajdują się w szafach pojedyncze wykopaliska z starożytnego miasta: sprzęty, zboże, chleb, orzechy, figi i t. d. W środku sali leżą na stołach ofiary katastrofy: chłopiec, podobny do spokojnie śpiącego, dziewczynka, niewiasta, kilku mężczyzn i pies zupełnie pokurczony. Jakżeż okropny widok tych skamieniałych ciał, u których wyłania się z kamiennej masy już to czaszka, to zęby lub palce. Kiedy się patrzy na te, pełne bólu oblicza, na ręce wzniesione do góry, lub powykrzywiane nogi, ma się wrażenie, jakoby się odczuwało ten ból i tę rozpacz, z jaką ci ludzie umierali. To cośmy widzieli, zrobiło na nas potężne wrażenie, i dostarczyło nam przedmiotu do rozważań i refleksyi w czasie całej drogi ku *Annunziata.* Straszna kara Sodomy i Gomorry spotkała także Pompeję! Czyż Pompeja może mniej zasłużyła? Wystarczy pobieżnie rzucić okiem po przedsionku świątyni Wenery i po lubieżnych ściennych malowidłach zwłaszcza w pokojach niewiast, a jest się zmuszonym powiedzieć, że grzech Sodomy i w Pompei miał miejsce.

Z *Annunziata* przybyliśmy około godz. 4 do Castellamare, dawniej *Stabiae,* które także w 79 r. dzieliły los Pompei. Piękne, czyste miasteczko, ze swemi szerokiemi ulicami i ozdobnymi domami ma bardzo powabne położenie: ku wschodowi rozszerza się aż do wysokich gór, zaś od zachodu zmywają je fale morskie. Po krótkim wypoczynku w hotelu, zamówiliśmy sobie dorożkę do Vico Equense. Droga była prześliczna: po lewej ręce wysokie lesiste góry, po prawej morze, od którego nas oddzielał tylko niski, kamienny wał. Aczkolwiek koń szedł wybornie, to jednak woźnica smagał go niemiłosiernie bez przerwy. Po półgodzinnym galopie cały był pianą pokryty i począł się chwiać. Na skręcie drogi zatoczył się i runął nagle na wał. O włos, a byłaby się dorożka przechyliła i mybyśmy się zsunęli byli po wysokim, spadzistym brzegu w morze. Przerażeni wyskoczyliśmy z wozu, a mając już dość takiej jazdy, pożegnaliśmy fijakra. W *Vico* łatwo dopytaliśmy się o nasz konwikt. Stoi dumnie nad brzegiem morza. Przed konwiktem oczekiwał nas już Mag. Polito, który w lipcu filozofię na uniwersytecie gregoryańskim skończył i był moim wiernym towarzyszem. Przyjęcie ze strony O. Rektora i innych było bardzo serdeczne. Czas do kolacyi przepędziliśmy przy winie na platformie domu, skąd wspaniały widok na przeciwległy Neapol i ziejący ogniem Wezuwiusz. Rano następnego dnia odjechaliśmy stąd. Cały dom z O. Rektorem na czele odprowadził nas aż do powozu, który miał nas z M. Polito zawieźć do Sorrento. Dopiero w drodze dowiedzieliśmy się, że O. Rektor już powóz zapłacił — a miłość jego tak daleko się posunęła, że po dwu dniach przysłał mi list z podziękowaniem za odwiedziny! Sorrento, dawne Surren-

tum, którego wzgórza rodzą wyborne wina, chwalone już w odach Horacego, jest ślicznie położone nad wysokim, prostopadle spadającym brzegiem morza. Zatrzymaliśmy się przed katedrą, by odwiedzić Najśw. Sakrament. Właśnie była suma. Zbudowaliśmy się śpiewem tak celebransa, jak organisty. Ostatni przygrywał na organach nietylko w czasie prefacyi, ale także w czasie wersykułów: Per omnia saecula saeculorum, Dominus vobiscum etc.!! W porcie wsiedliśmy na parowiec, który nas zawiózł do wyspy Capri. W pobliżu tej wyspy zatrzymał się statek, a prawie wszyscy pasażerowie, po większej części Niemcy, wsiedli na łodzie po dwóch, lub trzech, aby zwiedzić sławną pieczarę, zwaną «grotta lazzura». My uczyniliśmy to samo. Przy wejściu do groty musieliśmy się wzdłuż łodzi położyć, ponieważ otwór ten ma zaledwie 1 metr wysokości, a 2 długości. Widok, który nam się w grocie przedstawił, był czarujący: nad nami ciemne skały, pod nami gładkie zwierciadło morskie barwy jasno błękitnej, chociaż morze tuż przed wnijściem do groty miało kolor ciemnego błękitu. Objechawszy w 5 niespełna minutach grotę i nasyciwszy się tym pięknym widokiem, powróciliśmy na parowiec, który nas w ciągu 2 godzin zawiózł do Marino. Wróciwszy do Sorrento, pożegnaliśmy się z Mag. Polito i około wieczora tymsamym parowcem przybyliśmy do Neapolu.

Drugą wycieczkę zrobiliśmy z Mag. Aromatisi 20 września do Pozzuoli i Baiae. Po obiedzie, któryśmy spożyli w domu nowicyackim (jako «przydatki» otrzymuje tu gość cały tort, ale naturalnie niema obowiązku zjeść całego) pospieszyliśmy na stacyę kolejową, skąd pociąg zawiózł nas do Pozzuoli. Tutaj, w dawnem Puteoli, mieli n. p. L. Lukullus i Nero swoje wspaniałe wille, których wielkie rudery jeszcze stoją, tu także pisał Cicero swoje «Quaestiones academicae». Po zwiedzeniu świątyni Serapida, willi Nerona i t. d., podążyliśmy do Lacus Avernus, którego ciemna woda, rzadko słońcem rozjaśniona, równie jak i cała atmosfera dokoła, robi przytłaczające wrażenie; nic dziwnego, że starożytni wyobrażali sobie tu wejście do Tartaru. Na lewo od jeziora u stóp zalesionego wzgórza zatrzymaliśmy się przed wejściem do «groty Sybilli kumejskiej». Za opłatą $3^1/_2$ liry otworzono nam grotę. Przewodnik i jego synalek zapalili pochodnie. Weszliśmy w ciemny, 150 m. długi, 3 m. szeroki, a 5 m. wysoki sklepiony loch. Uszedłszy $^2/_3$ drogi, skręcamy na prawo w wązki, ciemny, coraz niżej w dół opadający korytarz. Nagle zatrzymujemy się — przed nami wszystko zalane wodą. Przewodnik oddaje swoją pochodnię Mag. Aromatisi, bierze Ojca Baijersbergen na plecy i niesie go przez wodę hen w ciemność, żeśmy go już zupełnie z oczu stracili. Po chwili wraca i mnie zabiera. Mrowie mię przeszło, kiedy siedząc na karku przewodnika, znalazłem się naraz w ciemnicy. Dokąd mię niesie? Czy do Tartaru? Nareszcie zobaczyłem O. Baijersbergen i chłopca

z pochodnią. Jedno wstrząśnienie — a mój przewodnik odłożył swój ciężar obok O. Baijersbergen na kamiennem łożu kumejskiej Sybilli. Wnet przyniesiono także Mag. Aromatisi i mogliśmy już przy świetle pochodni dokładniej obejrzeć miejscowość. Jesteśmy w pokoju kąpielowym starej czarownicy. Naprzeciw jest drugie łoże; obok znajdują się dwie kamienne wanny. Na lewo w ścianie mały otwór, przez który Sybilla dawała wyrocznie. Między wannami było miejsce Charonta, który tu przyjmował umarłych, aby ich przewieźć przez Styx [1]). Stąd można zejść jeszcze dalej w dół, aleśmy nie mieli ochoty, bo nam już dość było tych okropności. Na tych samych plecach przewodnika, na których roku zeszłego cesarz niemiecki tę samą odbył drogę, dostaliśmy się do przeciwległego łoża, a stąd suchą nogą przez drugi korytarz znów na świeże powietrze. Aby nieco ochłonąć z tego strasznego wrażenia, wstąpiliśmy w Stabiae do restauracyi i pokrzepiliśmy się nieco butelką falernskiego wina, które już Horacy umiał ocenić.

Na dzień 19-go września b. r. przypadło szesnaste stulecie męczeństwa św. Januarego. Cały Neapol gotował się do godnego obchodzenia tej uroczystości i już od kilku dni wahał się między trwogą a nadzieją, czy Święty również i w tym roku okaże się mu łaskawym i uczyni znany cud. I my także oczekiwaliśmy tego dnia ze drżeniem serca. Rano o godz. 8 udaliśmy się do katedry, która była już przepełniona pobożnymi i ciekawymi. Przyszliśmy niestety za późno. Boczna kaplica, w której się cud odbywa, była już zamknięta, nikogo więcej nie wpuszczano. Musieliśmy się więc zadowolić tem, żeśmy sobie zdobyli miejsce wolne przy wielkim ołtarzu kościoła. Około godz. 9 począł się kler modlić wespół z ludem w kaplicy. Do moich uszu dochodził początkowo tylko cichy szmer, który się jednak zwiększał z każdą minutą, przerywany od czasu do czasu głośnemi wołaniami. Może upłynęło już trzy kwadranse, gdy nagle rozległy się głośne oklaski i okrzyki «evviva», którym wtórował wesoło kilkutysięczny tłum w głównej i w bocznych nawach kościoła. W tej samej chwili uderzono we wszystkie dzwony miasta, a 21 wystrzałów armatnich, które wstrząsły kościołem, oznajmiły mieszkańcom wesołą nowinę. Kiedy przyniesiono do głównego ołtarza św. relikwię, poprosiłem jednego z kanoników, by mi krew św. pokazał. Flaszeczka była prawie całkiem pełna spienionej krwi. Po pontyfikalnej sumie przystąpiłem znów do ołtarza i spostrzegłem, że flaszeczka tylko już do $^2/_3$ swej objętości miała krew płynną. Widziałem więc krew św. Januarego w płynnym stanie! Że jednak z powodu mego spóźnienia nie mogłem cudu widzieć naocznie, więc niezadowolony powróciłem z katedry. Lecz pocieszyli mię Ojcowie, że cud powtarza się codzień

[1]) Tu Eneaszowi każe Wergiliusz wejść z Sybillą do Tartaru. (Aeneid l. VI).

w czasie całej oktawy, i że nazajutrz, gdy już nie będzie tyle ludzi, będę mógł wyszedłszy prędzej z domu dostać się do głównego ołtarza kaplicy i przypatrzyć się cudowi z blizka.

Zatem dnia następnego rano udaliśmy się już o godz. $7^1/_2$ do katedry, i bez przeszkody dostaliśmy się do głównego ołtarza sanktuarium. O godz. $8^1/_2$ lud w sanktuarium zaczął odmawiać różaniec. Nastąpiły modły do św. Januarego. Było coraz głośniej. Każdy się modlił i krzyczał, jak go chwila natchnęła, a wśród tego rozlegały się ciągłe wołania: «S. Gennaro, fate il miracolo! S. Maria, ora pro nobis!» Dyssonans nie do opisania. O godz. 9-tej kilku kanoników w processyi przyniosło statuę św. Januarego, w której jest ukryta głowa tego Męczennika i postawili ją na ołtarzu po stronie ewangelii. Inny kanonik trzymając w ręku flaszeczkę z krwią w kosztownym relikwiarzu, wstąpił na stopnie ołtarza i zwrócił się z tą relikwią do ludu. Obok niego stał kapłan, który za relikwiarzem trzymał świecę, by każdy mógł wyraźnie krew widzieć. Ja ukląkłszy na najwyższym stopniu ołtarza, tuż przy kanoniku, widziałem dokładnie, że $^2/_3$ flaszeczki było suchą krwią napełnione. Żeby się każdy o tem mógł przekonać, kanonik przesuwał relikwię koło samych oczu tych ludzi, którzy chcieli widzieć i obracał relikwiarzem na wszystkie strony, atoli krew spoczywała na dnie flaszeczki, sucha jak kamień. Po upływie mniej więcej kwadransa kanonik podniósł relikwiarz, postawił go na głowie statuy Świętego i począł odmawiać: Credo in Deum Patrem... Cały lud odmawiał na klęczkach Skład apostolski. Wytężonem okiem patrzyłem w krew. Kiedy, po 5 minutach, lud po raz trzeci powtórzył Credo, w jednej chwili krew, jakby niewidzialną ręką oderwana od ścian flaszeczki, opadła, i stała się zupełnie płynną. Lud spostrzegłszy to, począł wołać: «Evviva S. Gennaro» i klaskał z radości. W oczach wielu widziałem łzy. Ludu nie można było powstrzymać, więc z siłą żywiołową przypadł do ołtarza, aby uczcić św. relikwię i otrzymać nią błogosławieństwo. Tak więc na własne oczy widziałem cudowne rozpuszczenie się krwi św. Januarego. Mirabilis Deus in Sanctis suis! Wrażenia tego nigdy nie zapomnę...

25-letni jubileusz dwóch bractw przy kościele św. Barbary w Krakowie. — Bractwo »Dobrej śmierci«, zawiązane w ostatnią niedzielę czerwca 1880 r. przez ś. p. O. Henryka Jackowskiego, przy współudziale wpisanego na czele członków tego bractwa ś. p. Kardynała Albina Dunajewskiego, obchodziło dn. 25 czerwca 1905 roku 25-letni jubileusz swego istnienia. Mszę św. jubileuszową w kościele św. Barbary celebrował Najprzew. X. Biskup Nowak, a przemówiwszy od ołtarza, udzielił następnie komunii św. przeszło 400 członkom bractwa. Po po-

łudniu odbyło się walne zgromadzenie członków bractwa w domu «Przyjaźni» (pod l. 37 przy ul. św. Tomasza), przy współudziale X. Biskupa Nowaka, Prowincyała O. Ledóchowskiego oraz kilku Ojców z rezydencyi św. Barbary ze swym Superyorem O. St. Mielochem. Po przemówieniach zastosowanych do uroczystości prezesa zarządu bractwa Dra Władysława Markiewicza i członka bractwa Leona Piotrowskiego, przemówił do zgromadzonych X. Biskup Nowak (świeżo w dniu tym do bractwa «Dobrej śmierci» wpisany), zachęcając ich, aby dobrym przykładem jak najwięcej członków jednali bractwu. W końcu O. Superyor Mieloch podziękował członkom bractwa, którzy przez lat trzy składali drobne datki na sprawienie pająka (żyrandola) do kościoła św. Barbary, celem uczczenia tej uroczystości.

Dla upamiętnienia obchodu jubileuszowego ogłoszono drukiem niewielką broszurkę, w której jeden z braci «Dobrej śmierci» streściwszy na wstępie historyę zawiązania i rozwoju tego bractwa, podał ustawy obowiązujące tak wszystkich członków wogólności, jak i poszczególnych urzędników. Oto tytuł broszurki: «Pamiątka uroczystości jubileuszowej istniejącego w Krakowie przy kościele św. Barbary Bractwa Dobrej śmierci, zawiązanego 27 czerwca 1880 r.» (Kraków, drukiem «Czasu» 1905. Nakładem Bractwa Dobrej śmierci. 8, str. 16).

Także i Stowarzyszenie «Matek chrześcijańskich», założone przez ś. p. O. Adolfa Kamieńskiego dn. 9 listop. 1880 r. przy kościele św. Barbary, obchodziło z wielką uroczystością swój 25-letni jubileusz. We środę dn. 8 listop. b. r. (1905) o godzinie 8 rano zgromadził się w kościele św. Barbary kilkusetny zastęp matek, aby społem wysłuchać Mszy św. i przystąpić do Stołu Pańskiego. Nabożeństwo, któremu towarzyszył na chórze śpiew solowy i artystyczna gra na skrzypcach, odprawił w świeżo na ten cel (kosztem matek) odnowionej kaplicy Matki Boskiej Bolesnej O. Bratkowski, długoletni dyrektor Stowarzyszenia. Po litanii i po udzieleniu błogosławieństwa Najśw. Sakramentem przemówił do zgromadzonych matek i oznajmił w końcu, że Ojciec św. raczył dla prac Stowarzyszenia przysłać swoje błogosławieństwo. — Kulminacyjnym punktem obchodu i niewątpliwie najsilniejszą jego chwilą było popołudniowe nabożeństwo, odprawione przez JE. ks. Kardynała Puzynę w rzęsiście oświetlonym i świątecznie przybranym kościele św. Barbary, i błogosławieństwo, jakiego udzielił zgromadzonym matkom, a do którego dołączył do głębi wzruszającą przemowę. — W dniu następnym, t. j. we czwartek dn. 9 listop. odbyło się rano nabożeństwo żałobne za zmarłe matki i ich dzieci, po południu zaś o godz. 3 w przystrojonej sali Arcybractwa Miłosierdzia uroczyste posiedzenie stowarzyszonych matek pod przewodnictwem O. Bratkowskiego, który zabrał głos, ażeby przedewszystkiem odczytać telegram od Ojca św., a następnie skreślić przebieg

dotychczasowego rozwoju Stowarzyszenia i udzielić mu na dalszą drogę jego działalności swych nauk i zachęty. Przemawiała w dalszym ciągu prezydentka Stowarzyszenia, pani Zofia Bobrzyńska, dziękując w swojem i wszystkich matek imieniu X. Bratkowskiemu za jego trudy i poświęcenie, i wręczając przytem zebraną, drogą składek kwotę 1500 koron na ubogich uczniów, zostających (w liczbie około 180) pod jego opieką. Pełnem wyższego nastroju, jak cały obchód, było także końcowe przemówienie X. prałata Bandurskiego.

Proces beatyfikacyjny. — W roku 1561 dn. 15 marca O. Gonsalvus Silveira T. J., Portugalczyk, poniósł śmierć męczeńską w kraju Monomotapa, t. j. w tych stronach południowej Afryki, gdzie się dziś rozciąga Misya zambezka. Dokładny opis tego męczeństwa niejaki p. A. Wilmot odnalazł niedawno między rękopisami biblioteki watykańskiej i streściwszy zamieścił w swej książce, którą wydał pod tytułem «Monomotapa» — a pragnąc widzieć O. Silveirę na ołtarzach, zwrócił się do osób w Portugalii wysoko postawionych z propozycyą, aby wniosły do Stolicy św. prośbę o beatyfikacyę naszego męczennika. Przewiel. O. Generał, gdy mu p. Wilmot sprawę tę przedłożył, zrazu wyraził swe powątpiewanie, czy obecnie, po upływie trzech z górą wieków, możliwą byłoby rzeczą stwierdzić kanonicznie prawdziwość faktu męczęństwa O. Silveiry; zarządził jednak wszelkie możliwe poszukiwania w archiwach Towarzystwa. Na szczęście odkryto tamże stare, przez św. Kongregacyę Obrzędów opieczętowane dokumenta, z których okazało się, że już w XVI. wieku, a więc wkrótce po śmierci O. Silveiry specyalna komisya duchowna fakt męczeństwa jego tam na miejscu w Afryce zbadała i należycie udowodniła. Wobec tego odkrycia można mieć nadzieję, że proces w sprawie beatyfikacyi O. Silveiry da się w krótkim czasie pomyślnie przeprowadzić, zwłaszcza że w tym względzie wszyscy biskupi południowej Afryki przedłożyli Ojcu św. swą prośbę. (The Woodstock Letters, vol. 34, nr. 2., Septemb. 1905, str. 310).

Stan zdrowia Przew. O. Generała. — Ciężko doświadczonemu O. Generałowi niemałą sprawiło pociechę pozwolenie na odprawianie Mszy św. Reskrypt papieski brzmi, jak następuje:

Dilecto Filio Ludovico Martin, Societatis Jesu Praeposito Generali, cui fausta quaeque et salutaria a Domino deprecamur, cum dispensationibus necessariis et opportunis in precibus annunciatis facultatem facimus missam celebrandi et Sacerdoti assistenti indulgemus ut quoties ad celebrantem adiuvandum opus fuerit, etiam hostiam tangere possit, necessaria ablutione postea

adhibita. Ex aedibus Vaticanis die duodecimo mensis marialis anno 1905. Pius Papa X.

Przytem dorobiono O. Generałowi sztuczną rękę, która mu wielkie oddaje usługi. Odpowiednie urządzenie na plecach utrzymuje ją w miejscu właściwem. Może on nią, przy pomocy ręki zdrowej, wykonywać wszystkie ruchy, do których cała ręka, albo łokieć, albo dłoń jest potrzebną. To też podczas benedykcyi w refektarzu trzyma w niej O. Generał swój biret.

Stosownie do wskazówek lekarzy spędził O. Generał miesiące letnie w Monsumana przy Monte Catino, gdzie nim się opiekował Dr. Freddi. Wedle najnowszych wiadomości wrócił O. Generał całkowicie do zdrowia i, chociaż od czasu do czasu boleści wracają, jest on całkiem w stanie wypełniać obowiązki swego wysokiego stanowiska.

(The Woodstock Letters, Septemb. 1905).

Doktorat O. Kobyłeckiego. — W przeciągu czterech lat ostatnich O. St. Kobyłecki poświęcał się studyom psychologii doświadczalnej na uniwersytetach w Lipsku (1901—1903), Getyndze (1904) i Fryburgu (1905) pracując w tamtejszych laboratoryach psychologicznych i fizyologicznych. Na dniu 27 września 1905 r. otrzymał na uniwersytecie lipskim dyplom doktorski, którego tekst przytaczamy w całości:

Q. D. B. V. — Summis auspiciis Regis augustissimi potentissimi Friderici Augusti, Domini nostri clementissimi, Rectoris perpetui Universitatis Lipsiensis Magnificentissimi, — Rectore annuo Magnifico Georgio Rietschel, theologiae Doctore et Professore publico ordinario, Contionatore Universitatis primario, collegii et seminarii Homiletici Directore, Regi Saxoniae a consiliis ecclesiasticis intimis, Ordinis regii Saxonici virtute ac fide bene meritorum primae classis Equite, — Decano Joanne Volkelt, philosophiae Doctore, philosophiae et paedagogicae Professore publico ordinario, seminarii philosopho-paedagogici Directore, Ordinis regii Saxonici virtute ac fide bene meritorum primae classis Equite, — Procancellario Gerardo Seeliger, philosophiae Doctore, historiae Professore publico ordinario, seminarii historici Directore, Ordinis regii Saxonici virtute ac fide bene meritorum primae classis Equite, — Stanislaus Kobyłecki Varsoviensis, tradita dissertatione admodum laudabili quae inscribitur «Über die Wahrnehmbarkeit plötzlicher Druckveränderungen» et examine magna cum laude superato, philosophiae Doctor et bonarum artium Magister creatus, atque hac tabula publice declaratus est. — Lipsiae, die XXVII mensis Septembris MDCCCCV. (Typis A. Edelmanni typogr. acad.).

Rozprawa naukowa, którą O. Kobyłecki w celu dostąpienia stopnia akademickiego drukiem ogłosił, nosi tytuł: Über die Wahrnehmbarkeit plötzlicher Druckveränderungen. Inaugural-Dissertation der Hohen Philosophischen Facultät der Universität Leipzig, zur Erlangung der Doktorwürde vorgelegt von Stanislaus Kobyłecki aus Warschau. *Leipzig, Wilhelm Engelmann* 1905. 8, str. 90. — Sonderdruck aus Wundt, Psychologische Studien. I Band. 3 u. 4 Heft. — Na okładce wydrukowana uwaga: Angenommen von der mathematisch-naturwissenschaftlichen Section auf Grund der Gutachten der Herren Wundt und Bruns.

Wynalazki O. Żukotyńskiego. — Żmudnym a długotrwałym studyom O. Żukotyńskiego mamy do zawdzięczenia dwie nowe zdobycze naukowe, które już spotkały się z życzliwem uznaniem w sferach fachowych a i u nas nie powinny przemknąć się niepostrzeżenie. Są to w ścisłem słowa znaczeniu wynalazki, zdolne wiele przyczynić się do ułatwienia badań i doświadczeń w dziedzinie meteorologii i mechaniki.

Pierwszy z nich przedstawia się jako przyrząd automatyczny do zapisywania wyładowań elektryczności ziemskiej, zwanych w potocznym języku błyskawicami. Udało się tu O. Włodzimierzowi przez zastosowanie najprostszych środków, t. j. systemu zegarowego, aparatu Richarda, dzwonka elektrycznego, koherera systemu Fényi i t. d., skonstruować nader zgrabny przyrządzik, który obok swej prostej budowy wykazuje wrażliwość nieosiągniętą w żadnym dotychczas znanym registratorze a pozwalającą na obserwacye w promieniu 400 kilometrowym. Za pomocą tego przyrządu powiodło się O. Żukotyńskiemu jeszcze w r. 1901/2 poczynić ważne spostrzeżenia meteorologiczne w Afryce południowej, które ogłosił w XXXII tomie «Jahrbücher der k. ung. Reichsanstalt für Meteorologie und Erdmagnetismus» (r. 1902, cz. I.). Opisał go dokładnie sam wynalazca w berlińskiej «Deutsche Mechaniker-Zeitung» (r. 1903 Nr. 16. str. 145 np.) w art. p. t.: «Ueber einen Gabel-Registrierapparat und seine Anwendung zur Beobachtung der Blitze»; a znany węgierski meteorolog, O. Juliusz Fényi S. J. poświęcił mu dłuższe, pełne pochwał sprawozdanie w czasopiśmie: «Natur und Offenbarung» (Monaster 1903, tom 49, str. 612 np.). To współdziałanie O. Fényi, jakoteż spożytkowanie jego koherera dało powód, iż w handlu aparat powyższy nosi nazwę Registratora systemu «Fényi-Żukotyński». Patent na jego sporządzanie posiada zakład Wiktora Hosera w Budapeszcie (I. Tabán, Apród-utcza 3).

Drugi wynalazek O. Żukotyńskiego odnosi się do doświadczeń z równią pochyłą i polega na tem, że w miejsce dotych-

czas używanych systemów blokowych (Bertrama i Weinholda) wprowadza wagę sprężynową, co niezmiernie przyczynia się do dokładności obliczeń utrudnionych poprzednio przez tarcie. Sposób posługiwania się tym przyrządem opisuje O. Włodzimierz w «Physikalische Zeitschrift» Rieckego i Simona (roczn. 6. Nr. 7, str. 207 np.) a wyrabianiem ich trudni się pracownia M. Kohla w Chemnitz (Saxonia).

Rekolekcye dla robotników w Belgii

i jak one przeciwdziałają socyalizmowi [1].

Pomiędzy wieloma pracami, jakie belgijska prowincya przedsięwzięła w ostatnich dziesięciu latach, celem przeciwdziałania rozszerzaniu się socyalizmu, żadna równie szybko się nie rozrosła, jak praca naszych «prywatnych rekolekcyi». Od samego początku znalazły one życzliwe przyjęcie i zdaje się, że teraz silnie się utrwaliły. Szeroki i wzrastający ustawicznie ich wpływ obiecuje bogate dusz żniwo.

Znaną jest rzeczą, że belgijski socyalizm stał się w ostatnich 20-stu latach groźną rewolucyjną partyą. W tych zwłaszcza prowincyach, w których religijne uczucie i wiara powoli wygasła, znaleźli przewodnicy tysiące robotników gotowych do strejku, lub grożących własności prywatnej a nawet życiu. Prawdziwy cel istnienia, powód nierówności klas, przyczyna pracy i cierpień stały się tajemnicą dla tych biednych, oszukanych dusz, — a ci, którzy patrzyli na tę gotującą się walkę, prędko przyszli do przekonania, że tylko religia może skutecznie przywrócić pokój tam, gdzie społeczne ustawodawstwo zawiodło. Sądzono, że nasze prywatne rekolekcye będą najlepszym środkiem do urzeczywistnienia odnowienia religijnego.

Historya tego dzieła. — W ostatnich dwudziestupięciu latach dawano rekolekcye w starem opactwie w Tronchiennes. Brali w nich udział zamożni ludzie świeccy ze wszystkich stron kraju a liczba ich wynosiła od 500—600 rocznie. Czemuż nie dopuścić do udziału w tej tak dobroczynnej instytucyi także i klas robotniczych? Ojcowie z kolegium Mons i Charleroi rozpoczęli. Pierwsze rekolekcye dano w Mons. Obecnych było 4 ludzi. To

---

[1] Artykuł ten pisany w październiku 1904 roku przez scholast. D. Stracke T. J., słuchacza teologii naonczas w Lowanium, obecnie w Krakowie, drukowany był po angielsku w *Woodstock Letters* (zeszyt z grudnia 1904 roku). Podajemy go tutaj z tego powodu, że wkrótce i u nas, w Czechowicach, ma być otwarty podobny dom rekolekcyjny dla robotników.

było w roku 1890. W tym samym roku zorganizowano jeszcze trzy razy rekolekcye w Charleroi. We wrześniu 15 robotników odprawiło rekolekcye na willi kolegiackiej w Marchienne. Nieco później mieliśmy 67-miu robotników w samem kolegium. Przez trzy dni przychodzili oni wczas rano, a wracali w nocy. W listopadzie znowu było na rekolekcyach 19 mężczyzn; sześciu z nich spało na willi. W czasie |wakacyi wielkanocnych obrócono na ten cel część szkolnego zabudowania, tak, że 70 robotników przyjmowano tam na noc. Od tego też czasu praca poczęła kwitnąć.

Wnet dała się uczuć potrzeba uzyskania gdziekolwiek w «czarnym kraju» t. j. węglodajnem zagłębiu od Charleroi do Quiévrain, domu dość obszernego, by módz dalej prowadzić tę pracę na taką skalę, by odpowiadała wzrastającemu ciągle popytowi. Zakupiono dom w Fayt-lez-Manage i 15 sierpnia 1891 r. weszli po raz pierwszy ludzie do tego przybytku pokoju. Partye rekolektantów były coraz liczniejsze.

Flamandzka część kraju (cztery prowincye z pośród dziewięciu, belgijskich) chociaż mniej podminowana przez socyalistyczną propagandę, poszła wnet za tym przykładem. W Gandawie, gdzie przebywa 60.000 robotników, otworzono dom w roku 1894. Na początku nie dopuszczano nikogo, prócz robotników gandawskich. W świątecznych dniach, wolnych od pracy lub w niedziele, jakoteż w dwóch dniach poprzedzających lub następujących po tychże, przychodzili ludzie o 7 rano i opuszczali naszą rezydencyę o 9 wieczór. Środków jednak brakowało. Mimo to już w r. 1896 postanowiono zaprowadzić rekolekcye na szersze rozmiary, to też urządzono 25 mniejszych pokoi i od tego czasu rekolekcye odbywały się jak w Fayt. Tę szczęśliwą zmianę zawdzięczać należy w części szlachetnej inicyatywie rekolektantów z Tronchiennes. Postanowili oni na zebraniu poprzedniem «zapewnić dla siebie od Wszechmocnego Boga dobrodziejstwo rocznych rekolekcyi, posyłając robotników do Gandawy i Fayt, aby się tam modlili przez trzy dni za swoich dobrodziejów i za zagrożony katolicyzm». Zapewne była to myśl podziwienia godna. W całej Belgii powstały lokalne komitety i jeden centralny, aby zapewnić robotniczej klasie duchowną pomoc trzydniowych rekolekcyi i oprócz tego odszkodowanie za zarobek w ten sposób utracony.

Przy nowicyacie w Arlon wzniesiono obszerne budynki w r. 1896. W r. 1899 otwarto nowy dom w Lierre. Poświęcono go w listopadzie, a 3-go grudnia przybyło 46 robotników z Antwerpii; 10 t.m.mieliśmy 41 robotników z Tillemont, 17-go 47 z Lowanium, 24-go 46 z Mechlinu. Komitety dwóch prowincyi w Liége i w Limburgu postanowiły zbudować dom w Xhovémont, niedaleko Liège. Uroczyste poświęcenie tego domu miało miejsce 22 maja 1901 r. W pierwszym już roku 1800 robotników ro-

biło tam rekolekcye. W dniu 6 września 1903 następujące ogłoszenie pojawiło się w jednej limburskiej gazecie: «Limburski komitet dla rekolekcyi robotników postanowił otworzyć dom w tejże prowincyi». Kupiono dom i ogrody w Alken (Hasselt), stawiają nowe budynki i ponieważ dom ma być poświęcony Niepokalanemu Poczęciu N. Maryi P., spodziewamy się otworzyć go 8 grudnia.

Cel. — Cel, który kierował całą tą czynnością, jest wychowanie w robotniczych klasach chrześcian, którzyby byli dosyć silnymi do opierania się uwodzicielom i zepsuciu, i chętnymi do wspólnej pracy z klerem w ratowaniu swych współrobotników. Ten podwójny cel wpojenia w nich niewzruszonych przekonań, silnej wiary i gorliwej działalności jest niczem innem, jak apostołowaniem przez samychże robotników między robotnikami. Tak wychowani, będą oni najlepszymi współpracownikami kleru świeckiego i zakonów.

Organizacya. — Przez trzy dni trzyma się robotnika zdala od ziemskich trosk i uciech światowych. W obecności swego Stwórcy bada on gruntownie siebie samego. Jego prywatne ćwiczenia wspomaga się naukami i medytacyami o krótkości życia, o ohydzie grzechu, o dobroci i piękności naszego Boga, którego ma odtąd stać się żołnierzem. Dodaje się nadto inne pobożne ćwiczenia, jak: ustną modlitwę, drogę krzyżową, mszę świętą; spowiedź zaś i komunia św. kończą te trzy dni samotności. Wszystko to jednak w sposób bardzo prosty; przed oczyma ma się zawsze praktyczne cele.

Wybór ludzi. — Aby odpowiedzieć założonemu celowi, mają być ludzie ile możności takiego stanowiska i charakteru, żeby można oczekiwać, iż osiągną wpływ nad swoimi mniej uzdolnionymi towarzyszami. Wiedza, biegłość w swoim zawodzie, względna niezależność, łatwość w wysławianiu się, oto pożądane przymioty. Ci wybrani ludzie powinni nietylko cieszyć się dobrą sławą, lecz mają być zdolnymi do werbowania nowych rekolektantów. Muszą oni być na tyle dojrzałymi, aby dać wyryć na sobie wrażenie niezatarte, a nadto dostatecznie silnymi, by rozpocząć na nowo doskonalsze życie chrześcijańskie. Zdaje się, że odpowiedni wiek leży między 18 a 50 rokiem. Pierwszych ludzi z centrum fabrycznego lub przemysłowego wybiera proboszcz, albo sam chlebodawca, lub jeden z promotorów; lecz dla następnych rekolekcyj zostawia się zwykle wybór tym robotnikom, którzy już rekolekcye odprawili; lokalny komitet kontroluje i aprobuje.

Pokrycie kosztów. — Taka, jak ta, instytucya jest bardzo kosztowna. Utrzymanie przez trzy dni, bilet kolejowy (jeżeli potrzebny) i odszkodowanie za utracony zarobek wynosi około 15 franków na osobę. Lokalne komitety i promotorowie: mężczyźni czy kobiety, mają się starać o te pieniądze. Ponieważ

chlebodawcy i fabrykanci są interesowani więcej, niż ktokolwiek inny, więc się ich także wzywa, aby swój datek ofiarowali. Członkowie dawnych lig rekolekcyjnych dają co tydzień kilka centymów. Dar 500 fr. zapewnia na zawsze coroczne rekolekcye dla jednego robotnika. W wielu miejscach próbowano, aby i robotnicy sami brali udział w wydatkach, z których sami zbierać mają duchowne owoce. Ta metoda coraz więcej się rozszerza. Jest ona oczywiście najskuteczniejszą.

Środki wytrwania. — Tylko stowarzyszenia mogą podtrzymać usposobienie w takich rekolekcyach wpojone. Co miesiąc schodzą się rekolektanci, aby wysłuchać mszy św. i przyjąć komunię świętą. Krótką naukę dodaje się po ewangelii. Przede mszą św. zwyczajnie odmawia się różaniec, a po mszy św. daje się błogosławieństwo Najśw. Sakramentem. Te ćwiczenia nazywają się miesięcznemi rekolekcyami. We formie mogą się różnić; cel ich i środki są wszędzie te same. Stowarzyszenia te nazywają się «bractwem N. Sakramentu», «ligą przyjaciół Najsł. Serca Jezusowego». Na innych miejscach, gdzie podobne stowarzyszenia już istniały, rekolektanci wpisują się do nich i ożywiają takowe. Fayt n. p. było w stanie stworzyć i utrzymywać w rozmaitych miejscowościach 150 lig Najśw. Sakramentu. Każda liga ma komitet promotorów. Stan dzieła bada się przed i po rekolekcyach. Oziębłych upomina się, gorliwych zachęca, nowych członków się przedstawia i t. d.

Rezultaty. — Aby choć tylko pobieżnie opowiedzieć o zdumiewających nawróceniach, aby powtórzyć serdeczne pochwały belgijskich biskupów, podziękowania kleru i chlebodawców, trzebaby zapisać cały zeszyt *Woodstock Letters.* Musimy się przeto zadowolić kilkoma cyframi. Będą one więcej pouczającemi i wymownemi, niż jakikolwiek inny komentarz.

Fayt. W roku 1891 rekolektantów 215; 1997, 839; 1898, 870; 1899, 1.083; 1900, 1.472; 1902, 1.702; 1903, 1.967.

W pierwszych 10 latach 7.808 mężczyzn robiło tutaj swoje rekolekcye.

Od 1891—1902 dano 328 rekolekcyi dla 9.342 mężczyzn.

Od stycznia do lipca 1902 1108 osób przeszło przez rekolekcye.

Od 1891—1903 było 406 rekolekcyi dla 13.167 ludzi. Obecnie liczba ta przekroczyła 15.000.

Gandawa:

r. 1894	rekolekcyi	6	osób	142		r. 1899	rekol.	45	osób	1.539
« 1895	«	8	«	229		« 1900 [1]	«	41	«	1.347
« 1896	«	11	«	300		« 1901	«	36	«	1.270
« 1897	«	42	«	994		« 1902	«	40	«	1.281
« 1898	«	48	«	1.490		« 1903	«	40	»	1.343

Do tego czasu więcej niż 11.000 rekolektantów.

[1] Po otwarciu domu w Lierre.

Lierre:

r. 1900	rekol. 47	osób	2.010	r. 1902	rekol. 66	osób	2.845
« 1901	« 51	«	2.544	« 1903	« 67	«	2.753

Ogółem więcej niż 13.000 rekolektantów.

Liège: od czerwca 1901 ponad 5.100 osób.

Arlon: od sierpnia 1903 do sierpnia 1904 osób 750.

Tronchiennes: 600 rekolektantów rocznie.

A zatem odprawia rekolekcye co roku 9.000—10.000 robotników.

Od rozpoczęcia tego dzieła, około 12 lat temu, z górą 50 tysięcy mężczyzn z wszystkich klas i zawodów, których największa część składała się z robotników, korzystało z dobrodziejstwa 3 dniowych rekolekcyi.

Nasza prowincya wnet przyszła do wniosku, że należy dodać do tej pracy oddział dla kobiet. Szlachetne współdziałanie zakonów i pań odpowiedziało na nasze wezwanie. Pięć domów otworzono. Oto daty:

Watermael (koło Brukseli):

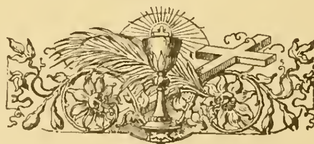
r. 1897	kobiet	85	r. 1900	kobiet	424
« 1898	«	27	« 1901	«	937
« 1899	«	371	« 1902	«	1.324

Bruksela: w r. 1901 kobiet 1.300.

Namur: od marca 1900 do marca 1901 kobiet 1006; od marca 1901 do marca 1902 kobiet 1498.

Antwerpia: od 1 listopada 1900 do roku 1903 kobiet 3.000.

Kobiety zamężne odprawiają rekolekcye oddzielnie od dziewcząt.



Druk ukończony 7 grudnia 1905 r.

